

Jules Verne

Wulkan złota

Tytuł oryginału: „Le Volcan d’or”

Tłumaczyła: K. Bobrowska

„Skarby wulkanu”, 1928

Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Poznań — Warszawa — Wilno — Lublin

Część pierwsza

I

Wuj z Ameryki

17 marca 1898 r. listonosz obsługujący ulicę Jacques–Cartier w Montrealu doręczył panu Summy Skimowi, mieszkającemu w domu pod numerem 29, list następującej treści:

„Notariusz Snubbin przesyła pozdrowienia panu Summy Skimowi i prosi go o niezwłoczne pofatygowanie się do kancelarii w sprawie, która go dotyczy”.

Co było powodem tego wezwania? Summy Skim, jak zresztą wszyscy mieszkańcy Montrealu, znał notariusza Snubbina jako człowieka prawego, pewnego i przezornego doradcę, rodowitego Kanadyjczyka, który objął kancelarię, dziś pierwszą w mieście, po sławnym notariuszu Nicku. Nick, nazywający się naprawdę Mikołaj Sagamore, prowadził ją przez lat sześćdziesiąt i zasłynął w swoim czasie udziałem w strasznej sprawie Morgaz, tak głośnej w 1837 r.*.

Summy Skim, zdziwiony wielce tym wezwaniem, udał się szybko do notariusza i w pół godziny później znalazł się w jego gabinecie przy placu Marche–Bon–Secours.

— Witam, panie Skim — rzekł notariusz powstając.

— Witam — odpowiedział Summy Skim, siadając przy biurku.

— Stawił się pan pierwszy na wezwanie, panie Skim...

— Jak to pierwszy? Czy podobne wezwanie otrzymał ktoś jeszcze?

— Pański kuzyn, pan Ben Raddle — odpowiedział notariusz — otrzymał również podobne wezwanie.

— W takim razie nie „otrzymał” go, lecz „otrzyma” — oświadczył Summy Skim. — Bena nie ma bowiem w tej chwili w Montrealu.

— Czy prędko powróci?

— Za trzy lub cztery dni.

— Do diabła!

— Sprawa jest więc nagląca?

— Poniekąd tak — odpowiedział notariusz. — Cóż robić! Wtajemniczę pana w jej treść, pan zaś zaznajomi z nią pana Bena Raddle’a po jego powrocie.

Notariusz włożył okulary, przerzucił kilka papierów rozrzuconych na stole, wziął do ręki list,

wydobyty z koperty i zanim zaczął czytać, spytał:

— Pan Raddle i pan, panie Skim, jesteście siostrzeńcami pana Josiasa Lacoste'a?

— Istotnie, moja matka i matka Bena Raddle'a były jego siostrami, ale od ich śmierci, to jest od siedmiu czy ośmiu lat, zerwaliśmy wszelkie stosunki z wujem. Poróżniły nas sprawy majątkowe; wuj wyjechał z Kanady do Europy. Słowem od tej pory nie dał nam nigdy znać o sobie, nie wiemy więc, co się z nim stało.

— Umarł — oświadczył notariusz. — Otrzymałem właśnie wiadomość o jego zgonie, który nastąpił 16 lutego.

Pomimo to, że Josias Lacoste zerwał od dawna wszelkie stosunki z rodziną, Summy Skim przejął się bardzo wiadomością o śmierci wuja.

Jego kuzyn Ben Raddle i on nie mieli już ani ojca, ani matki, a jako jedynacy ku sobie zwrócili całe rodzinne uczucie, wzmacniając je braterską przyjaźnią. Obecnie Summy Skim uprzytomnił sobie, że z całej rodziny został tylko Ben Raddle i on. Tęskniąc za wujem, kilkakrotnie starali się dowiedzieć, co się z nim stało i mieli, prędzej czy później, nawiązać z nim stosunki. Śmierć wuja rozwiała te złudzenia.

Josias Lacoste, skryty z natury, odznaczał się zawsze niespokojnym usposobieniem. Przed dwudziestu laty wyjechał z Kanady szukać szczęścia w świecie, spodziewając się powiększyć swój skromny majątek, dzięki spekulacjom finansowym. Czy ziściły się jego pragnienia? Czy nie zrujnował się raczej doszczętnie, rzucając się w zawrotny wir interesów? Czy zostawił siostrzeńcom, swoim jedynym spadkobiercom, choć niewielki majątek?

Summy Skim jednakże nie myślał nigdy o spadku, a tym bardziej teraz, gdy był pod wrażeniem wiadomości o śmierci ostatniego krewnego.

Notariusz Snubbin, nie przerywając zadumy klienta, oczekiwał cierpliwie na pytania z jego strony.

— Panie Snubbin — spytał Summy Skim — wuj zmarł 16 lutego?

— 16 lutego, panie Skim.

— A zatem dwadzieścia dziewięć dni temu?

— Dwadzieścia dziewięć, istotnie. Tyle czasu potrzeba było, aby ta wiadomość dotarła do mnie.

— Nasz wuj był więc w Europie... w jednym z odległych jej krajów.

— Bynajmniej — odpowiedział notariusz i podał mu list, na którym widniały znaczki kanadyjskie. — List ten pochodzi od wuja z Ameryki, od prawdziwego wuja z Ameryki, jak mówią w Europie, którego spadkobiercami jesteście pan i pan Ben Raddle.

— Jak to? — rzekł Summy Skim. — Był więc w Kanadzie, a my nic o tym nie wiedzieliśmy?

— Tak, w Kanadzie, lecz w najbardziej oddalonej części Dominium* — na granicy dzielącej nasz kraj od amerykańskiej Alaski, z którą komunikacja jest bardzo utrudniona i powolna.

— Przypuszczam, że chodzi o Klondike, panie Snubbin? ‘

— Tak, o Klondike. Wuj pański osiedlił się tam około dziesięciu miesięcy temu.

— Około dziesięciu miesięcy temu — powtórzył Summy Skim. — I gdy przejeżdżał przez Amerykę, nie przyszło mu nawet na myśl, aby udając się do tej krainy kopalni złota wstąpić do Montrealu i uścisnąć swych siostrzeńców!...

— Cóż pan chce? — odrzekł notariusz. — Być może, pan Lacoste śpieszył się z przybyciem do Klondike, jak tyle tysięcy jego bliźnich... że tak powiem: tylu chorych trawionych gorączką złota, która pochłonęła i pochłonie jeszcze niezliczone ofiary! Do kopalń złota ciągną tłumy ze wszystkich zakątków świata. Po Australii nastąpiła Kalifornia, po Kalifornii — Transwał, po Transwale — Klondike, po Klondike będą inne złotodajne tereny i tak będzie aż do sądu ostatecznego... Chciałem powiedzieć: do ostatecznego wyczerpania złotodajnych pokładów.

Po tych słowach notariusz udzielił Summy Skimowi wszelkich informacji jakie posiadał, a mianowicie, że na wiosnę 1897 roku Josias Lacoste osiedlił się w mieście Dawson, stolicy Klondike, z niezbędnym wyposażeniem poszukiwacza złota, że w lipcu 1896 roku wykryto złoto w Gold Bottom, dopływie rzeki Hunter, co zwróciło uwagę wszystkich na ten obwód, że zaraz następnego roku Josias Lacoste przybył tu wraz z innymi, aby za resztę pieniędzy kupić działkę gruntu. W kilka dni po swym przybyciu spełnił swój zamiar i stał się posiadaczem działki numer 129 położonej przy Forty Miles Creek, dopływie Jukonu, głównej arterii kanadyjsko-alaskiej.

Po czym dodał:

— Sądząc z listu przysłanego mi przez gubernatora Klondike, działka jak dotąd nie przyniosła dochodu, jakiego spodziewał się pan Josias Lacoste. Zdaje się wszakże, że nie jest ona zupełnie wyczerpana i gdyby wuj żył dłużej, może osiągnąłby z niej więcej korzyści.

— A zatem nie nędza była przyczyną śmierci wuja?

— Nie, list wcale o tym nie wspomina. Zmarł na tyfus, groźny w tym klimacie i pochłaniający tam tysiące ofiar. Pan Lacoste, czując się chorym, opuścił swą działkę i przyjechał do Dawson, gdzie zakończył życie. Gubernator, który wiedział, że Lacoste pochodzi z Montrealu, zwrócił się do mnie, abym powiadomił o jego zgonie rodzinę. Pan Ben Raddle i pan, panie Skim, jesteście znani, dodam — z najlepszej strony, i dlatego bez kłopotów odnalazłem was, aby zawiadomić panów o waszych prawach spadkowych.

Prawa spadkowe! Na ustach Summy Skima zarysował się ironiczny uśmiech. Myślał o ciężkim życiu, jakie stało się udziałem wuja od chwili, gdy oddał się trudnemu i żmudnemu poszukiwaniu złota. Może kupił działkę za wygórowaną sumę, wydając wszystko, co posiadał?... Może umarł zadłużony i niewypłacalny... Po chwili namysłu Summy Skim odezwał się do notariusza:

— Panie Snubbin, być może wuj zostawił po sobie długi... Otóż mój kuzyn Ben Raddle, za którego rękę, i ja staniemy w obronie nazwiska naszych matek. Nie uchylimy się od żadnej należności... Trzeba więc w jak najkrótszym czasie sporządzić listę...

— Poczekaj pan — przerwał mu notariusz. — Znając pana, nie dziwię się temu szlachetnemu porywowi. Ale przypuszczam, że długów żadnych nie ma. Chociaż prawdopodobnie wuj pański umarł w biedzie, zapominać nie powinniśmy, że był właścicielem działki przy Forty Miles Creek, której wartość będzie wystarczająca do spłacenia wszelkich zobowiązań spadkowych, jeżeli te w ogóle istnieją. Działka ta zaś stała się niepodzielną własnością pańskiego kuzyna i pana, ponieważ jesteście jedynymi krewnymi i spadkobiercami pana Josiasa Lacoste'a.

Pan Snubbin dodał zaraz, że należy jednak działać z pewną ostrożnością. Spadku przyjąć nie można inaczej jak po zapoznaniu się z obecnym stanem majątkowym. Ustali się aktywa i pasywa, a wtedy spadkobiercy będą wiedzieli, czego się mają trzymać.

— Zajmę się tą sprawą, panie Skim — dodał na zakończenie — i zbiorę jak najpewniejsze informacje. Zresztą, kto wie?... Działka ta pozostanie zawsze działką, nawet jeżeli jej wydajność była dotąd prawie żadna... Wystarczy jedno szczęśliwe uderzenie motyką, aby napęłnić kieszenie, jak mówią poszukiwacze złota.

— A zatem sprawa skończona, panie Snubbin — odpowiedział Summy Skim — i jeżeli działka wuja ma jakąkolwiek wartość, postaramy się jej pozbyć na najlepszych warunkach.

— Zapewne — przyznał notariusz — i mam nadzieję, że kuzyn pański będzie tego samego zdania.

— Liczę na to — odparł Summy Skim. — Nie przypuszczam, aby Ben Raddle zechciał zająć się eksploatacją działki na własną rękę...

— Kto wie, panie Skim? Pan Ben Raddle jest inżynierem. Umysł to przedsiębiorczy i śmiały. Może ulec pokusie!... A jeśli się dowie, że działka zawiera złotodajną żyłę...

— Zareczam panu, panie Snubbin, że nie będzie jej wcale oglądał. Zresztą będzie z powrotem za trzy lub cztery dni... Naradzimy się w tej sprawie i będziemy pana prosili o zajęcie się sprzedażą działki przy Forty Miles Creek bądź dla własnej korzyści, bądź, co wydaje mi się prawdopodobniejsze, celem spłacenia długów naszego wuja.

Po tym pesymistycznym wniosku Summy Skim opuścił kancelarię notariusza, obiecując powrócić tu za parę dni, i udał się do swego domu przy ulicy Jacques-Cartier, gdzie mieszkał wspólnie z kuzynem.

Ojciec Summy Skima był pochodzenia anglosaskiego, matka zaś była Francuzką z Kanady. Jego rodzice osiedlili się w Dolnej Kanadzie po zwycięstwie 1759 roku, stając się właścicielami dużego i dochodowego majątku, składającego się z lasów, ziemi i łąk, a stanowiącego większą część ich fortuny.

Summy Skim miał trzydzieści dwa lata, wzrost więcej niż średni, miłą powierzchowność i silną

budowę ciała, cechującą ludzi przebywających wiele na świeżym powietrzu. Oczy miał ciemnobłękitne, brodę blond, słowem po matce odziedziczył wygląd właściwy dla Franko-Kanadyjczyka. Mieszkał w swej posiadłości, pędząc w tej uprzywilejowanej części Dominium beztroski żywot farmera pozbawionego nadmiernych wymagań. Jego majątek, choć niezbyt duży, wystarczał w zupełności na skromne potrzeby, nie odczuwał więc ani chęci, ani konieczności powiększania go. Jako miłośnik rybołówstwa miał do swej dyspozycji całą sieć wodną dopływów Rzeki Świętego Wawrzyńca, nie mówiąc już o jeziorach tak licznych w północnych stronach Ameryki. A jako zawołany myśliwy mógł z całą swobodą polować na rozległych równinach i w lasach obfitujących w zwierzynę, zajmujących lwią część tych okolic Kanady.

Dom, który był własnością obu kuzynów, znajdował się w najspokojniejszej części Montrealu, poza dzielnicami przemysłowo-handlowymi. Był urządzony bez zbytku, lecz dostatnio. W nim to obaj spędzali, oczekując z niecierpliwością na nadejście ciepłej pory roku, długie kanadyjskie zimy — tak ostre, pomimo że kraj ten leży na tym samym równoleżniku co południowe kraje Europy. W Kanadzie więcej jednak straszne wiatry, których nie powstrzymają żadne góry i szaleją z niezwykłą siłą zawieje, niosące ze sobą zimny powiew stref podbiegunowych.

Montreal, od 1843 roku będący siedzibą rządu, mógł dostarczyć Summy Skimowi niejednej sposobności do zajęcia się sprawami publicznymi. Ale Summy Skim, ze swym niezależnym charakterem, miał wiele pogardy dla świata urzędów, unikał towarzystwa wysokich urzędników i czuł nieprzewyciężony wstręt do polityki. Zresztą poddawał się chętnie zwierzchnictwu Wielkiej Brytanii, raczej pozornemu niż rzeczywistemu i nie należał nigdy do żadnej partii politycznej. Kochał swobodę i nie pragnął żadnych zaszczytów. Jego zdaniem wszelka zmiana w życiu sprowadziłaby tylko nowe troski, kłopoty i uszczupliłaby dobrobyt.

Nietrudno się domyślić, że nasz bohater nie marzył nigdy o małżeństwie, nie myślał o nim również obecnie, choć miał już trzydzieści dwa lata. Być może, gdyby żyła jego matka — kobiety lubią cieszyć się swymi wnukami — postarałby się o obdarzenie jej synową. Wtedy, nie ulega wątpliwości, żona Summy Skima podzielałaby jego upodobania. Wśród licznych rodzin Kanady, w których liczba dzieci wynosi często niemal dwa tuziny, znalazłby w mieście lub na wsi młodą dziewczynę, skromną i zdrową, odpowiadającą mu w zupełności. Ale pani Skim umarła pięć lat za wcześnie, w trzy lata po śmierci męża i od tej chwili można bez obawy iść o zakład, że najlżejsza nawet myśl o małżeństwie nie zawitała w umyśle jej syna.

Wraz z pierwszym łagodniejszym powiewem tego ostrego klimatu, kiedy wcześniejszy wschód słońca jest zapowiedzią zmiany pory roku, Summy Skim opuszczał spieszenie dom przy ulicy Jacques-Cartier, udając się na swą farmę Green Valley położoną o dwadzieścia mil na północ od Montrealu na lewym brzegu Rzeki Świętego Wawrzyńca. Tu wracał do życia wiejskiego, którego zaniechać musiał z nadejściem ostrej zimy, ścinającej wszystkie wody i pokrywającej pola śnieżnym całunem. Tu było mu dobrze wśród oddanych mu ludzi, od pół wieku pełniących służbę w jego rodzinie, szczerze przywiązanych do tego pana dobrego, spokojnego, uprzejmego, gotowego do wyświadczenia przysługi nawet kosztem swej osoby. Nie oszczędzili mu więc oznak radości na powitanie, jak również wyrazów żalu w chwili jego odjazdu.

Posiadłość Green Valley przynosiła rocznie około trzydziestu tysięcy franków dochodu, którymi obaj krewni dzielili się między sobą, gdyż wiejska posiadłość, tak jak i dom w Montrealu,

niepodzielnie do nich należała. Uprawiano tam na gruncie bardzo żyznym, rośliny pastewne i zboża, a płynące stąd dochody znakomicie powiększały zyski ze wspaniałych okolicznych lasów. Farma była zespołem dobrze wyposażonych budynków, takich jak stajnie, obory, stodoły, pomieszczenia dla drobiu i szopy. Została zaopatrzona w różne narzędzia, odpowiadające w zupełności wymaganiom nowoczesnego rolnictwa. U wejścia na rozległy teren, ozdobiony trawnikami i kępami drzew, wznosił się dom skromny, lecz wygodny.

Taką była posiadłość, w której Summy Skim spędzał najmiłsze chwile swego życia, a do której Ben Raddle wpadał na kilka zaledwie dni lata. Summy jednak nie zamieniłby swej siedziby na żaden zamek magnacki najbogatszego „nawet Amerykanina. Wystarczała mu w zupełności, a choć była skromna, nie myślał wcale o jej powiększeniu ani upiększeniu, zadowolając się pięknem natury. Tu dni płynęły na polowaniu, noce zaś na błogim spoczynku.

Contentus sua sorte^{*}, jak zaleca mądra maksyma, Summy Skim ciągnął więc znaczne dochody ze swej ziemi uprawianej planowo i z rozmysłem. Choć nie dopuszczał do uszczuplenia majątku, nie myślał nigdy o jego powiększeniu. Za nic na świecie nie byłby się dał wciągnąć w jakikolwiek z tych niezliczonych interesów, których pełno jest w Ameryce, takich jak spekulacje handlowe i przemysłowe, koleje, banki, kopalnie, towarzystwa żeglugowe i inne. Nigdy! Summy miał wstręt do wszystkiego, co pociąga za sobą ryzyko lub tylko niepewność. Zmuszać się do obliczania korzyści lub strat, czuć się zależnym od okoliczności, których nie można przewidzieć, ani im zapobiec, budzić się rano z myślą: czy jestem bogatszy czy biedniejszy niż wczoraj?... To wszystko wydawało mu się wstrętne i wolałby raczej nie zasypiać wcale lub nie obudzić się nigdy.

Takie jego usposobienie stanowiło przeciwieństwo charakteru kuzyna. Nikt wątpić nie mógł, że matki ich były siostrami i że w obu płynęła krew francuska. Lecz ojciec Summy Skima należał do narodowości anglosaskiej, ojciec zaś Bena Raddle'a — do amerykańskiej, a zaprzeczyć się nie da, że między Anglikami i Jankeesami zachodzi wielka różnica, która pogłębia się coraz bardziej. Jeżeli między Jonathanem a Johnem Bullem istnieje pokrewieństwo, to jest ono bardzo oddalone i przypuszczać należy, że pokrewieństwo to z czasem zniknie zupełnie.

Zresztą czy różnorodność pochodzenia, czy też inna jaka przyczyna była powodem przeciwieństwa ich charakterów, dość że ci kuzynowie, których łączyła — jak twierdzili — przyjaźń nierozzerwalna, nie mieli — ani jednakowych upodobań ani jednakowych usposobień.

Ben Raddle, niskiego wzrostu, o włosach i zaroście ciemnym, o cztery lata młodszy od Skima, do życia brał się zgoła inaczej od kuzyna. O ile ten zadowolalał się pracą na roli i pilnowaniem swych zbiorów, o tyle Bena Raddle'a pochłaniała działalność przemysłowa. Jako inżynier brał udział w tych licznych pomyślanych na wielką skalę przedsiębiorstwach, w których celują Amerykanie, wnosząc w nie śmiałość inicjatywy i ryzyko wykonania. Równocześnie marzył o bogactwie, lecz nie o tym umiarkowanym bogactwie zwykłych milionerów, a o potoku złota amerykańskich miliardów. Fantastyczne fortuny Gouldów, Astorów, Vanderbiltów, Rockefellerów, Carnegich, Morganów i wielu innych, podniecały jego umysł. Marzył o tych niezwykłych przypadkach, zdolnych w kilka dni zaprowadzić na Kapitol, lub też w kilka godzin strącić ze skały tarpejskiej. Toteż gdy Summy Skim ograniczał swe podróże do wycieczek do Green Valley, Ben Raddle zwiedzał Stany Zjednoczone, przepływając Atlantyk, poznał część Europy w nadziei, że natrafi na szczęśliwy przypadek,

decydujący o jego losie. Dotąd jednak nie napotkał nic osobliwego. Nie zniechęciło go to bynajmniej. Wróciwszy z dalekiej zamorskiej podróży, nie tracił ani chwili czasu, upatrując odpowiedniej sposobności, aby wziąć udział w jakimś niezwyklej miary przedsięwzięciu.

To przeciwieństwo ich upodobań było dla Summy Skima przyczyną wielu zmartwień. Obawiał się ciągle, że Ben Raddle go opuści lub co najmniej jakiś ryzykowny interes pochłonie ich skromny majątek, zapewniający im niezależność i swobodę.

Na ten temat obaj krewni prowadzili nieskończone spory.

— Ależ, Ben — mówił Summy — co ci przyjdzie z łamania sobie głowy nad tym co tak uroczyście nazywasz wielkim interesem?

— Przyjdzie to, Summy, że mogę stać się bogatym, bardzo bogatym — odpowiadał Ben Raddle.

— I co ci przyjdzie z tego, że będziesz bardzo bogaty? Dostatnie życie w Green Valley nie wymaga wielkiego wysiłku. Co uczyniłbyś z tak wielką ilością pieniędzy?

— Zająłbym się nowymi interesami i to większej miary.

— W jakim celu?

— Aby zgromadzić jeszcze większą ilość złota, które obróciłbym na jeszcze poważniejsze interesy.

— I tak dalej?

— I tak dalej.

— Do samej śmierci, zapewne? — dodawał ironicznie Summy Skim.

— Do samej śmierci, Summy — potwierdzał Ben Raddle, nie przejmując się wcale, podczas gdy kuzyn, nie mogąc znaleźć żadnej odpowiedzi, wznosił ręce do góry ze zniechęceniem.

II

Summy Skim wbrew swej woli wstępuje na drogę pełną przygód

Po powrocie od notariusza Summy Skim zajął się wypełnieniem obowiązków, które nakładała na niego śmierć wuja. Rozesłał zawiadomienia do przyjaciół ich rodziny, pomyślał o żałobie i o zamówieniu nabożeństwa żałobnego w kościele parafialnym.

Co zaś się tyczy przejęcia praw spadkowych po wuju to te odłożył do czasu przyjazdu kuzyna, chcąc się z nim najpierw porozumieć. Zresztą należało czekać chwili, w której stosownie do telegraficznego żądania pana Snubbina, nadejdzie dokładny spis inwentarza odziedziczonego po nieboszczyku.

Ben Raddle wrócił dopiero po pięciu dniach, 22 marca, z Nowego Jorku, w którym przebywał przez miesiąc na koszt potężnego syndykatu, dla którego opracowywał śmiały projekt przerzucenia mostu nad rzeką Hudson, między metropolią a New Jersey.

Ben Raddle z całym zamięłowaniem oddał się pracy tak ciekawej dla inżyniera. Budowa tego mostu nie była jednak łatwa do urzeczywistnienia. Chociaż pisano o niej wiele w dziennikach i opracowywano ją na papierze, przed upływem roku, a może nawet i dwu lat nie można było jej rozpocząć. Toteż Ben Raddle powrócił.

Jego nieobecność wydała się Summy Skimowi niezmiernie długą. Jakże żałował, że Ben Raddle nie dzieli jego zapatrywań, jego życia bez trosk i niespodzianek! Z ciężkim sercem myślał, że o ile projekt mostu na rzece Hudson dojdzie do skutku, Ben Raddle będzie musiał pozostać w Nowym Jorku długo, może lata całe, a w takim razie Summy Skim skazany będzie na osamotnienie we wspólnym ich domu w mieście i na samotność w Green Valley!

Gdy inżynier dowiedział się od swego kuzyna, że zostali spadkobiercami zmarłego wuja i że przypada im w udziale działka nr 129 położona na brzegu Forty Miles Creek, na terytorium Klondike, zastanowił się poważnie. Najwidoczniej nie przyjął on z taką obojętnością jak Summy Skim, wiadomości o posiadaniu złotodajnego terenu. Jednakże w pierwszej chwili nie ujawnił swych myśli.

Przyzwyczajony do gruntownego badania rzeczy, chciał się głęboko zastanowić przed wypowiedzeniem swych poglądów.

Po całodziennym rozważaniu wszystkich dodatnich i ujemnych stron niespodziewanego spadku Ben Raddle nazajutrz przy śniadaniu zagadnął w tej sprawie Summy Skima:

— A gdyby tak, kuzynie, porozmawiać trochę o Klondike?

— Jeżeli tylko trochę...

— To zależy, Summy.

— Jak uważasz, drogi Benie.

— Czy notariusz przedstawił ci tytuł własności działki 129?

— Nie — rzekł Summy Skim — uważałem za rzecz zbędną zajmowanie się nim.

— Jakże to do ciebie podobne, poczciwy Summy — zawołał Ben Raddle śmiejąc się.

— Dlaczego? — odparł Summy. — Uważam, że nie ma się czym tak przejmować. Jest to bardzo proste: albo spadek przedstawia jakąkolwiek wartość, a w takim razie postaramy się go pozbyć jak najkorzystniej, albo — i to drugie wydaje mi się daleko prawdopodobniejsze — nie przedstawia żadnej wartości, a wtedy nie mamy o nim nawet co myśleć.

— Słusznie mówisz — przyznał Ben Raddle. — Lecz nie spieszmy się... Kopalnia to rzecz niewiadoma... Wydaje się niekiedy, że jest wyczerpana, że nic przynieść nie może... a jedno pchnięcie motyką przynosi majątek.

Słowa te zaniepokoiły Summy Skima.

— Mój drogi Benie — rzekł z podnieceniem — właśnie o tym powinni wiedzieć ci, którzy w tej chwili eksploatują te słynne złoża z Klondike. Jeżeli nasz udział wart jest cokolwiek, postaramy się go sprzedać na najkorzystniejszych warunkach... lecz jest mało prawdopodobne, aby wuj nasz zszedł z tego świata właśnie wtedy, gdy miał zostać milionerem!...

— To właśnie należy stwierdzić — rzekł Ben Raddle. — Poszukiwacz złota jest narażony na wiele niespodzianek. Zawsze jest w przededniu znalezienia szczęśliwej żyły, a przez to rozumiem nie pojedynczy pomyślny przypadek, lecz żyłę złotego kruszcu, obfitującą stale w bryłki rodzimego złota. Wszak przyznasz, że niejeden poszukiwacz nie potrzebuje skarżyć się na swój los...

— Tak — rzekł Summy Skim — jeden na stu, na tysiąc, na sto tysięcy raczej i to kosztem jakich wysiłków, jakiego niepokoju, a nawet dodam, jakich utrapień!...

— Pięknie mówisz, Summy — odparł Ben Raddle — ale są to tylko czcze słowa. Ja opieram swe wnioski nie na pięknych zdaniach, lecz na faktach.

Summy Skim, bynajmniej nie zaskoczony tym zwrotem rozmowy, przerzucił się na zwykły temat ich sporów, zaczynając w te słowa:

— Drogi przyjacielu, czy spadek, który zostawili nam rodzice, już nie wystarcza? Czy nie zapewnia nam niezależności i dobrobytu? Jeżeli mówię w ten sposób, to dlatego, że jak mi się zdaje przykładasz zbyt wiele wagi do tej sprawy, moim zdaniem niegodnej uwagi... Powiedz, czy nie jesteśmy wystarczająco bogaci?

— Bogatym nie jest się nigdy nadto, jeżeli można być jeszcze bogatszym.

— O ile nie jest się za bogatym, Benie, jak niektórzy z tych miliarderów, którzy mają tyle kłopotów ile milionów i którzy muszą ponosić więcej trudów dla zachowania swego majątku, niż wówczas gdy się go dorabiali.

— Co też mówisz! — rzekł Raddle. — Filozofia jest rzeczą piękną, nie należy wszakże jej nadużywać. Zresztą nie przypisuj mi tego, czego nie powiedziałem. Nie spodziewam się wcale wielkich ilości złota na działce wuja Josiasa, chcę tylko dokładnych wiadomości, nic więcej.

— Oczywiście, kochany Benie, dowiemy się wszystkiego, oby tylko uzyskane wiadomości nie dowiodły ciężkiego położenia, któremu podołać będziemy musieli ze względu na honor rodziny... W tym zresztą upewniłem notariusza.

— Dobrze zrobiłeś, Summy — przerwał Ben Raddle. — Lecz uważam za zbyt czyste rozważać okoliczności, które prawdopodobnie się nie spełnią. Gdyby istnieli dłużnicy, możesz być spokojny, że zgłosiliby się od razu. Mówmy raczej o Klondike. Nie przypuszczasz chyba, abym dopiero teraz dowiedział się o tych kopalniach. Pomimo to, że uwagę na nie zwrócono dopiero od dwu lat, przeczytałem wszystko o bogactwach tych terenów i mogę ci opowiedzieć rzeczy, które wyprowadzą cię z tej niewzruszonej obojętności. Można było przypuszczać, że po Australii, Kalifornii i Afryce południowej nie znajdzie się już więcej kopalń złota na kuli ziemskiej. Tymczasem w tej części Ameryki Północnej, gdzie Dominium graniczy z Alaską, przypadkowo odkryto nowe kopalnie. Co więcej, wydaje się, że te północne krainy są szczególnie uprzywilejowane pod tym względem. Złoty kruszec znajduje się nie tylko w Klondike, lecz także w Ontario, w Michipico — ten i w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie powstały potężne towarzystwa, jak War Eagle, Standart, Sullivan Group, Alhabarca, Ferm, Syndicate, Sans Poel, Cariboo, Deer Trail, Georgie Reed i wiele innych, których akcje idą ustawicznie w górę, nie mówiąc już o kopalniach srebra, miedzi, manganu, żelaza, węgla. Wracając do Klondike, należy wziąć pod uwagę obszar złotonośny mający dwieście pięćdziesiąt mil długości a czterdzieści szerokości i to licząc tylko pokłady, znajdujące się na terytorium Dominium, a pomijając te, które znajdują się w Alasce. Pomyśl, Summy, jakie to rozległe pole do działalności ludzkiej, może najrozleglejsze na całej powierzchni ziemi! Kto wie, czy skarby tych krain nie zostaną z czasem ocenione nie na miliony, lecz na miliardy...

Ben Raddle mógłby długo mówić na ten temat, lecz Summy Skim go nie słuchał. Wzruszył tylko ramionami i powiedział:

— Ben, to oczywiste, masz gorączkę...

— Jak to?... Gorączkę?

— Tak, gorączkę złota, jak tylu innych, a tej gorączki chininą wyleczyć nie można, gdyż niestety jest ona stała.

— Uspokój się, kochany Summy — odparł Ben Raddle śmiejąc się — moje tętno jest normalne. Zresztą, obawiałbym się narazić na szwank twoje wspaniałe zdrowie, przebywając z tobą w stanie gorączkowym:

— O, ja jestem odporny — odrzekł Summy Skim w tym samym tonie — lecz przykro mi, wyznaję,

że gubisz się w jałowych marzeniach, które mogą zaprowadzić cię zbyt daleko...

— Skąd taki wniosek? — przerwał mu Ben Raddle. Chodzi mi tylko o zbadanie sprawy i wyciągnięcie z niej jakiegokolwiek korzyści, o ile to możliwe. Przypuszczasz, że wuj nie był szczęśliwy w swych interesach. Być może, że ta działka przy Forty Miles Creek przyniosła mu więcej błota niż złota. Ale może nie miał wystarczających środków do jej eksploatacji. Może zabrał się do pracy bez żadnej metody, jak to uczyniłby...

— Inżynier, nieprawdaż, Benie?

— Oczywiście, inżynier...

— Ty... na przykład?

— Dlaczego nie? — odparł Ben Raddle. — W każdym razie nie o to chodzi w tej chwili. Musimy najpierw dowiedzieć się jak naprawdę rzeczy się mają. Dopiero po sprawdzeniu wartości działki możemy pomyśleć, co nam wypada uczynić.

Na tym rozmowa się urwała. Zresztą trudno było nie przyznać słuszności Benowi. Musiał on zasięgnąć informacji przed powzięciem decyzji. Nie ulegało wątpliwości, że inżynier jest człowiekiem poważnym, inteligentnym i praktycznym. Summy jednakże nie mógł pohamować swego niepokoju, widząc z jaką poządlwością jego kuzyn zajął się sprawą tak niespodziewanie dogadzającą jego ambicji. Czy zdoła go powstrzymać? Wiedział tylko jedno, że nie opuści go nigdy. Cokolwiek się stanie, losy ich pozostaną związane. Nie przeszkadzało to jednak Summy Skimowi przeklinać wuja Josiasa za niefortunny pomysł szukania szczęścia w Klondike, gdzie umarł w biedzie i życzyć sobie, aby cała sprawa okazała się niewarta zachodu.

Po południu Ben Raddle udał się do kancelarii notariusza. Papiery, dotyczące spadku, znalazł w pełnym porządku, a dokładna mapa dostarczyła mu ścisłych danych o położeniu działki 129. Była ona oddalona o czterdzieści dwa kilometry od Fort Cudahy, miasteczka założonego przez Kompanię Hudsonską na prawym brzegu rzeki Forty Miles Creek, jednego z licznych dopływów Jukonu, tej wielkiej rzeki przepływającej przez zachodnią część Kanady, następnie zaś przez całą Alaskę. Górny bieg tej rzeki należy do Anglii, dolny zaś do Ameryki, odkąd Rosja odstąpiła Stanom Zjednoczonym tę rozległą krainę.

— Czy nie zauważył pan, panie Snubbin — rzekł Ben Raddle po przestudiowaniu mapy — pewnego bardzo ciekawego szczegółu, a mianowicie, że Forty Miles Creek przed połączeniem się z Jukonem przecina 141 południk, stanowiący linię demarkacyjną między Kanadą a Alaską i że ten południk jest równocześnie granicą zachodnią naszej działki, która w ten sposób znajduje się na granicy tych dwu krajów.

— Istotnie — przyznał notariusz.

— Doprawdy — ciągnął dalej Ben Raddle wodząc wzrokiem po mapie — położenie to wydaje mi się na ogół niezłe. Nie widzę, dlaczego Forty Miles Creek miałaby być upośledzona w stosunku do rzeki Klondike lub jej dopływu Bonanzy, lub dopływów tej ostatniej Victorii i Eldorada, czy też

innych tak wydajnych potoków!

Ben Raddle pochłaniał wprost wzrokiem tę cudowną krainę, której sieć wodna zawiera taką obfitość szlachetnego metalu, ocenianego w Dawson na dwa miliony trzysta czterdzieści dwa tysiące franków za tonę!

— Wybacz pan, panie Raddle — rzekł notariusz — że ośmielę się spytać, czy ma pan zamiar osobiście zająć się eksploatacją działki zmarłego Josiasa Lacoste'a?

Ben Raddle uczynił wymijający gest.

— Pan Skim bowiem... — wtrącił notariusz.

— Summy nie mógł nic powiedzieć na ten temat — oświadczył Ben Raddle — i ja sam nie wypowiem się prędzej, aż zbiorę wszystkie niezbędne wiadomości... A jeżeli zajdzie taka potrzeba, to aż przekonam się sam...

— Czyżby miał pan zamiar przedsięwziąć długą podróż do Klondike? — spytał notariusz, potrząsając głową.

— Dlaczego nie? Jakiegokolwiek byłoby zdanie mojego kuzyna w tym względzie, jestem przekonany, że sprawa warta jest zachodu... Dostawszy się do Dawson, wiedzielibyśmy, czego się trzymać... Przyzna pan, panie Snubbin, że chcąc sprzedać działkę lub ocenić jej wartość, najlepiej byłoby obejrzeć ją osobiście.

— Czy jest to aż tak niezbędne? — zauważył notariusz.

— Choćby dla znalezienia nabywcy.

Notariusz miał właśnie odpowiedzieć, gdy w drzwiach ukazał się urzędnik z depeszą w ręku.

— Jeżeli o to tylko chodzi — rzekł notariusz po przeczytaniu depechy — oto co może zaoszczędzić panu trudów podróży.

Przy tych słowach pan Snubbin podał Benowi telegram wysłany tydzień wcześniej z Dawson, przez Vancouver do Montrealu.

Telegram ten głosił, że amerykański syndykat Anglo-American Transportation and Trading Company, posiadający już osiem działek znajdujących się pod zarządem kapitana Healeya, ofiaruje za nabycie działki 129 nad Forty Miles Creek, pięć tysięcy dolarów, które wyśle do Montrealu niezwłocznie po otrzymaniu pomyślnej odpowiedzi.

Ben Raddle, wzięwszy depezę, zaczął ją czytać z tym samym skupieniem, z jakim przeglądał dowody własności.

— Cóż pan na to, panie Raddle? — spytał notariusz. ‘

— Nic — odparł inżynier. — Czy zaofiarowana suma wydaje się panu wystarczająca? Pięć tysięcy dolarów za działkę w Klondike!

— Pięć tysięcy dolarów to propozycja nie do odrzucenia.

— Tym bardziej dziesięć, panie Snubbin.

— Oczywiście. Przypuszczam jednak, że pan Skim...

— Summy jest zawsze tego samego zdania co ja, jeżeli je poprę słusznym dowodem. Skoro go przekonam, że musimy odbyć tę podróż, odbędzie ją bez wątpienia.

— On? — zawołał Snubbin. — Ten człowiek tak szczęśliwy, tak niezależny, że drugiego podobnego nie spotkałem w ciągu swej pracy!

— Tak, ten szczęśliwy, ten niezależny człowiek, jeżeli mu wykażę, że może podwoić swe szczęście i swą niezależność. Zresztą cóż ryzykujemy, skoro będziemy zawsze mogli przyjąć sumę ofiarowaną nam przez ów syndykat?

Ben Raddle, opuściwszy notariusza, udał się najkrótszą drogą do domu, rozmyślając co powinien uczynić. Gdy zatrzymał się przed swym domem przy ulicy Jacques–Cartier, był już zdecydowany. Toteż niebawem wszedł do pokoju kuzyna.

— A więc widziałeś się z panem Snubbinem? Może jest co nowego? — zapytał Summy Skim.

— Tak, Summy, są wiadomości.

— Dobre?

— Doskonale.

— Widziałeś papiery?

— Oczywiście, są w porządku. Jesteśmy właścicielami działki 129.

— Jakże to powiększy nasz majątek! — zauważył śmiejąc się Summy Skim.

— Może bardziej niż ci się wydaje — oświadczył poważnie inżynier, podając depeszę.

— Ależ to doskonała propozycja! — zawołał Summy Skim. — Nie mamy się co wahać. Sprzedajmy temu uprzejmemu towarzystwu swoją działkę i to jak najszybciej!

— Dlaczego mamy ją odstąpić za pięć tysięcy dolarów, skoro może być warta więcej? — zaoponował Ben Raddle.

— Ależ, kochany Benie...

— Twój kochany Ben odpowie ci na to, że interesów nie robi się w ten sposób. Chcąc działać roztropnie, należy widzieć i przekonać się naocznie.

— Obstajesz więc przy swoim...

— Bardziej niż kiedykolwiek. Zastanów się, Summy. Skoro proponują nam sprzedaż działki, to znaczy, że jej wartość jest znana i że wartość ta jest znacznie wyższa. Wszak nie brak innych działek na sprzedaż wzdłuż potoków górskich w Klondike.

— Skąd wiesz o tym?

— I — ciągnął dalej Ben Raddle, nie zważając na słowa kuzyna — jeżeli towarzystwo posiadające już kilka działek chce nabyć naszą, to musi mieć nie pięć tysięcy powodów, aby nam proponować pięć tysięcy dolarów, lecz dziesięć tysięcy, sto tysięcy...

— Milion, dziesięć milionów, sto miliardów — dodał Summy drwiąco. — Doprawdy, Benie, nadużywasz liczb.

— Liczby to życie, mój kochany, uważam, że za mało się nimi zajmujesz...

— Może dlatego, że ty się nimi zajmujesz za bardzo.

— Zastanów się, kochany Summy, mówię bardzo poważnie. Wahałem się z wyjazdem. Po otrzymaniu jednak tej depechy zdecydowałem się odpowiedzieć na nią osobiście.

— Co?!... Chcesz jechać do Klondike?

— Tak.

— Nie czekając na dalsze wiadomości?

— Dowiem się wszystkiego na miejscu.

— I zostawisz mnie znów samego?

— Nie, ponieważ będziesz mi towarzyszył.

— Ja?...

— Ty.

— Nigdy!

— Tak, gdyż sprawa ta obchodzi nas obu.

— Odstąpię ci swe prawa.

— Nie przyjmę ich, chodzi mi bowiem o twoją osobę.

— Podróż na odległość tysiąca pięciuset mil!...

— Wcale nie! Tysiąc osiemset zaledwie.

— Boże!... I trwać będzie...

— Tyle ile ma trwać. Być może, istotnie, zdarzy się tak, że zamiast sprzedać działkę, będziemy ją eksploatowali sami.

— Jak to, eksploatowali?! — zawołał zrozpaczony Summy Skim. — A więc cały rok...

— Nawet dwa w razie potrzeby.

— Dwa lata!... Dwa lata!... — powtarzał Summy Skim.

— Cóż to znaczy — zawołał Ben Radlę — jeżeli każdy miesiąc, każdy dzień, każda godzina powiększać będą nasz majątek!

— Nie, nie! — zawołał Summy Skim, zagłębiając się coraz bardziej w swym fotelu, jak gdyby trwał w postanowieniu nie opuszczenia go nigdy.

Miał jednak do czynienia z potężnym przeciwnikiem. Ben Raddle nie miał zamiaru ustępować, nie będąc pewnym zwycięstwa.

— Ja zaś, Summy — powiedział — jestem zdecydowany na podróż do Dawson i nie wierzę, abyś ze mną nie pojechał. Zresztą, prowadziłeś dotychczas życie zanadto osiadłe!... Musisz zwiedzić trochę świata...

— O! — rzekł Summy — gdybym chciał, miałbym inne miejscowości do zwiedzania w Ameryce czy w Europie. Oczywiście nie zapuszczałbym się w głąb tego wstrętnego Klondike.

— Który wyda ci się uroczy, skoro sam stwierdzisz, że jest usiany złotem.

— Ben, mój drogi Benie — błagał Summy. Skim — przerażasz mnie! Tak, przerażasz mnie!... Chcesz wdać się w interes, który przyniesie ci same smutki i rozczarowania.

— Zobaczymy wkrótce!

— Poczynając od tej przeklętej działki, która nie jest warta grządki kapusty!...

— Więc dlaczego ów syndykat ofiaruje za nią kilka tysięcy dolarów?...

— A jak pomyślę, Ben, że ta śmieszna działka znajduje się w kraju, w którym temperatura spada do 50 stopni poniżej zera!

— Rozpalimy ogień, aby się ogrzać...

Ben Raddle miał odpowiedź na wszystko. Rozpacz kuzyna nie wzruszała go wcale.

— A co będzie z Green Valley, Ben? — westchnął Summy.

— Jeżeli o to ci chodzi — odparł Ben Raddle — to na równinach Klondike nie brak zwierzyny, ani też ryb w jego potokach. Będiesz mógł polować, łowić ryby... Ta kraina dostarczy ci niejednej niespodzianki.

— Ależ nasi ludzie, ci zacni wieśniacy oczekują nas w Green Valley — skarżył się Summy.

— Nie zaciąży im nasza nieobecność, jeżeli powrócimy na tyle bogaci, abyśmy mogli im zbudować nowe domy i zakupić cały powiat.

Ostatecznie Summy Skim musiał przyznać, że został zwyciężony. Nie, nie pozwoli, aby kuzyn pojechał sam do Klondike... Musi mu towarzyszyć, choćby dlatego, aby go przynaglać do jak najszybszego powrotu...

Tak więc tego samego dnia wysłana została depesza, oznajmiająca kapitanowi Healeyowi, dyrektorowi Anglo-American Transportation and Trading Company, Dawson, Klondike, o rychłym przyjeździe panów Bena Raddle'a i Summy Skima, właścicieli działki 129.

III

W drodze

Turyści, przemysłowcy, imigranci i poszukiwacze złota udający się do Klondike, mogą bez przesiadania dostać się koleją żelazną Canadian Pacific Railway z Montrealu do Vancouver. Tu mają do wyboru rozmaite środki lokomocji, jak statki, konie czy pojazdy, większą jednak część dalszej drogi odbyć muszą pieszo.

Summy Skima nie obchodziły kłopoty podróży. Wszelkie przygotowania do niej i wybór dróg pozostawił kuzynowi, który jako kierownik całego przedsięwzięcia, ambitny lecz rozumny, wziął na siebie całą odpowiedzialność.

Przed wszystkim Ben Raddle zauważył bardzo słusznie, że wyjazdu odkładać nie można. Spadkobiercy Josiasa Lacoste'a muszą się pojawić w Klondike z nadejściem lata, trwającego bardzo krótko w tej polarnej krainie, położonej na granicy północnego koła podbiegunowego.

Potwierdzenie swych słów znalazł w kanadyjskim prawodawstwie kopalnianym, obowiązującym w obwodzie Yukon, a mianowicie w artykule 9, brzmiącym jak następuje:

„Każda działka będzie uważana ponownie za własność państwa, jeżeli nie będzie eksploatowana przez piętnaście dni w trakcie okresu nadającego się do eksploatacji (określonego przez komisarza). Nie dotyczy to tylko działek mających specjalne zezwolenie komisarza.”

Początek tego okresu wypada w drugiej połowie maja, tak więc działka 129 nie eksploatowana dłużej niż przez piętnaście dni przeszłaby w ręce państwa, gdyż prawdopodobnie syndykat amerykański nie omieszkałby zwrócić uwagi władz na tę okoliczność.

— Rozumiesz, Summy — oświadczył Ben Raddle — że nie powinniśmy dać się wyprzedzić.

— Rozumiem wszystko, co chcesz, abym zrozumiał, mój drogi przyjacielu — odrzekł Summy Skim.

— Tym bardziej że mam rację — dodał inżynier.

— Nie wątpię w to. Zresztą nie mam nic przeciwko temu, abyśmy opuścili Montreal natychmiast, jeżeli to przyspieszy nasz powrót.

— Będziemy w Klondike tylko tyle czasu, ile potrzeba.

— To dobrze, a kiedy wyjeżdżamy?

— 2 kwietnia, czyli za dziesięć dni.

Summy Skim wysłuchiwał tego wyroku z głową spuszczoną, skrzyżowanymi rękoma. Byłby chętnie

zawołał: „Co?... Tak prędko?!...”. Ale milczał, bo jego skarga pozostałaby bez skutku.

Zresztą Ben Raddle postąpił roztropnie, wyznaczając 2 kwietnia, jako ostateczny dzień wyjazdu.

— Do Klondike — rzekł, spoglądając na wytyczoną marszrutę — nie mamy wyboru dróg, ponieważ prowadzi tam tylko jedna dogodna. Być może kiedyś można będzie udać się do Yukonu przez Edmonton, Fort Saint John i wzdłuż rzeki Peace, płynącej na północnym wschodzie Kolumbii, w obwodzie Cassiar...

— O ile wiem, okolica ta obfituje w zwierzynę — przerwał mu Summy Skim, myśląc o swym ulubionym polowaniu. — Istotnie, dlaczego nie mielibyśmy udać się tą drogą?

— Musielibyśmy bowiem z Edmontonu iść tysiąc czterysta kilometrów lądem poprzez prawie zupełnie niezbadane okolice.

— A zatem jaką obieramy drogę?

— Oczywiście na Vancouver. Wyliczę ci dokładnie długość drogi: od Montrealu do Vancouver jest cztery tysiące sześćset siedemdziesiąt pięć kilometrów, od Vancouver zaś do Dawson — dwa tysiące czterysta osiemdziesiąt dziewięć.

— Czyli — rzekł Summy rachując — siedem tysięcy sto sześćdziesiąt cztery kilometry.

— Właśnie tyle, Summy.

— A jeżeli przywieziemy tyle kilogramów złota, ile przebędziemy kilometrów?

— Wyniesie to razem, licząc według obecnej wartości — po dwa tysiące trzysta czterdzieści franków za kilogram, szesnaście milionów siedemset sześćdziesiąt trzy tysiące siedemset sześćdziesiąt franków.

— Gdybyśmy mogli — mruknął Summy — przywieźć chociaż te siedemset sześćdziesiąt franków...

— Co mówisz, Summy?

— Nic, przyjacielu, zgoła nic.

— Suma ta nie zdziwiłaby mnie bynajmniej — ciągnął dalej Ben Raddle. — Wszak geograf John Minn dowodzi, że Alaska wyprodukuje więcej złota niż Kalifornia, która dostarczyła w 1861 roku złota wartości czterystu pięciu milionów franków. Dlaczego Klondike nie miałby dorzucić swej hojnej części do złota wartości dwudziestu pięciu miliardów franków, znalezionego już na naszym globie?

— Wydaje mi się to zupełnie prawdopodobne — poświadczył Summy przezornie. — Ale, Ben, trzeba pomyśleć o przygotowaniu się do podróży. Nie możemy wybrać się do tego nieprawdopodobnego kraju z jedną koszulą na zmianę i dwiema parami skarpetek.

— Nie myśl o niczym, Summy, to już do mnie należy. Jedyńm twoim wysiłkiem będzie wsiąść do pociągu w Montrealu a wysiąść w Vancouver. Co do przygotowań, to nie będą one wielkie, jak emigranta wybierającego się na chybił trafił i zmuszonego do zaopatrzenia się w znaczny rynsztunek. My znajdziemy wszystko na działce Josiasa Lacoste'a. Powinniśmy myśleć tylko o naszej podróży...

— A myślisz, że to mało! — zawołał Summy Skim. — Czy my nie jesteśmy warci tego, aby się sobą zająć, przede wszystkim z myślą o zabezpieczeniu się przed zimmem... Brrrr... Już marznę do szpiku kości.

— Cóż znowu, Summy, gdy przyjedziemy do Dawson, lato będzie w pełni...

— Ale potem nadejdzie zima.

— Bądź spokojny — rzekł Ben Raddle. — Nawet w zimie nie będzie ci brakowało niczego. Będiesz miał się w co odziać i czym pożywić. Wrócisz tęższy niż obecnie.

— O! Co to, to nie, nie żądam aż tyle — zaprzeczył zrezygnowany Summy. — Uprzedzam cię, jeżeli ma mi przybyć choćby tylko dziesięć funtów wagi, to zostaję!

— Żartuj sobie, ile chcesz, Summy... tylko mi zaufaj.

— Tak... zaufanie jest konieczne. A zatem 2 kwietnia wyruszamy w drogę jako poszukiwacze złota...

— Tak. Będę miał dość czasu na przygotowanie się do tej podróży.

— A ja, korzystając z pozostałych dni, pojedę na wieś.

— Jak chcesz — zgodził się Ben Raddle — nie przypuszczam jednak, żeby pogoda sprzyjała w Green Valley.

Summy Skim mógł odpowiedzieć, że w każdym razie nie będzie tam gorzej niż w Klondike, wolał jednak pominąć to milczeniem, oświadczając, że rad będzie spędzić kilka dni wśród swoich farmerów, zobaczyć pola, choć pokryte śniegiem, lasy obciążone szronem, potoki opancerzone lodem i krę na Rzece Świętego Wawrzyńca. A do tego chłody nastroczały myśliwemu sposobność upolowania pięknej sztuki, czy to pokrytej sierścią czy też piórem, nie mówiąc już o dzikich zwierzętach, jak niedźwiedzie, pumy i inne. Summy chciał się pożegnać z wszystkimi mieszkańcami swej posiadłości...

— Powinieneś pojechać ze mną, Ben.

— Jak to? — odrzekł inżynier. — A kto zajmie się przygotowaniem do wyjazdu?

Nazajutrz Summy Skim przybył pociągiem na stację Green Valley, gdzie czekał na niego pojazd z pięknym zaprzęgiem. Po południu był już w swej farmie, wzruszony jak zwykle serdecznym przywitaniem służby. Zacni ci ludzie, dowiedziawszy się o przyczynie wczesnych odwiedzin i o tym, że całe lato będą bez swego pana, nie ukrywali wcale swego zmartwienia.

— Tak, moi przyjaciele — rzekł Summy Skim — Ben Raddle i ja wyruszamy do Klondike, do diabelskiej krainy, dalekiej tak, że potrzeba dwu miesięcy, aby się do niej dostać i tyleż, aby powrócić.

— I to dla zebrania kilku kawałków złota! — rzekł jeden z farmerów wzruszając ramionami.

— O ile się je nazbiera — dodał jeden z obecnych, potrząsając niedowierzająco głową.

— Cóż na to poradzić, moi przyjaciele, jest to gorączka, a raczej epidemia, nawiedzająca od czasu do czasu świat i pociągająca za sobą liczne ofiary!

— Ale dlaczego pan tam jedzie? — spytała najstarsza z obecnych kobiet. Summy Skim opowiedział im wszystko o działce odziedziczonej po śmierci wuja Josiasa Lacoste'a i o tym dlaczego Ben Raddle uważa za konieczny ich wyjazd do Klondike.

— Tak — rzekł jeden ze starszych mężczyzn — słyszeliśmy, co się dzieje na granicy Kanady, a szczególnie o nieszczęściach tylu biednych ludzi, którzy padają ofiarą swego trudu! Ale pan nie zostanie w tym kraju, pan wróci zaraz po sprzedaniu tego błota...

— Oczywiście, drodzy przyjaciele! Tymczasem jednak minie pięć do sześciu miesięcy, skończy się ciepła pora, stracę jedno lato!

— A lato stracone, to zima smutniejsza! — odezwała się staruszka, żegnając się i mówiąc:

— Niech Bóg pana strzeże, panie!

Po spędzeniu tygodnia w Green Valley Summy Skim pomyślał o powrocie do Montrealu.

Pożegnanie z tak mu oddanymi przyjaciółmi było wzruszające. Opuszczając swą siedzibę myślał z żalem, że za kilka tygodni kwietniowe słońce zajaśnieje na horyzoncie Green Valley, że śnieg zniknie, a ukaże się pierwsza zieleń wiosny, że gdyby nie ta nieszczęsna podróż, powróciłby jak co roku do swego domu, w którym pozostawał do zimy. Podczas swego tygodniowego pobytu łudził się jeszcze nadzieją, że otrzyma list od Bena Raddle'a odwołujący wyjazd. Ale list nie nadszedł. Nic się nie zmieniło... Wyjadą w terminie oznaczonym. Tak więc Summy Skim musiał opuścić Green Valley i 31 marca rankiem był już w Montrealu przed obliczem swego nieubłaganego kuzyna.

— Czy nie ma nic nowego? — spytał, stając przed nim, jak wielki znak zapytania.

— Nic, Summy, prócz tego że wszystko jest gotowe do wyjazdu.

— Zaopatrzyłeś się przeto...

— We wszystko oprócz żywności, którą znajdziemy w drodze — dokończył Ben Raddle. — Właściwie zająłem się tylko odzieżą. Broń mamy; każdy zabierze swoją strzelbę, używaną zwykle i pełny rynsztunek myśliwego. Odzieży zaś tam nie znajdziemy, zabieram więc: flanelowe koszule, wełniane kamizelki i kalesony, grube trykotowe koszule, aksamitne kostiumy, spodnie z grubego sukna, spodnie płócienne, kostiumy z granatowego płótna, kurtki skórzane podszyte futrem z

kapturami, nieprzemakalne marynarskie ubrania i podobne czapki, gumowe płaszcze, sześć par skarpetek z dokładną miarą i sześć o numer większych, futrzane mitynki i rękawiczki skórzane, buty myśliwskie z gwoździami, buty z cholewami, drewniane rakiety do chodzenia po śniegu, chustki, ręczniki...

— Czy myślisz o założeniu sklepu w stolicy Klondike? — zawołał Summy Skim, wznosząc ręce do nieba. — Przecież tego wystarczy na dziesięć lat!

— Nie, tylko na dwa lata!

— Tylko — powtórzył Summy. — To „tylko” jest wprost przerażające. Przecież chodzi jedynie o udanie się do Dawson, po ty, by odstąpić działkę 129 i o powrót do Montrealu, a na to nie potrzeba dwu lat, do diabła!

— Zapewne, o ile zapłacą nam za działkę 129 tyle, ile jest ona warta.

— A jeżeli nie dadzą nam tyle?

— Zobaczymy wtedy, co należy przedsięwziąć.

Summy, widząc że nie otrzyma innej odpowiedzi, nie nalegał więcej.

Drugiego kwietnia obaj krewni wraz ze swymi bagażami stawili się na dworcu. Ilość bagaży nie była wielka, przeto nie utrudniały one podróży. Dopiero po ich uzupełnieniu w Vancouver miały się stać kłopotliwym balastem w drodze.

Gdyby się zwrócili do towarzystwa Canadian Pacific, mogliby dostać bilety na parowiec płynący do Skagway. Ale Ben Raddle nie był jeszcze zdecydowany, jaką drogą wyruszy do Dawson, czy drogą wodną od ujścia Jukonu, czy drogą lądową na północ od Skagway, prowadzącą przez góry, równiny i jeziora Kolumbii Brytyjskiej.

Wreszcie usiedli, jeden zrezygnowany, drugi pełen nadziei, we wspinałym, wygodnym wagonie pulmanowskim. Nic dziwnego, że dbali o wygodę, mając przed sobą cztery tysiące siedemset kilometrów, to jest sześć dni drogi z Montrealu do Vancouver.

Pociąg wyjeżdżający z Montrealu przecina wschodnią i środkową część Kanady, bardziej zaludnioną i urozmaiconą wielkimi jeziorami, dążąc do okolic prawie bezludnych, szczególnie w pobliżu Kolumbii Brytyjskiej.

Pogoda była piękna, powietrze świeże, niebo lekko zamglone. Termometr wskazywał temperaturę wahającą się koło zera. Z obu stron pociągu ciągnęły się białe, śnieżne równiny, które za kilka tygodni miały się pokryć zielenią i rwącymi potokami. Liczne gromady ptaków z rozpostartymi skrzydłami szybowwały przed pociągiem, udając się na zachód. Na śniegu widoczne były ślady zwierząt, ciągnące się od lasów okalających horyzont. Niejeden myśliwy z przyjemnością podążyłby za tym tropem ze strzelbą na ramieniu!

Ale nie czas myśleć teraz o polowaniu! Jeżeli w tym pociągu dążącym do Vancouver znajdowali

się myśliwi, to tylko polujący na bryłki złota, psy zaś, które im towarzyszyły, nie były przeznaczone do tropienia kuropatw lub zajęcy, ani też danieli lub niedźwiedzi, lecz do ciągnięcia sanek po lodzie jezior i rzek w części Kolumbii położonej między Skagway a obwodem Klondike.

Wprawdzie gorączka złota była dopiero w zączeniu, lecz wciąż dochodziły coraz to nowe wiadomości o odkryciu licznych pokładów nad Eldorado, Bonanza, Bear, Gold Bottom i wszystkimi dopływami rzeki Klondike. Wspominano o działkach, w których wyplukiwano jednorazowo złoto warte tysiąc pięćset franków. Toteż napływ imigrantów zwiększał się ustawicznie. Dążyli oni do Klondike, jak inni dążyli do Australii, Kalifornii i Transwalu, a towarzystwa transportowe z trudem mogły podołać swym obowiązkom. Zresztą pasażerowie ci nie byli przedstawicielami towarzystw lub syndykatów wspomaganych przez wielkie banki amerykańskie czy europejskie, którzy zaopatrzeni w odzież i żywność nie potrzebowali obawiać się o przyszłość. Nie, byli to biedni ludzie zmagający się z trudem istnienia, których nędza gna z kraju, którzy mogą stawiać wszystko na jedną kartę, gdyż nie mają nic do stracenia i którym nadzieja zdobycia majątku odebrała równowagę umysłu.

Tymczasem transkontynentalny pociąg pędził całą siłą pary. Summy Skim i Ben Raddle podczas tej długiej podróży nie mogli uskarżać się na brak komfortu. W dzień mieli do rozporządzenia salon, w nocy — sypialnię, była też palarnia, gdzie mogli palić, ile się podoba, jak w najlepszych kawiarniach Montrealu, jadalnia, w której jakoś potraw i pracy służby nie pozostawiały nic do życzenia, wreszcie łazienka, jeżeli przyszlaby im ochota zażycia kąpieli. Wszystko to jednak nie przeszkadzało Summy Skimowi wzdychać do domu w Green Valley!

Po czterech godzinach pociąg stanął w Ottawie, stolicy Kanady, położonej na wzgórzu, z którego panuje ona nad całą okolicą; mieście wspaniałym, słusznie czy niesłusznie roszczącym sobie prawo do zajmowania środka świata.

Za Ottawą, przy Carlton Junction, można było dojrzeć jej rywalkę, Toronto, dawniejszą stolicę, dziś zdetronizowaną.

Podążając stale na zachód, pociąg dotarł do stacji Sudbury, gdzie linia kolejowa dzieli się na dwie odnogi. Okolicę tę wzbogaciła eksploatacja kopalń niklu. Następnie pociąg odnogą północną okrążył Górne Jezioro i zatrzymał się w Port Arthur, przy Fort William. Po drodze odbywał dość długie postoje na stacjach Heron Bay, Schreiber i innych, otaczających to rozległe jezioro, tak więc nasi podróżnicy mogliby się przekonać o znacznych rozmiarach tych położonych nad jeziorem portów, gdyby tego zapragnęli. Wreszcie poprzez Bonheur, Ignace, Eagle River i bogatą krainę kopalń dostali się do wielkiego miasta Winnipeg.

Gdyby Summy Skim nie był tak zahipnotyzowany celem swej podróży, z pewnością poświęciłby dzień lub dwa, aby zwiedzić to miasto liczące czterdzieści tysięcy mieszkańców, jak również sąsiednie miasta zachodniej Kanady. Niestety, Summy Skim nie interesował się tymi drobiazgami. Toteż pociąg zabrał w dalszą drogę swych wszystkich podróżnych, po większej części podróżujących nie dla przyjemności, a w celu jak najszybszego spełnienia swych złudnych marzeń.

Na próżno Ben Raddle starał się zwrócić uwagę współwłaściciela Green Valley na widoki za oknem pociągu.

— Czy nie podziwiasz, Summy, do jakiej doskonałości doprowadzona jest kultura tej okolicy?

— A... — westchnął Summy Skim.

— Patrz, jakie tu rozległe łąki! Stada bawołów! Jakie polowanie można byłoby tu urządzać!

— Zapewne — przyznał Summy Skim bez najmniejszej nawet uprzejmości. — Wolałbym spędzić tu sześć miesięcy, a nawet sześć lat niż sześć tygodni w Klondike.

— Ba! Jeżeli nie ma bawołów w okolicy Dawson — odparł Ben Raddle śmiejąc się — są tam chociaż łosie.

Pociąg dojechał do Regina City, po czym skierował się do Crow New Pass w Górach Skalistych, a następnie po kilkugodzinnym postoju w Calgary, podążył do granic Kolumbii Brytyjskiej.

Od Calgary tory prowadzą ku Edmonton, gdzie kończy się kolej żelazna, a ściślej odnoga, którą nieraz zdążają imigranci do Klondike. Droga ta, przechodząc przez Peace River i Fort Saint John, a następnie przez Dease, Francis i Pelly River, łączy północno — wschodnią część Kolumbii z Yukonem poprzez obwód Cassiar, tak sławny z miejsc do polowania. Jest to droga myśliwych, którą Summy z pewnością by wybrał, gdyby podróżował dla przyjemności, choć jest to wyprawa żmudna i długa, zmuszająca podróżnika do częstego odnawiania swych zapasów na szlaku liczącym przeszło dwa tysiące kilometrów. Okolica ta obfituje w złoto, które znajduje się prawie we wszystkich płynących tu potokach. Pozbawiona jest natomiast wszelkich udogodnień i dlatego będzie można ją eksploatować wówczas, gdy rząd kanadyjski urządzi tam stacje pocztowe rozmieszczone co piętnaście mil angielskich.

Podczas przejazdu przez Góry Skaliste podróżnicy mogli przyjrzeć się tym dumnym szczytom wiecznie pokrytym śniegiem. Wśród tych pustyń lodowych panuje „milczenie śmierci” przerywane jedynie sapaniem lokomotywy.

W miarę jak pociąg zdązał na zachód, oczom podróżnych ukazywały się ziemie niezbyt żyzne i nie zapewniające dużych dochodów uzyskiwanych pracą rąk ludzkich. Były to ziemie Kootenay, te złota pola Cariboo, gdzie złoto znajduje się w obfitości, gdzie cała sieć wodna unosi z sobą cząstki cennego kruszcu. Dziwnym się wydaje, dlaczego poszukiwacze złota nie odwiedzają z większym zapałem kraju, do którego dostać się łatwiej niż do Klondike, wymagającego tak długiej i uciążliwej podróży, nie mówiąc już o nadzwyczajnych wydatkach, jakie wyprawa ta pociąga.

— Doprawdy — zauważył Summy Skim — wuj Josias powinien był tu szukać szczęścia!... Bylibyśmy już na miejscu... wiedzielibyśmy, ile warta jest nasza działka! Sprzedalibyśmy ją niebawem i nasz wyjazd nie trwałby dłużej niż tydzień.

Summy Skim miał słuszność. Widocznie jednak zapisane zostało w jego księdze przeznaczenia, aby dotarł do tej strasznej krainy Klondike i brnął w błotach Forty Miles Creek.

Pociąg biegł bez przerwy, unosząc Summy Skima coraz dalej od Montrealu i Green Valley do granicy Kolumbii, aż wreszcie 8 kwietnia bez żadnego wypadku stanął w Vancouver, gdzie obaj

kuzyni wysiedli.

IV

Niemile sąsiedztwo

Miasto Vancouver nie znajduje się bynajmniej na wielkiej wyspie o tej samej nazwie. Leży ono na wąskim cyplu, wystającym z wybrzeża kolumbijskiego i ma znaczenie równe stolicy Kolumbii Brytyjskiej. Tą jest Victoria, licząca szesnaście tysięcy mieszkańców, która wznosi się na południowo — wschodnim wybrzeżu wyspy, gdzie znajduje się również New Westminster, liczące dziesięć tysięcy ludności.

Vancouver jest położone na krańcu przystani, wychodzącej na krętą cieśninę Juan de la Fuca, która ciągnie się w kierunku północno — zachodnim. Za przystanią, spośród gęstego listowia jodeł i cedrów, które mogłyby zasłonić wysokie wieże katedry, wystaje szczyt dzwonnicy.

Ponieważ cieśnina okala również wschodnie i północne wybrzeże wyspy, do portu Vancouver mają łatwy dostęp okręty, płynące z wybrzeża kanadyjskiego lub ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Nie wiadomo na ile sprawdzą się nadzieje założycieli Vancouver liczących na rozwój tego miasta. W każdym razie bez żadnej wątpliwości pomieścić by ono mogło stutysięczną ludność, a nawet ta liczba mieszkańców poruszać by się mogła swobodnie wśród jego ulic, przecinających się ściśle pod kątem prostym. Vancouver ma kościoły, banki, hotele, oświetlenie gazowe i elektryczne, mosty rzucone poprzez ujście portowe False Bay i wspaniały park ciągnący się na przestrzeni trzystu osiemdziesięciu hektarów na północno — zachodnim półwyspie.

Summy Skim i Ben Raddle udali się ze stacji do hotelu Westminster, gdzie mieli się zatrzymać aż do wyjazdu do Klondike.

Z trudnością znaleźli tam pokój. Napływ imigrantów był niezwykle duży. W ciągu doby wysiadało z pociągów i statków do tysiąca dwustu podróżnych. Wyobrazić sobie łatwo, jak wielki to stanowiło dochód dla miasta, a szczególnie dla tej klasy ludzi, którzy jako zawód obrali sobie goszczenie przybyszów, narzucając im nieprawdopodobne ceny w zamian za pożywienie jeszcze nieprawdopodobniejsze. Oczywiście przejezdni zatrzymywali się w Vancouver bardzo krótko, spiesząc się gorączkowo do krain złotodajnych, które przyciągały ich, jak magnes przyciąga żelazo. Nie zawsze jednak znajdowali poszukiwane miejsce na parowcach, dążących na północ po postojach w rozmaitych portach Meksyku i Stanów Zjednoczonych.

Do Klondike prowadzą dwie drogi. Jedna, przez Ocean Spokojny, zdąża do Saint Michel na zachodnim wybrzeżu Alaski przy ujściu Jukonu i prowadzi wzdłuż tej rzeki do Dawson. Druga, najpierw wodna od Vancouver do Skagway, biegnie dalej lądem od Skagway do stolicy Klondike.

Gdy dwaj kuzyni znaleźli się w zdobytych wreszcie pokojach, Summy Skim zapytał na samym wstępie, jak długo zabawić mają w Vancouver.

— Kilka dni tylko — odpowiedział Ben Raddle. — Myślę, że „Football” przyplynie w tym czasie.

— Niech będzie „Football” — zgodził się Summy Skim. — Ale co to jest ten „Football”?

— Jest to parowiec, należący do Canadian Pacific; zawiezie nas do Skagway. Dziś jeszcze zamówię dwa miejsca.

— A zatem, Ben, spośród różnych dróg prowadzących do Klondike, wybrałeś tę właśnie?

— Wybór przesądzony był z góry, droga ta bowiem jest najbardziej uczęszczana. Płynąc wzdłuż wybrzeża Kolumbii pod osłoną wysp, dotrzemy do Skagway bez trudu. O tej porze roku na rzece Jukon gromadzi się kra i nierzadko statki giną pod jej naporem lub co najmniej opóźniają przybycie do lipca. „Football” tymczasem w ciągu tygodnia odbędzie drogę do Skagway, a nawet do Dyea. Wprawdzie po dotarciu do tego miasta będziemy mieli do przebycia dość uciążliwe wzniesienia Chilkoot lub White Pass, lecz następnie, w połowie lądem, w połowie jeziorami, dostaniemy się do rzeki Jukon, którą popłyniemy do miasta Dawson. Przypuszczam, że będziemy u celu naszej podróży przed czerwcem, to jest z początkiem lata. Nie pozostaje nam na razie nic więcej, tylko cierpliwie oczekiwać na przybycie statku.

— Skąd przyplynie ten parowiec o sportowej nazwie? — spytał Summy Skim.

— Właśnie ze Skagway, gdyż kursuje stale między Vancouver i tym miastem. Oczekują go najpóźniej czternastego bieżącego miesiąca.

— Dopiero czternastego! — zawołał Summy.

— Widzę — rzekł Ben Raddle śmiejąc się — że ci spieszniej niż mnie!

— Zapewne — przyznał Summy — gdyż aby móc powrócić, należy wpierw zajechać na miejsce.

Pobyty w Vancouver nie przysporzył obu krewnym zajęć. Zaopatrzeni byli we wszystko. Narzędzia zaś potrzebne do eksploatacji czekały już na działce wuja Josiasa. Wszelkich wygód, w które opływali w pociągu Transcontinental Pacific, dostarczyć im miał również „Football”. W Skagway dopiero miały się zacząć kłopoty Bena Raddle’a. Będzie musiał bowiem nabyć łódź składaną do żeglugi po jeziorach oraz psy pociągowe do sanek, jedyne środki lokomocji po zamarzłych równinach północy, o ile nie będzie wolał zdać się na łaskę przewodnika, który zaprowadziłby ich do Dawson. Tak więc czy inaczej droga ta będzie bardzo kosztowna. Ale czyż jeden lub dwa kawałki złota nie wyrównają sownie tych wydatków?

W Vancouver wszakże dwaj kuzyni, pomimo bezczynności, nudzić się nie mogli. Miasto to jest nadzwyczaj ożywione. Ustawiczny napływ podróżnych przybywających pociągami z Kanady i Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o parowcach przywożących tysiące pasażerów, pozwala oglądać wiele niezmiernie ciekawych scen. Całe rzesze ludzi błądzą po ulicach, czekając na odjazd do Skagway, pomimo że większa ich część skazana jest na mieszkanie w zaułkach portu lub pod belkami nabrzeży zalanych światłem elektrycznym.

Policja miała dość zajęcia wśród tego hałaśliwego tłumu przybyszów bez ogniska i dachu nad

głową, zahipnotyzowanych potężną mocą złota czekającego w Klondike. Co krok spotkać było można policjanta ubranego w ciemny mundur barwy uschłego liścia, gotowego do interwencji w ustawicznych kłótniach grożących rozlewem krwi.

Ludzie ci pełnią swe obowiązki, często narażając życie, z całym poświęceniem i odwagą tak potrzebną w tym świecie imigrantów, złożonym ze wszystkich warstw społecznych, przeważnie zaś z warstwy wykolejonych. I podziwiać należy, iż nie przyjdzie im do głowy myśl, że byłoby dla nich daleko korzystniej i bezpieczniej przemywać złoto w błotach Jukonu i że pięciu ich kanadyjskich towarzyszy wkrótce po odkryciu kopalni złota w Klondike, powróciło do domu z dwustu tysiącami dolarów zysku. Hart ich duszy przynosi im zaszczyt, strzeże ich bowiem przed namiętnością, jakiej uległo tylu innych.

Summy Skim z dzienników dowiedział się, że niekiedy w ciągu zimy temperatura w Klondike spada do minus 60 stopni Celsjusza. Z początku nie wierzył temu, aż zobaczył u pewnego optyka w Vancouver termometry ze skalą do 90 stopni Celsjusza poniżej zera. Wtedy starał się pocieszyć, twierdząc, że jest to tylko objawem miłości własnej mieszkańców Klondike, którzy dumni ze swego wyjątkowo surowego klimatu znajdują przyjemność w jego przecenianiu. Swoją drogą zaczął się niepokoić i wreszcie przestąpił próg sklepu, aby przyjrzeć się bliżej tym niepokojącym termometrom.

Ani jeden termometr, z tych które mu pokazał kupiec, nie miał skali Fahrenheita używanej w Zjednoczonym Królestwie; były jedynie termometry ze skalą Celsjusza będącą w użyciu w Kanadzie, jeszcze przesiąkniętej francuskimi wpływami.

Summy Skim musiał przyznać, że te termometry istotnie sporządzone są do mierzenia tak niskich temperatur.

— Czy są dokładne? — spytał Summy Skim, aby powiedzieć cokolwiek.

— Oczywiście — odpowiedział optyk. — Sądzę, że będzie pan zadowolony.

— W każdym razie nie tego dnia, kiedy będą wskazywały minus sześćdziesiąt stopni — oświadczył najpoważniej Summy Skim.

— Najważniejszą rzeczą jest — odparł kupiec — aby wskazywały dokładnie.

— To zależy od punktu widzenia. Ale niech pan mi powie — nalegał Summy Skim — czy nie dla prostej reklamy termometry te znajdują się u pana? Nie przypuszczam, aby w praktyce...

— Co?

— ...słupek alkoholu spadał do kreski oznaczającej minus sześćdziesiąt stopni.

— Bardzo często, proszę pana — odrzekł kupiec żywo — a nawet niżej.

— Niżej!

— Dlaczego nie? — rzekł sklepikarz nie bez widocznej dumy. — A jeżeli pan życzy sobie

termometr z podziałką do minus stu stopni...

— Dziękuję, dziękuję! — pospiesznie powiedział przerażony Summy Skim.

— Sześćdziesiąt stopni wystarczy mi w zupełności!

Do czego zresztą miałby służyć ten nabytek? Gdy oczy pod zaczerwienionymi powiekami wypala ostry wiatr północny, gdy oddech zamienia się — w szron, gdy krew na poły ścięta zatrzymuje się w żyłach, gdy nie można dotknąć metalowego przedmiotu, nie zostawiwszy na nim skóry z palców, gdy się marznie przed najbardziej rozpalonym ogniskiem, jak gdyby ogień stracił swe ciepło, wtedy temu, kogo zimno zabija, naprawdę nie zależy, czy termometr wskazuje minus sześćdziesiąt czy minus sto stopni.

Tymczasem dni upływały i Ben Raddle niecierpliwił się. Co mogło stać się z parowcem? Wiedzano, że opuścił Skagway 7 kwietnia. Rejs nie trwał dłużej niż sześć dni, a zatem statek powinien być w Vancouver 13 kwietnia.

„Football”, przeznaczony do przewozu imigrantów i ich bagażu, nie zabierający wcale towarów, na krótko tylko miał się zatrzymać w porcie. Najwyżej półtorej doby zajmie oczyszczanie kotłów, załadowanie węgla i wody, wreszcie zabranie kilkuset pasażerów, którzy zawczasu zamówili miejsca.

Ci zaś, którzy nie byli na tyle przewidujący, zmuszeni będą czekać na inne statki, przybywające później. Całe rodziny z powodu braku miejsca w hotelach i zajazdach, zmuszone będą nocować pod gołym niebem. To tylko początek niedostatków, które zgotuje im przyszłość!

Większość tych biedaków znajdzie się w nie lepszym położeniu na statkach, wiozących ich z Vancouver do Skagway. Stąd zaś rozpocznie się dla nich nieskończona i straszna podróż, która ma ich doprowadzić do Dawson. „Na statku kajuty dostaną się tylko najbogatszym podróżnym. Przedział między obu pokładami zajmą rodziny, żywiące się przez cały czas rejsu na własny koszt. Reszta, najlichniesza, zgadza się na zamknięcie na dnie statku, na podobieństwo zwierząt lub pakunków. I kto wie, czy wybierając z dwojga złego, nie jest to lepsze od pozostawania na pokładzie, gdzie jest się narażonym na wszystkie zmiany atmosferyczne, takie jak mroźne wichry czy zawieje śnieżne tak częste w tych okolicach bliskich koła podbiegunowego.

W Vancouver znajdowali się nie tylko imigranci przybyli ze wszystkich części Starego i Nowego Świata. Były tam też setki poszukiwaczy złota, którzy zjeżdżali tu na zimę z Dawson.

W zimie bowiem eksploatacja działek jest rzeczą niemożliwą; wszystkie prace muszą być z konieczności zawieszane, gdyż ziemię pokrywa na dziesięć do dwunastu stóp śnieg, który przy czterdziestu do pięćdziesięciu stopniach mrozu, staje się twardy jak granit, opierając się kilofowi i motyce.

Poszukiwacze, którym sprzyja szczęście, wolą spędzać zimowe miesiące w większych miastach Kolumbii Brytyjskiej. Mają złota pod dostatkiem i rozrzucają je z niesłychaną lekkomyślnością w przekonaniu, że szczęście ich nie opuści i że lato przyniesie im znowu obfite żniwo. Ci zdobywają

najlepsze pokoje w hotelach i najlepsze kajuty na statkach.

Summy Skim zauważył wkrótce, że w tej kategorii mieszczą się ludzie najbardziej brutalni i hałaśliwi, dopuszczający się wybryków w domach gry i kasynach, w których dzięki swemu złotu odgrywają pierwszoplanowe role.

Zacnego Summy mało interesowała ta hołota. Przypuszczając, być może mylnie, że nie będzie miał nigdy do czynienia z którymkolwiek z tych awanturników, słuchał z roztargnieniem tego, co o nich mówiono i wkrótce zapomniał o wszystkim. 1 kwietnia w godzinach rannych Ben Raddle i Summy Skim przechadzając się po nabrzeżu, usłyszeli głos syreny parowca.

— Czy to nareszcie „Football”? — zawołał Summy.

— Nie sądzę — odpowiedział Ben Raddle. — Głos ten dochodzi z południa, „Football” zaś przyplynie z północy.

W istocie był to statek płynący w górę cieśniny Juan de la Fuca, nie mógł zatem przybywać ze Skagway.

Nie mając nic lepszego do roboty, Ben Raddle i Summy Skim udali się na kraniec mola wraz z licznie zgromadzoną publicznością, z równą zawsze ciekawością oczekującą przybycia statku. Tym razem wylądować miało kilkuset pasażerów, czekających na pierwszą sposobność wyruszenia w dalszą drogę na jednym ze statków zdążających na północ, a widowisko to nie było pozbawione malowniczości.

Statkiem, który zbliżał się z przeraźliwym świstem, był parowiec „Smyth”, o nośności 2500 ton. Zatrzymywał się w każdym porcie wybrzeża, poczynając od meksykańskiego portu Acapulco. Przydzielony wyłącznie do obsługi wybrzeża, udać się miał znów na południe, pozostawiając w Vancouver swych pasażerów.

Zaledwie „Smyth” dopłynął do pomostu, a już wszyscy jego pasażerowie zgodnym ruchem znaleźli się u wyjścia statku. W jednej chwili tłum zwarł się do tego stopnia, że zdawało się, iż nikt nie ruszy się z miejsca.

Jednakże jeden z pasażerów nie był tego zdania, szamotał się bowiem niebywale, chcąc wylądować jako pierwszy. Oczywiście był to jeden z tych, którzy wiedzieli jak ważną jest rzeczą zapisać się przed innymi w biurze rejestrującym wyjeżdżających na północ. Ten rosły człowiek, brutalny i silny, o brodzie czarnej i gęstej, opalanej cerze południowca, złym spojrzeniu, miał szczególnie antypatyczny wygląd. Towarzyszył mu drugi osobnik, sądząc z wyglądu, tej samej co on narodowości, równie niecierpliwy i nieprzystępny.

Prawdopodobnie pośpiech innych pasażerów nie był mniejszy od pośpiechu tego hałaśliwego i despotycznego osobnika. Ale nieprawdopodobieństwem było wyprzedzić zuchwalca, który nie zwracając uwagi na nawoływania oficerów i kapitana, rozpychał łokciami sąsiadów i wymyślał im ochryplym głosem, potęgującym grubiaństwo obelg, wypowiedzianych na poły po angielsku, na poły po hiszpańsku.

— Na Boga! — zawołał Summy Skim — a to miły towarzysz podróży! Jeżeli również on ma wsiąść na nasz statek...

— Podczas tych kilku dni rejsu — rzekł Ben Raddle — będziemy się od niego trzymali z daleka lub też potrafimy utrzymać go w pożądanej odległości.

W tej chwili jeden z ciekawskich, stojących w pobliżu, zawołał:

— Wszak to ten przeklęty Hunter. Będzie wieczorem huczno w domach gry, jeżeli nie wyjedzie dziś z Vancouver!

— Widzisz, Ben, nie omyliłem się. Znają go tutaj dobrze.

— Tak — potwierdził Ben — znają go dobrze...

— I to nie z najlepszej strony!

— Oczywiście — objaśnił Ben Raddle — jest to jeden z tych awanturników, którzy spędzają w Stanach Zjednoczonych zimowe miesiące, wracają zaś do Klondike, gdy nastaje pora eksploatacji.

Hunter istotnie wracał z Teksasu, swego rodzinnego kraju, aby pierwszym nadarzącym się statkiem udać się z towarzyszem na północ. Obydwaj byli pochodzenia hiszpańsko-amerykańskiego i w tym różnorodnym świecie poszukiwaczy złota znaleźli ujście dla swych dzikich instynktów, wstrętnych obyczajów, brutalnych namiętności, dla życia niepodporządkowanego żadnej zasadzie, gdzie wszystko jest jedynie dziełem przypadku.

Hunter, dowiedziawszy się, że „Football” nie przybył jeszcze i że prawdopodobnie wyruszy dopiero za dwa dni, kazał się zaprowadzić do hotelu Westminster, gdzie przed sześciu dniami zatrzymali się dwaj kuzyni. Summy natknął się na niego w holu hotelowym.

— Trzeba mieć szczęście — mruknął Summy przez zęby.

Na próżno starał się otrząsnąć z nieprzyjemnego wrażenia, jakie wywołało w nim spotkanie z tym nieciekawym osobnikiem. Wmawiał sobie, że Hunter i on, pogrążeni w olbrzymim tłumie imigrantów, mogą się już nie spotkać więcej; coś narzucało go jednak ustawicznie jego myślom. Prawie bezwiednie, jak gdyby prowadziło go jakieś niewyraźne przecucie, trafił dwie godziny później do biura hotelowego, aby dowiedzieć się czegokolwiek o nowym przybyszu.

— Hunter? — odpowiedziano mu. — A któż go nie zna?

— Czy jest on właścicielem działki?

— Tak, działki, którą sam eksploatuje.

— A działka ta znajduje się?...

— W Klondike.

— A dokładnie gdzie?

— Nad Forty Miles Creek.

— Forty Miles Creek — powtórzył zdziwiony Summy. — To doprawdy ciekawe. Szkoda, że nie znam numeru jego działki. Założyłbym się...

— Ależ ten numer znają wszyscy w Vancouver.

— To jest?

— Numer 131.

— A do kroćset! — zawołał oszołomiony Summy. — A nasz — 129. Jesteśmy więc sąsiadami tego rozkosznego dżentelmena. Możemy spodziewać się wielu przyjemności.

Summy Skim nie przypuszczał nawet, jak bliski był prawdy.

Na pokładzie parowca

„Football”, spóźniony o dwie doby, wyruszył 16 kwietnia, unosząc w rejs tysiąc dwustu pasażerów, to jest liczbę odpowiadającą jego pojemności. Jeżeli nie zabrał więcej podróżnych, to tylko na skutek wyraźnego zakazu inspektora żeglugi.

Zresztą i tak zagłębiał się powyżej przekreślonego zera, wymalowanego na pudle statku dla oznaczenia linii, do której powinien się być zanurzać normalnie.

Potrzeba było dwudziestu czterech godzin, aby żurawie nabrzeża przeniosły niezliczone pakunki imigrantów, ciężkie narzędzia kopalniane, całe stada wołów, koni, osłów i reniferów, nie mówiąc już o setkach psów, które ciągnąć miały sanki.

Pasażerowie statku należeli do różnych narodowości. Byli tam Anglicy, Kanadyjczycy, Francuzi, Norwegowie, Szwedzi, Niemcy, Australijczycy, Amerykanie północni i południowi, wraz z rodzinami lub sami.

W kajutach musiano powiększyć liczbę łóżek. Przedział między pokładami wyglądał jak obszerna sypialnia z szeregiem kozłów postawionych w pewnych od siebie odstępach, pomiędzy którymi zawieszane były hamaki. Na pokładzie trudno było się poruszać, gdyż biedni ludzie, nie mogący zapłacić trzydziestu pięciu dolarów za kajutę, skupiali się wzdłuż budek pokrywających koła statku i parapetów. Tam przyrządzali sobie skromne pożywienie i na oczach wszystkich ubierali się i myli.

Benowi udało się zdobyć dwa miejsca w kajucie mieszczącej się na rufie statku. Trzecie miejsce zajął Norweg nazwiskiem, Royen, właściciel działki nad Bonanzą, dopływem Klondike. Był to człowiek łagodny, spokojny, odważny i ostrożny równocześnie, z rasy skandynawskiej, która dochodzi do celu wytrwałością w powolnym wysiłku. Wracał on do Dawson z Chrystianii, rodzinnego miasta, w którym spędził ostatnią zimę. Jako towarzysz podróży był mało udzielający się, słowem mało krępujący.

Na szczęście dwaj kuzynowie nie potrzebowali dzielić kajuty z Teksańczykiem Hunterem. Zresztą nawet gdyby chcieli, nie mogliby tego dokonać. Hunter potęgą swych dolarów zdobył czteroosobową kajutę dla swego towarzysza i siebie. Na próżno pasażerowie prosili ich o odstąpienie dwóch zbywających miejsc. Odpowiedziano im grubiańską odmową.

Hunter i Malone — tak bowiem nazywał się towarzysz Teksańczyka — nie liczyli się z pieniędzmi. Cały dochód, osiągnięty z eksploatacji działki, poświęcali na swe szalone wydatki, rzucając garściami złota podczas gry w bakarata lub pokera. Ulubionym ich miejscem pobytu była sala gry na statku.

„Football” wyruszył z portu w Vancouver o szóstej rano, kierując się na północny kraniec cieśniny Juan de la Fuca. Stąd pod osłoną wysp Reine Charlotte i Prince de Galles wypłynął wkrótce ku

wybrzeżom amerykańskim.

Pasażerowie, zamieszkujący kajuty w rufowej części statku, nie mogli opuścić zarezerwowanego dla nich pomostu w ciągu całej sześciodniowej podróży. Korzystać z pokładu było niepodobieństwem. Wzniesione na nim baraki mieściły woły, konie, osły, renifery i sforę psów, które wyjąć krążyły wśród politowania godnych grup ludzi — mężczyzn jeszcze młodych, lecz napiętnowanych już stygmatem nędzy oraz kobiet wyczerpanych, otoczonych dziećmi o chorobliwym wyglądem. Ludzie ci odbywali tę znużającą podróż nie po to, by prowadzić poszukiwania złota na własną rękę, lecz by ofiarować swe usługi syndykatom i walczyć o lepszy zarobek.

— Wreszcie — rzekł Summy Skim do kuzyna — masz to czego chciałeś. Płyniemy do Eldorado, stanowiąc częstkę tego świata poszukiwaczy złota, który nie wydaje się być wielce zachęcającym.

— Trudno żądać czegoś innego — odrzekł Ben Raddle. — Musimy go brać takim, jakim jest.

— Wolałbym go nie brać wcale — odparł Summy. — Do diabła, Ben, nie mamy nic wspólnego z tymi ludźmi. Że odziedziczyliśmy działkę, dobrze! Że ta działka jest naszpikowana złotem, zgoda! Ale żebyśmy mieli zamienić się w poszukiwaczy złota, to nie jest w porządku!

— Oczywiście — odpowiedział Ben Raddle, wzruszając nieznacznie ramionami, co bynajmniej nie uspokoiło Summy Skima.

Toteż ten nalegał dalej:

— Jedziemy do Klondike, aby sprzedać działkę wuja Josiasa, wszak to już postanowione, nieprawdaż?... Boże! Jak sobie pomyślę, że moglibyśmy mieć te same instynkty, namiętności, obyczaje, co ta ciżba awanturników!...

— Uważaj — rzekł Ben Raddle ironicznie — abyś nie wpadł w ton kaznodziejski!

— Dlaczego nie? Czuję wstręt do tej obmierzłej żądzy złota, do tej strasznej żądzy wzbogacenia się kosztem tylu nieszczęść. Wszystko to jest wielką loterią, w której najwyższą stawką jest największy kawałek złota!... Jak sobie pomyślę, że zamiast płynąć na tym statku do krainy nieprawdopodobieństw, mógłbym być w Montrealu, przygotowując się do wyjazdu na lato do rozkosznego Green Valley!...

— Obiecałeś, Summy, że nie będziesz narzekał.

— Czynię to po raz ostatni. Odtąd będę tylko myślał...

— O przybyciu do Dawson — dokończył Ben Raddle z odcieniem ironii.

— O powrocie stamtąd — sprostował Summy Skim.

Dopóki „Football” żeglował w cieśninie, pasażerowie nie cierpieli na chorobę morską, gdyż kołysanie było nieznaczne. Z chwilą jednak gdy statek znalazł się poza krańcem wyspy Vancouver, kołysanie się wzmogło.

Powietrze było chłodne, wiatr mroźny. Silne fale uderzały o wybrzeże. Deszcz połączony ze śniegiem smagał nielitościwie. Można sobie wyobrazić, i musieli wycierpieć pasażerowie z pokładu, po większej części dotknięci chorobą morską. Zwierzęta cierpiały również. Świstowi wiatru towarzyszyły wołów i osłów, rzenie koni. Wzdłuż kajut biegały i tarzały się psy, których zamknąć lub przywiązać nie było w ludzkiej mocy. Niektóre z nich rzucały się na ludzi, chciały kasać tak, że starszy marynarz musiał kilka z nich zastrzelić.

Tymczasem Hunter i Malone spędzali czas przy zielonym stoliku, w towarzystwie kompanii graczy, którą zdołali zebrać zaraz na samym początku podróży. Zachowywali się z dziką bezwzględnością, krzycząc i przeklinając na cały głos.

Ben Raddle i Summy Skim nie zważali na złą pogodę. Cały dzień pozostawali na pomoście, wracając do kajuty dopiero wieczorem. Będąc z natury spostrzegawczymi, lubili przypatrywać się ciekawemu widowisku, którego dostarczał różnorodny tłum hałasujący na pokładzie jak również na pomoście, utworzony przez typy może mniej malownicze, lecz po większej części złożony z inteligentniejszej grupy awanturników. Od pierwszej chwili pobytu na statku zauważyli też dwu pasażerów, a dokładniej mówiąc dwie pasażerki, odcinające się jaskrawo od otaczającego je opłakanego tł. Były to dwie dwudziesto- lub dwudziestodwuletnie kobiety, a raczej dwie młode panny, wyglądające na siostry, jedna brunetka, druga blondynka, obydwie bardzo ładne.

Nie rozłączały się nigdy. Blondynka towarzyszyła niezmiennie brunetce, która zdawała się przewodzić. Obydwie przechadzały się od rana po pomoście, następnie schodziły na pokład, przeciskały się przez tłum, zatrzymując się przy matkach obarczonych dziećmi i starając się im pomóc z całą delikatnością, na jaką kobieta tylko potrafi się zdobyć.

Nieraz Ben i Summy przypatrywali się z wysokości pomostu tym wdzięcznym dziewczynom, które wzbudzały w nich coraz większe zainteresowanie. Zachowanie ich, pełne godności i dystynkcji, budziło powszechny szacunek i dotąd nie znalazł się wśród tej nieokrzesanej ciżby nikt, kto by im ubliżył w czymkolwiek.

Obecność na statku tych dwu młodych i pięknych panien zastanawiała obu kuzynów. Wytłumaczyć jej nie mogli, więc do budzącej się sympatii dla nich doszła zwiększająca się z każdym dniem ciekawość.

A przy tym musieli zauważyć, że mają one licznych wielbicieli, szczególnie zaś dwóch, którymi byli: Teksańczyk Hunter i jego towarzysz Malone. Ile razy opuszczali oni salę gry, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza na pomoście, udowadniali swoje zainteresowanie nieprzystojnym zachowaniem, mającym na celu zwrócenie uwagi obu sióstr. Nie poskutkowała jednak ani obrażająca wymiana spojrzeń, ani grubiańskie zdania wygłaszane niemal pełnym głosem, siostry bowiem jakby nie spostrzegały ich obecności.

Ben Raddle i Summy Skim, patrząc na ich postępowanie, pragnęli nieraz temu zapobiec. Ale jakim prawem? Prawdę mówiąc ani Hunter, ani Malone nie przekraczali granic przyjętych w tym środowisku i ich narzucające się zachowanie nie raziło nikogo.

Dwaj kuzyni musieli zatem poprzestać na pilnowaniu z daleka przyszłych sąsiadów z Forty Miles

Creek, pragnąc coraz usilniej, aby przypadek dopomógł do zawarcia znajomości z młodymi towarzyszkami podróży.

Sposobność ta nadarzyła się dopiero czwartego dnia ich pobytu na statku. „Football” płynął wtedy pod osłoną wyspy Reine Charlotte, a więc spokojnie i równo. Na wybrzeżu ciągnęły się fiordy, żywo przypominające fiordy norweskie. Otoczone były wysokimi urwistymi skałami, po większej części pokrytymi lasami, wśród których widniały jeżeli nie wsie, to wioski rybaków lub gdzieś tam samotne domki, zamieszkałe przez Indian, którzy zajmują się rybołówstwem i polowaniem, sprzedając swą zdobycz przejeżdżającym statkom.

Dopiero za tymi skałami, w dość znacznej odległości, wznosiły się góry z zarysowującymi się we mgle śnieżnymi szczytami, natomiast od strony wyspy Reine Charlotte ciągnęły się długie równiny i gęste lasy bielejące od szronu. Gdzieś tam widniały grupy domków rybackich rozrzuconych na brzegach przystani, w której stały barki oczekującego pomyślnego wiatru. W chwili, gdy „Football” osiągnął kraniec wyspy Reine Charlotte, dwaj kuzyni zawarli znajomość z młodymi towarzyszkami podróży. Stało się to w sposób nadzwyczaj prosty, podczas zbiórki pieniędzy prowadzonej przez młode podróżniczki dla biednej matki, która powiła na pokładzie dziecko, zresztą silne i zdrowe.

Brunetka, przebywająca jak zwykle w towarzystwie siostry, zbliżyła się do obu kuzynów tak samo jak do innych pasażerów. Po ofiarowaniu datku Ben Raddle wdał się śmiało w rozmowę, z której dowiedział się niebawem, że podróżniczki nie są siostrami, lecz kuzynkami, że są w tym samym wieku z różnicą kilku dni i że ich nazwisko brzmi Edgerton, imię jednej Edith, drugiej zaś — Jane.

Jane powiedziała mu to bez żadnego zakłopotania i najmniejszego wahania w krótkich, prostych słowach, po czym oddaliła się wraz z nierozłączną kuzynką, która nie przemówiła ani słowa.

Ciekawość obu kuzynów nie była bynajmniej zaspokojona. Przeciwnie, pole do domysłów zwiększyło się. Nazwisko Edgerton nosili dwaj bracia cieszący się w swoim czasie rozgłosem w całej Ameryce. Prowadzili oni znaczne interesy, a ich majątek, zdobyty w kilka godzin przez śmiałą spekulację bawełną, był olbrzymi, dopóki wskutek przeciwności losu, nie stracili go doszczętnie; wtedy zniknęli w tłumie, który pochłonił ich jak tyłu innych. Czy istniał jakiś związek pomiędzy tymi dawnymi milionerami a tajemniczymi pasażerkami z „Footbolla”?

O odpowiedź nie było trudno, gdyż pierwsze lody zostały przełamane i to w okolicy koła podbiegunowego, gdzie kodeks towarzyski traci bardzo na sile. Toteż w godzinę po pierwszym spotkaniu Ben Raddle zbliżył się do Jane Edgerton, rozpoczynając nową indagację.

Dowiedział się niebawem, że Edith i Jane były córkami „królów bawełny”, jak nazywano ongiś ich ojców. W dwudziestym drugim roku życia zostały bez majątku, same bez rodziny, gdyż matki ich zmarły dawno, dwaj bracia zaś zginęli sześć miesięcy temu, tego samego dnia, wskutek nieszczęśliwego wypadku kolejowego.

Podczas gdy Ben i Jane rozmawiali, Summy i Edith zachowywali milczenie. Oboje nieśmiali, a przynajmniej mniej odważni, zdawali się być zależnymi od rozmówców, którym towarzyszyli.

— Czy nie będzie grubiaństwem i niedyskrecją z mojej strony — pytał Ben Raddle w toku

rozmowy — jeżeli wyrażę pani, miss Edgerton, zdziwienie, jakiego doznaliśmy, mój kuzyn i ja, na widok pań na tym statku i jeżeli spytam, w jakim celu przedsięwzięły panie tę długą i uciążliwą podróż?

— Bynajmniej — odpowiedziała Jane Edgerton. — Stary lekarz mojego wuja, doktor Pilcox, obecnie dyrektor szpitala w Dawson, zaproponował mojej siostrze Edith miejsce pielęgniarki, które przyjęła niezwłocznie.

— W Dawson!

— Tak, w Dawson.

Spojrzenia obu kuzynów, Bena Raddle'a spokojne jak zawsze, Summy Skima zaniepokojone i pełne zdziwienia, zwróciły się na jasnowłosą Edith, która z całym spokojem i bez zakłopotania patrzyła im prosto w oczy. Mogli przyjrzeć się dobrze młodej dziewczynie, a w miarę jak ogarniali wzrokiem jej wdzięczną postać, ustępowało powoli zdziwienie wywołane jej śmiałym przedsięwzięciem. Pod delikatnymi rysami wyczuli niezwykłą duszę. Oczywiście Edith różniła się wielce od kuzynki. Nie miała jej śmiałego spojrzenia, jej wymowy, ani postawy pewnej siebie. Uważny obserwator mógł jednak dostrzec z łatwością, że nie brak jej ani energii, ani silnej woli. Dwie dziewczyny, tak różniące się wyglądem, miały równe zalety. Jeżeli jedna odznaczała się stanowczością i żądzą czynu, u drugiej dominowała systematyczność i logika. Patrząc na proste czoło, na oczy znamionujące dużą inteligencję, było się pewnym, że wszystkie myśli, wszystkie wrażenia mają swe stałe miejsce w umyśle Edith Edgerton, i że w razie potrzeby będzie umiała sięgnąć po nie bez trudu, z całą precyzją systematycznego myślenia. Bezsprzecznie młoda ta panna miała zalety dobrego administratora i mogła oddać wielkie usługi szpitalowi w Dawson.

— Dobrze! — rzekł Ben Raddle bez najmniejszego zdziwienia. — A pani, miss Jane, czy również poświęci się pani dla cierpiącej ludności?

— Ja — odpowiedziała Jane z uśmiechem — nie jestem tak uprzywilejowana przez los jak Edith i nie mam na razie żadnej pozycji w społeczeństwie. A ponieważ nic mnie nie zatrzymuje na południu, wolałam szukać szczęścia na północy.

— I cóż pani zamierza robić?

— Ależ to co wszyscy, poszukiwać złota.

— Co? — zawołał Summy przestraszony.

Nie chcąc minąć się z prawdą, dodać musimy, że Ben Raddle musiał użyć całej siły swej woli, aby nie pójść za przykładem kuzyna i nie sprzeniewierzyć się zasadzie, iż człowiek nie powinien się dziwić niczemu. Ta młoda, delikatna dziewczyna miała być poszukiwaczką złota!

Tymczasem Jane, jak gdyby dotknięta pochopnym okrzykiem Summy Skima, — zwróciła się do niego i tonem nieco wyzywającym spytała:

— Cóż w tym dziwnego?

— Ależ... miss Jane... — jękał się Summy, który jeszcze nie zdążył ochłonać z wrażenia. — Pani nie zdaje sobie sprawy... Kobieta...

— Czemu kobieta nie może robić tego, co pan sam robi? — odparła Jane Edgerton.

— Ja?!... — zaprotestował Summy. — Ja nie poszukuję złota. Jeżeli jestem właścicielem działki i jeżeli jadę do tego diabelskiego kraju, to wbrew woli, niech mi pani wierzy. Moim jedynym pragnieniem jest wrócić jak najszybciej.

— Niech i tak będzie — rzekła Jane z pewną pogardą w głosie. — Ale oprócz pana są tu jeszcze inni. To co budzi pana obawy, nie odstręcza ich bynajmniej. Dlaczego więc kobieta nie może iść w ich ślady?

— Bo... zdaje mi się... — jękał się znów Summy Skim — siła, zdrowie... a nawet rodzaj ubrania... do diabła!

— Zdrowie! — odparła Jane Edgerton. — Życzę panu takiego zdrowia jak moje. Siła? Zabawka, którą mam w kieszeni, da mi jej więcej, niż ma jej sześciu atletów razem wziętych. Co do mego ubrania, nie wiem w czym ma być gorsze od pańskiego. Zresztą może jest więcej kobiet godnych nosić spodnie, niż mężczyzn godnych przywdziać spódnice!

Przy tych słowach Jane Edgerton, najwyraźniej feministka z przekonania, urwała rozmowę, kłaniając się ruchem głowy zwyciężonemu Skimowi i podawszy rękę Benowi, oddaliła się z milczącą nadal kuzynką, która podczas całej rozmowy nie przestawała się uśmiechać.

Tymczasem „Football” minął północny kraniec wyspy Reine Charlotte i znalazł się znowu na pełnym morzu, przepływając zatokę Dixon Entrance zamkniętą od północy największą wyspą archipelagu Prince de Galles. Kołysanie statku nie było silne, gdyż wiatr dął z północnego wschodu, czyli od strony lądu.

Nazwa Prince de Galles przysługuje całemu archipelagowi, kończącemu się od północy wielką liczbą drobnych wyseppek. Poza nim rozciąga się wyspa Baranów, na której Rosjanie zbudowali fort Nowy Archangielsk. Główne jej miasto Sitka zostało stolicą tej prowincji od czasu odstąpienia przez rząd moskiewski Alaski Stanom Zjednoczonym. 1 kwietnia wieczorem „Football” przepłynął obok Port Simpson, ostatniej kanadyjskiej placówki na wybrzeżu. W kilka godzin później osiągnął wody amerykańskiej Alaski, 20 kwietnia zaś zatrzymał się w porcie Wrangel przy ujściu Stikeen River.

Miasto to liczyło wówczas niespełna czterdzieści domostw, kilka czynnych tartaków, jeden hotel, kasyno i kilka domów gry wielce ożywionych latem.

W porcie tym wysiedli pasażerowie, mający udać się do Klondike drogą przez Telegraph Creek. Droga ta, długości czterystu trzydziestu kilometrów, jest niezmiernie uciążliwa, lecz mniej kosztowna. Toteż pomimo ostrzeżeń, że o tej porze roku droga nie będzie możliwa do przebycia saniami, około pięćdziesięciu imigrantów wysiadło z postanowieniem pokonania trudów i niebezpieczeństw, które czekały ich na nieskończonych równinach północnej Kolumbii.

Poczynając od portu Wrangel cieśnina staje się coraz węższa, zakręty bardziej zawiłe, tak że „Football” lawirować musiał wśród labiryntu wysepek, zanim dostał się do Juneau, wsi przeobrażającej się w miasteczko, a może i miasto, zawdzięczającej swoją nazwę założycielowi, który przekazał jej swoje nazwisko w 1882 roku.

Dwa lata wcześniej ten sam Juneau i jego towarzysz Ryszard Harris odkryli pokłady w Silver Bow Basin, skąd po kilku miesiącach wywieźli złoto warte sześćdziesiąt tysięcy franków.

Od tego czasu zaczął się napływ imigrantów, przyciągniętych rozgłosem tego odkrycia i eksploatacją terenów złotonośnych w okolicy Cassiar, które wyprzedziło Klondike. Wkrótce w kopalni Tread Ville dwieście czterdzieści tłoków tłukło na miazgę do tysiąca pięciuset ton kwarcu w ciągu doby, dając dwa miliony pięćset tysięcy franków dochodu.

Summy Skim, dowiedziawszy się o tym od Bena, rzekł:

— Doprawdy szkoda, że wuj Josias nie przejeżdżał tędy, dążąc do swej przyszej działki przy Forty Miles Creek.

— Dlaczego, Summy?

— Dlatego, że prawdopodobnie by się tu zatrzymał, my zaś nie potrzebowalibyśmy jechać dalej.

Summy wiedział, co mówi. Gdyby chodziło tylko o dotarcie do Skagway, nie byłoby się na co uskarżać. Lecz tu dopiero zaczynała się uciążliwa podróż. Szczególnie trudna miała być przeprawa przez Chilkoot, a następnie droga przez jeziora, prowadząca do lewego brzegu Jukonu.

Pomimo to jakże gorączkowo śpieszyli się wszyscy pasażerowie do okolic, przez które płynęła główna arteria Alaski! Jeżeli myśleli o przyszłości, to nie brali w rachubę trudów, niebezpieczeństw i rozczarowań. Wabił ich miraż złota, coraz wyraźniej zarysowujący się na horyzoncie!

Z Juneau statek skierował się na północ cieśniny, którą jednostki o dużej nośności mogą dopłynąć tylko do Skagway. Statki zaś nie zanurzające się głęboko, mogą dotrzeć dalej — do miasteczka Dyea. Na północnym zachodzie widniał lodowiec Muir, wysoki na dwieście czterdzieści stóp, z którego lawiny niepokoją ustawicznie ocean.

Nazajutrz miano wylądować w Skagway. Ostatni wieczór spędzony na statku upamiętnił się niezwykle hazardową partią rozegraną w sali gry między zwykłymi jej bywalcami, z których niejeden przy zielonym stoliku stracił cały swój majątek. Oczywiście Hunter i Malone należeli do najbardziej zajadłych graczy. Zresztą inni nie ustępowali im wcale i zaiste, mało różnili się między sobą ci wszyscy awanturnicy, jakich spotkać było można zawsze w spelunkach Vancouver, Skagway i Dawson.

Z hałasu, który dolatywał z sali, można się było domyśleć, że musi być ona widownią żalonych scen. Krzyki i grubiańskie wymyślenia rozlegały się bez końca; obawiano się, że kapitan statku będzie zmuszony do interwencji. Sami pasażerowie przez wzgląd na swe bezpieczeństwo zamknęły się w kajutach.

Około godziny dziesiątej Summy Skim i Ben Raddle pomyśleli również o udaniu się do swej kajuty. Po otwarciu drzwi salonu, przez który musieli przechodzić, zobaczyli dwie kuzynki, zmierzające z przeciwległej strony do swego pomieszczenia. W chwili gdy mieli się do nich zbliżyć, drzwi od sali gry otworzyły się nagle z hałasem i około dwunastu graczy wpadło do salonu. Na ich czele szedł Hunter, podniecony i mocno nietrzeźwy. Wymachując lewą ręką, w której trzymał portfel pełen banknotów, śpiewał, a raczej wył o swym zwycięstwie przy zielonym stoliku. Tłum wtórował mu hałaśliwie.

— Hip! Hip! — skandował Malone.

— Hura! — wrzeszczał Hunter.

Po czym, coraz bardziej pijany, zawołał grzmiącym głosem:

— Kelner, szampana! Dziesięć, dwadzieścia, sto butelek szampana... Zgarnąłem wszystko tego wieczora!... Wszystko! Wszystko! Wszystko!

— Wszystko! Wszystko! Wszystko! — powtórzył z rykiem chór.

— I zapraszam wszystkich, pasażerów i załogę, od kapitana do chłopca okrętowego!

Przyciągnięci hałasem pasażerowie zapełnili salon.

— Hura!... Brawo, Hunter! — wołali gracze, przyklaskując z całych sił rękami i obcasami.

Ale Hunter już ich nie słyszał. Dostrzegłszy Edith i Jane Edgerton, które nie mogły wydostać się z tłumu, rzucił się w ich stronę, chwytając w pól Jane.

— Tak, zapraszam wszystkich — zawołał znowu — i o tobie nie zapomniałem, piękna panienko...

W obliczu tej niespodziewanej napaści Jane nie straciła zimnej krwi. Cofnąwszy pięści w tył, uderzyła nimi nędznika w twarz, zgodnie z wszelkimi przepisami boksu.

Lecz co znaczyły jej słabe ręce wobec tego pijanego człowieka, któremu alkohol przysparzał siły!

— E... e... — drwił Hunter — piękna panienka jest zła!... Czyżby...

Nie dokończył. Potężna ręka schwyła bandytę za gardło i odepchnęła tak silnie, iż upadł dziesięć kroków dalej.

Niemal całkowita cisza zaległa w salonie. Spoglądano na obu przeciwników; jeden znany był ze swej gwałtowności, drugi wykazał w tej chwili swą siłę. Hunter podniósł się nieco oszołomiony, lecz z wyciągniętym z pochwy nożem, gdy nowe zdarzenie uśmierzyło jego wojownicze zamiary.

Z pomostu ktoś schodził, a odgłos kroków zwiastował, że to nadchodzi kapitan. Hunter nastawił ucha, zrozumiałwszy zaś swoją bezsilność, spojrzał na swego przeciwnika, który zaskoczył go tak bardzo, że nie zdążył go dojrzeć.

— A... to pan — rzekł, poznając Summy Skima.

I wkładając nóż do pochwy, dodał głosem pełnym groźby:

— Zobaczymy się jeszcze!

Summy stał nieruchomo, nie słysząc nic. Ben Raddle przyszedł mu z pomocą.

— Kiedy i gdzie będzie pan chciał — rzekł zbliżając się.

— A zatem przy Forty Miles Creek, panowie z działki 129 — zawołał Hunter, wybiegając z salonu.

Summy stał wciąż nieruchomo. On, który z zimną krwią nie byłby zgładził nawet muchy, dopuścił się takiego gwałtu!

Jane Edgerton zbliżyła się do niego i podając mu rękę powiedziała z całkowitym spokojem:

— Dziękuję panu.

— O tak, dziękuję panu — powtórzyła Edith wzruszona, ściskając mu drugą rękę.

Pod wpływem tego podwójnego uścisku Summy Skim zmuszony był ocknąć się. Ale czy zdawał sobie sprawę z tego co zaszło? Z niewyraźnym uśmiechem człowieka, który spadł właśnie z księżycy, rzekł tonem pełnym uprzejmości:

— Dobranoc paniom.

Niestety, uprzejmość ta nie została zauważona przez obie kuzynki, gdyż zanim Summy przypomniał sobie o ich istnieniu, upłynęło trzydzieści sekund od zniknięcia pięknych panien z salonu.

VI

Jane Edgerton and Co.

Skagway, jak wszystkie miejsca postoję zagubione w okolicy pozbawionej wszelkich środków komunikacyjnych, był początkowo tylko obozowiskiem poszukiwaczy złota. Z czasem szałasę zamieniono na porządnie zbudowane chatę, te zaś na domy wznoszone na terenach, których cena rosła z dnia na dzień. Kto wie jednak, czy miasta te, utworzone z chwilowej potrzeby, nie opustoszeją wraz z wyczerpaniem się pokładów złota?

Istotnie, miejscowości tych porównać nie można z podobnymi w Australii, Kalifornii i Transwalu, gdzie wsie przemienione w miasta, mogą istnieć nawet, gdyby w nich nie było kopalni, gdzie grunt jest żyzny, klimat łagodny, a interesy handlowe i przemysłowe mają rację bytu. Ziemia w nich bowiem, wyczerpawszy zapas kruszców, podatna jest do uprawy.

Ale tu, w tej części Kanady, na granicy Alaski, prawie na granicy koła podbiegunowego, gdzie klimat jest niezwykle ostry, rzecz ma się inaczej. Jedyńą wartością tej ziemi stanowią kopalnie złota. Gdy zostaną one wyczerpane, nie będzie już żadnego powodu do zamieszkania. Toteż prawdopodobnie miasta, wzniesione tak szybko w tych okolicach, gdzie obecnie nie brak ani ruchu handlowego ani pasażerskiego, znikną z czasem, pomimo iż towarzystwa finansowe zajmują się utworzeniem dogodniejszej komunikacji i mają nawet zamiar budować kolej żelazną z Wrangla do Dawson.

W chwili, gdy „Football” dopływał do Skagway, miasto to przepełnione było imigrantami przybyłymi bądź statkami, bądź koleją kanadyjską lub amerykańską, a pragnącymi udać się do Klondike.

Niektórzy podróżnicy skracali trudną drogę lądową dojeżdżając do Dyea, miasteczka położonego na krańcu cieśniny, lecz nie parowcami, dla których głębokość cieśniny byłaby niewystarczająca, a statkami o małej nośności, zbudowanymi wyłącznie do rejsu ze Skagway do Dyea.

Tak czy inaczej, od Skagway zaczyna się najbardziej uciążliwa część podróży.

Dwaj kuzyni wybrali jeden z hoteli, Skagway bowiem miał ich wtedy już kilka. Za pokój płacili drożej niż w Vancouver, toteż radzi byli jak najprędzej opuścić to miasto.

Summy Skim i Ben Raddle podczas pobytu w Skagway nie mieli sposobności spotkać obu Teksańczyków, gdyż Hunter i Malone wyjechali niezwłocznie do Klondike. Ponieważ wracali tam, skąd sześć miesięcy temu wyjechali, wszystko mieli gotowe i mogli udać się w drogę, nie troszcząc się o narzędzia, które znajdowały się na działce przy Forty Miles Creek.

— Doprawdy — rzekł Summy Skim — wielkie to szczęście, że pozbyliśmy się tych gburów jako towarzyszy podróży! Żałuję bardzo tych, którzy z nami jadą, o ile nie są tego samego pokroju co oni, choć jest to bardzo prawdopodobne w tym pięknym świecie poszukiwaczy złota.

— Zapewne — odrzekł Ben Raddle — tylko że ci gburzy są bardziej uprzywilejowani niż my, mogąc bez zatrzymania się jechać dalej, podczas gdy my...

— I my pojedziemy, bądź spokojny — zawołał Summy Skim — i spotkamy tych dwu łotrów na działce 131. Miłe sąsiedztwo! Rozkoszne towarzystwo! Przyjemna perspektywa!.... Przymuszam, że to nas zachęci do sprzedania tej ziemi pełnej kamieni za przyzwoitą cenę i przyspieszy nasz powrót!

Summy Skima przestało niepokoić towarzystwo Huntera i Malone'a, odnalazł zaś dwie pasażerki, w których obronie tak mężnie stawał. Zatrzymały się w tym samym hotelu co oni, musieli więc spotykać się z nimi często. Przy spotkaniach zamieniali ze sobą kilka słów, dość zresztą przyjaznych, po czym każdy szedł w swoją stronę.

Młode panny zajęte były poszukiwaniem najdogodniejszego sposobu dostania się do Dawson. Ale nie było to rzeczą łatwą. Wszelkie usiłowania spełzły na niczym, o ile można było wnioskować z wyrazu twarzy Jane Edgerton, na której malował się niepokój starannie zresztą ukrywany.

Ben Raddle i Summy Skim, coraz bardziej przejęci losem swych towarzyszek podróży, z pewnym wzruszeniem myśleli o trudach i niebezpieczeństwach, na jakie się one narażają. Jakiej bowiem pomocy spodziewać się mogły, w razie potrzeby, od tej ciżby imigrantów, u których żądza złota zagłuszyła wszelkie poczucie honoru i sprawiedliwości?

Wieczorem 23 kwietnia Summy Skim, nie mogąc dłużej zapanować nad niepokojącą go myślą, zwrócił się do blondynki, która słusznie czy niesłusznie, wydała mu się mniej nieprzystępną.

— Co słysząc, miss Edith? Nic nowego od czasu przyjazdu do Skagway?

— Nic — odpowiedziała dziewczyna.

Summy po raz pierwszy zwrócił uwagę na jej piękny głos.

— Zapewne poszukują panie sposobu dostania się do Dawson?

— Istotnie.

— I nie znalazły go panie jeszcze?

— Niestety, nie.

Edith Edgerton była miła, lecz nieprzystępna. Toteż możliwość zaofiarowania swych usług rozwiła się na razie i Summy Skim musiał przerwać rozmowę.

A jednak nie dał za wygraną. Nazajutrz, widząc, że obydwie kuzynki umawiają się z grupą mającą wyruszyć za kilka dni, złożoną zaś z ludzi prostych i grubiańskich, odważył się zbliżyć do Edith, zachęcony obecnością Bena i Jane Edgerton.

— I znów nic nowego, miss Edith? — powtórzył mało pomysłowy Summy Skim.

— Nic — oświadczyła ponownie Edith.

— To może trwać nazbyt długo...

Edith odpowiedziała wymijającym gestem. Summy ciągnął dalej:

— Czy nie będę niedyskretny, jeżeli spytam, jak zamierzają panie odbyć podróż do Dawson?

— Bynajmniej — rzekła Edith. — Chcemy towarzyszyć grupie, złożonej z osób, z którymi dopiero co mówiłyśmy.

— To w zasadzie dobra myśl. Ale — niech pani wybaczy, że mieszam się do nie swoich rzeczy — czy panie zastanowiły się nad tym? Ludzie ci nie wzbudzają we mnie zaufania i pozwoli pani, że powiem...

— Wybiera się to, co można wybrać — przerwała Edith Edgerton ze śmiechem. Nasz stan majątkowy nie pozwala nam na książęce towarzystwo.

— Nie trzeba być księciem, aby być wartym więcej od przysłych pani towarzyszy. Będą panie zmuszone rozstać się z nimi przy pierwszym postoju, jestem tego pewien.

— Jeżeli tak będzie, pojedziemy dalej same — rzekła krótko Jane. Summy wznosił ręce do nieba.

— Same... co panie myślą... Zginiecie w drodze!

— Dlaczego miałybyśmy być narażone na niebezpieczeństwo bardziej niż panowie? — odezwała się Jane wyniośle. — Co wy możecie zrobić, to i my również.

Nie ulegało wątpliwości, że zaciekle feministka nie złoży szybko broni.

— Zapewne, zapewne — rzekł ustępliwie Summy. — Ale, widzi pani, rzecz w tym, że ani mój kuzyn, ani ja nie pragniemy wcale własnymi siłami dostać się do Dawson. Będziemy mieli przewodnika i to doskonałego, który pomoże nam swym doświadczeniem i dostarczy wszelkich niezbędnych narzędzi..

Summy na chwilę przerwał, po czym dodał z wyraźną prośbą:

— Dlaczego nie miałyby panie skorzystać ze sposobności?

— Na jakich zasadach?

— Na prawach gości — rzekł Summy z zapalem. Jane wyciągnęła do niego rękę:

— Moja kuzynka i ja jesteśmy panu niezmiernie wdzięczne za tę uprzejmą propozycję, lecz przyjąć jej nie możemy. Nasze środki, choć skromne, wystarczą nam; postanowiłyśmy więc nie zaciągać długa wdzięczności względem nikogo, dopóki nie zmusi nas do tego ostateczność.

Słowa te wypowiedziane zostały głosem tak stanowczym, że o ustępstwie nie mogło być mowy. Jane Edgerton nie wystraszyły wcale niebezpieczeństwa podróży, przeciwnie, z dumą myślała, że zwalczać je będzie sama.

Dodała więc, zwracając się do Bena:

— Czy nie mam słuszności, panie Raddle?

— Najzupełniej, miss Jane — oświadczył Ben Raddle, nie zwracając uwagi na rozpaczliwe znaki kuzyna.

Trzeba bowiem wiedzieć, że zaraz po przybyciu do Skagway Ben Raddle zapewnił sobie możliwość dostania się do Klondike. Stosując się do wskazówek otrzymanych w Montrealu, odnalazł poleconego mu przewodnika, niejakiego Billa Stella i z nim zawarł umowę.

Bill Stell, rodem z Kanady, był biegły w swym zawodzie. Pełnił on przez wiele lat funkcję zwiadowcy w wojsku kanadyjskim i brał czynny udział w walkach z Indianami. Uważano go za człowieka niezmiernie odważnego i energicznego.

Obecnie zajmował się eskortowaniem imigrantów udających się do Klondike na poszukiwanie złota. Był nie tylko przewodnikiem, lecz również właścicielem rynsztunku, potrzebnego do tych uciążliwych podróży. Posiadał łodzie z załogami, niezbędne do przebycia jezior, sanki i psy do pokonania zamrożonych równin, ciągnących się poza wąwozami Chilkootu. Dostarczał też pożywienia grupom, które prowadził.

Wiedząc o tym wszystkim Ben Raddle nie robił większych zapasów w Vancouver. Był spokojny, że Bill Stell dostarczy mu wszystkich potrzebnych rzeczy i postanowił umówić się z nim co do swej podróży w obie strony.

Ben Raddle, nazajutrz po przybyciu do Skagway, udał się do domu przewodnika, lecz powiedziano mu, że ten jest nieobecny, gdyż podjął się przeprowadzić pewną grupę do White Pass, aż do krańca jeziora Bennet. Dodano wszakże, że wyruszył dziesięć dni temu, więc o ile nic nie stanie mu na przeszkodzie, powinien być rychło z powrotem.

Tak też się stało i 25 kwietnia, rankiem, Ben Raddle i Summy Skim mogli się już widzieć z Billem Stellem.

Przewodnik — wzrostu średniego, z twarzą okoloną siwiejącym zarostem i krótko ostrzyżonymi twardymi włosami, spojrzeniem stanowczym i przenikliwym, liczący pięćdziesiąt lat — miał zdrowie żelazne i wygląd niezmiernie uczciwy i sympatyczny.

W ciągu swej długoletniej służby w wojsku kanadyjskim, przyzwyczał się do ostrożności, czujności i roztropności. Nie można by go łatwo oszukać. Równocześnie brał życie z pogodnej strony i zadowolony ze swego losu, nie myślał wcale wstępować w ślady tych, którym ułatwiał dostanie się do złotodajnych terenów. Zresztą, czyż długoletnie doświadczenie nie przekonało go, że wielu z nich ginęło wśród trudów lub wracało biedniejszymi niż przedtem?

Ben Raddle powiedział Stellowi o swym zamiarze udania się do Dawson w jak najkrótszym czasie.

— Dobrze — rzekł przewodnik. — Jestem na pańskie usługi. Przeprowadzanie podróży to mój zawód i jestem do tego przygotowany i odpowiednio wyposażony.

— Wiem o tym — stwierdził Ben Raddle — jak również i o tym, że można liczyć na ciebie.

— Pan zapewne pozostanie w Dawson tylko kilka tygodni?

— To możliwe.

— A zatem nie o eksploatację działki chodzi?

— Nie wiem. Na razie mój kuzyn i ja chcemy sprzedać tę, którą posiadamy, a raczej, którą odziedziczyliśmy niedawno. Proponują nam jej nabycie, ale zanim ją odstąpimy, chcielibyśmy się przekonać, ile jest warta.

— Postępujcie bardzo przezornie. W tego rodzaju sprawach nie brak podstępów. Trzeba się mieć na baczności.

— Dlatego też przedsięwzięliśmy tę podróż.

— A jak panowie sprzedadzą działkę, czy powrócicie do Montrealu?

— Mamy taki zamiar. Mam nadzieję, że jeśli nas zawieszysz, to również będziesz prowadził z powrotem.

— Porozumiemy się w tym względzie — rzekł Bill Stell. — Nie mam zwyczaju żądać za wiele i zaraz przedstawię panu swoje warunki.

Podróż miała trwać trzydzieści do trzydziestu pięciu dni. Przewodnik podjął się dostarczyć konie lub muły, psy i sanki, łodzie i namioty. Oprócz tego dostarczyć miał pożywienie dla całej grupy, a można było polegać na nim, nikt bowiem nie znał tak dobrze jak on wszystkich potrzeb długiej przeprawy przez tę bezludną krainę.

Ponieważ kuzyni nie mieli ze sobą niezbędnego wyposażenia, wobec tego przewodnik zażądał ogółem za podróż ze Skagway do Dawson tysiąc osiemset franków i tyle samo za powrót.

Ben Raddle zapłacił bez targu, co było rzeczą zbyteczną z tak sumiennym człowiekiem jakim był Bill Stell, zresztą w tym czasie koszty przewozu i to tylko do okolicy jezior były dość znaczne z powodu uciążliwych warunków na obu istniejących drogach; płacono się cztery do pięciu centów za funt bagażu przewiezionego jedną drogą, zaś drugą — sześć do siedmiu. Należność, którą zażądał Bill Stell, była bardzo umiarkowana.

— A zatem jedziemy — rzekł Ben ale nie zapomnij, że chcielibyśmy wyruszyć w drogę w jak najkrótszym czasie.

— Za dwie doby będę gotów — odpowiedział przewodnik.

— Czy musimy przeprowić się statkiem do Dyea? — spytał Ben Raddle.

— Nie ma potrzeby. Ponieważ panowie nie wiozą ze sobą sprzętu górniczego, wydaje mi się, że dogodniej będzie wyruszyć prosto ze Skagway.

Obecnie pozostawało tylko wybrać drogę poprzez teren górzysty, który rozciąga się przed obszarem jezior, a jest najtrudniejszy do przebycia.

— Istnieją dwie drogi — objaśnił Bill Stell. — White Pass i przejście przez Chilkoot. Po ich przebyciu można się dostać albo do jeziora Bennet, albo też do jeziora Lindeman.

— Której drogi będziemy się trzymać?

— Drogi przez Chilkoot. Stamtąd udamy się do jeziora Lindeman, zatrzymując się w Sheep Camp, gdzie można znaleźć nocleg i pożywienie i gdzie znajduje się mój tabor. Oszczędza mi to trudu przewożenia go do Skagway przez góry.

— Liczymy na twoje doświadczenie i ufamy ci w zupełności — zakończył Ben Raddle. — Jesteśmy gotowi wyruszyć, skoro nas tylko zawiadomisz.

— Za dwa dni, jak powiedziałem — odparł Bill Stell. — Ruszymy wczesnym rankiem, a z nadejściem nocy będziemy niedaleko szczytu Chilkoot.

— Jaka jest wysokość tej góry?

— Mniej więcej trzy tysiące stóp. Nie jest ona zbyt wysoka. Tylko przejście jest wąskie i kręte, a przedostać się nim jest trudno z powodu licznej rzeszy imigrantów ciągnących swe pojazdy i zaprzęgi, nie mówiąc już o śniegu, który tamuje dostęp.

Zdawało się, że wszystko jest już załatwione, tymczasem Ben Raddle nie odchodził.

— Jeszcze słówko — rzekł. — Czy mógłbyś mi powiedzieć o ile powiększyłbyś cenę, gdyby — przypadkiem — towarzyszyć nam miały dwie podróżniczki?

— To zależy od tego, ile mają bagażu?

— Bardzo mało.

— W takim razie wyniesie to pięćset do siedmuset franków zależnie od rodzaju i wagi pakunków, wliczając już w to utrzymanie.

— Dziękuję, zobaczymy — rzekł Ben Raddle żegnając się z przewodnikiem. W drodze do hotelu Summy Skim wyraził kuzynowi zdziwienie, jakie wywołało w nim ostatnie pytanie zadane przewodnikowi. Wszak nie mógł myśleć o nikim innym, jak tylko o Edith i Jane Edgerton.

— Tak, w istocie — przyznał Ben.

— Przecież wiesz, że odmówiły stanowczo i to za twoim potwierdzeniem.

— To prawda.

— Odmowa została wypowiedziana tonem tak kategorycznym, że nie ma co ponawiać propozycji.

— Bo nie umiałeś się zabrać do tego, kuzynie — rzekł Ben spokojnie. — Zostaw mi tę sprawę, a zobaczysz, że pójdzie mi lepiej.

Po powrocie do hotelu Ben w towarzystwie zaintrygowanego kuzyna poszedł na poszukiwanie dziewcząt. Znalazłszy je w czytelni, zagadnął Jane śmiało i bez ogródek:

— Miss Edgerton, chcę zaproponować pani pewien interes.

— Jaki? — spytała Jane, bynajmniej nie zdziwiona tym wstępem.

— Zaraz powiem o co chodzi — rzekł Ben spokojnie. — Mój kuzyn zaproponował paniom wczoraj, abyśmy razem odbyli podróż do Dawson. Zganiłem go za to, gdyż obecność pań przyczyniłaby się do zwiększenia kosztów o siedemset franków w przybliżeniu, a ponieważ jestem człowiekiem interesu, więc uważam że każdy dolar powinien przynieść drugi lub kilka innych. Na szczęście panie uchylły się od tej propozycji,

— Istotnie — rzekła Jane.

— Musi mi pani jednak przyznać, że narażacie się panie na wielkie niebezpieczeństwa i że propozycja mojego kuzyna ułatwiłaby wam podróż.

— Nie zaprzeczam — przyznała Jane. — Lecz...

— A zatem — ciągnął dalej Ben, nie zwracając uwagi na słowa Jane — powtarzam, że nasza pomoc byłaby bardzo pożądana. Uniknęłyby panie różnych niepotrzebnych opóźnień i dostałyby się w samą porę do kopalni. Jeżeli zgodzi się pani na moją propozycję, zwiększą się pani szanse powodzenia, a ponieważ ja się do tego przyczynię, sprawiedliwą będzie rzeczą, abym i ja na tym skorzystał. Otóż proponuję pani transport do Dawson w zamian za dziesięcioprocentowy udział w jej przyszłych zyskach.

Na pozór Jane nie była wcale zdziwiona tą osobliwą propozycją. Wszak interes to rzecz całkiem naturalna. Jeżeli wahała się z odpowiedzią, to tylko dlatego, że dziesięć procent wydało jej się za dużym udziałem. Ale droga do stolicy Klondike jest długa i bardzo uciążliwa, odwaga zaś nie wyklucza zdrowego rozsądku.

— Zgadzam się — rzekła po chwili. — Jeżeli pan chce, zaraz możemy zawrzeć umowę na piśmie.

— Miałem właśnie zamiar mówić o tym — rzekł Ben z powagą i siadając przy stole, zaczął pisać co następuje pod badawczym spojrzeniem nowej współpracownicy:

„Niżej podpisani: panna Jane Edgerton, poszukiwaczka złota zamieszkała...”

— A gdzie pani mieszka? — zapytał.

— Niech pani pisze: szpital w Dawson. Ben Raddle zaczął znów pisać:

„... w szpitalu w Dawson i pan Ben Raddle, inżynier zamieszkały w Montrealu, przy ulicy Jacques–Cartier 29 zawarli umowę następującą...”

Stojący przy stole Edith i Summy zamienili znaczące spojrzenia. Summy wzrokiem wyrażał radość, Edith — miłe wzruszenie, dziewczyna bowiem domyślała się szlachetnego podstępu.

VII

Chilkoot

Bill Stell miał rację, przedkładając przejście przez Chilkoot nad przebycie White Pass. Wprawdzie droga przez White Pass zaczyna się tuż za miastem Skagway, podczas gdy droga na Chilkoot prowadzi dopiero od Dyea, ale po przejściu White Pass pozostaje jeszcze blisko osiem mil do jeziora Bennet i to niezmiernie uciążliwych do przebycia; tymczasem tylko szesnaście kilometrów dzieli Chilkoot od jeziora Lindeman, którym łatwo dostać się można do górnego krańca jeziora Bennet, oddalonego o trzy kilometry.

To zaś, że Chilkoot ma strome zbocze mierzące tysiąc stóp nie przerażało podróżnych nie mających ze sobą żadnego ciężkiego ładunku. Za Chilkoot droga do jeziora Lindeman była wystarczająco wygodna, trudna zatem przeprawa przez górzystą część kraju mogła opłacić im się w zupełności.

Dwudziestego siódmego kwietnia, o szóstej rano Bill Stell dał hasło do wyjazdu. Edith i Jane Edgerton, Summy Skim i Ben Raddle, przewodnik i sześciu jego ludzi opuścili Skagway, dążąc drogą na Chilkoot. Dwie pary sanek ciągniętych przez muły, miało ich przewieźć do południowego krańca jeziora Lindeman, który Bill Stell wybrał jako miejsce swej głównej kwatery. Przemarsz w najlepszych warunkach mógł trwać co najmniej trzy do czterech dni.

Na jednych sankach złożono bagaże. Na drugich usadowiono dziewczęta, osłaniając je od ostrych podmuchów wiatru futrami i kocami. Nie spodziewały się wcale tak wygodnej jazdy, toteż Edith kilkakrotnie wychylała się, aby wyrazić swe podziękowanie Summy Skimowi, który udawał, że nic nie słyszy.

Ben Raddle i on byli bardzo zadowoleni, że mogli im oddać tę przysługę. Sami zaś rozkoszowali się ich towarzystwem w tej strasznej podróży. Nawet Bill Stell był nimi zachwycony.

Zresztą przewodnik nie ukrywał przed Edith, że w Dawson oczekują na nią niecierpliwie. Szpital był przepelniony, a kilka pielęgniarek zapadło na zdrowiu z powodu wybuchających w mieście epidemii. Szczególnie tyfus pochłaniał liczne ofiary głównie wśród imigrantów, którzy przybywali wyczerpani, o ile nie zmarli w drodze.

— Miły kraj, nie ma co mówić! — zauważył Summy Skim. — My przynajmniej powrócimy, ale te dwie młode kobiety, narażone na tyle niebezpieczeństw, może nie powrócą!...

Na drogę do Chilkoot nie zabrano pożywienia, aby zmniejszyć wagę bagażu. Przewodnik wiedział, że w „lodgins” czyli w zajazdach w najpierwotniejszym znaczeniu tego słowa, można było się pożywić, a w razie potrzeby nawet przespać. Kosztowało to bardzo drogo, gdyż za łóżko złożone z prostej deski płacono pół dolara, a za strawę składającą się niezmiennie ze słoniny i ledwie wypieczonego chleba — dolara.

Na szczęście z tych względnych wygod nie miano korzystać zbyt długo, gdyż warunki podróży

powinny się były zmienić wraz z dostaniem się do strefy jezior.

Powietrze było zimne, termometr wskazywał stale 10 stopni poniżej zera, przy mroźnym wietrze. Przynajmniej sanki mogły sunąć prędko po zmarzniętym śniegu. Za to muły, psy, konie, woły oraz renifery padały masowo i przejście Chilkoot zasłane było ich trupami.

Ze Skagway przewodnik poprowadził podróżnych do Dyea, trzymając się wschodniego wybrzeża cieśniny. Jego sanki, mniej obciążone niż sanki innych imigrantów, dążących tą samą drogą, mogły z łatwością je wyprzedzić. Lecz nagromadzenie sań było tak znaczne, że stanowiło przeszkodę nie do przewyciężenia. Wśród śnieżnych zawiei, dochodzących w tych wąwozach do przeraźliwej mocy, rozmaitego rodzaju pojazdy jechały, ślizgały się lub przewracały, zwierzęta nie chciały ruszać z miejsca pomimo razów i krzyków, podróżni zaś przemocą torowali sobie drogę lub używali wszelkich sił, aby się temu przeciwstawić, bagaże zdejmowano i ładowano z powrotem. Z tego powodu powstawały kłótnie i utarczki, którym towarzyszyły wymyślenia i razy, a często nawet strzały rewolwerowe. Wobec tych przeszkód nie do przewyciężenia podróżni nasi musieli zwolnić tempo, stosując się do innych. Oprócz tego przewodnicy tracili sporo czasu na doprowadzenie do porządku płaczących się zaprzęgów półdzikich psów, które wyły rozpaczliwie.

Odległość dzieląca Skagway od przejścia Chilkoot jest mała i pomimo napotykanych trudności przebywa się ją w kilka godzin. Toteż grupa naszych podróżnych zatrzymała się już przed dwunastą w Dyea.

Osada Dyea składała się wtedy tylko z kilku chatek zbudowanych na końcu cieśniny. Ale trzy tysiące imigrantów zaległo w tym zaczątku miasta u wylotu przejścia Chilkoot.

Bill Stell, chcąc skorzystać z mroźnej pogody, wybrał się w drogę jak najwcześniej. O dwunastej wyruszone z Dyea, Ben Raddle i Summy Skim pieszo, panny w sankach. Przed nimi, przy każdym zakręcie wąwozu, roztaczał się wspaniały widok dzikiej przyrody. Trudno było nie podziwiać tych kęp jodeł i brzoź, pokrytych szronem, wznoszących swe wierzchołki do szczytów górskich, tych rwących potoków, których mróz nie zdołał dotknąć, gdyż tak szybko staczały się do przepaści nieprzeniknionych wzrokiem.

Sheep Camp oddalone było tylko o cztery mile. Za kilka godzin mieli tam stanąć, pomimo że droga pięła się ostro w górę i sanki zatrzymywały się często, tak że powożący popędzali je z trudem.

Ben Raddle i Summy Skim, idąc obok przewodnika, rozmawiali z nim, zadając mu różne pytania.

— Mam nadzieję — rzekł Bill Stell — że około piątej, a najdalej szóstej będziemy w Sheep Camp i zatrzymamy się tam do rana.

— Czy zastaniemy tak jakiś zajazd, aby nasze towarzyszki mogły odpocząć? — spytał Summy Skim.

— Owszem — odpowiedział przewodnik — wszak jest to miejsce postoju dla imigrantów.

— Ale czy znajdziemy wolne miejsca?

— Nie wiadomo. Zresztą te zajazdy nie są bynajmniej zachęcające. Może lepiej będzie rozstawić namioty?

— Panowie — odezwała się Edith, słysząc prowadzoną rozmowę — nie chciałybyśmy sprawiać wam kłopotu.

— Kłopotu? — rzekł Summy Skim. — A w czym mogłyby nam panie przysporzyć kłopotu? Mamy dwa namioty. W jednym pomieszczą się panie, w drugim — my.

— Mamy również dwa piecyki — dodał Bill Stell — które ogrzewać będą namioty do rana, więc zimy nie musimy się obawiać.

— Doskonale — odezwała się z kolei Jane. — Lecz proszę nas nie oszczędzać. Nie jesteśmy tu gośćmi, ale współniczkami, nie zasługującymi ani na mniejsze ani większe względy od innych. Jeżeli trzeba będzie jechać w nocy, pojedziemy. Chcemy być traktowane na równi z mężczyznami, a każde ustępstwo byłoby dla nas obrazą.

— Niech panie będą spokojne — odparł Summy Skim, śmiejąc się — i niech będą pewne, że nie oszczędzimy im ani niewygód, ani zmęczenia. W razie potrzeby przysporzymy ich nawet!

O szóstej podróżnicy stanęli w Sheep Camp. Zwierzęta pociągowe były zmordowane, zluzowano je więc i nakarmiono.

Bill Stell nie mylił się mówiąc, że zajazdy tej wioski były pozbawione wszelkich wygod i że będą przepełnione. Nie zastanawiając się więc długo, przewodnik rozstawił namioty pod osłoną drzew, w pewnej odległości od Sheep Camp, z dala od hałaśliwej cizby.

Edith i Jane odegrały tym razem główne role. W mgnieniu oka zabrały koce i futra z sanek, zamieniając je w miękkie posłania, na rozpalonych zaś piecykach przyrządziły kawę i herbatę. Gorące te napoje okazały się wielce pożądane przy zimnym mięsie. Po posiłku panowie zapalili fajki i reszta wieczoru minęła mile, mimo że na dworze termometr wskazywał 17 stopni mrozu.

Ale za to ci, którzy nie znaleźli schronienia w Sheep Camp, jakże cierpieć musieli! Ileż kobiet i dzieci, wyczerpanych już na początku podróży, miało nie doczekać jej kresu!

Przewodnik oświadczył, że wyruszą o świcie, aby wyprzedzić innych. Powietrze było pogodne, choć mroźne. Lecz gdyby nawet temperatura spadła jeszcze niżej, było to bardziej pożądane od zawiei śnieżnych lub gwałtownych wichrów, tak groźnych na północy Ameryki.

Namiot Jane i Edith był już zwinięty, gdy dwaj kuzyni wyszli ze swego. Zabrano się natychmiast do przyrządzania kawy, a po jej wypiciu zwinięto drugi namiot. Po czym cały dobytek bez pomocy mężczyzn złożony został na sanki i to w ten sposób, że każdy przedmiot zajmował jak najmniej miejsca i mógł być wyjęty bez naruszenia porządku. Ben Raddle, Summy Skim i sam Bill Stell byli tym zachwyceni. Ben nawet, widząc poczynania „wspólniczek”, zaczął się zastanawiać, czy umowa zawarta w celu szlachetnym, nie zamieni się ostatecznie w doskonały interes.

Summy zaś podziwiał w osłupieniu pracę młodych panien, towarzysząc im krok w krok z próżnymi

rękoma, gdyż spóźnionym jego usługom odmawiano ze śmiechem.

Wreszcie wyruszono w drogę, lecz nie posuwano się szybciej aniżeli wczoraj, pochyłość bowiem, w miarę jak osiągali szczyt góry, stawała się coraz uciążliwsza. Silne muły ledwie zdołały ciągnąć sanki po tym nierównym gruncie, pełnym kamieni, który w razie odwilży staje się nie do przebycia.

Po drodze spotykali ten sam hałaśliwy tłum, te same przeszkody tak utrudniające podróż, to samo nagromadzenie sanek, które zmuszało do bardzo nieraz długiego postoju, a niekiedy nawet do walki na pięści o możliwość dalszego podróżowania.

Na zboczach ścieżki leżały trupy mułów, coraz liczniejsze w miarę, jak posuwano się wyżej. Zwierzęta te padały, jedno po drugim, z zimna, zmęczenia i głodu, a psy w uprzęży, unosząc z sobą sanki, pomimo wysiłków powożących, rzucały się na ten niespodziewany żer z wyciem i zajadłością.

Widok jeszcze smutniejszy przedstawiały ciała imigrantów, zmarłych wskutek zimna i wyczerpania, a porzuconych pod drzewami lub na dnie przepaści. Spod śniegu wystawały nogi, ręce, czasem jakaś część ubrania, wskazując na szczątki, które uniesie pierwszy wiatr wiosenny. Z początku z przerażeniem spoglądano na te okropne widoki, powoli jednak przyzwyczajenie brało górę i otoczenie traciło na swej grozie.

Niekiedy rodziny całe, mężczyźni, kobiety, dzieci, zatrzymywały się, nie mogąc iść dalej, nie wzbudzając w nikim litości. Edith i Jane, jak również ich towarzysze, starali się pomóc tym biedakom, rozgrzewając ich kroplami wódki. Ale cóż to znaczyło dla tych nieszczęśliwych? Wkrótce trzeba było pozostawić ich na pastwę losu i kroczyć dalej tą cmentarną ścieżką.

Co pięć minut zatrzymywali się to dla wypoczynku mułów, to z powodu nagromadzenia sanek i ludzi. W niektórych miejscach wąwóz stawał się tak wąski, że dobytek niektórych imigrantów nie mógł się w nim pomieścić. Podstawowe części łodzi składanych były większe od szerokości ścieżki. Musiano je zdejmować z sanek i ciągnąć pojedynczo przy pomocy mułów. Stąd opóźniano znacznie posuwanie się innych podróżnych.

W niektórych miejscach zbocze było tak strome, że kąt jego nachylenia przekraczał czterdzieści pięć stopni. Pomimo podkucia stosowanego do lodu, zwierzęta stawały, nie chcąc ciągnąć dalej; dopiero używając nawoływań i bicia można je było zmusić do dalszej drogi, na której ich żelazne podkowy zostawiały głębokie ślady na zmarzniętej warstwie śniegu, zroszonej kroplami krwi.

Około piątej przewodnik zatrzymał karawanę. Wyczerpane muły nie były już zdolne do dalszej drogi. Z prawej strony wąwozu ciągnął się niewielki parów, w którym rosły gęsto drzewa iglaste. Pod ich osłoną namioty mogły znaleźć zabezpieczenie przed gwałtownym wichrem, którego należało się spodziewać wskutek podniesienia się temperatury.

Bill Stell nieraz spędzał noc w tym parowie, dlatego także obecnie zarządził tu postój.

— Czy przewidujesz burzę? — spytał Ben Raddle.

— Tak, w nocy — odpowiedział przewodnik. — Musimy zabezpieczyć się wszelkimi możliwymi

sposobami przed śnieżnymi burzami, które wpadają tu jak do lejka.

— Ale — zauważył Summy Skim — dzięki położeniu tego parowu będziemy tu bezpieczni.

— Dlatego też go wybrałem — rzekł Bill Stell.

Przewodnik się nie mylił. Zawieja, trwająca od siódmej wieczorem do piątej rano, była straszna. Klęby śniegu nie pozwalały dojrzeć nic na odległość dwu metrów. Z trudnością utrzymywano ogień w piecykach, wiatr bowiem wpędzał dym do środka, a zbieranie drewna wśród tej nawałnicy nie było rzeczą łatwą. Jeżeli namioty wytrzymały siłę wiatru, to tylko dzięki czuwaniu obydwu kuzynów, którzy drżeli na myśl, że namiot dziewcząt może zostać — zerwany.

Taki los spotkał większość namiotów ustawionych poza parowem, a gdy dzień nastał, można się było przekonać, jak znaczne szkody wyrządziła burza. Porwane zaprzęgi, rozrzucone we wszystkich kierunkach, poprzewracane sanie, niektóre z nich zepchnięte na dno otaczających drogę przepaści, w których znajdowały się rwące potoki; rodziny we łzach, błagające o pomoc, której nikt nie mógł udzielić — oto obraz tej prawdziwej klęski.

— Biedni ludzie... biedni ludzie... — szeptały panny. — Co się z nimi stanie?

— Nie nasza to rzecz — rzekł opryskliwie przewodnik, ukrywając swoją bezsilność pod pozorną nieczułością. — A ponieważ jesteśmy bezradni, najlepiej będzie, jeżeli oddalimy się stąd jak najprędzej.

Nie zwlekając też karawana wyruszyła w drogę.

Po burzy, z nagłością zwykłą w tych północnych krainach, wiatr zmienił kierunek i zaczął dąć z północnego wschodu, temperatura zaś spadła do 12 stopni poniżej zera. Gruba warstwa śniegu, pokrywająca grunt, zamarzła niebawem.

Krajobraz zmienił się. Poza stromizną, zamiast lasów widniały rozległe białe równiny, których blask wprost oślepiał. Podróżni nie zaopatrzeni w niebieskie szkła, zmuszeni byli do posypywania rzęs i powiek węglem drzewnym.

Ben Raddle i Summy Skim, idąc za radą przewodnika, zastosowali ten środek, lecz nie mogli namówić Edith i Jane, aby poszły za ich przykładem.

— W jaki sposób będzie pani poszukiwała złota, miss Jane, jeżeli będzie pani cierpiała na zapalenie oczu? — nalegał Ben.

— A co będzie z pielęgnowaniem chorych, miss Edith — dodał Summy — a choćby z nami, jestem bowiem przekonany, że jakieś nieszczęście spotka nas w tym diabelskim kraju i że pani będzie prędzej czy później naszą pielęgniarką w szpitalu w Dawson.

Perswazje obu kuzynów nie odniosły żadnego skutku. Panny wołały zasłonić się kapturami i zrezygnować chwilowo z patrzenia, niż oszpecać oczy w ten sposób. Mogło to służyć dowodem, że nawet u najbardziej wojowniczej feministki kokieteria nie traci na znaczeniu.

Wieczorem 29 kwietnia karawana zatrzymała się na szczycie Chilkoot, gdzie przewodnik rozłożył obóz. Nazajutrz miano przygotować się odpowiednio do zejścia z północnego stoku góry.

W tym miejscu, odkrytym i narażonym na wszelkie zmiany temperatury, zgromadziło się przeszło trzy tysiące imigrantów. Tu urządzają oni kryjówki, w których chowają część swego dobytku. Zejście z góry jest bowiem tak trudne, że można je odbyć bez wypadku tylko przy małym obciążeniu. Toteż wszyscy ci szaleńcy, którym miraż Klondike dodaje energii i wytrwałości nadludzkiej, zjeżdżają z góry z jednym pakunkiem, zostawiając go u podnóża, wracają po drugi i robią to piętnaście do dwudziestu razy w ciągu nieskończonej liczby dni. W tych poczynaniach psy oddają nieocenione usługi, czy to ciągnąc sanki czy też proste wołowe skóry, które łatwiej ślizgają się po śnieżnej, zamarznętej pochyłości.

Większość imigrantów, nie zważając na północny wiatr, dmący z całą gwałtownością i narażając się na tysięczne cierpienia przy zejściu ze wzgórza, zatrzymała się na północnym grzebieniu wąwozu.

Stąd nieszczęśliwi ci ludzie widzieli lub zdawało im się, że widzą przed sobą równiny Klondike. Rozciągała się u ich stóp ta ziemia przeobrażona w ich podnieconej wyobraźni w olbrzymie pole złota, gdzie kiełkowało dla nich i tylko dla nich samych bogactwo nieskończone, nadludzka potęga! I cała ich dusza wyrwała się do tej tajemniczej krainy, niesiona mocą swej żądzы, siłą cudownego snu, z którego większość ocknie się pod wpływem strasznego przebudzenia!

Bill Stell i jego karawana należeli do uprzywilejowanych, nie potrzebujących wracać kilkakrotnie, a tym samym urządzać sobie kryjówki na szczycie Chilkoot. Dostawszy się na równinę, podążą wprost do krańców jeziora Lindeman, odległego stąd zaledwie o kilka mil.

Tymczasem rozłożyli się obozem. Ostatnią noc spędzili jednak w najgorszych warunkach. Niespodziewanie temperatura się podniosła i burza zaczęła szaleć z całą gwałtownością. Namioty, nie mające osłony parowu, zostały kilkakrotnie uniesione z kołków, tak że trzeba je było zwinąć, aby nie zostały porwane przez śnieżną zawieję. Musiano zawinąć się w koce i czekać nadejścia świtu.

— Doprawdy — myślał Summy Skim — cała filozofia i wszyscy jej przedstawiciele starożytni i nowożytni nie wystarczyliby, aby uzbroić człowieka w cierpliwość wobec okropności podobnej podróży!

W rzadkich przerwach burzy rozlegały się krzyki bólu i trwogi lub najstraszniejsze przekleństwa. Jękiem ludzkim wtórowało szczekanie, ryk, rżenie zwierząt błądzących po płaskowzgórzu.

Wreszcie nastał świt. Bill Stell dał hasło do odjazdu. Zamiast mułów do sanek zostały zaprzężone psy, nikt jednak na saniach nie jechał. Ruszono niebawem.

Droga, dzięki doświadczeniu przewodnika, odbyła się bez wypadku, choć nie bez trudu. Dostano się szczęśliwie do równiny, leżącej u wyjścia z przełęczy Chilkoot. Pogoda sprzyjała. Wiatr zmienił kierunek na wschodni, temperatura się podniosła, choć na szczęście pozostawała poniżej zera, odwilż bowiem utrudniłaby znacznie drogę.

U podnóża góry imigranci czekali na zdążający za nimi ładunek. Miejsca było dość, a liczba

zebranych była mniejsza niż na płaskowzgórzu. Naokoło ciągnęły się lasy, osłaniające namioty.

Podróźni nasi spędzili tu noc. Nazajutrz wyruszyli w drogę do południowego krańca jeziora Lindeman, dokąd przybyli bez większego wysiłku około południa.

VIII

Na północ

Całe popołudnie tego dnia poświęcono na odpoczynek. Zresztą musiano się przygotować do przeprawy przez jeziora, do czego przewodnik przystąpił bezzwłocznie. Bill Stell był nieoceniony, a Summy Skim i Ben Raddle mogli sobie pogratulować wyboru tak przezornego i doświadczonego przewodnika.

Tabor Billa Stella przechowywany był u krańca jeziora Lindeman w obozowisku, w którym znajdowały się obecnie tysiące imigrantów. Miał on tam mały domek z drewna, składający się z kilku dobrze wyposażonych izb, do którego przylegały składy na sanki i inne pojazdy. W tyle znajdowały się obory i stajnie zwierząt pociągowych.

W tym czasie droga przez Chilkoot zaczynała być bardziej uczęszczana niż droga na White Pass, mimo że White Pass prowadzi prosto do jeziora Benett, omijając jezioro Lindeman. Przejazd przez to jezioro, czy było ono zamarznięte czy też nie, był łatwiejszy niż przez rozległe równiny i liczne wzgórza dzielące White Pass od południowego brzegu jeziora Benett. Miejsce wybrane przez przewodnika nabierało zatem z dnia na dzień coraz to większego znaczenia i przedstawiało interes daleko pewniejszy, niż eksploatacja pokładów Klondike.

Bill Stell zresztą nie był jedynym w swym zawodzie. Nie brakło mu współzawodników, zarówno nad jeziorem Lindeman, jak też przy jeziorze Benett. Można jednak było śmiało twierdzić, że tych przedsiębiorców pochodzenia amerykańskiego czy kanadyjskiego, było jeszcze za mało, zważywszy napływ imigrantów.

Wielu podróżnych nie udawało się ani do Billa Stella ani do jego kolegów ze względów oszczędnościowych, lecz za to musieli sami myśleć o przewozie swego ładunku ze Skagway oraz o naładowaniu na sanki łodzi składanych z drewna lub blachy. Widzieliśmy zaś z jakim trudem przeprawiali się oni przez Chilkoot wraz ze swym ciężkim balastem. To samo miało ich czekać na White Pass i zarówno tu jak i tam większa część ładunku ulegnie zapewne zniszczeniu.

Niektórzy jednak, chcąc uniknąć kłopotu lub kosztów przewozu łodzi, wolą nabyć je na miejscu lub budować sami. W tej lesistej okolicy nie brakuje materiału do ich budowy a kilka warsztatów i tartaków funkcjonuje nawet koło obozowiska nad jeziorem Lindeman.

Gdy Bill Stell zjawił się ze swoją grupą, na jego spotkanie wyszli pomocnicy; kilku ludzi, których używał jako sterników, prowadzących łodzie od jeziora do jeziora aż do samego Jukonu. Można było ufać ich sprawności; zaznajomieni byli w zupełności z tą trudną żeglugą.

Temperatura znów się obniżyła, więc nasi podróżni byli bardzo zadowoleni z wygodnych izb, które znalazły się dla nich w domku przewodnika.

Po krótkim odpoczynku wszyscy zebrali się we wspólnej izbie, gdzie panowało miłe ciepło.

— Uff! — rzekł Summy siadając. — Najgorsze za nami!

— Cóż — odezwał się Bill Stell. — Co do trudów... tak, być może... Mamy jednak nadal przed sobą kilkaset mil do przebycia, zanim dostaniemy się do Klondike.

— Wiem o tym — odrzekł Summy Skim — ale przypuszczam, że ta druga część podróży odbędzie się bez niebezpieczeństw i zmęczenia.

— W tym pan się myli — odparł przewodnik.

— A przecież będziemy tylko płynęli jeziorami, rzeczkami i rzekami.

— Byłoby tak w istocie, gdyby minęła pora zimowa. Na nieszczęście kra nie ruszyła jeszcze, a gdy rozpocznie się pęknięcie lodów, łódź nasza będzie nieraz w niebezpieczeństwie wśród pływającej kry i często będziemy zmuszeni do uciążliwego przenoszenia łodzi na ląd.

— Stanowczo, nie brak tu roboty przeszkadzającej temu, aby turyści mieli wygodną podróż w tym wstrętnym kraju!

— Przyjdzie to z czasem — rzekł Ben Raddle. — Już teraz mówią o budowie kolei żelaznej. Podobno dwa tysiące ludzi ma na niej pracować pod kierunkiem inżyniera Hawkinsa.

— Niech budują! — zawołał Summy Skim. — Mam jednak nadzieję, że powrócę zanim skończą. Nie liczymy na tę planowaną kolej, a lepiej zbadajmy, jeżeli chcecie, naszą drogę tak, jak się ona przedstawia obecnie.

Na te słowa przewodnik rozłożył dość prymitywną mapę okolicy.

— Oto najpierw — mówił — jezioro Lindeman, które leży u podnóża Chilkoot i które mamy przepłynąć wzdłuż.

— Czy to długo potrwa? — spytał Summy.

— Nie — odpowiedział przewodnik — jeżeli jego powierzchnia jest całkiem zamarznięta lub też zupełnie bez lodu.

— A dalej? — spytał Ben Raddle.

— Dalej będziemy musieli ciągnąć łódź i bagaż pół mili do jeziora Benett. Tam również czas trwania podróży zależy od temperatury, panowie zaś przekonali się, jak może być ona zmienna.

— Istotnie — potwierdził Ben Raddle — zmienia się o dwadzieścia lub dwadzieścia pięć stopni, zależnie od tego czy wiatr jest północny czy południowy.

— Słowem — dodał Bill Stell — potrzebna nam jest odwilż ułatwiająca żeglugę lub mróz ścinający śnieg, po którym łódź ślizgałaby się jak sanki.

— Wreszcie — rzekł Summy Skim — dostajemy się do jeziora Benett...

— Ciągnie się ono — tłumaczył przewodnik — dwanaście mil. Lecz przebyć go nie można prędzej niż w trzy dni z powodu koniecznych postojów.

— A poza tym czy trzeba ciągnąć jeszcze łódź po ziemi?

— Nie, gdyż potok Caribou, długi na milę, łączy jezioro Benett z jeziorem Tagish, które ciągnie się siedem czy osiem mil i wpada do jeziora Marsh tej samej prawie długości. Przepłynąwszy to jezioro, musimy przebyć rzeką dziewięć do dwunastu mil i podczas tej drogi spotykamy wodospady White Horses, trudne, a nieraz niebezpieczne do przebycia. Następnie dostajemy się do dopływu rzeki Tahkeena na początku jeziora Labarge. W tej części drogi nastąpić mogą największe opóźnienia, gdyż trzeba będzie płynąć wodospadami White Horses. Zdarzało mi się zatrzymać przez cały tydzień w górnej części jeziora Labarge.

— A czy to jezioro zdatne jest do żeglugi?

— Na całej długości trzynastu mil — odpowiedział Bill Stell.

— Słowem — zauważył Ben Raddle — za wyjątkiem kilku przenoszeń łodzi lądem, zawiezie nas ona do Dawson.

— Bezpośrednio — odpowiedział Bill Stell — a zważywszy wszystko, podróż wodą jest najłatwiejsza.

— A przez rzeki Lewisi Jukon — spytał Ben Raddle — jaka odległość dzieli jezioro Labarge od Klondike?

— Sto pięćdziesiąt mil w przybliżeniu, wliczając w to zakręty.

— Widzę z tego, że daleko jeszcze do celu — zauważył Summy Skim.

— Zapewne — rzekł przewodnik. — Skoro dostaniemy się do Lewis, przy północnym krańcu jeziora Labarge, będziemy dopiero w połowie drogi.

— A zatem — zakończył Summy Skim — przed tą długą podróżą nabierzmy sił, ponieważ zaś mamy sposobność spędzenia dobrej nocy na postoju przy jeziorze Lindeman, idźmy spać.

Istotnie, była to jedna z najlepszych nocy, którą spędzili kuzynowie od wyjazdu z Vancouver. Dobrze napalone piece utrzymywały miłe ciepło w starannie wyposażonym domku.

Nazajutrz, 1 maja o dziewiątej, wyruszono w drogę. Przewodnikowi towarzyszyli niektórzy z jego ludzi, odbywający wraz z nim drogę ze Skagway. Potrzebni mu byli do przewiezienia łodzi zamienionej w sanki, zanim popłyną jeziorami, a w dalszym ciągu rzekami Lewis i Jukon.

Zabrali ze sobą również psy pociągowe rasy kanadyjskiej. Zwierzęta te, doskonale przystosowane do warunków kraju, mają łapy pozbawione sierści, co czyni je podatnymi do biegania po śniegu bez

obawy ugrzęźnięcia w nim. Nie można ich oswoić, toteż przewodnicy musieli je poskramiać biczem.

Do karawany Billa Stella przyłączył się sternik, mający kierować przeprawą wodną. Był to Indianin z Klondike, nazwiskiem Neluto, przydzielony do służby u przewodnika od lat dziewięciu. Bardzo biegły w swym zawodzie, zaznajomiony ze wszystkimi niebezpieczeństwami żeglugi, wzbudzał pełne zaufanie. Zanim poznał się z przewodnikiem, oddawał liczne usługi Kompanii Hudsonskiej, prowadząc poszukiwaczy futer przez te rozległe tereny. Znał dokładnie cały kraj, a nawet całą okolicę ciągnącą się przez Dawson do koła podbiegunowego.

Neluto znał angielski na tyle, że z łatwością mógł się nim porozumieć. Zresztą poza sprawami zawodowymi nie rozmawiał wcale i trzeba było wydobywać zeń każde słowo. Przyzwyczajony do miejscowego klimatu, mógł nieraz służyć swym doświadczeniem, toteż Ben Raddle uważał za pożądane spytać go, czy pęknięcie lodów na jeziorach jest już bliskie.

Neluto oświadczył, nie przewiduje odwilży ani pęknięcia lodów przede dwoma tygodniami, o ile nie zajdzie gwałtowna zmiana atmosferyczna, co nie jest wykluczone w tych północnych krainach.

Ben Raddle mógł z tego nieco mglistego powiedzenia wyciągnąć dowolne wnioski. W każdym razie nie starał się już dowiedzieć niczego więcej od człowieka, który nie miał zamiaru się kompromitować.

O ile przyszłość była niepewna, o tyle teraźniejszość nie przedstawiała żadnych wątpliwości. Podróż nie miała być żegluga, lecz przeprawą łodzi, ślizgającej się po lodzie jeziora Lindeman. Tylko Jane i Edith miały w niej zasiąść.

Powietrze było spokojne, ostry wiatr północny, dający się we znaki poprzedniego dnia, zwrócił się na południe. Chłód jednak był dokuczliwy: 12 stopni poniżej zera, co sprzyjało podróży tak uciążliwej przy zawiei śnieżnej.

Około jedenastej stanęli u przeciwległej krawędzi jeziora Lindeman, a stąd przebyli w godzinę drogę, prowadzącą do południowego krańca jeziora Benett, gdzie znajdowało się miejsce postoju.

Znaleźli tu równie liczne zgromadzenie podróżnych, jak w Sheep Camp na górze Chilkoot. Kilka tysięcy imigrantów czekało na sposobność wyruszenia w dalszą drogę. Zewsząd widniały namioty, które zapewne niedługo ustąpią miejsca chatom i domom, o ile pielgrzymka do Klondike potrwa jeszcze kilka lat.

W tym zaczątku wsi, która stanie się może w przyszłości miasteczkiem lub miastem, już obecnie były zajazdy, mogące zamienić się w hotele, tartaki i warsztaty budowy statków rozrzucone po brzegach jeziora, nie mówiąc już o posterunku policji, narażającej swe życie wśród tego zbiorowiska różnorodnych typów.

Indianin Neluto postąpił roztropnie, zastrzegając się co do ewentualnej zmiany pogody, gdyż po południu zmiana ta nastąpiła.

Wiatr dał z południa, termometr wskazywał zero stopni Celsjusza. Były to oznaki oczywiste końca

zimy, jak również pęknięcia lodów, a co za tym idzie swobodnej żeglugi po rzekach i jeziorach.

Jezioro Benett już teraz nie było całkiem zamrożone. Pomiędzy polami lodowymi widniały płaszczyzny wody, zdatne do żeglugi, o ile komu nie zależy na czasie.

Wieczorem temperatura podniosła się jeszcze; odwilż się wzmogła, kra zaczęła się odrywać od brzegów i płynąć na północ. O ile by więc noc nie przyniosła zmiany, podróżni mogliby z łatwością osiągnąć północny kraniec jeziora.

Temperatura nie spadła w nocy i Bill Stell 2 maja o wschodzie słońca stwierdził, że żegluga odbyć się może w warunkach dość pomyślnych. Wiatr, dmący z południa, o ile nie zmieni kierunku, pozwoli posługiwać się żaglem.

Gdy przewodnik o świcie chciał się zająć ładowaniem łodzi, z niemałym zdziwieniem stwierdził, że wszystko jest już załatwione. To Edith i Jane zajęły się tym. Pod ich nadzorem wszystkie bagaże załadowane zostały ze sprawnością, jakiej przewodnik nie osiągnąłby nigdy. Najmniejszy kącik był wykorzystany, wszystkie pakunki od najmniejszego do największego ułożone zostały symetrycznie, tak że łatwo było się do nich dostać i przyjemnie na nie patrzeć.

Zobaczywszy obu kuzynów, Bill Stell wyraził im zdziwienie, którego doznał na widok naładowanej łodzi.

— Tak — rzekł Ben Raddle — obydwie panie są zadziwiające. Żywość, niezmienny humor miss Jane oraz nieprzejednana, a jednak łagodna stanowczość miss Edith, mają w sobie coś nadzwyczajnego i zaczynam sądzić, że przypadkiem zrobiłem dobry interes.

— Jaki interes?

— Nie rozumiałbyś. Ale powiedz mi — spytał Ben Raddle, odwracając się.

— Nie chciałbym powiedzieć nic stanowczego. Zdaje mi się jednak, że lód prędko stopi się na jeziorach i rzekach. Zresztą, płynąc pomiędzy krami, choćbyśmy nawet mieli przedłużyć podróż, łódź nasza...

— Nie opuści swego rodzimego żywiołu — dokończył Summy Skim. — O to właśnie chodzi.

— A co o tym myśli Neluto? — spytał Ben Raddle.

— Neluto myśli — oświadczył poważnie Indianin — że nie trzeba się obawiać, aby odwilż ustała, o ile temperatura nie spadnie.

— Bardzo dobrze! — rzekł Ben Raddle, śmiejąc się. — Nie skompromitujesz się nigdy, mój chłopcze, lecz czy nie należy obawiać się kry?

— Och! Łódź jest mocna — zapewnił Bill Stell. — Dała zresztą tego dowody, płynąc nieraz wśród lodów.

Ben zwrócił się do Indianina.

— A co, Neluto, nie chcesz powiedzieć nam jasno swego zdania?

— Dwa dni temu ruszyła pierwsza kra — odpowiedział sternik. — Jest to dowód, że górna część jeziora jest wolna od lodu.

— Tak to rozumiem — rzekł Ben zadowolony — to przynajmniej jasne. A o wietrze, sterniku, co myślisz?

— Zerwał się na dwie godziny przed świtem i jest dla nas pomyślny.

— To też jasne, sterniku. Ale czy będzie trwał?

Neluto obrócił się i spojrział na południową stronę horyzontu, kończącego się górą Chilkoot. Na zboczach góry widniały zaledwie lekkie opary. Wyciągając rękę w tym kierunku, rzekł:

— Zdaje mi się, że wiatr dotrwa do wieczora...

— Bardzo dobrze!

— ...O ile się nie zmieni za chwilę — zakończył Neluto najpoważniej w świecie.

— Dziękuję, sterniku — odparł Ben urażony. — Teraz wiem, czego się trzymać.

Łódź przewodnika była raczej barką długą na trzydzieści pięć stóp. W tylnej części znajdowała się budka, gdzie mogły się schronić dwie lub trzy osoby, czy to w nocy, czy dniem przed zawieją śnieżną lub deszczem. Statek ten o dnie płaskim był szeroki na sześć stóp, co pozwalało mu utrzymać dość duży żagiel. Skrojony na kształt średniego żagla szalup rybackich, żagiel ten przymocowany był do krańca dziobowej części statku i wznosił się na końcu małego piętnastostopowego masztu. W razie niepogody można było z łatwością wyjąć maszt z osady i położyć go na ławkach.

Łódź tego rodzaju nie mogłaby wytrzymać wiatru wiejącego pod ostrym kątem, ale przy ukośnym zyskiwała nawet. Gdy zawirowania wody wśród pól lodowych zmuszały sternika do przeciwstawiania się kierunkowi wiatru, zwijano żagiel i brano się do wiosł, które w silnych rękach czterech Kanadyjczyków przyczyniały się do przyśpieszenia żeglugi.

Powierzchnia jeziora Benett nie jest znaczna. Nie można by go porównać z rozległymi jeziorami na północy Ameryki, na których szaleją gwałtowne burze. Nie ulega wątpliwości, że do tej podróży w zupełności wystarczyła ilość żywności zabrana przez przewodnika, na którą składały się konserwy mięsne, biszkopty, herbata, kawa i beczułka wódki. Zabrano też zapas węgla do piecyka. Liczono zresztą na połów ryb, w które obfitują te wody, jak również na zwierzynę, taką jak kuropatwy i jarzabki, spotykaną często na brzegach jeziora.

O ósmej podróznicy opuścili wybrzeże. Edith i — Jane usiadły w budce, Neluto stanął u steru, Summy Skim i Ben Raddle usadowili się przy Billu Stellu u wejścia do budki, czterej zaś ludzie stanęli na przedzie łodzi, aby bosakami usuwać krę.

Żegluga była utrudniona z powodu znacznej liczby płynących barek. Korzystając z pomyślnej pogody, kilkaset łodzi wyruszyło z postoju przy jeziorze Benett. Wśród tej licznej flotyli trudno było uniknąć kolizji, które wywoływały najprzeróżniejsze przekleństwa, groźby, a nawet bójki.

Po południu spotkano łódź policyjną. Miała ona dość roboty w tym hałaśliwym tłumie.

Dowódca oddziału policyjnego znalazł przewodnika, wszczął więc z nim rozmowę.

— Witaj, Billu... Imigranci przybywają wciąż ze Skagway, ciągnąc do Klondike.

— Tak — odrzekł Kanadyjczyk — jest ich więcej niż potrzeba.

— I więcej, niż stamtąd powróci...

— To pewne! Ilu przebyło już jezioro Benett?

— Prawie piętnaście tysięcy.

— I to nie wszyscy!

— Daleko do końca.

— Czy kra ruszyła w dół?

— Tak mówią. Możecie więc dostać się do Jukonu, żeglując.

— Tak, o ile nie będzie mrozu.

— Miejmy nadzieję.

— Tak... Do widzenia.

— Szczęśliwej podróży!

Powietrze było spokojne, łódź przeto nie mogła szybko płynąć. Po dwu nocnych postojach zatrzymała się dopiero po południu 4 maja na krańcu jeziora Benett, skąd wypływa rzeczka, a raczej kanał Caribou, sięgający w odległości niecałej mili do jeziora Tagish.

Ponieważ wyruszyć mieli dopiero nazajutrz, Summy Skim skorzystał ze sposobności, aby wybrać się na polowanie na sąsiednich równinach. Ale jakie było jego zdziwienie, a jeszcze większa radość, kiedy Jane oświadczyła, że jest gotowa mu towarzyszyć.

Dzielna ta dziewczyna, tak dobrze przygotowana do życia, wzbudzała podziw swych towarzyszy podróży. Jeżeli Summy Skim był dobrym myśliwym, Jane Edgerton nie ustępowała mu wcale, toteż oboje wrócili wkrótce z obfitą zdobyczą, składającą się z trzech par kuropatw i czterech jarząbków o opierzeniu bladozielonym. Edith przez ten czas przygotowała na wybrzeżu ognisko z suchego drewna i zwierzyna upieczona na odpowiednim płomieniu okazała się doskonałą.

Jeziro Tagish, długości siedem i pół mili, łączy się z jeziorem Marsh, wąskim kanałem, na razie całkowicie zatamowanym krą. Trzeba więc było ciągnąć łódź po ziemi, wprzęgnawszy do tego muły. Dopiero nazajutrz, 7 maja, mogli płynąć dalej.

Dwie doby zeszyły na przepłynięcie całej długości jeziora Marsh, mimo że nie ma ono więcej niż siedem do ośmiu mil. Wiatr dał z północy, nie można więc było liczyć na szybką przeprawę. Na szczęście statków było mniej niż na jeziorze Benett, gdyż pewna ich liczba została w tyle, dotrzeć więc mogli do krańca jeziora 8 maja przed zachodem słońca.

— O ile się nie mylę — odezwał się Ben Raddle po kolacji — pozostaje nam tylko jedno jezioro do przebycia?

— Tak — odrzekł przewodnik. — Jezioro Labarge. Ale przedtem musimy przepłynąć rzekę Lewis, a ona właśnie stanowi najbardziej uciążliwą część końca podróży. Musimy przepłynąć wodospady White Horses, w których zginęła niejedna łódź wraz z całym dobytkiem podróżnych.

Te wodne prądy stanowią istotnie najniebezpieczniejszą część podróży między Skagway a Dawson. Zajmują one trzy i pół kilometra z osiemdziesięciu pięciu dzielących jezioro Marsh od jeziora Labarge. Na — tej krótkiej odległości różnica poziomu nie jest mniejsza niż trzydzieści dwie stopy, a łóżysko rzeki pokryte jest skałami, o które rozbić się mogą płynące łodzie.

— Czy nie można by iść wybrzeżem? — spytał Summy Skim.

— Nie jest ono dostępne. Ale budują już wyciąg, którym będą prowadzić w dół wodospadów naładowane łodzie.

— Budują ten wyciąg, więc nie jest on jeszcze skończony?

— Istotnie, mimo że pracują przy nim setki robotników.

— Nie potrzebujemy się więc nim zajmować. Jestem pewien, że nie będzie jeszcze skończony, gdy powrócimy.

— O ile nie zostaną panowie dłużej niż przypuszczacie. Wiadomo, kiedy się jedzie do Klondike; nie wiadomo, kiedy się wraca...

— Ani nawet, czy w ogóle się wróci! — odpowiedział Summy Skim z przekonaniem.

9 maja po południu łódź płynąca rzeką, dotarła do White Horses. Nie tylko ona jedna przybyła. Ciągnęły za nią inne łodzie, ale ileż z nich miało zostać w drodze!

Nie można się dziwić, że sternicy w tej miejscowości żądają za przewóz wysokiej zapłaty stu pięćdziesięciu franków i że nie myślą wcale o porzuceniu tak zyskownego rzemiosła dla tak niepewnego, jakim jest poszukiwanie złota.

W tym miejscu szybkość prądu wynosi około pięciu mil na godzinę. Można by więc przepłynąć prędko te trzy i pół kilometra, gdyby nie zakręty wśród bazaltowych skał, rozrzuconych między obu

brzegami i omijanie kry, której uderzenie roztrzaskałoby najmocniejszą nawet barcę, przedłużając niezmiernie przeprawę.

Łódź z pomocą wiosł musiała kilkakrotnie skręcać pod groźbą spotkania się czy to z krą, czy to z inną barką i tylko dzięki sprawności Neluta wyszła zwycięsko z przeprawy. Ostatni wodospad jest najbardziej niebezpieczny i tam właśnie najczęściej zdarzają się wypadki. Trzeba się mocno trzymać ławek, aby nie wpaść do wody. Lecz Neluto miał pewną rękę, wzrok bystry, zimną krew i choć nie mógł uniknąć parokrotnego zalania łodzi, tym niemniej przeprowadził podróżnych bez szwanku.

— A teraz — zawołał Summy Skim — czy przebyliśmy już najtrudniejszą część podróży?

— Nie ulega wątpliwości — odrzekł Ben Raddle.

— Istotnie — oświadczył przewodnik. — Pozostaje do przebycia tylko jezioro Labarge i rzeka Lewis na przestrzeni w przybliżeniu stu sześćdziesięciu mil...

— Sto sześćdziesiąt mil! — powtórzył Summy Skim ze śmiechem. — To tak, jak byśmy już przybyli na miejsce.

Bill Stell zgodnie z Neluto zdecydowali, że należy się zatrzymać na dobę nad jeziorem Labarge, do którego dopłynęli 10 maja. Wiatr północny dał gwałtownie. Łódź z trudnością wypłynęła na otwartą wodę, więc sternik nie był skłonny do dalszej wyprawy, tym bardziej że spadek temperatury groził łodzi uwięzieniem wśród lodu...

Stacja jeziora Labarge, utworzona dla tych samych celów, co postoje na jeziorach Lindeman i Benett, składała się z kilkuset chatek i domów. W jednym z nich, uchodzącym za hotel, podróżni dostali kilka wolnych pokoi.

Jezioro Labarge, długości około pięćdziesięciu kilometrów, składa się z dwu części złączonych w miejscu, gdzie wypływa rzeka Lewis.

12 maja podróżni wyruszyli w dalszą drogę. Przeprawa przez pierwszą część jeziora trwała półtorej doby, toteż dopiero po południu 13 maja osiągnęli, wśród nieustającej nawałnicy, rzekę Lewis płynącą w kierunku północno — wschodnim do Fort Selkirk. Nazajutrz, nie zważając na krę, ruszyli w dalszą drogę.

O godzinie piątej przewodnik uznał za wskazane zatrzymać się przy prawym brzegu rzeki, na którym miano przenocować. Jane i Summy wylądowali i wkrótce dały się słyszeć strzały. Niebawem wrócili przynosząc zdobycz w postaci kilku par kaczek i jarząbków, co pozwoliło zaoszczędzić konserwy mięsne.

Zresztą ten nocny postój nie był tylko udziałem Billa Stella i jego grupy. Inne barki poszły za jego przykładem i na brzegu rzeki rozpalono liczne ogniska.

Odtąd odwilż trwała niezmiennie. Pod wpływem wiatrów zachodnich termometr wskazywał stale od pięciu do sześciu stopni powyżej zera. Obawa więc, aby rzeka nie zamarzała, zniknęła w zupełności.

Noc minęłaby spokojnie — w okolicach rzeki Lewis ku zmartwieniu Skima nie ma bowiem niedźwiedzi, na które by z przyjemnością zapolował — gdyby nie miliardy komarów, kęsających dotkliwie. Musiano przeto zamiast wypoczynku zająć się podtrzymywaniem ognia aż do świtu.

15 maja, po przepłynięciu około pięćdziesięciu kilometrów, podróżni zobaczyli rzeczkę Hootalinqua, nazajutrz — Big Salmon, dwa dopływy rzeki Lewis, które swą odmienną barwą odróżniają się od niebieskiego zabarwienia głównej rzeki. Następnego dnia łódź przepłynęła przed ujściem rzeczki Walsh, obecnie opuszczonej przez poszukiwaczy; wreszcie dotarła do Cassiar, mielizny ukazującej się przy opadnięciu wód, na której kilku poszukiwaczy zebralo w przeciągu miesiąca złoto wartości trzydziestu tysięcy franków.

Podróży towarzyszyła zmienna pogoda. Łódź poruszały to wiosła, to żagle, nieraz musiano nawet ciągnąć ją liną na bardzo zawiłych zakrętach.

25 maja, większa część rzeki Lewis, mającej wkrótce zmienić się w rzekę Jukon, została pomyślnie przebyta. Podróżni zatrzymali się przy obozowisku Turenne, rozłożonym na urwistym brzegu, pokrytym w tym czasie pierwszymi letnimi kwiatami. Musiano się tu zatrzymać całą dobę, łódź bowiem wymagała naprawy. Summy Skim skorzystał z tego postoju, aby oddać się swemu ulubionemu zajęciu.

Przez następne dwa dni, dzięki prądowi o szybkości czterech węzłów na godzinę, łódź mogła płynąć dość szybko. 28 maja po południu, minawszy labirynt wysp Myersall, podróżni nasi zbliżyli się do lewego brzegu, aby zatrzymać łódź przy Fort Selkirk.

Fort ten, zbudowany w 1848 roku dla Kompanii Hudsonskiej, a zburzony w roku 1852 przez Indian, jest obecnie tylko dobrze zaopatrzonym bazarem. Otoczony szałasami i namiotami imigrantów, panuje nad tą wielką arterią, która odtąd nosi nazwę Jukonu. Z prawej strony tej rzeki wpada jej główny dopływ — Pelly.

Przewodnik, wprawdzie po wysokich cenach, dostał w Fort Selkirk wszystko, co było mu potrzebne. Po dwudziestoczterogodzinnym postoju w tej miejscowości, 30 maja rankiem wyruszyli dalej i przepłynęli koło dopływu rzeki Stewart, gdzie już osiedli imigranci i gdzie na odcinku trzystu kilometrów ciągnęły się działki. Następnie łódź odbyła w południe postój w Ogilvy, na prawym brzegu Jukonu.

Rzeka stawała się coraz szersza i łodzie mogły już poruszać się bez trudu wśród gęstej kry, która spływała w kierunku północnym.

Wreszcie, 3 czerwca po południu, minawszy ujścia rzek Indian i Sixty Miles Creek, znajdujące się naprzeciw siebie o czterdzieści osiem kilometrów od Dawson, podróżni nasi dotarli do stolicy Klondike.

W chwili gdy wylądowali, Jane zbliżyła się do Bena, podając mu kartkę wyrwaną z notesu, na której napisała kilka słów.

— Pan pozwoli, panie Raddle, że wręcę mu pokwitowanie.

Ben, wzięwszy kartkę, przeczytał co następuje:

„Niniejszym potwierdzam odbycie wygodnej podróży ze Skagway do Dawson, którą — stosownie do umowy — umożliwił mi pan Ben Raddle.

Jane Edgerton”

— Wszystko w porządku — rzekł Ben Raddle z flegmą, najpoważniej w świecie chowając kartkę do kieszeni.

— Panowie pozwolą — rzekła Jane, zwracając się tym razem do obu kuzynów — że do tego pokwitowania dołączę w imieniu Edith i swoim podziękowanie za życzliwą pomoc i opiekę podczas podróży, za co, przypuszczam, będę mogła się kiedyś odwdziaczyć.

Po tych słowach Jane podała rękę Benowi, po czym wyciągnęła ją do Summy Skima, który nie ukrywając wzruszenia zatrzymał ją w swych dłoniach.

— Jak to!... Jak to... miss Jane — rzekł Summy, oszołomiony. — Pani nas naprawdę opuści?

— Czy może pan w to wątpić? — rzekła Jane ze zdziwieniem. — Czy może być inaczej?

— Tak, tak — przyznał Summy. — Ale mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze.

— Przypuszczam, że to nie zależy ode mnie, tylko od okoliczności związanych z poszukiwaniem złota.

— Poszukiwanie złota... — zauważył Summy. — Więc pani nie porzuciła tej szalonej myśli! Jane nagłym ruchem wysunęła rękę z jego dłoni.

— Nie wiem, dlaczego mój zamiar miałby być szalonym — odrzekła urażonym tonem. — Nie przypuszcza pan chyba, że przybyłam do Dawson, aby zmienić nagle zdanie na podobieństwo chorągiewki na dachu... Tym bardziej, że zaciągnęłam zobowiązania, którym nie uchybię — dodała, zwracając się — do Bena Raddle’a.

U Summy Skima przeważała widocznie strona uczuciowa, gdyż nie zastanawiając się nad niczym, odczuwał głęboki żal.

— Zapewne, zapewne — szeptał bez przekonania, podczas gdy dwie kuzynki oddaliły się pewnym krokiem w kierunku szpitala.

IX

Klondike

Część Ameryki Północnej, objęta wodami dwu oceanów, Lodowatego i Spokojnego, a nosząca nazwę Alaski, jest krainą rozległą. Obejmuje ona nie mniej niż sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych. Rosyjski car, zarówno przez sympatię dla Stanów Zjednoczonych, jak przez antypatię dla Wielkiej Brytanii, odstąpił półwysep Stanom Zjednoczonym, które odtąd zrobiły krok naprzód w urzeczywistnieniu sławnej doktryny Monroego: Ameryka dla Amerykanów.

Kraina ta, zroszona rzeką Jukon, na poły kanadyjska, na, poły alaska, położona poza kołem podbiegunowym, posiadająca ziemie niezdatne do żadnej uprawy, ma mało warunków do eksploatacji innej niż wykorzystanie jej złotodajnych pokładów.

Nie należy jednak zapominać, że Alaska, obejmująca też wyspy Baranów, Admiralskie, Księcia Walii, jak również Aleuty, ma niezmiernie rozległe wybrzeże, na którym znajdują się liczne porty, począwszy od Sitka, stolicy stanu Alaska, aż do St. Michel, przy ujściu Jukonu, jednej z największych rzek świata.

Sto czterdziesty pierwszy południk został przyjęty jako linia demarkacyjna między Alaską i państwem Kanady. Co zaś do granicy południowej, to jest ona wielce zawiła i przez to nie może być dokładna.

Przypatrzwszy się mapie Alaski, zauważymy że kraj ten jest po większej części równiną. Tylko jego południowa część jest górzysta. Tu ciągnie się łańcuch gór, który ma swe przedłużenie w Kolumbii Brytyjskiej i Kalifornii pod nazwą Cascade Ranger.

Szczególną uwagę zwraca bieg Jukonu. Rzeka ta, płynąc w Kanadzie w kierunku północnym i nawadniając ją siecią wodną swych dopływów, na obszarze Alaski zakreśla linię krzywą do Fort Jukon, po czym skręca na południowy wschód i wreszcie koło St. Michel wpada do Morza Beringa.

Jukon przewyższa rzekę Mississipi, „ojca wód”. Niesie nie mniej niż dwadzieścia trzy tysiące metrów sześciennych wody na sekundę, jej długość sięga dwu tysięcy dwustu dziewięćdziesięciu kilometrów, zaś dorzecze jest dwa razy większe od terytorium Francji.

Ziemie, przez które płynie ta wielka rzeka, nie są zdatne do uprawy, ale za to w większej części pokryte drzewami. Ciągną się tu nieprzebyte lasy żółtych cedrów, które mogłyby wystarczyć dla całego świata, o ile wyczerpałyby się lal bardziej dostępne. Fauna zaś składa się z niedźwiedzi, łosi, reniferów karibu, osobliwego gatunku reniferów thebai — owcy górskiej, jak również licznie reprezentowanej zwierzyny pierzastej, jak jarzabki, drozdy, kuropatwy śnieżne i kaczki, mnożące się w niezmiernych ilościach.

Wody tutejsze obfitują w morskie ssaki i wszelkiego rodzaju ryby. Jeden z ich gatunków, zwany harlatan, zasługuje na osobną wzmiankę. Ryba ta ma w sobie tyle tłuszczu, że można ją bez żadnych

zabiegów zapalać jak pochodnię. Stąd nazwa Candle Fish, nadana jej przez Amerykanów.

Alaska, odkryta przez Rosjan w 1730 roku, a zbadana w roku 1741, licząca wtedy nie więcej niż trzydzieści trzy tysiące mieszkańców, przeważnie Indian, jest obecnie zaludniona przez wielką liczbę imigrantów i poszukiwaczy złota, których od kilku lat przyciągają kopalnie Klondike.

O kopalniach tych usłyszano po raz pierwszy w roku 1864. W tym roku wielebny Mac Donald znalazł w małej rzece w pobliżu Fort Yukon duże zasoby złotego proszku.

W roku 1882 eksploatację nowych pokładów w Chilkoot podejmuje grupa dawnych poszukiwaczy złota z Kalifornii, a wśród nich bracia Boswell.

W roku 1885 zbierający złoty piasek w okolicy Lewis — Yukonu, odkrywają nowe pokłady przy Forty Miles Creek, nieco poniżej późniejszego miasta Dawson, prawie w tym samym miejscu, w którym później działkę 129 nabył Josias Lacoste. W dwa lata później, gdy rząd kanadyjski wyznaczył w tej okolicy granicę, poszukiwacze wydobyli tu złoto wartości sześciuset tysięcy franków.

W 1892 roku North American Trading and Transportation Company z Chicago, zakłada miasteczko Cudahy przy zbiegu rzek Forty Miles Creek i Yukon. W tym samym czasie trzynastu policjantów, czterech podoficerów i trzech oficerów pilnujących robót, zbiera na działkach Sixty Miles Creek, nieco powyżej Dawson, złoto warte półtora miliona franków.

Impuls został nadany; poszukiwacze zaczęli napływać ze wszystkich stron. W roku 1895 tysiąc Kanadyjczyków, z pochodzenia Francuzów, przeprawia się przez Chilkoot.

Lecz dopiero w 1896 roku sława kopalni dosięga szczytu. Odkryto rzekę o niesłychanym bogactwie. Rzeka ta to Eldorado, jeden z dopływów Bonanzy, będącej z kolei dopływem rzeki Klondike, która z kolei jest dopływem Yukonu. Wtedy to zaczął się największy napływ poszukiwaczy złota. W Dawson cena działek sprzedawanych za dwadzieścia pięć franków podniosła się niebawem do stu pięćdziesięciu tysięcy.

Obszar, któremu przysługuje nazwa Klondike, jest tylko jednym z okręgów Kanady. Sto czterdziesty pierwszy południk, stanowiący linię demarkacyjną między Alaską a posiadłościami Wielkiej Brytanii, jest również zachodnią granicą tego okręgu.

Z północy graniczy on z dopływem Yukonu, rzeką Klondike, która dopływa do Dawson, dzieląc je na dwie nierówne części.

Ze wschodu zaś graniczy z tą częścią Kanady, w której zaczynają się pierwsze rozgałęzienia Gór Skalistych i gdzie Mackenzie płynie z południa na północ.

W centrum okręgu wznoszą się wysokie wzgórza, z których najwyższe — Dome zostało odkryte w 1897 roku. Są to jedyne wyniosłości tego na ogół płaskiego terenu, na którym rozchodzi się sieć wodna Yukonu. Większość dopływów tej rzeki niesie okruchy złota i ma na swych brzegach setki działek. Lecz grunt złotodajny w całym znaczeniu tego słowa, to dorzecze Bonanzy, która wypływa ze wzgórz Cormack i jej licznych dopływów, takich jak Eldorado, Queen, Bulder, American, Pure Gold,

Cripple, Tail itd.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego do tej krainy, obfitującej w rzeki i rzeczki, nie pokryte lodem przez całe trzy lub cztery miesiące letnie, a także w pokłady względnie łatwe do eksploatacji, napływają gromadnie poszukiwacze złota i dlaczego ich liczba zwiększa się z roku na rok pomimo trudów, nędzy i rozczarowań podróży.

W miejscu, gdzie rzeka Klondike wpada do Jukonu, lat temu kilka istniało tylko bagno zalewane podczas wylewów. Kilka szałasów Indian, zbudowanych na wzór izb rosyjskich, gdzie mieszkały rodziny tubylców, ożywiało tę samotną krainę.

Przy zbiegu tych dwu rzek Kanadyjczyk nazwiskiem Leduc, założył pewnego dnia miasto Dawson, które w roku 1890 liczyło już ponad osiemnaście tysięcy mieszkańców.

Początkowo Leduc podzielił miasto na działki, które sprzedawał po dwadzieścia pięć franków, te same działki, które obecnie znajdują nabywców płacących za nie od pięćdziesięciu do dwustu tysięcy. Jeżeli pokładom Klondike nie grozi rychłe wyczerpanie, jeżeli inne kopalnie zostaną odkryte w dorzeczu wielkiej rzeki, Dawson może dorównać z czasem w znaczeniu miastom Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej lub Sacramento w amerykańskiej Kalifornii.

Wkrótce po założeniu Dawson zostało zagrożone zupełnym zalaniem, czyli omal nie podzieliło los bagna, na którym się wznosiło. Trzeba było zbudować mocne tamy, aby ustrzec się przed niebezpieczeństwem, które zresztą groziło tylko w ciągu niedługiego czasu. O ile bowiem w chwili pęknięcia lodów na Jukonie ilość wody w rzece jest tak wielka, że spowodować może znaczne szkody, o tyle w lecie poziom wód zmniejsza się tak dalece, że rzekę Klondike można przejść suchą nogą.

Ben Raddle znał wyczerpująco dzieje tego okręgu. Dowiedział się o wszystkich odkryciach, dokonanych od kilku lat. Wiedział o wzrastającej stopniowo wydajności kopalni i o szczęśliwym losie niektórych poszukiwaczy. Należało wierzyć, że wyjeżdżał z Montrealu jedynie z zamiarem wzięcia w posiadanie działki przy Forty Miles Creek i przekonania się o jej wartości, aby potem sprzedać ją za lepszą cenę, ponieważ sam tak twierdził. Ale Summy Skim czuł, że zainteresowanie kuzyna tymi złotodajnymi terenami rosło w miarę, jak zmniejszała się odległość do nich i coraz bardziej obawiał się, aby nie przyszło mu na myśl osiąść w tej krainie złota i nędzy.

W tym czasie okręg ten liczył mniej niż osiem tysięcy działek oznaczonych numerami od ujścia dopływów Jukonu aż do ich źródeł. Powierzchnia działek wynosiła pięćset lub dwieście pięćdziesiąt stóp, które to ograniczenie wprowadzono w roku 1896 odpowiednią poprawką do ustawy.

Poszukiwacze i syndykaty oddawali pierwszeństwo pokładom Bonanzy i jej dopływów oraz wzgórzom, znajdującym się na lewym brzegu rzeki Klondike.

Czyż nie tam Mac Cormack sprzedał kilka działek, liczących dwadzieścia cztery stopy długości na czternaście szerokości, z których w niespełna trzy miesiące wydobyto złoto wartości ośmiu tysięcy dolarów, czyli czterdziestu tysięcy franków?

Czyż bogactwo pokładów Eldorado nie było tak wielkie, że według danych kadastru,

sporządzonego przez pana Ogilvie, średnia wartość każdej płuczki wynosiła dwadzieścia pięć do trzydziestu franków? Stąd logiczny wniosek, że złotodajna żyła, mająca przypuszczalnie trzydzieści stóp szerokości, pięćset długości i pięć grubości, dostarczyć może do dwudziestu milionów franków w złocie. Towarzystwa i syndykaty ubiegały się więc o nabycie tych działek i płaciły za nie wysokie ceny.

Ben Raddle żałował zapewne, że spadkiem po wuju Josiasie nie była żadna z działek Bonanzy, a tylko działka przy Forty Miles Creek, z drugiej strony Jukonu. Działka nad Bonanzą, gdyby chciano ją sprzedać albo eksploatować, miałyby znacznie większą wartość. Przypuszczać nawet należy, że suma ofiarowana ewentualnie za nią, uczyniłaby zbyteczną podróż do Klondike! Summy Skin mógłby wtedy spokojnie spędzić lato w Green Valley, zamiast wędrować w okolicach Dawson, gdzie błoto zawierać może okruchy złota.

Pozostawały wprowadzić propozycje, z którymi zwróciło się Anglo-American Transportation and Trading Company, o ile te nie zostały przedawnione na skutek braku odpowiedzi.

Zresztą Ben Raddle przyjechał, aby się rozejrzeć, więc przekona się sam. Choć działka 129 nie dała nigdy bryłki złota wartości trzech tysięcy franków — największy kawałek znaleziony w Klondike był tej właśnie wartości — nie musiała być wyczerpana, jeżeli chciano ją nabyć. Syndykaty amerykańskie czy angielskie nie zajmują się tego rodzaju sprawami bez rozeznania sytuacji. Wnioskować więc należało, że nawet w najgorszym razie obaj kuzynowie osiągną ze swej podróży tę korzyść, że zwrócą się jej koszty.

Ben Raddle zresztą dowiedział się, że mówią o nowych odkryciach. Summy nasłuchiwał się do znudzenia o rzece Hunter, dopływie Klondike, płynącej wśród gór wysokości tysiąca pięciuset stóp, obfitujących w złoto czystsze niż złoto Eldorado; o Gold Bottom, gdzie według sprawozdania pana Ogilvie, istnieje żyła złotodajnego kwarcu, dającego na tonę urobku do tysiąca dolarów w złocie i o innych potokach — jeszcze bardziej cudownych.

— Rozumiesz, Summy — mówił Ben Raddle — w razie niepowodzenia możemy zawsze poszukać szczęścia w tej cudownej krainie.

Summy udawał wtedy, że nie słyszy i wracał do swego:

— Wszystko to prawda. Pozwól mi jednak, że ci przypomnę, o co nam chodzi. Mówisz o Bonanzy, Eldorado, Bear, Hunter, Gold Bottom, a nie wspominasz wcale o Forty Miles Creek, jak gdyby nie istniała zupełnie.

— Istnieje, bądź spokojny — odparł Ben Raddle. — Niebawem będziesz mógł się przekonać o tym naocznie.

Po czym, wracając do swej ulubionej myśli, ciągnął dalej:

— Ale dlaczego nie interesuje cię bardziej ten niezwykły Klondike? Ulice tutaj wybrukowane są złotem. A Klondike nie jest jedynym w tej okolicy terenem obfitującym w złotodajne żyły. Spójrz tylko na mapę, a zobaczysz, ile zbadano już nowych pokładów. Znajdują się na górze Chilkoot, na

wzgórzach Cassiar i gdzie indziej. Alaska jest ich pełna, sięgają poza koło podbiegunowe, aż do wybrzeży Oceanu Lodowatego.

Lecz zapal Bena nie udzielał się kuzynowi. Na próżno inżynier blaskiem tych wyimaginowanych skarbów chciał olśnić kuzyna. Summy, uśmiechając się, odpowiadał:

— Masz słusność, Ben, zupełną słusność. Dorzecze Jukonu jest naprawdę krainą błogosławioną przez bogów. Ja zaś myślę z rozkoszą, że posiadamy tylko małą jej działkę... bo gdyby była większa, musielibyśmy z pewnością stracić więcej czasu, aby móc się jej pozbyć!

Wahania południka

— Zbiór chat, szałasów, namiotów rozstawionych na powierzchni trzęsawiska, coś w rodzaju obozu, zagrożonego ustawicznie wylewami rzek Jukon i River, ulice równie niesymetryczne jak błotniste, kałuże na każdym kroku, słowem nie miasto, tylko coś na podobieństwo obszernej psiarni, dobre co najwyżej dla tysiąca psów, których szczekanie nie daje w nocy spokoju, oto jak, opierając się na legendach, wyobrażałeś sobie Dawson, panie Skim! Ale Dawson przeistoczyło się niemal w mgnieniu oka dzięki pożarom, które oczyściły teren. Dawson jest teraz miastem mającym dwa kościoły, katolicki i protestancki, banki, hotele. Wkrótce będzie miało dwa teatry, z których jednym będzie opera o dwu tysiącach miejsc, et cetera, et cetera... A pan nie wyobraża sobie, co mieszczą w sobie te moje et cetera...!

W ten sposób wyrażał się doktor Pilcox, Anglikanadyjczyk, człowiek lat czterdziestu, o zaokrąglonych kształtach, silny, obrotny, zdrow jak ryba, całkowicie odporny na wszelkie choroby. Mianowany rok temu dyrektorem szpitala w Dawson, przyjechał do tego miasta, gdzie nie brakło mu zajęcia z powodu ustawicznie panującej epidemii, nie mówiąc o lokalnej gorączce złota, przed którą był zabezpieczony nie gorzej od Summy Skima.

Doktor Pilcox nie tylko leczył. Był zarazem chirurgiem, aptekarzem i dentystą, a ponieważ zażywał sławy jako lekarz zarówno biegły w swym zawodzie, jak oddany pacjentom, chorzy tłumnie napływali do jego pięknego domu przy Front Street, jednej z głównych ulic Dawson.

Bill Stell znał doktora Pilcoxa i korzystał z tej znajomości, aby polecać doktorowi rodziny imigrantów, które przeprowadzał ze Skagway do Klondike. I tym razem, w parę dni po przybyciu, ułatwił kuzynom poznanie się z tym zacnym człowiekiem, cieszącym się w mieście ogólnym szacunkiem. W Klondike zresztą nie było nikogo, kto by lepiej znał miejscowe stosunki i kto by potrafił służyć lepszą radą.

Pierwsze pytanie, z którym Summy Skim zwrócił się do doktora dotyczyło tego, co stało się z miłymi towarzyszkami podróży; czy doktor Pilcox widział się z nimi?

— Niech mi pan o niej nie mówi. Jest nadzwyczajna! — zawołał doktor z patosem, wyrażając się w liczbie pojedynczej ku prawdziwemu utrapieniu Summy Skima. — To perła, prawdziwa perła i szczęśliwy jestem, że ją tu sprowadziłem. Jest w szpitalu dopiero od dwóch dni, a już przeobraziła go, całkowicie. Dziś rano, otwierając szafę, byłem wprost olśniony porządkiem, do Którego, muszę się przyznać, nie byłem przyzwyczajony. Zdziwiony otwieram drugą, trzecią, dziesiątą: wszędzie to samo. Co więcej: narzędzia moje wyczyszczone i ułożone, a sala operacyjna lśni od czystości dotąd nie spotykanej. Wreszcie, nie do uwierzenia, zyskała sobie posłuszeństwo całego personelu. Wszystko idzie jak w zegarku. Dozorcy i dozorcynie są na swych stanowiskach. Łóżka posłane starannie, budzą zachwyt. Nawet chorzy, Bogu dzięki, zdaje się, że są zdrowsi...!

Ben Raddle był wielce rad z tego co słyszał.

— Bardzo się cieszę — rzekł do doktora — z pochwałą, których pan nie szczędzi swej nowej pielęgniarce. To znaczy, że nie omyliłem się w opinii o niej; przypuszczam, że przyszłość zgotuje panu niejedną miłą niespodziankę.

Summy Skim za to sposepniał, a nawet zaczął się niepokoić.

— Przepraszam, doktorze — rzekł — pan mówi wciąż o jednej... a przecież były dwie, jeżeli mnie pamięć nie myli.

— Tak, to prawda — przyznał doktor ze śmiechem. — Ale, pominąwszy to, że obecną moją pielęgniarkę znałem od dawna, a towarzyszącej jej kuzynki — wcale, nie miałem nawet czasu się jej przyjrzeć. W dziesięć bowiem minut po przybyciu do szpitala wyszła i dopiero o dwunastej była z powrotem, ubrana jak kopacz, z kilofem na ramieniu i rewolwerem u pasa. Wczoraj z rana, gdy spytałem o nią, powiedziano mi, że wyruszyła nie powiedziawszy słowa nikomu. Dopiero przez jej kuzynkę dowiedziałem się, że ma zamiar poszukiwać złota jak mężczyzna.

— A zatem wyruszyła? — nalegał Summy.

— Oczywiście — rzekł doktor, dodając: — Widziałem niejedno dziwactwo w swoim życiu, lecz, przyznam się, podobnego nie spotkałem nigdy!

— Biedaczka — szepnął Summy. — Jak pan mógł pozwolić na tak szalony krok!

Doktor jednak nie słyszał tych słów. Ben Raddle bowiem zagadnął go o Dawson, a doktor Pilcox, dumny ze swego miasta, zaczął mówić o nim z wielkim ożywieniem.

— Tak — powtarzał — słusznie należy mu się miano stolicy Klondike przyznane mu przez rząd kanadyjski.

— Stolicy dopiero w zawiązku — zauważył Ben Raddle.

— Jeżeli nią nie jest w zupełności, to stanie się nią niebawem, zważywszy, że liczba mieszkańców wzrasta z każdym dniem.

— Dziś zaś liczy? — spytał Ben.

— Około dwudziestu tysięcy. ,

— Niech pan powie około dwudziestu tysięcy przechodniów. W zimie Dawson musi być puste.

— Przepraszam, dwadzieścia tysięcy stałych mieszkańców, osiadłych tu z rodzinami.

Podczas tej rozmowy Summy siedział osowiały. Jego myśli biegły ku Jane Edgerton. Widział, jak kroczy sama, w dzikiej okolicy, bez żadnej obrony, jedynie ze swą niezłomną wolą... Ale, zresztą, co go obchodzić może ta szalona dziewczyna, niech idzie na nędzę i śmierć, jeżeli tego sobie życzy... Summy energicznym poruszeniem ramion zrzucił ciężar z serca i wdał się w rozmowę.

— Jednakże — zauważył, denerwując wyraźnie doktora — Dawson nie ma żadnej cechy stolicy...

— Jak to? — zawołał doktor Pilcox, nadymając się, co uczyniło go jeszcze okrągłym. — Wszak to rezydencja komisarza generalnego dorzecza Jukonu, majora Jamesa Walsha i całej hierarchii urzędników, jakiej pan nie znajdzie w stolicach ani Kolumbii Brytyjskiej ani całej Kanady!

— Jacyż to urzędnicy?

— Członek sądu najwyższego sędzia Mac Guire; komisarz kopalni, wielmożny pan Faucett; komisarz dóbr królewskich, wielmożny pan Wade; konsul Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, agent konsularny Francji...

— Wielmożni — zakończył wesoło Summy Skim. — Istotnie, są to wybitne osobistości.

— A co do handlu?

— Mamy już dwa banki — rzekł doktor — The, Canadian Bank of Commerce z Toronto, którego dyrektorem jest pan H.I. Wills i The Bank of British North America.

— To wystarczy. A kościoły?

— Dawson ma trzy kościoły: katolicki, protestancki i anglikański.

— Zbawienie dusz jest więc zapewnione. Jeżeli można to samo powiedzieć o zbawieniu ciał...

— A co pan myśli, panie Skim! Mamy dyrektora policji konnej, kapitana Stearnsa, Kanadyjczyka pochodzenia francuskiego i kapitana Harpera, dyrektora poczty, a obaj rozporządzają około sześćdziesięciu ludźmi.

— Myślę, doktorze — odrzekł Summy Skim — że ten oddział policyjny jest niewystarczający w stosunku do liczby i rodzaju ludności miasta.

— Zwiększą go, o ile okaże się to potrzebne — upewnił go doktor. — Rząd kanadyjski nie ośmieszka uczynić wszystkiego, aby zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom stolicy Klondike.

Trzeba było słyszeć, jak doktor Pilcox wymawiał wyrazy: stolica Klondike!

— A zatem wszystko idzie jak najlepiej — rzekł Summy Skim. — Zresztą, nie wiem, dlaczego właściwie zadaję panu te pytania. Krótki okres mojego pobytu nie pozwoli mi, mam nadzieję, ocenić zalet Dawson. Pragnę by miasto posiadało hotel, nie żądam niczego więcej.

W mieście były trzy hotele: Yukon Hotel, Klondike Hotel i Northern Hotel, w którym zatrzymali się obaj kuzyni.

Właściciele tych hoteli nie musieli obawiać się o stan swoich dochodów. Pokój kosztował siedem dolarów dziennie, każdy posiłek — trzy dolary; sprzątanie — dolara; golenie — dolara, ostrzyżenie zaś — półtora dolara.

— Na szczęście — zauważył Summy Skim — nie używam brzytwy!... A włosy mogę przywieźć do Montrealu nie naruszone!

Podane ceny mówią same przez się o drożyznie w stolicy Klondike. Kto nie wzbogaci się w krótkim czasie, może być pewny, że czeka go ruina. Łatwo to zresztą wywnioskować z cenników rynku Dawson: szklanka mleka kosztuje dwa franki pięćdziesiąt; funt masła — pięć franków, tuzin jaj — dwanaście franków, funt soli — franka, dwanaście cytryn — dwadzieścia pięć franków.

Kąpiel zwyczajna kosztuje dwanaście franków pięćdziesiąt, łaźnia zaś — sto sześćdziesiąt!

Summy zdecydował, że zadowolili się zwykłą kąpielą.

Dawson w tym czasie ciągnęło się na dwa kilometry wzdłuż prawego brzegu Jukonu, odległe zaś było od najbliższych wzgórz o tysiąc dwieście metrów. Zajmowało osiemdziesiąt osiem hektarów powierzchni przedzielonych na dwie części rzeką Klondike, wpadającą do Jukonu. Miasto miało siedem alei, pięć ulic z drewnianymi chodnikami, przecinających się pod kątem prostym. Gdy na ulicach tych nie kursowały sanki, co miało miejsce podczas niekończących się zimowych miesięcy, to zjawiały się duże pojazdy, ciężkie wozy, przejeżdżające z hałasem wśród zgrai psów.

Dawson otoczone jest ogrodami warzywnymi, w których rośnie pietruszka, kalarepa, sałata, pasternak, lecz nie w dostatecznej ilości, tak że mieszkańcy muszą sprowadzać jarzyny z Kanady i Stanów Zjednoczonych. Mięsa zaś dostarczają w stanie zamrożonym statki, wioząc je po ruszeniu kry przez Jukon z St. Michel. W pierwszym tygodniu czerwca, zjawiają się w dole rzeki, a świst syren oznajmia o ich przybyciu.

Zimą za to, gdy Jukon pokryty jest powłoką lodową, Dawson jest odcięte na długie miesiące od reszty świata. Mieszkańcy muszą zadowalać się wtedy konserwami mięsnymi, a z powodu zbyt ostrego zimna nie wychodzą wcale z domów.

Toteż na wiosnę panują tu wszelkiego rodzaju epidemie. Szkorbut, zapalenie mózgu, tyfus dziesiątkują ludność wyczerpaną długim zamknięciem.

Ostatnia zima była niezwykle ostra, szpitale więc były przepełnione. Personel nie mógł podjąć pracy i doktor Pilcox znalazłby się w położeniu niezmiernie trudnym, gdyby nie cenna pomoc nowej pielęgniarki.

Trud, zmęczenie, zimno, nędza zmożyły tych biednych ludzi przybyłych z tak dalekich stron. Statystyka wykazywała rosnącą z dnia na dzień liczbę zgonów, a sanie ciągnięte przez psy ustawicznie wiozły nieszczęśliwych na cmentarz, gdzie czekał na nich grób, wykopany, dla tych biedaków, być może w rudzie złota!

Smutny ten widok nie przeszkadzał jednak mieszkańcom, a przynajmniej przybyszom, zabawiać się na wszelkie sposoby. Ci, którzy po raz pierwszy tu przybyli, jak również ci, którzy powracali, straciwszy przez kilka miesięcy zarobione pieniądze, zapelniali kasyna i domy gry. Tłum wypełniał restauracje i bary, podczas gdy epidemie dziesiątkowały miasto. Patrząc na setki pijaków, graczy, awanturników nie można było uwierzyć, że tylu nieszczęśliwych, całe rodziny, mężczyźni, kobiety i

dzieci giną, wyczerpani nędzą i chorobą.

Cała ta ciżba spragniona nadzwyczajnych wrażeń zbierała się w „Folies–Bergères”, „Monte Carlo”, „Dominion” i „Eldorado”, nie można powiedzieć od wieczora do rana, przede wszystkim dlatego, że o tej porze roku, przy zbliżającym się zrównaniu dnia z nocą, nie było ani poranku, ani wieczora, a następnie dlatego, że te przybytki zabaw nie były zamykane ani na chwilę. Panowały tu bez przerwy poker i ruleta. Po zielonym stoliku przesuwały się nie dolary, luidory lub piastry, lecz kawałki złota i piasek złoty wśród krzyków, napaści, zaczepek, a niekiedy nawet strzałów. Rozgrywały się sceny, którym policja zaradzić nie mogła, a w których pierwszą rolę odgrywali tacy jak Hunter, Malone i im podobni.

W Dawson restauracje otwarte są dniem i nocą. W każdej chwili można w nich dostać kurczęta po dwadzieścia dolarów za sztukę, ananasy po dziesięć dolarów, jaja świeże po piętnaście dolarów za tuzin; palą w nich cygara po trzy franki pięćdziesiąt; piją wino po dwadzieścia dolarów butelka, wódkę, która kosztuje tyle co dom na wsi.

Trzy lub cztery razy w tygodniu poszukiwacze wracają z okolicznych działek, aby w restauracjach i domach gry stracić w kilka dni wszystko, co znaleźli w błotach Bonanzy i jej dopływów.

Jest to smutne zjawisko, w którym uwidoczniają się wszystkie najgorsze przywary natury ludzkiej, a chociaż Summy Skim przypatrzył się tylko małej ich części, niemniej spotęgowały w nim wstręt do tego świata awanturników.

Chcąc się czym prędzej wyrwać z tego niemiłego otoczenia, użył wszystkich sposobów, aby skrócić swój pobyt w Klondike.

W dniu swego przyjazdu, po śniadaniu w Northern Hotel Summy zagadnął kuzyna tymi słowami:

— Przede wszystkim nasza sprawa. Ponieważ syndykat chce nabyć naszą działkę, udajmy się do tego syndykatu.

— Jak chcesz — odparł Ben Raddle.

Na nieszczęście w biurze Anglo–American Transportation and Trading Company powiedziano im, że dyrektor, kapitan Healey, wyjechał i powróci dopiero za kilka dni. Musieli więc z konieczności poskromić swą niecierpliwość.

Nie tracąc jednak czasu udali się do Billa Stella, aby dowiedzieć się czegoś bliższego o położeniu swojej działki.

— Czy Forty MilesCreek znajduje się daleko od Dawson? — spytał go Ben Raddle.

— Nie byłem tam nigdy — odpowiedział przewodnik. — Lecz mapa wskazuje, że rzeczka ta wpada do Jukonu przy Fort Cudahy, na północny zachód od Dawson.

— Sądząc z numeru, nie wydaje mi się, aby działka była bardzo oddalona — zauważył Summy Skim.

— Nie więcej w każdym razie niż trzydzieści mil — objaśnił przewodnik — ponieważ w tej odległości granica oddziela Alaskę od Kanady, a działka 129 leży jeszcze na terytorium kanadyjskim.

— Wyruszymy tam zaraz po rozmowie z kapitanem Healeyem — oświadczył Summy.

— Dobrze — zgodził się Ben Raddle.

Dni jednak upływały, a kapitan Healey nie powracał. Po południu 7 czerwca, kuzyni po raz dziesiąty udali się z hotelu do biur chicagoskiego syndykatu.

W dzielnicy było gwarno. Parowiec dopiero co przyplłynął, przywoząc wielu nowych imigrantów, którzy szukając czy to sposobności dostania się do działek do nich należących, czy też pracy na działkach, wędrowali po ulicach, a szczególnie na Front Street, gdzie znajdowały się najważniejsze agencje. Do tej ciżby ludzkiej przyłączała się zgraja psów. Płatały się pod nogami, wyjąc przeraźliwie.

— Ależ to prawdziwe psie miasto! — zawołał Summy Skim. — Prezydentem powinien być w tym mieście dog, a nazywać się powinno Dog City!

Wreszcie wśród krzyków, potrąceń, przekleństw dostali się do biura syndykatu. Kapitana Healeya nie było jeszcze, zdecydowali się więc na rozmowę z wicedyrektorem Williamem Broilem, który spytał ich od razu, w jakiej przychodzą sprawie.

Summy i Ben wymienili swoje nazwiska.

— Bardzo mi przyjemnie poznać panów — oświadczył wicedyrektor.

— Nam również miło poznać pana — odpowiedział grzecznie Summy Skim.

— Czy panowie są spadkobiercami Josiasa Lacoste'a, a więc właścicielami działki 129? — spytał Broll.

— Właśnie — oświadczył Ben Raddle.

— O ile — dodał Summy — działka ta nie zniknęła w czasie tej naszej przydługiej podróży.

— Nie zniknęła — rzekł William Broll. — Mogą być panowie zupełnie spokojni, że znajduje się na swoim miejscu, czyli na granicy dwu państw... przynajmniej na granicy przypuszczalnej.

Przypuszczalnej?... Dlaczego przypuszczalnej? Co znaczyła ta niespodziewana wątpliwość?

— Panie — rzekł Ben Raddle, nie zdradzając swego zdziwienia zastrzeżeniami Broiła — dano nam znać w Montrealu, że wasz syndykat chce nabyć działkę 129 przy Forty Miles Creek...

— Chciał... w istocie, panie Raddle.

— Przyjechaliśmy więc, mój współspadkobierca i ja, aby się przekonać o wartości działki, jak

również zorientować, czy syndykat trwa nadal w swym postanowieniu.

— Tak i nie — rzekł William Broll.

— Tak i nie? — zawołał przestraszony Summy.

— Tak i nie! — powtórzył Ben Raddle. — Niech pan nam to wytłumaczy, panie Broll.

— Rzec jest bardzo prosta — odrzekł tenże. — Tak, jeżeli działka położona jest w odpowiadających nam warunkach; nie — jeżeli jest przeciwnie. Słowem...

Ale Summy Skim już mu przerwał.

— Tak czy inaczej — powiedział wyraźnie wzburzony — trzeba liczyć się z faktami. Czy nasz wuj, Josiaś Lacoste, nie był właścicielem działki 129, a my nie jesteśmy jego prawowitymi spadkobiercami?

Na potwierdzenie tych słów Ben Raddle wyciągnął z portfela papiery poświadczające prawo własności.

— O! — rzekł wicedyrektor, odsuwając ruchem ręki papiery — nie wątpię, że są w porządku. Nie o to chodzi, panowie.

— A o co? — spytał Summy, którego nieco drwiące zachowanie Broiła zaczynało drażnić.

— Działka 129 — odpowiedział Broll — znajduje się na granicy między Kanadą, która należy do Anglii i Alaską, która należy do Ameryki.

— Tak — potwierdził Ben Raddle — ale po stronie kanadyjskiej...

— To zależy — odparł William Broll. — Działka należy do Kanady, o ile granica między dwoma państwami nie ulegnie zmianie. W przeciwnym razie należeć będzie do Ameryki. Ponieważ zaś syndykat kanadyjski nie ma prawa eksploatować pokładów innych jak kanadyjskie, udzielić mogą panom tylko warunkowej odpowiedzi.

— A więc — spytał Ben Raddle — granica między obu państwami jest obecnie kwestionowana?

— O to właśnie chodzi.

— Zdawało mi się — rzekł Ben Raddle — że wybrano sto czterdziesty pierwszy południk jako linię demarkacyjną.

— Tak i zupełnie słusznie.

— Nie sądzę, aby południki mogły się przenosić z miejsca na miejsce, nawet na nowym lądzie. Nie przypuszczam, aby mogły się przechadzać z laską w ręku ze wschodu na zachód — odezwał się kpiąco Summy Skim.

— Zapewne — potwierdził William Broll, śmiejąc się z określeń Summy Skima — może jednak nie znajduje się dokładnie w miejscu, w którym go wyznaczono. Od dwu miesięcy toczy się spór o to i jest bardzo możliwe, że granicę przeniosą albo nieco na wschód, albo nieco na zachód.

— O kilka mil? — spytał Ben Raddle.

— Nie, o kilkaset metrów zaledwie.

— I o to toczy się spór! — zawołał Summy Skim.

— Spór zupełnie słuszny — odparł wicedyrektor. — Co należy do Amerykanów, powinno należeć do Amerykanów, a co do Kanadyjczyków. — do Kanadyjczyków.

— Które z państw zaprotestowało? — spytał Ben Raddle.

— Obydwa — rzekł William Broll. — Ameryka upomina się o pas ziemi na wschodzie, Kanada zaś — na zachodzie.

— Na Boga! — zawołał Summy. — A co nas ten spór może obchodzić!

— Może — odpowiedział wicedyrektor — jeśli bowiem Ameryka weźmie górę, pewna część działek należeć będzie do niej.

— Czy i działka 129?

— Nie ulega wątpliwości, ponieważ jest pierwszą na obecnej granicy. W tych warunkach syndykat cofa propozycję jej nabycia.

Tym razem odpowiedź była zupełnie jasna.

— Czy przynajmniej — spytał Ben Raddle — zajęto się już wyznaczaniem granicy?

— Tak, pomiary są prowadzone z dokładnością godną podkreślenia. Jeżeli oba państwa tak żywo zajęły się spornym pasem ziemi, leżącym wzdłuż wymienionego południka, to dlatego że ten kawałek ziemi był złotodajny. Któż mógł wiedzieć, czy przez ten teren ciągnący się od Góry Eliasza na południu do Oceanu Lodowatego na północy, nie przechodzi jaka złotodajna żyła, którą wykorzystać potrafiłaby republika amerykańska.

— Ostatecznie, panie Broll — spytał się Ben Raddle — czy w razie gdyby działka 129 pozostawała po wschodniej stronie granicy, syndykat trwałby w zamiarze jej nabycia?

— Oczywiście.

— A w przeciwnym wypadku, czy wyrzekłby się tego?

— Również oczywiście.

— W takim razie — oświadczył Summy Skim — zwrócimy się do kogo innego. O ile działka nasza będzie znajdowała się na ziemi amerykańskiej, zamienimy ją na dolary, zamiast na funty szterlingi. To wszystko.

Na tych słowach rozmowa zakończyła się i kuzyni powrócili do Northern Hotel, gdzie czekał na nich przewodnik. Dowiedziawszy się o wszystkim, powiedział:

— W każdym razie postąpiliby panowie bardzo roztropnie, udając się w jak najkrótszym czasie nad Forty Miles Creek.

— Właśnie mamy ten zamiar — rzekł Ben Raddle. — Wyruszymy jutro. A ty, Billu, co zamierzasz?

— Wrócę do Skagway, aby poprowadzić nową grupę do Dawson.

— Ile czasu to zajmie?

— Około dwu miesięcy.

— Liczymy na ciebie po powrocie.

— Dobrze, ale niech panowie nie tracą czasu, jeżeli chcą wrócić przed zimą.

— Możesz liczyć na mnie, Billu — zaręczył Summy Skim z zapalem — choć na samym wstępie spotkała nas niemiła niespodzianka!

— Znajdziemy nabywców mniej skrupulatnych — rzekł Ben Raddle.

— Tymczasem zobaczymy sami...

— Właśnie myślę o tym — przerwał Summy Skim — że spotkamy tam miłego sąsiada...

— Tego Teksańczyka Huntera — dokończył Ben Raddle.

— I pana Malone. Obaj wielcy dżentelmeni.

— Niech pan raczej powie łotrzy, panie Skim — sprostował Bill — Stell.

— Znają ich wszyscy w Skagway i Dawson. Są to w istocie pańscy sąsiedzi, bowiem działka 131 graniczy z działką 129, pomimo że znajduje się po drugiej stronie granicy. Sąsiedztwo nie jest przyjemne dla panów.

— Tym bardziej — dodał Ben Raddle — że Summy miał sposobność dania nauczki jednemu z nich. Nie ułatwi to dobrych stosunków z nimi.

Bill Stell zasepił się.

— Sprawy panów nie są moimi sprawami — rzekł głosem poważnym.

— Ale panowie pozwolą, że będę im służył radą. Nie jedźcie sami na działkę 129. Niech towarzyszy panom Neluto, mogą panowie nim rozporządzać. I niech panowie jadą dobrze uzbrojeni.

— A to dopiero kłopot! — zawołał Summy. — Pomyśleć tylko, że gdybyśmy siedzieli sobie spokojnie w Montrealu, działka nasza byłaby już sprzedana, ponieważ dobiliśmy targu przed rozpoczęciem tego niemądrego sporu o granicę. A ja używałbym wywczasów w Green Valley!

— Przypuszczam, że nie zaczniesz narzekać, Summy. Mam twoją obietnicę. Zresztą, gdybyś siedział w Montrealu, minęłaby cię ta tak bardzo interesująca podróż, tak porywająca, tak nadzwyczajna...

— Która nie wzrusza mnie wcale.

— Nie byłbyś w Dawson...

— Które chcę jak najspieszniej opuścić.

— Nie ułatwiłbyś podróży Edith i Jane Edgerton.

Summy uściśnął mocno dłoń kuzyna.

— Wiesz, co ci powiem? Otóż, słowo honoru, są to pierwsze rozsądne słowa, jakie powiedziałeś od dwu miesięcy.

Przy tych słowach na twarzy Summy Skima zajaśniał szczerzy, pogodny uśmiech.

XI

Z Dawson do granicy

Bill Stell miał rację, przynaglając kuzynów do pośpiechu. Nie mieli ani dnia do stracenia. Zima w tych północnych okolicach nadchodzi prędko. Czerwiec już się zaczął, a często się zdarza, że w końcu sierpnia mróz ścina powierzchnię jezior i rzek, śnieżne zaś zawieje zaciemniają horyzont. Zaledwie trzy miesiące trwa lato w Klondike, a dla obu przybyszów okres ten skrócony być musiał o czas powrotu do Skagway ze względu na drogę prowadzącą przez jeziora lub, o ile chcieliby zmienić marszrutę, przez rzekę Jukon z Dawson do St. Michel.

Przygotowania Bena Raddle'a i Summy Skima do nowej podróży dobiegły końca. Zaopatrzyli się we wszystko, biorąc pod uwagę możliwość przedłużenia pobytu na działce 129. Udało im się to tym łatwiej, że nie zabierali ze sobą ani narzędzi, ponieważ te były na miejscu, ani pomocników, gdyż nie było mowy o eksploataowaniu działki.

Przezorność nakazywała jednak wzięcie przewodnika znającego kraj dokładnie. Bill Stell, znalazłszy w Dawson innego sternika, odstąpił im Neluta. Ben Raddle podziękował za niego gorąco Stellowi. Trudno było o lepszy wybór. O sprawności Indianina przekonali się w ciągu podróży do Dawson, mogli więc liczyć na niego we wszystkich sytuacjach, o ile tylko nie wymagaliby od niego zbyt dokładnych objaśnień.

Jako pojazd Ben Raddle wybrał wóz konny, przekładając go nad sanie, ciągnięte przez psy nawet wtedy, gdy zniknie lód i śnieg. Zwierzęta te były o tej porze tak drogie, że płacono za nie do dwu tysięcy franków za sztukę.

Wóz ten o dwu miejscach, zaopatrzony w skórzaną budę, którą można było podnosić i opuszczać, zbudowany dość mocno, aby wytrzymać wszelkie wstrząsy, zaprzężony był w rosnącego konia.

Nie potrzebowano zaopatrywać się w paszę, gdyż o tej porze roku łąki ciągnęły się wzdłuż dróg i koń mógł paść się do woli. Z psami tymczasem byłoby więcej kłopotu.

Na prośbę Bena Raddle'a Neluto starannie obejrzał pojazd. Nie przeoczył niczego. Pudło, drążki, resory, wszystko do ostatniej śruby poddane zostało skrupulatnemu badaniu. Neluto był zadowolony.

— No cóż? — spytał Ben Raddle.

— Jeżeli nie złamie się w drodze — odrzekł Indianin głosem przekonywającym — myślę, że doprowadzi nas do działki 129.

— Bardzo ci dziękuję, mój chłopcze! — zawołał Ben Raddle, wybuchając śmiechem.

Zdołał jednakże wydobyć od przezornego Neluta cenne wskazówki o przedmiotach, które należało zabrać i ostatecznie inżynier mógł być pewnym, że nie brakowało niczego do podróży.

Przez ten czas Summy Skim chodził po ulicach Dawson. Przypatrywał się sklepom, oglądał ceny towarów. Jakże był zadowolony, że sprawunki załatwił w Montrealu!

— Czy wiesz, Ben, ile kosztuje tu para trzewików?

— Nie, Summy.

— Od pięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu franków. A para pończoch?

— Nie wiem również.

— Dziesięć franków. A skarpetki wełniane?

— Przypuśćmy, że dwadzieścia franków.

— Nie, dwadzieścia pięć. A szelki?

— Można się bez nich obejść.

— Co się opłaci, gdyż kosztują osiemnaście franków.

— Obejdziemy się bez nich.

— A podwiązki?

— Są mi obojętne...

— Czterdzieści franków, a dziewięćset franków suknia starannie wykończona. Stanowczo, w tym niesamowitym kraju korzystniej jest być kawalerem.

— Pozostaniemy nimi — rzekł Ben Raddle — o ile nie zechcesz poślubić jakiej bogatej dziedziczki...

— Nie brak ich... a szczególnie takich, które posiadają bogate działki nad Bonanzą lub Eldorado. Ale ponieważ wyjechałem z Montrealu kawalerem, kawalerem powrócę.

— Ach! Montreal, Montreal!... Jak jesteśmy od niego daleko, Ben!

— Odległość z Dawson do Montrealu — rzekł Ben Raddle z pewną ironią w głosie — jest taka sama jak z Montrealu do Dawson, Summy.

— Wiem o tym — odparł Summy Skim. — Nie znaczy to jednak, że droga jest krótka!

Dwaj kuzyni nie chcieli odjechać bez pożegnania się z Edith Edgerton. Udali się w tym celu do szpitala. Edith wyglądała ślicznie w stroju pielęgniarki. Patrząc na jej olśniewającej białości fartuch, spadający w równych fałdach na szarą wełnianą suknię, na jej włosy gładko uczesane, symetrycznie rozdzielone, na jej starannie utrzymane białe ręce, nie chciało się wierzyć, że to jest ta niezwykła

pracownica, o której z takim zachwytem wyrażał się doktor Pilcox.

— Co słyhać, miss Edith? — spytał Ben Raddle. — Czy jest pani zadowolona ze swej nowej pracy?

— Zawsze miłym jest zawód, który zapewnia nam utrzymanie — odpowiedziała Edith z prostotą.

— Hm! Hm! — mruknął nie przekonany Ben Raddle. — Słowem, jest pani zadowolona. To najważniejsze. Doktor Pilcox nie znajduje słów uznania dla pani.

— Doktor jest zbyt dobry — rzekła pielęgniarka. — Z czasem, mam nadzieję, będę jeszcze użyteczniejszą.

Summy spytał nagle:

— A pani kuzynka, czy dała znać o sobie?

— Jak dotąd — nie.

— Urzeczywistniła zatem swój zamiar?

— Czyż mogło być inaczej?

— Ale na co liczy? — zawołał Summy z nagłym uniesieniem. — Co zrobi, jeżeli jej się nie powiedzie, a jest to więcej niż pewne.

— Przyjmę ją do siebie — odpowiedziała Edith spokojnie. — W najgorszym razie zarabiam tyle, że wystarczy to nam obu na życie.

— Tak więc — odezwał się Summy mocno podenerwowany — panie mają zamiar osiedlić się na stałe w Klondike i zapuścić tu korzenie...

— Niekoniecznie. Jeżeli poszczęści się Jane, wówczas ja skorzystam z jej pomocy.

— Świetna umowa!... Więc zdecydowałyby się panie na opuszczenie Dawson?

— Dlaczego nie? Lubię swój zawód, bo daje mi utrzymanie, ale z chwilą, gdy będę się mogła obyć bez niego, znajdę sobie inny, przyjemniejszy oczywiście.

Wygłosiła te słowa głosem tak stanowczym, że wykluczały wszelką możliwość sprzeciwu. Na ten spokojny, zrównoważony pogląd na życie Summy nie znalazł odpowiedzi.

Zresztą nawet gdyby chciał zaoponować, nie miałby już czasu, doktor Pilcox bowiem, dowiedziawszy się o bytności obu gości w szpitalu, nadszedł wieszając im serdecznie nowej interesującej podróży, przy czym nie omieszkał wsiąść na swego ulubionego konika i wychwalać piękno umiłowanego Klondike.

Summy wyraził otwarcie swe niezadowolenie. On nie lubił Klondike, o nie!

— Polubi go pan jeszcze — rzekł doktor. — Gdyby go pan mógł widzieć w zimie!

— Mam nadzieję, że ominie mnie to szczęście — odparł Summy z grymasem.

— Kto wie?

Przyszłość pokaże, czy Summy Skim miał słuszość czy nie, nie biorąc odpowiedzi doktora na serio.

8 czerwca, o piątej rano, wynajęty wóz stał przed Northern Hotel. Pakunki były ułożone, koń niecierpliwiał się w zaprzęgu, Neluto królował na koźle.

— Czy ładunek gotowy, Neluto?

— Gotowy, proszę pana.

— A zatem w drogę — zawołał Ben Raddle.

— ...O ile nie zapomniano jakiego pakunku w hotelu — dokończył Indianin ze swą zwykłą ostrożnością.

Ben Raddle westchnął z rezygnacją.

— Miejmy nadzieję, że nie zapomnieliśmy niczego — rzekł wchodząc na wóz.

— A przede wszystkim pamiętajmy, że mamy być z powrotem w Montrealu za dwa miesiące — dodał Summy powtarzając z uporem swą zwykłą śpiewkę.

Odległość między Dawson a granicą wynosi sto czterdzieści sześć kilometrów, czyli na podróż do działki 129 należało poświęcić trzy dni, licząc po dwanaście mil na dobę.

Neluto, oszczędzając konia, postanowił jechać dwa razy dziennie: od szóstej rano do jedenastej oraz od pierwszej do szóstej. Pozostały czas poświęcił na postoje i nocny wypoczynek. Zresztą nie można prędzej podróżować po tym kraju pełnym niespodzianek.

Wieczorem miano rozbijać namioty pod drzewami, o ile Ben Raddle i jego kuzyn nie znajdą pokoju w którymś z przydrożnych zajazdów.

Pierwszy dzień upłynął pomyślnie. Pogoda była piękna. Lekki powiew pędził kilka chmur ze wschodu, a temperatura dochodziła do dwudziestu stopni powyżej zera. Na pofałdowanym terenie, nie sięgającym wyżej niż tysiąc stóp, rosły anemony, krokusy i jałowce, zwieszające się w wiosennym rozkwicie na zboczach pagórków. W wąwozach wznosiły się topole, brzozy i sosny, tworzące gęste kępy.

Summy dowiedział się, że po drodze nie zabraknie zwierzyny i że nawet niedźwiedzie pojawiają

się w tej części Klondike. Nie omieszkało więc zabrać strzelb myśliwskich, ale nie nadarzyła się sposobność ich wykorzystania.

Co więcej, okolica ta nie była bezludna. Spotykano kopaczy pracujących przy eksploatacji górskich złóż. Nieraz ci ludzie wydobywali dziennie złoto wartości tysiąca franków.

Po południu wóz dotarł do Fort Reliance, miasteczka bardzo ożywionego o tej porze roku. Fort Reliance, założony przez Kompanię Hudsonską dla poszukiwania futer i zabezpieczenia się przed napadami Indian, jak wiele podobnych miejscowości, straciło obecnie swe znaczenie.

Odkąd odkryto kopalnie złota, fort stracił swój charakter obronny, przekształciwszy się w skład żywności.

W Fort Reliance kuzyni spotkali majora Walsha, komisarza generalnego Yukonu, który objeżdżał swój okręg.

Był to człowiek liczący pięćdziesiąt lat, wybitny administrator osiadły w okręgu dwa lata temu. Gubernator Kanady przysłał go tutaj w chwili, gdy pokłady złotonośne zaczęły przyciągać tysiące imigrantów, których liczba zwiększała się z dnia na dzień.

Pracy mu nie brakowało. Umowy, którym należało nadać charakter prawny, dzielenie działek, zobowiązania, o które trzeba się było upominać, przy, tym obrona ziemi, której Indianie nie pozwalali zabierać bez gwałtu i oporu, tysiące kwestii powstających z dnia na dzień — wszystko to nie ułatwiało mu zadania.

Do tych wszystkich kłopotów dołączył się nowy, w postaci sporu o sto czterdziesty pierwszy południk, pociągający za sobą konieczność nowych pomiarów. W tej sprawie major James Walsh przybył na zachodni kraniec Klondike.

— Kto pierwszy wszczął spór? — spytał Ben Raddle.

— Amerykanie — odpowiedział komisarz. — Dowodzą, że pomiary dokonane w czasie, gdy Alaska należała do Rosjan, nie były zupełnie dokładne. Południk sto czterdziesty pierwszy, mający stanowić granicę pomiędzy obu państwami, powinien zostać przeniesiony na wschód, przez co Stany Zjednoczone zyskałyby większą część działek, znajdujących się nad dopływami lewego brzegu Yukonu.

— A zatem — dodał Summy Skim — również działkę 129 odziedziczoną po naszym wuju?

— Oczywiście, panowie pierwsi będą musieli zmienić narodowość.

— Ale czy są przesłanki ku temu, panie Walsh, że pomiary zostaną szybko ukończone?

— Mogę powiedzieć panom jedynie to, że komisja wyznaczona specjalnie do tego pracuje już od kilku tygodni. Spodziewamy się, że kwestia ta rozstrzygnie się przed zimą.

— Czy pańskim zdaniem, panie Walsh — spytał Ben Raddle — należy przypuszczać, że istotnie

zaszła pomyłka w pierwotnym wyznaczeniu granicy?

— Nie. Wnosząc z informacji, które zebrałem, jest to tylko sprawa wytoczona Kanadzie wskutek intryg kilku syndykatów amerykańskich.

— Niemniej jednak — rzekł Summy Skim — będziemy zmuszeni przedłużyć pobyt w Klondike wbrew naszym chęciom, co nie jest zbyt wesołe!

— Zrobię wszystko co będzie w mej mocy, aby przyspieszyć pracę komisji — przyrzekł komisarz generalny. — Ale przyznać trzeba, że jest ona utrudniona przez złą wolę kilku właścicieli działek sąsiadujących z granicą. Jak na przykład tych z działki 131.

— Chodzi o Teksańczyka, nazwiskiem Hunter? — rzekł Ben Raddle.

— Tak. Pan o nim słyszał?

— Podczas podróży ze Skagway do Dawson mój kuzyn i ja musieliśmy zawrzeć z nim znajomość... i to nawet w dość ostry sposób...

— W takim razie pilnujcie się panowie. Jest to człowiek brutalny i gwałtowny. Towarzyszy mu niejaki Malone, niewiele więcej wart od niego.

— Czy Hunter — spytał Ben Raddle — należy do tych, którzy domagali się przesunięcia południka, panie Walsh?

— Tak, i to do najzagorzalszych.

— A jaki ma on w tym interes?

— Chodzi mu o to, aby być dalej od granicy i przez to uniknąć pośredniego nadzoru naszej policji. To on podburzył właścicieli działek między lewym brzegiem Jukonu a obecną granicą. Wszyscy ci przybysze woleliby zależeć od Alaski, podlegając mniej surowym prawom niż w Kanadzie. Ale, powtarzam, wątpię czy Amerykanie wygrają i Hunter nic na tym nie zyska. W każdym razie, radzę wam, panowie, utrzymywać jak najmniej kontaktów z sąsiadem, awanturnikiem najgorszego gatunku, który nieraz już przysporzył pracy moim ludziom.

— Może pan być spokojny, panie komisarzu — odpowiedział Summy Skim. — Nie przyjechaliśmy eksploatować działkę, lecz ją sprzedać. Po dokonaniu transakcji wracamy niezwłocznie przez Chilkoot do Vancouver i Montrealu.

— Życzę panom szczęśliwej podróży — odpowiedział komisarz, zegnając się z kuzynami. — Jeżeli mogę być panom użyteczny w czymkolwiek, liczcie na mnie.

Nazajutrz ruszono w dalszą drogę. Niebo było pochmurne, północno — zachodni wiatr sprowadził kilkakrotną nawałnicę. Ale pod budą wozu nie czuło się jej zbyt.

Neluto nie mógł wymagać szybszego biegu od konia. Droga stawała się coraz bardziej nierówna.

Wgłębień powstałe po zniknięciu lodu, zalegającego na drodze przez długie miesiące, powodowały wstrząsy, groźne zarówno dla pojazdu jak i dla zaprzęgu.

Okolica była lesista; pełno było sosen, brzoź, topoli i osin. O drewno kopacze nie potrzebowali się martwić, ani do swego osobistego użytku, ani do eksploatacji działek. Zresztą grunt w tej części okręgu oprócz złota zawierał również węgiel. O sześć kilometrów od Fort Cudahy, nad Coal Creek, następnie o trzysta mil stamtąd, nad Cliffe Creek, odkryto pokłady węgla kamiennego, dającego tylko pięć procent popiołu. Węgiel znaleziono również w dorzeczu Five Fingers. Zastępuje on z powodzeniem drewno. Parowce średniej wielkości spalają go tonę na godzinę. W razie wyczerpania pokładów złota zapewni on środki utrzymania temu okręgowi.

Wieczorem tego samego dnia, po męczącej drodze, Neluto i jego towarzysze zatrzymali się w Fort Cudahy na lewym brzegu Jukonu, w zajeździe, który wskazał im dowódca konnego oddziału policji. Dwaj kuzyni nie omieszkali go spytać, czy nie spotkał w Fort Cudahy przejeżdżającej w tych dniach kobiety.

— Czy spotkałem przejeżdżającą kobietę? — zawołał porucznik, śmiejąc się głośno. — Nie, panowie, kobiety nie widziałem, lecz dziesiątki, setki kobiet. Wielu poszukiwaczy ciągnie ze sobą całe ich zastępy, a panowie rozumieją, że w tej liczbie...

— O, nie! — zaprotestował Summy. — Ta, o której mówię, jest wyjątkowa! Jest ona poszukiwaczką, nie sądzę zaś, aby poszukiwaczek było tak wiele.

— Niech pan się nie łudzi — stwierdził porucznik. — Nie brak ich. Kobiety są równie zapalone w poszukiwaniu złota jak mężczyźni.

— A... w takim razie — rzekł Summy — rozumiem...

— Możemy jednak spróbować — ciągnął dalej porucznik. — O ile będę miał rysopis osoby, która interesuje pana...

— Jest to bardzo młoda panna — objaśnił Summy. — Zaledwie dwudziestodwuletnia. Jest niskiego wzrostu. Brunetka, bardzo ładna.

— Istotnie — przyznał porucznik — podobna postać nie jest zwykła w tych stronach... Pan mówi... młoda panna... brunetka... niskiego wzrostu... ładna... miała przechodzić tędy...

Dowódca konnej policji na próżno szukał w swej pamięci.

— Nie, nie przypominam sobie wcale — oświadczył w końcu.

— Poszła inną drogą, biedactwo — rzekł Summy smutnym głosem. — W każdym razie dziękuję, poruczniku.

Noc minęła spokojnie, nazajutrz zaś, 10 czerwca, wóz ruszył wczesnym rankiem w drogę.

Rzeka Jukon, za Fort Cudahy, płynie nadal na północny zachód, aż do sto czterdziestego

pierwszego południka; Forty Miles Creek zaś, długości czterdziestu mil, jak na to wskazuje jej nazwa, skręca na południowy zachód i dąży również do granicy, która dzieli ją na dwie równe części.

Neluto miał nadzieję dojechać wieczorem do miejsca, gdzie znajdowała się działka wuja Josiasa. Dał obfity obrok koniowi, który pomimo dwudniowego biegu nie wydawał się zbyt zmęczony. Był jeszcze zdolny do dalszego wysiłku, tym bardziej, że oczekiwał go długi odpoczynek na działce 129.

O trzeciej z rana, gdy Ben Raddle i Summy Skim wyszli z zajazdu, słońce stało już dość wysoko. Za dziesięć dni nastąpi zrównanie dnia z nocą i wtedy słońce zaledwie na kilka chwil zniknąć będzie za horyzontem.

Wóz jechał wzdłuż prawego brzegu Forty Miles Creek, niezmiernie krętego i pokrytego gęstą siecią pagórków pooddzielanych wąwozami.

Okolica nie była bezludna. Zewsząd wrzała praca na działkach. Przy każdym zakręcie brzegu, przy wejściu do wąwozów wznosiły się słupy oddzielające działki, na których wielkimi cyframi wypisane zostały odpowiednie numery. Narzędzi nie było zbyt wiele; gdzieniegdzie widać było maszyny poruszane ręką ludzką, jeszcze rzadziej — wprawiane w ruch wodą okolicznego potoku. Większość poszukiwaczy, przy pomocy niekiedy bardzo małej liczby robotników, wydobywała błoto z małych szybów wykopanych na działce. Praca ta odbywała się bez hałasu, tylko od czasu do czasu ciszę przerywał okrzyk radości poszukiwacza, który odkrył bryłkę złota większej wartości.

Pierwszy postój nastąpił dopiero o dziesiątej. Po śniadaniu, składającym się z konserw i biszkoptów a zakończonym kawą, Ben Raddle i Summy Skim zapalili fajki, koń zaś pasł się spokojnie na sąsiedniej łące.

Około dwunastej Neluto wyruszył nadając szybkie tempo, tak że kilka minut przed siódmą znaleźli się w pobliżu słupów wytyczających granice działki 129.

Wtedy Summy Skim, przejął lejce z rąk Neluta, stanął na wozie, zatrzymał go i zawołał, wskazując ruchem ręki na długi i głęboki wąwóz, usytuowany prostopadle do łożyska potoku: — Patrzcie!

Dwaj towarzysze, patrząc we wskazanym kierunku zobaczyli w dole wąwozu sylwetkę, nieco zamgloną przez odległość, przypominającą kogoś znanego. Był to poszukiwacz niskiego wzrostu, o ile można było sądzić z oddali, zajęty przemywaniem piasku wydobytego z szybu. Obok niego pracował drugi, o olbrzymiej postaci. Byli tak zajęci swą pracą, że nie zwrócili uwagi na zatrzymujący się wóz.

— Zdawałoby się doprawdy, że... — szepnął Summy.

— Co? — spytał zniecierpliwiony Ben Raddle.

— Że... dalibóg... to Jane Edgerton!

Ben Raddle wzruszył ramionami.

— Dlatego, że myślisz o niej w tej chwili? Jakże mógłbyś poznać kogokolwiek z tak daleka?... Jane Edgerton nie miała przecież towarzysza, o ile wiem... A zresztą skąd wnosisz, że jeden z poszukiwaczy jest kobietą?

— Nie wiem — odpowiedział Summy z wahaniem. — Zdaje mi się...

— A mnie się zdaje, że są to dwaj poszukiwacze: ojciec i syn. Nie mam w tym względzie żadnych wątpliwości. Zresztą zapytaj Neluta.

Indianin przysłonił oczy ręką.

— To jest kobieta — oświadczył kategorycznie po dłuższym przyglądaniu się.

— Widzisz! — zawołał Summy z triumfem.

— Albo mężczyzna — ciągnął dalej Neluto w tym samym tonie. Summy zniechęcony puścił lejce i wóz ruszył w dalszą drogę. Neluto zaś dodał jeszcze:

— Nie byłoby nic dziwnego, gdyby to było dziecko lub dziewczyna — na przykład.

Wóz pędził dalej. Niebawem minął granicę i zatrzymał się na działce 129.

— ...albo też chłopiec — zakończył Neluto chcąc nie pominąć żadnej hipotezy.

Ale ani Ben Raddle, ani Summy Skim nie usłyszeli ostatnich słów Neluta. Jeden z jednej, drugi z drugiej strony wozu wyskoczyli równocześnie, aby po dwu miesiącach i dziewięciu dniach podróży stanąć na gruncie działki 129.

XII

Debiut poszukiwaczki złota

Edith i Jane Edgerton, po przyjeździe do Dawson, udały się wprost do szpitala. Edith, przywitana po ojcowsku przez doktora Pilcoxa, stanęła niezwłocznie na swym stanowisku, bez żadnego niepokoju i zakłopotania, jak gdyby opuściła je wczoraj.

Jane tymczasem, dążąc do swego celu, wyrobiła natychmiast w zarządzie okręgu pozwolenie na polowanie, rybołówstwo i eksploatację złóż za cenę dziesięciu dolarów, po czym kupiła sobie strój i narzędzia poszukiwacza złota. Do szpitala wróciła przebrana od stóp do głów.

Włosy zgarnęła wysoko na głowie, przykrywając je kapeluszem filcowym, na nogi wdziała grube, podkute trzewiki; przyodziła się, w bluzę i spodnie z grubej, trwałej tkaniny. W stroju tym zatraciła swój wygląd kobiecy, stając się podobną do młodego, zwinnego chłopca.

Kuzynki spożyły wspólnie śniadanie, po czym — nie pokazując po sobie wzruszenia, które odczuwały obie — pocałowały się jak zwykle i podczas gdy Edith wróciła do swoich chorych, Jane ruszyła w drogę pełną niespodzianek i przygód.

Z informacji zasięgniętych w mieście podczas załatwiania sprawunków wywnioskowała, że nie ma po co iść na południe, ani też na wschód. W tych bowiem kierunkach znajdowały się okolice najbogatsze, a co za tym idzie najbardziej przeszukiwane. Mogłaby je przemierzać długo, zanim odnalazłaby zakątek nie eksploatowany, który wynagrodziłby jej trudy.

Na zachodzie tymczasem rzeki i potoki były mniej znane i konkurencja mniejsza. Może w tym kierunku natrafi na działkę dotąd nie eksploatowaną i niezbyt oddaloną od miasta.

Jane Edgerton, licząc na swoją szczęśliwą gwiazdę, wyruszyła z Dawson na zachód i z kilofem oraz sakwą na plecach szła wzdłuż lewego brzegu Jukonu.

Dokąd dążyła, nie wiedziała sama. Szła prosto przed siebie z postanowieniem zatrzymania się przy pierwszej lepszej rzece, zagradzającej jej drogę, aby zbadać jej brzegi.

Około piątej po południu nie natrafiwszy na żaden potok prócz małych strumyków, przysiadła zmęczona, aby się nieco pożywić. Od czasu wyjścia z miasta do tej chwili nie spotkała żywej duszy. Okolica była cicha i pusta.

Po skromnym posiłku miała już wyruszyć w dalszą drogę, gdy niespodziewanie odgłos wozu nadjeżdżającego od strony Dawson zwrócił jej uwagę. Był to prosty wóz chłopski, nakryty płótnem i zaprzężony w jednego ręczego konia. Na ławeczce przymocowanej sznurkami ponad osią, siedział rubaszny człowiek o twarzy czerwonej i jowialnej, klaszcząc wesoło z bata.

Ponieważ droga w tym miejscu zaczęła się wznosić, wóz musiał zwolnić biegu i Jane usłyszała za sobą wstrzymany tętent konia i tarcie kół, po czym powożący, głosem nieco grubym lecz wesołym,

odezwał się do niej:

— Ej, malcze, co robisz tutaj?

Na te słowa wymówione w poprawnym języku angielskim, ale z akcentem niezmiernie komicznym dla anglosaskiego ucha, Jane odwróciła się i zmierzyła swego rozmówcę spokojnym wzrokiem.

— A pan? — spytała. Człowiek na wozie zaśmiał się.

— Bon Diou! — zawołał, dodając do swej cudzoziemskiej wymowy akcent marsylski. — Czy nie widzisz, trzpiocie! Patrzcie, jak śmiało odzywa się do przechodniów. Może należysz do policji, mój mały?

— A pan? — rzekła znowu Jane Edgerton.

— „A pan” — powtórzył żartobliwie woźnica. — Czy nie umiesz powiedzieć nic innego?... A może należy się panu przedstawić?...

— Dlaczego nie? — odparła Jane na poły z uśmiechem.

— Nic prostszego — rzekł wesoły osobnik, podcinając z lekka konia. — Mam honor przedstawić się jako Marius Rouveyre, najzacniejszy kupiec z Fort Cudahy. Teraz twoja kolej, nieprawdaż?

— Jan Edgerton, poszukiwacz.

Wóz zatrzymał się na dobre, gdyż Marius Rouveyre z wielkiego zdziwienia pociągnął mocno lejce, po czym wypuścił je z rąk, śmiejąc się do rozpuku.

— Poszukiwacz! — wymawiał, jękając się wśród śmiechu. — Poszukiwacz, pecaire!... Chcesz dać się zjeść przez wilki?... A odkąd jesteś poszukiwaczem, jak mówisz?

— Od trzech godzin — odpowiedziała Jane Edgerton, czerwieniąc się z gniewu. — Jestem jednak już przeszło dwa miesiące w drodze, a przecież wilki mnie nie zjadły, zdaje mi się.

— Prawda — przyznał jowialny Marius poważnym tonem. — Prawda, że ten mały przyszedł aż tutaj... Nie przeszkadza to, że wybrałeś sobie kiepskie rzemiosło... Biedny!... Wiesz, twoja twarz podoba mi się... pomimo, że zanadto się stawiasz... Potrzeba mi właśnie subiekta i jeżeli chcesz zająć jego miejsce... Lepsze to zajęcie niż poszukiwacza!

— Subiekt? — spytała Jane. — Subiekt od czego?

— Od wszystkiego — rzekł Marius Rouveyre. — Zajmuję się wszelkim handlem. Nie możesz sobie wyobrazić nawet, co jest w tych skrzyniach. Nici, igły, szpilki, sznurki, szynki, papier listowy, kiełbasy, gorsety, konserwy, podwiązki, tytoń, ubrania kobiece i męskie, rondle, obuwie itp. Prawdziwy bazar! W tym pudełku jest cylinder, jedyny, który będzie noszony w Fort Cudahy. Będzie go wynajmował na każde wesele i wróci mi tysiąckrotnie swoją cenę. Będzie musiał pasować na wszystkie głowy!... W tym pudle zaś jest suknia... suknia balowa... dekoltowana... uszyta według

ostatniej mody paryskiej, mój kochany!

— Czy rzeczy te znajdują tu nabywców?

— Czy znajdują nabywców?... Będą mi wyrywali tę suknię! Kto pierwszy znajdzie duży kawałek złota, ofiaruje ją swej małżonce, aby zaćmiła wszystkich na wieczorach tanecznych w Fort Cudahy... Ale to wszystko błahe rzeczy. Ważniejsze są w innych pakach... Szampan, wódka, inne trunki. Nie mogę nastarczyć z ich dostawą... No, jakże? Przyjmujesz moją propozycję? Cztery dolary dziennie z mieszkaniem i strawą.

— Nie, panie — odpowiedziała szczerze Jane Edgerton. — Dziękuję panu, ale pójdę swoją drogą.

— Zła droga, mały, zła droga — mówił Marius Rouveyre z przekonaniem. — Wiem, co to poszukiwanie złota, praktykowałem to na sobie.

— Był pan poszukiwaczem?

— Przecież! Jak wszyscy tutaj. Zaczyna się od tego. Ale na sto jednemu się udaje, dwu nic na tym nie wygrywa, dziesięciu wraca w nędzniejszym stanie niż przedtem, reszta zostawia tu swą skórę... O mało nie należałem do nich!

— Doprawdy? — rzekła Jane, żądna jak zawsze dowiedzenia się czegoś nowego.

— Jak mnie widzisz żywego, mój mały — ciągnął dalej Marius. — Jestem marynarzem z Marsylii, we Francji. Zarabiałem już w pięciu częściach świata, kiedy pozwoliłem się naciągnąć przez łotra, którego miałem nieszczęście spotkać w Vancouver, gdy byłem tam na postoj. Słuchając go, zdawało się, że dość się schylić, aby znaleźć bryłę złota wielką jak głowa. Pojechaliśmy obaj. Oczywiście cały zarobek poszedł na tę podróż i równie oczywiście znalazłem tu nędzę. Miałem już tylko skórę na kościach, a moja sakiewka nie była tłustsza ode mnie, kiedy ten nicpoń opuścił mnie dla nowej ofiary. Zastanowiłem się wtedy nad sobą, a ponieważ Marius nie jest głupszy od innych, więc prędko zrozumiał, że wszystko, co zarabia poszukiwacz w Klondike, pozostaje w Klondike w kabaretach, spelunkach i sklepach, gdzie sprzedają po sto franków to co jest warte sto sous. Postanowiłem więc zostać szynkarzem i kupcem i przyklaskuję swojemu pomysłowi — zakończył Marius Rouveyre, bijąc się po brzuchu z zadowoleniem — bo moja sakiewka i ja zaokrągliły się równocześnie!

Tak rozmawiając dojechali do szczytu wzgórza. Marius zatrzymał wóz.

— A więc ostatecznie, nie zgadzasz się?

— Stanowczo nie — rzekła Jane Edgerton.

— Źle robisz — westchnął Marius, który popuścił cugle koniowi. Ale prawie natychmiast wóz zatrzymał się znowu.

— Nie powiedzą, że zostawiłem cię, abyś nocował pod gołym niebem. Marius jest dość bogaty, by przygarnąć takiego młodego chłopca jak ty. Dokąd idziesz?

— Powiedziałem panu: przed siebie.

— Przed siebie!... Przed siebie!... Możesz iść długo przed siebie. Nie ma ani jednego większego potoku w tej okolicy, aż do Fort Cudahy. Czy chcesz, abym cię tam zawiózł?

— Wozem?

— Wozem.

— Oczywiście, z wdzięcznością... — odpowiedziała Jane zachwycona tą propozycją.

— Prędko zatem... wsiadaj!... Głupi kto odmawia.

Dzięki temu szczęśliwemu zdarzeniu podróż Jane skróciła się znacznie, tym bardziej, że koń biegł przyspieszonym kłusem. Czwartego czerwca, o późnej wprawdzie godzinie, stanęli przed magazynem Mariusa Rouveyre.

Kupiec nie omieszkął ponownie namawiać Jane Edgerton, aby została u niego. W ciągu spędzonej z nią półtorej doby, sympatia, którą powziął dla niej od pierwszej chwili, zwiększyła się jeszcze. Naleganie jednak nie odniosło skutku. Jane, trwając w swym zamiarze, wyruszyła nazajutrz rankiem.

Dopływ Jukonu zagroził jej niebawem drogę. Zawróciła więc na południowy zachód i nie znając nawet nazwy tego dopływu, udała się wzdłuż prawego brzegu.

Cały dzień szła w tym kierunku. Droga jednak nie była równa. Ciągnęła się to wzdłuż potoku, to oddalała się od niego, omijając pagórki zasłaniające potok, który ukazywał się tylko u krańca wąwozów biegnących prostopadle do niego.

Jane starannie badała każdy wąwóz, w nadziei, że może natrafi na miejsce szczęśliwe, przeoczone przez tych, którzy ją poprzedzali. Ale dzień dobiegał końca bez żadnego wyniku. Cały teren był już zajęty, poznaczony słupami, świadczącymi, że jest czyjąś własnością. Działki następowały po działkach bez przerwy. Pozostały tylko kawałki ziemi jałowe lub niedostępne.

Jane zresztą nie dziwiła się wcale swemu niepowodzeniu, widząc wokoło tętniącą pracę. Poszukiwacze, którzy zajęli tę okolicę musieli wykorzystać jej bogactwo i nieprawdopodobną było rzeczą, aby najmniejszy nawet kawałek złota uszedł ich uwagi.

Pozostawało więc tylko iść dalej i to dotąd, dopóki to będzie konieczne.

Wieczorem napotkała nowy wąwóz. Zapuściła się weń, jak to czyniła dotąd i obejrzała starannie cały teren. Wąwóz ten miał wygląd bardziej dziki, niż inne mu podobne i dochodził do rzeki licznymi zakrętami. Po przejściu stu kroków, Jane straciła drogę z oczu i znalazła się na wąskiej ścieżce wśród wysokich skalistych ścian, poprzecinanych szerokimi i głębokimi szczelinami.

Stała właśnie nad jedną z nich, chcąc ją przekroczyć, gdy na zakręcie ścieżki, o dwadzieścia metrów od niej, ujrzała człowieka, na którego widok zadrżała. Był to olbrzym, kolos z rozczochranymi włosami, około sześciu stóp wzrostu. Jego włosy, barwy rudej, spadały na czoło

grubymi, kręconymi kosmykami, nadając mu zwierzęcy wręcz wygląd, spotęgowany jeszcze resztą postaci. Nos spłaszczony, uszy odstające, wargi mięsiste, ręce pokryte ‘ rudym włosem, nogi wystające z podartego obuwia, nad którym wisały i strzępy podartych spodni — wszystko to wskazywało na niezbyt lotny umysł i władający niezwykłą siłą.

Jane Edgerton i kolos, spostrzegłszy się wzajemnie, stanęli naprzeciw ; siebie. Olbrzym zdawał się zastanawiać, o ile zastanawiać się umiał. Po czym ruszył w dalszą drogę krokiem ciężkim i twardym. W miarę jak zbliżał się, Jane ogarniał coraz większy lęk.

W ciągu kilku sekund olbrzym znalazł się na brzegu szczeliny, na krawędzi której zatrzymała się Jane z zamiarem obrony. Tu stanął ponownie.

Jego zamiar był oczywisty. Dziki wyraz nabiegłych krwią oczu, grymas ust odkrywający zęby, pięści zaciśnięte do napaści, wszystko wskazywało na żądzę zbrodni. Jane wyjęła rewolwer.

Jak gdyby naigrywając się z broni ujętej przez niemal dziecięcą rękę, olbrzym poruszył ramionami, zaśmiał się, chwycił raptownie kamień i cisnął go z impetem, a chybiwszy, rzucił się ku szczelinie, którą mógłby przeskoczyć w trzech skokach. Jane oczekiwała spokojnie na przeciwnika, chcąc celnie wystrzelić.

Było to jednak zbyteczne. Po pierwszym skoku olbrzym, potknąwszy się o kamień, upadł z jękiem i nie mógł się podnieść.

Jane nie mogła zrozumieć, co się stało. Napastnik żył. Jego pierś wznosiła się nierównomiernie, wydając żałosne jęki. Najlepsze co można było uczynić, to — korzystając z tego obezwładnienia przeciwnika — zawrócić z drogi i uciec jak najszybciej.

Ale jęk, bardziej żałosny od innych, zatrzymał Jane na miejscu. Spojrzała na przeciwnika. Leżąc stracił wiele ze swego odstraszonego wyglądu. Mięsiste wargi, mocno zaciśnięte, nie miały już zwierzęcego wyrazu; oczy, przed chwilą nabiegłe krwią, wyrażały ból straszny; pięść rozwarta, wyciągała się ruchem błagalnym. Przeciwnik, dyszący żądzą zbrodni, przemienił się, jak pod wpływem różdżki czarodziejkiej w nieszczęśnika cierpiącego i słabszego od małego dziecka.

— Pozwolisz mi umrzeć tutaj? — rzekł głosem chropowatym w dość poprawnym języku angielskim.

Jane nie zawahała się ani chwili. Kobiece serce wezbrało litością. Pewnym krokiem zeszła do szczeliny i zaczęła się zbliżać do olbrzyma.

— Chcesz mnie zabić? — jęknął nieszczęśliwy, wodząc rozpaczliwym wzrokiem po broni, którą Jane trzymała w ręku.

Dziewczyna spokojnie włożyła rewolwer za pas i podeszła bliżej.

— Co wam się stało? — spytała.

— Złamałem sobie coś, na pewno. Tu... tu mnie boli — mówił ranny, pokazując na biodro i prawą

nogę.

— Dajcie, zobaczę — rzekła Jane, klękając.

Delikatnie, łagodnym lecz pewnym ruchem, podniosła zatłuszczoną bluzę i dół wystrzępionych spodni.

— Nie złamaliście sobie nic — oświadczyła po chwili badania. — Jest to tylko zwichnięcie spowodowane złym stąpaniem. Za kwadrans będzie wam lepiej.

I nie zważając na co się naraża zbliżeniem do szerokich dłoni olbrzyma, zaczęła go rozcierać, stosować umiejętny masaż, a nawet postawiła mu bańki za pomocą kubka przykręconego do podróżnej manierki — słowem lekarz nie wywiązałby się lepiej ze swego zadania. Toteż ranny prędko wrócił do siebie. W przeciągu pół godziny mógł się już podnieść o tyle, że usiadł, opierając się plecami o skałę i zdołał odpowiedzieć na zadane mu pytania.

— Jak się nazywacie? — spytała Jane.

Olbrzym spojrzał na nią z niesłychanym zdziwieniem. Myśli mu się mąciły na widok tego młodzieńca, którego chciał zabić, a który podążył mu z pomocą. Toteż głosem nieśmiałym odpowiedział:

— Patrick Richardson.

— Czy jesteście Anglikiem, czy Amerykaninem?

— Irlandczykiem.

— Poszukiwaczem złota?

— Nie, panie, kowalem.

— Dlaczego opuściliście swój kraj i porzuciliście zawód?

— Z braku pracy... Nędza, brak chleba...

— A tu udało się wam lepiej?

— Nie.

— Nie znaleźliście działki?

— Jakże mogłem jej szukać? Nie znam się na tym.

— Więc czego spodziewaliście się?

— Wynając się do pracy.

— I cóż?

— Próbowałem. Działki mają już dość robotników.

— Gdzie szliście, gdy was spotkałem?

— Na wschód, może tam powiedzie się lepiej.

— A dlaczego chcieliście mnie zabić przed chwilą?

— Dla tej samej przyczyny... Umieram z głodu — rzekł Patrick, spuszczaając oczy.

— Ach! — westchnęła Jane i po krótkim milczeniu wyciągnęła z torby posiłek.

— Spożycie to.

Ale Patrick siedział nieruchomo. Jego wzrok, spoczywający na Jane, mącił się coraz bardziej. Olbrzym zapłakał jak dziecko.

— Jedzcie! — powtórzyła Jane. Tym razem nie trzeba było nalegać.

Biedak rzucił się chciwie na podane jedzenie.

Gdy jadł, Jane przyjrzała mu się uważnie. Nie ulegało wątpliwości, że był to osobnik niezwykle upośledzony. Jego odstające uszy, nadmierne wystające szczęki, wskazywały na zupełny brak inteligencji. Ale mimo swego zbrodniczego zamiaru, nie musiał to być zły człowiek. Jane miała przed sobą jedną z ofiar wielkich miast, ludzi strącanych ustawicznie przez złowrogi los do bagna, z którego wyszli. Przypatrzywszy mu się uważniej, można było dostrzec w jego błękitnych oczach naiwne zdziwienie, na twarzy zaś malującą się dobroć. Być może na twardej drodze życia spotkał on po raz pierwszy trochę litości.

Gdy Patrick posilił się wystarczająco, Jane patrząc na niego odezwała się w te słowa:

— Jeżeli chcecie, wezmę was na służbę.

— Pan?

— Tak, dam wam dziesięć dolarów dziennie; tak tu płacą wszyscy. Ale zapłacę wam wtedy, gdy nazbieram złota tyle, abym to mógł uczynić. Tymczasem, jako zaliczkę będziecie mieć wyżywienie, a przy pierwszej sposobności ubiorę was jak należy. Czy zgadzacie się na te warunki?

Patrick schwycił rękę Jane i przywarł do niej wargami. Nie potrzebował mówić więcej. Jane zyskała w nim nie sługę, lecz niewolnika.

— Teraz — rzekła — prześpijcie się. Zrobię wam posłanie z liści, na którym wyciągniecie się. Jutro nie będzie śladu po waszym wypadku.

Istotnie, nazajutrz wczesnym rankiem, po odpowiednim masażu, Patrick mógł wyruszyć w dalszą drogę, mimo że ból nie przeszedł zupełnie i dawał się we znaki przy każdym nieostrożnym stąpieniu. Jednak dzięki pomocy swego młodego pana, na którego ramieniu wspierał się od czasu do czasu, dostał się bez większych trudności na drogę. Osobliwy był to widok — olbrzym, który przypominał postacią rosłego niedźwiedzia, a potrzebował pomocy i opieki młodzieńca o słabych mięśniach, lecz niezwykle silnej duszy.

Chód przywrócił Patrickowi szybko sprawność nóg, toteż osobliwa para niebawem przyśpieszyła kroku. Przed południem zatrzymali się na posiłek. Jane z troską obserwowała apetyt towarzysza. Czy wystarczy pożywienia dla tego olbrzyma, w którego wnętrznościach pokarm znika jak w otchłani?!

Wieczorem zeszli do nowego wąwozu. Jane i Patrick podążając nim dostali się do rzeki.

Wąwóz ten był szerszy od wszystkich poprzednich. W miarę jak zbliżał się do rzeki, rozszerzał się coraz bardziej, tak że u wylotu jego szerokość wynosiła pięćset metrów. W tym miejscu dzielił się na dwa płaskowzgórza, jedno wyższe od drugiego, przedzielone barierą skał położonych prostopadle w stosunku do rzeki i kończąca się na jej wybrzeżu ostrogą wysokości dziesięciu metrów. Jane znalazłszy się na niższym płaskowzgórzu, zwróciła nań szczególną uwagę.

Jego zbocze było podziurawione szybami mniej lub więcej zasypnymi i pokryte szczątkami narzędzi poszukiwaczy. Była to najwidoczniej opuszczona działka.

Że tak było istotnie, dowodziły szyby, porzucone narzędzia i brak słupów granicznych. W każdym razie warta była uwagi, szczególnie, że najcięższa część roboty została wykonana. Jane postanowiła także spróbować tu szczęścia.

Nazajutrz rano zakupiła w sąsiedztwie za wysoką cenę potrzebne naczynia: wiadra, miski i płuczki, po czym wzięła się do dzieła. Kazała Patrickowi odkopać jeden z szybów, tak że w niespełna dobę przemywał on już błoto, podczas gdy ona załatwiała formalności potrzebne do postawienia słupów wskazujących na posiadanie działki.

W ciągu trzech dni wszystko zostało załatwione, ale w chwili gdy stawiano słupy, znacząc je numerem 127 bis, Jane musiała przyznać, że złoto na działce znajduje się w minimalnej ilości i że o wydobywaniu większych kawałków mowy być nie mogło. Pomimo usilnej pracy Patricka nie mogli z powodu braku doświadczenia przemyć przez dobę więcej niż sto płuczek, z których średnia wydajność nie przewyższała dziesiątej części dolara. Wystarczało to zaledwie na opłacenie pomocnika i na wyżywienie.

Zdawałoby się, że Jane postąpiła nieopatrnie, nie posunąwszy się dalej; nie przekroczywszy granicy, o której dowiedziała się przy zawieraniu umowy, że leży w odległości pięciuset do sześciuset metrów.

Jednak Jane dowiedziała się rzeczy jeszcze ważniejszej. Oto rzeka, nad którą objęła działkę, nosi nazwę Forty Miles Creek, a działka, granicząca z jej własną, położona za pagórkiem zamykającym wąwóz od południowego zachodu to znana jej działka 129.

, ,W każdym razie Jane nie zniechęciła się niepowodzeniem i czy to dlatego, że żywiła jakąś mglistą nadzieję, czy też przez upór w przewyciężaniu trudności, przystąpiła ponownie do pracy z jeszcze większym wysiłkiem.

Po południu 11 czerwca, gdy Patrick zajęty swą pracą zapomniał o tym, co się naokoło niego dzieje, usłyszała nagle głos, którego brzmienie było jej dobrze znane.

— Czy pozwoli pani spytać o zdrowie?

— Pan Skim! — zawołała z radością, której nie starała się ukryć.

— We własnej osobie — rzekł Summy, ściskając mocno podaną mu rękę.

— Zdrowie moje jest w najlepszym stanie — ciągnęła dalej Jane.

— A pani działka?... Widzę bowiem, że pani również posiada działkę.

— Przyznam się panu — rzekła Jane mniej wesoło — że nie jestem z niej zadowolona. Mam dziesięć do dwunastu centów z płuczki. Zaledwie zwracają się koszta.

— Smutny to rezultat! — rzekł spokojnie Summy Skim. — A jakie są pani dalsze zamiary?

— Nie wiem — odparła Jane. — Prawdopodobnie iść dalej... Opuścić tę nieszczęsną działkę, która kosztuje mnie więcej, niż jest warta i do której dostałam się przypadkowo...

— Przypadkowo? — nalegał Summy Skim. — Więc pani nie wiedziała, że jest naszą sąsiadką?

— Dowiedziałam się dopiero kilka dni temu. Ale gdy przybyłam tu po raz pierwszy, nie wiedziałam, że ta rzeka to Forty Miles Creek i że działka 129 znajduje się po drugiej stronie wzgórza.

— Ach! — westchnął Summy Skim rozczarowany. Po chwili milczenia odezwał się zaś w te słowa:

— Dlaczego nie miałyby pani skorzystać z tego przypadku, jeżeli tu rządzi przypadek? Zdaje mi się, że byłoby wskazane, zanim się pani zapuści w odległe okolice Alaski, poznać dobrze to miejsce, które pani wybrała. Nie mógłbym pani służyć pomocą, nie znając się na tych sprawach, ale mój kuzyn Ben Raddle jest niezłym inżynierem i gdyby pani chciała...

— Dobra rada jest zawsze pożądana i przyjmę ją chętnie od pana Raddle'a — rzekła Jane. — Kiedy obejrzy moją działkę, powie mi, czego mogę się po niej spodziewać.

— A więc dobrze... Ale pozwoli pani, że zadam jej pytanie, o ile nie zostanie uznane za niedyskretne.

— Nie będzie niedyskretne — rzekła Jane z góry.

— Nie widzę tu wcale szalasu... Gdzie pani śpi w nocy?

— Na świeżym powietrzu — odpowiedziała Jane ze śmiechem. — Poślanie z liści, poduszka z piasku. Sen na tym znakomity.

Summy Skim otworzył szeroko oczy.

— Na świeżym powietrzu! — zawołał z oburzeniem. — Pani nie wie, co pani robi. Wszak to nieostrożność!

— Wcale nie. Mam dwóch stróży.

— Dwóch stróży?

— Oto jeden — tłumaczyła Jane, pokazując rewolwer u pasa — a oto drugi — dodała, wskazując na Patricka Richardsona, który z pewnej odległości przypatrywał się ze zdziwieniem przybyłemu.

Summy spoglądał niedowierzająco.

— Ten dziki człowiek? — odezwał się. — Zapewne, ten olbrzym może panią obronić, ale wszystko jedno... daleko lepiej będzie, jeżeli pani po skończonej pracy przejdzie na drugą stronę pagórka i przyjmie1 gościnę, którą służyć bylibyśmy tak radzi!

Jane potrząsnęła przecząco głową.

— Niema pani słuszności, niema — nalegał Summy. — Niech pani wierzy, byłoby to bezpieczniejsze... a gdyby nie bezpieczniejsze, to przynajmniej...

— Przynajmniej?

— Obyczajniejsze — dokończył Summy z naciskiem.

Jane Edgerton zmarszczyła brwi.

Nie do swoich spraw zaczął się mieszać pan Skim. Chciała odpowiedzieć mu ostro i osadzić niedyskretnego doradcę jednym z jej zwykłych argumentów o równości płci... Lecz odwagi jej zabrakło... Summy, straciwszy po tym co powiedział całą pewność siebie, miał wygląd tak osobliwy, zarazem gniewny i zawstydzony, że Jane uśmiechnąwszy się nieznacznie, wyciągnęła do niego rękę i rzekła poważnie:

— Pan ma słuszność, panie Skim. Przyjmuję gościnę, którą zechciał pan mi służyć.

— Bravo! — zawołał Summy. — W takim razie niech pani uczyni mi jeszcze jedną grzeczność i skończy dziś pracę wcześniej, przyjmując naszą gościnę natychmiast. Opowie nam pani swoje przygody podczas podróży, a jutro Ben obejrzy pani działkę.

— Jak pan sobie życzy — odrzekła Jane, po czym zawołała: — Patrick!

— Słucham, panie Janie.

— Dość roboty na dzisiaj. Pójdziemy na działkę 129.

— Dobrze, panie Janie.

— Zbierz narzędzia i idź przodem.

— Dobrze, panie Janie — rzekł posłusznie Patrick i obładowany miskami, płuczkami, kilofami i motykami ruszył ciężkim krokiem po zboczu pagórka.

— Pan Jan? — spytał Summy. — Bierze więc panią za mężczyznę?

— Jak pan widzi — dzięki memu strojowi.

Summy spojrział na szerokie barki olbrzyma idącego przed nimi.

— Co za ograniczony olbrzym! — wymówił to z takim przekonaniem, że Jane Edgerton nie wiedząc sama dlaczego, wybuchnęła głośnym śmiechem.

XIII.

Działka 129

Działka 129, położona na prawym brzegu Forty Miles Creek, była, jak to już powiedzieliśmy, ostatnią działką Klondike, słupy zaś, oznaczające jej zachodnią granicę, wskazywały również granicę Alaski z Kanadą.

Poza działką, na południu między dwoma niewielkimi pagórkami, ciągnęła się zielona łąka, na której z obu stron rosły kępy brzoź i osin.

Na północ od działki płynęła wartko rzeka, o średnim wtedy poziomie wody, między brzegami lekko spadzistymi. Łańcuch wzgórz, ciągnący się od północy z lewego brzegu, wznosił się nagle tuż przed szeregiem niższych pagórków, które na prawym brzegu, ciągnąc się prostopadle ku rzece, tworzyły wschodnią granicę własności Josiasa Lacoste'a. Za ostatnim pagórkiem, u podnóża wzgórz, rozciągała się działka należąca do Jane Edgerton, na której ta pracowała z taką zaciętością w chwili, gdy 10 czerwca dwaj kuzyni stanęli u kresu podróży.

W różnych miejscach widać było domki, chaty lub szałaszy właścicieli działek. Na odcinku dwu do trzech kilometrów pracowało kilkuset robotników.

Na przeciwległej stronie granicy, na terytorium Stanów Zjednoczonych znajdowały się podobne zabudowania, a najbliżej leżała działka 131, własność Teksaszczyka Huntera, który eksploatował ją od roku i rozpoczął obecnie drugi sezon poszukiwań.

Nie można było wątpić, że Hunter miał szukać zaczepki z Josiasem Lacostem. Ale również było pewnym, że nie znalazł do niej powodu. Działka 129 była właściwie zarejestrowana. Podanie o jej odkryciu zostało przyjęte przez państwo i wciągnięte w odpowiednim czasie do rejestru biura komisarza kopalni w Kanadzie za cenę trzydziestu pięciu dolarów. Co więcej, Lacoste nie zapominał o prawie królewskim do dziesiątej części wydobytego złota, przekazywanej pod groźbą wywłaszczenia. Wpłacał podatek regularnie i tym samym prawo o wywłaszczeniu w razie nieeksploatowania przez dwa tygodnie w okresie letnim, nie mogło być stosowane względem niego. Praca na działce Josiasa Lacoste'a przerwana została dopiero z jego śmiercią i obowiązek jej podjęcia spadał obecnie na spadkobierców.

Josias Lacoste zajmował się eksploatacją działki przez półtora roku. Do końca nie miał z niej prawie żadnych korzyści z powodu dość znacznych kosztów związanych z podjęciem eksploatacji. Do tego niespodziewany wylew Forty Miles Creek zniszczył pierwsze prace i spowodował znaczne szkody. Słowem, właściciel działki 129 mógł zaledwie pokryć wydatki, gdy zaskoczyła go śmierć.

Ale który poszukiwacz traci kiedykolwiek nadzieję i nie łudzi się zawsze, że znajduje się w przededniu odkrycia złotodajnej żyły lub znalezienia kilku kawałków złota niepośledniej wartości?

Zresztą dlaczego Josias Lacoste nie miał tego osiągnąć pomimo skromnych środków eksploatacji?

O wszystkich szczegółach dotyczących działki 129 dwaj kuzyni dowiedzieli się od dawnego nadzorca Josiasa Lacoste'a. Oddaliwszy całą służbę, objął nadzór, nad opustoszałą działką, czekając na wznowienie pracy czy to przez spadkobierców, czy przez nowego nabywcę.

Nadzorca nazywał się Lorique. Był Kanadyjczykiem z pochodzenia, miał lat czterdzieści, był bardzo biegły w swym zawodzie i szczyił się dłuższą praktyką w kopalniach Kalifornii i Kolumbii Brytyjskiej, zanim przybył na Alaskę. Nikt nie mógłby dostarczyć Benowi dokładniejszych danych o obecnym stanie działki 129, o jej rzeczywistej wartości, o zyskach teraźniejszych i przyszłych.

Przede wszystkim Lorique zajął się mieszkaniem dla Bena Raddle'a i Summy Skima, mających zabawić tu czas dłuższy. Zamiast obozować pod namiotem woleli oni zamieszkać w skromnej, ale czystej izbie w domku, który zbudował Josias Lacoste dla siebie i swego nadzorca. Domek położony u podnóża pagórka na południu działki, wśród kęp brzoź i osin, był latem wystarczającym schronieniem.

O dostawy żywności nie musieli się troszczyć. W tych stronach, jak zresztą w całym Klondike, istnieją towarzystwa spożywcze, z główną siedzibą w Dawson, gdzie odbierają żywność ze statków, kursujących po Jukonie.

Ciągną one olbrzymie zyski z tego handlu, tak że powodu wysokich cen, jak i wielkiej liczby pracowników zatrudnionych w kopalniach.

Nazajutrz po przyjeździe do Forty Miles Creek, Ben Raddle i Summy Skim pod przewodnictwem Lorique'a obejrzeni działkę.

— Pan Lacoste — mówił Lorique — nie zatrudnił od razu swych pięćdziesięciu robotników przy wierceniu szybów na brzegu rzeki. Zadowolił się powierzchniowym poszukiwaniem i dopiero pod koniec pierwszego sezonu zdecydował się na pogłębienie warstwy złotodajnej.

— Ile szybów mieliście w tym czasie? — spytał Ben Raddle.

— Czternaście — odpowiedział nadzorca. — Każdy otwór ma dziewięć stóp kwadratowych, jak to mogą panowie zobaczyć sami. Są one nienaruszone i gotowe do pracy.

— Ale zanim te szyby zostały wywiercone, ile dochodu dawało poszukiwanie powierzchniowe? Czy pokrywało wydatki?

— Oczywiście, że nie — rzekł Lorique. — Zwykle tak bywa na działkach, na których roboty ograniczają się do przemywania złotodajnego żwiru.

— Pracowaliście więc tylko w ten sposób? — spytał Ben Raddle.

— Jedynie w ten sposób, toteż rzadko kiedy płuczka dawała trzy dolary zysku.

— Gdy na działkach Bonanzy — zawołał Summy Skim — osiągnęto pięćset do sześciuset.

— Niech mi pan wierzy, że to tylko wyjątki — rzekł nadzorca — i jeżeli ktoś dochodzi średnio do

dwudziestu dolarów, może być bardzo zadowolony. Działka zaś 129 nie dawała średnio więcej niż jednego dolara.

— Marnie, marnie — mruknął Summy przez zęby. Ben Raddle szybko zmienił temat rozmowy.

— Jaką głębokość mają szyby?

— Od dziesięciu do piętnastu stóp. Głębokość ta jest wystarczająca, aby dostać się do warstwy, w której znajduje się złoto.

— Jaka jest zwykle grubość tej warstwy?

— Około sześciu stóp.

— A ile stopa sześcienna tej warstwy daje płuczek?

— Około dziesięciu, a dobry robotnik potrafi ich przemyć około stu dziennie.

— Ale wasze szyby jeszcze nie były czynne? — spytał Ben Raddle.

— Wszystko było gotowe w chwili, kiedy pan Lacoste umarł. Prace zostały więc zawieszono.

Nie tylko Bena Raddle'a zajmowały szczegółowe informacje o działce 129. Summy Skim również chciał zdać sobie sprawę z jej wartości. Toteż zwrócił się do nadzorca z odpowiednim pytaniem.

— Wydobyliśmy złoto wartości trzydziestu tysięcy franków — odpowiedział nadzorca — ale wydatki pochłonęły całą sumę. Nie wątpię jednak, że żyła Forty Miles Creek jest wydajna. Na sąsiednich działkach, po przewierceniu szybów, wydajność okazała się znaczna.

— Wiecie, zapewne, Lorique — rzekł Ben Raddle — że syndykat z Chicago zwracał się do nas z propozycją nabycia działki?

— Wiem, z jego polecenia oglądano ją niedawno.

— Syndykat proponował nam za nią pięć tysięcy dolarów. Czy suma ta odpowiada wartości działki?

— Suma ta jest śmieszna — odrzekł stanowczo Lorique. — Opierając się na rezultatach uzyskanych na innych działkach przy Forty Miles Creek, oceniam pańską przynajmniej na czterdzieści tysięcy dolarów.

— Piękna liczba — rzekł Summy Skim — i doprawdy nie żałowałbym podróży, gdybyśmy mogli otrzymać tę sumę. Na nieszczęście sprzedaż działki będzie rzeczą trudną, dopóki spór o granicę nie zostanie rozstrzygnięty.

— Wszystko jedno! — zaprzeczył nadzorca. — Czy działka będzie należała do Kanady, czy do Alaski, wartość jej nie ulegnie zmianie.

— Zupełnie słusznie — rzekł Ben Raddle. — Nie zmienia to jednak tego, że syndykat zaniechał nabycia działki pomimo niskiej ceny.

— Lorique, jak myślicie, czy sprostowanie granicy nastąpi wkrótce?

— Wiem tylko jedno — oświadczył nadzorca — że komisja zaczęła swe prace. A kiedy je skończy?... Przypuszczam, że nikt z komisarzy nie mógłby na to odpowiedzieć. W każdym razie pomaga im jeden z najslawniejszych geometrów Klondike, człowiek bardzo biegły w tych sprawach, pan Ogilvie, który sporządził dokładny kadaster okręgu.

— Jaki przewidują wynik? — spytał Ben Raddle.

— Że Amerykanie przegrają — odpowiedział nadzorca — i że jeżeli granica nie jest na swoim miejscu, trzeba ją będzie przenieść na zachód.

— To znaczy, że działka 129 pozostałaby ostatecznie własnością Kanady — wywnioskował Summy Skim.

Wtedy Ben Raddle zaczął się dopytywać nadzorcy, jakie stosunki łączyły Josiasa Lacoste'a z właścicielem działki 131.

— Z Tekszańczykiem i jego towarzyszem? — rzekł Lorique — Hunterem i Malonem?

— Właśnie o nich chodzi.

— O, co do tego, to mogę oświadczyć kategorycznie, że byli bardzo nieprzyjemni... Przy każdej sposobności szukali zaczepki, w ostatnich zaś czasach nie mogliśmy pracować bez rewolweru za pasem. Niejednokrotnie policja musiała ich uspokajać.

— To samo powiedział nam dowódca oddziału policyjnego, którego spotkaliśmy w Fort Cudahy — oświadczył Ben Raddle.

— Obawiam się — dodał Lorique — że będzie miał jeszcze do czynienia z nami. Nie będziemy mieli spokoju, dopóki tych łotrów nie wyrzucą stąd.

— Jak mogłoby się to stać?

— Będzie to bardzo łatwe, o ile granicę przeniosą na zachód. Działka 131 będzie wtedy należała do Kanady i Hunter będzie musiał poddać się prawom kanadyjskim.

— Oczywiście głosuje on za przeniesieniem południka sto czterdziestego pierwszego na wschód?

— Oczywiście — odrzekł nadzorca. — On to podburzył miejscowych Amerykanów, zarówno z Forty Miles Creek jak i z Sixty Miles. Nieraz grozili nam, że opanują nasze terytorium i zabiorą działki. Władze Ottawy wniosły skargę do Waszyngtonu, ale zdaje się, że tam nie śpieszą się z rozpatrzeniem sprawy.

— Oczekują zapewne na rozstrzygnięcie sporu — rzekł Ben Raddle.

— Być może. Ale dotąd musimy się strzec. Skoro Hunter dowie się o przyjeździe do Forty Miles Creek nowych właścicieli, może nam sprawić jaką niespodziankę.

— Będzie wiedział z kim ma do czynienia — oświadczył Summy Skim — bo mieliśmy wątpliwy zaszczyt przedstawić mu się.

Obchodząc działkę, obaj kuzynowie i nadzorca zatrzymali się przy słupie, oddzielającym działkę 129 od działki 131. O ile 129 była pusta, o tyle 131 była pełna życia i działalności. Robotnicy Huntera zajęci byli pracą przy szybach. Przemyte błoto spływało z pomocą wody z koryt do rzeki.

Ben Raddle i Summy Skim na próżno jednak wypatrywali Huntera i Malone'a wśród robotników. Lorique przypuszczał, że po kilku dniach spędzonych na działce, musieli wyjechać na zachód do tej części Alaski, gdzie miano odkryć nowe pokłady złotodajne.

Po obejrzeniu działki dwaj kuzynowie i nadzorca powrócili do domku, gdzie czekał na nich ze śniadaniem Neluto.

— I cóż — spytał Ben Raddle wesoło — będziemy mieli dobre śniadanie?

— Doskonałe, panie Raddle!... O ile się udało — odparł Indianin, dodając jak zwykle skromne zastrzeżenie do swego pewnego twierdzenia.

Po śniadaniu Summy Skim zagadnął kuzyna o jego przyszłe zamiary.

— Dowiedziałeś się — rzekł — o wartości działki 129. Pozostając tu, przypuszczam, że nie dowiesz się niczego więcej.

— Nie jestem tego samego zdania. Nie skończyłem jeszcze rozmowy z nadzorcą, przy tym muszę się zapoznać z rachunkami wuja Josiasa. Nie Sądzę, abym mógł to załatwić prędzej niż w dwie doby.

— Niech będzie dwie doby — rzekł Summy Skim — pod warunkiem, że będę mógł polować w okolicy.

— Poluj, Summy, poluj. To cię rozerwie podczas tych kilku dni, jakie tu spędzimy.

— O! — zauważył Summy z uśmiechem. — Dwie doby zmieniły się w kilka dni!

— Oczywiście — rzekł Ben Raddle. — Nawet gdybym mógł zobaczyć pracę robotników — przemywać piasek...

— Oho! — odparł Summy Skim. — Widzę, że dni zmieniają się w tygodnie... Ostrożnie, Ben, ostrożnie! Nie zapominaj, że nie jesteśmy poszukiwaczami...

— To prawda. Tylko, ponieważ nie możemy myśleć o sprzedaży działki dopóki granica nie zostanie ustalona, nie widzę dlaczego nie miałyby zacząć...

— A zatem — przerwał mu Summy Skim — jesteście skazani na przebywanie tutaj, dopóki ten przeklęty południk nie będzie na swoim miejscu...

— Tu czy tam. Gdzieżbyśmy poszli?

— Do Dawson, na przykład.

— Czy byłoby nam tam lepiej?

Summy nie odpowiedział. Czując, że gniew w nim wzbiera, wziął strzelbę, zawołał Neluta, i obaj wąwozem podążyli w kierunku południowym.

Summy Skim nie na darmo się gniewał. Ben Raddle był istotnie zdecydowany zająć się eksploatacją swej działki. Skoro niespodziewane okoliczności zmuszały go do przedłużenia pobytu w Forty Miles Creek do kilku tygodni, jakże oprzeć się pokusie wykorzystania gotowych szybów i sprawdzenia ich wydajności?... Czy wuj Josias wyczerpał wszystkie środki, aby dojść do dobrych rezultatów?... Czy nie zadowolili się starą metodą poszukiwaczy złota, oczywiście zbyt prymitywną, kiedy inżynier zastosować może inne sposoby, daleko szybsze i wydajniejsze? A wreszcie, jeżeli mógłby z wnętrza tego gruntu wydobywać złoto warte setki tysięcy franków, miliony może, czy słusznie byłoby sprzedawać go za śmieszoną cenę?

W ten sposób rozmyślał Ben Raddle. Słowem, wcale się nie gniewał na spór o granicę, który był mocnym argumentem dla kuzyna, a jako optymista doszedł nawet do wniosku, że Summy polubi w końcu to, do czego sam zapalał się tak bardzo. ,

Toteż, kiedy obejrzał rachunki wuja Josiasa i zdobył od nadzorca potrzebne wiadomości, spytał go bez ogródek:

— Gdybyście teraz mieli zebrać robotników, moglibyście to uczynić?

— Nie ulega wątpliwości — rzekł nadzorca. — Tysiące imigrantów nadaremnie szuka pracy. Co dzień przybywają na działki przy Forty Miles Creek. Sądzą nawet, że z powodu wielkiej ich liczby nie wymagaliby zbyt wysokiej płacy.

— Nie potrzeba byłoby więcej niż pięćdziesięciu robotników?

— Najwyżej. Pan Josias Lacoste nie zatrudniał nigdy więcej.

— Ile czasu potrzeba, aby zebrać robotników? — spytał Ben Raddle.

— Dwadzieścia cztery godziny. A po chwili nadzorca dodał:

— Czy miałby pan zamiar prowadzić eksploatację na własną rękę? ‘

— Być może, przynajmniej dotąd, dopóki nie sprzedamy działki 129 stosownie do jej wartości. —

— Istotnie, będzie pan mógł lepiej ją ocenić.

— Zresztą — zauważył Ben Raddle — cóż bym tu robił, dopóki spór o granicę nie zostanie rozstrzygnięty?

— Słusznie — przyznał nadzorca. — Ale, tak czy inaczej, działka nie straci nic ze swej wartości. Ja zaś jestem zawsze zdania, że działki znajdujące się przy dopływach lewego brzegu Jukonu, nie ustępują wcale położonym na prawym brzegu rzeki. Niech mi pan wierzy, można równie dobrze zrobić majątek na Sixty Miles lub Forty Miles, jak na Bonanzie lub Eldorado.

— Przyjmuję to do wiadomości — rzekł Ben Raddle, bardzo zadowolony z tych odpowiedzi, tak dogadzających jego własnym pragnieniom.

Przeszkodą był obecnie tylko Summy Skim. Czy pigułka nie będzie mu się wydawała zbyt gorzka? Ben Raddle niepokoił się bardziej, niż chciał to przyznać przed sobą.

Świeciła nad nim jednak szczęśliwa gwiazda. Groźna rozprawa ominęła go. Gdy Summy powrócił około piątej, nie był sam. Zjawił się na szczycie pagórka z idącym za nim robotnikiem olbrzymich rozmiarów i z towarzyszem małego wzrostu kroczącym u jego boku. Z daleka już Summy dawał znak ręką, wołając:

— Przybywaj, Ben. Niech ci przedstawię sąsiadkę.

— Miss Jane! — wykrzyknął Ben Raddle poznając rzekomego towarzysza.

— We własnej osobie! — wołał Summy. — I do tego jako właścicielka działki 127 bis!

Zbyteczną rzeczą byłoby nadmieniać, jak gorąco witał ją Ben Raddle. Dowiedziawszy się o przygodach swej „wspólniczki”, winszował jej z zapalem zimnej krwi i wyraził serdeczne ubolewanie z jej względnego niepowodzenia. Summy skorzystał ze sposobności, aby przedstawić swoją prośbę.

— Zapewniłem sąsiadkę, że nie odmówisz jej rady. Wszak mi nie zaprzeczysz?

— Chyba żartujesz? — oburzył się Ben Raddle.

— A zatem obejrzysz jej działkę?

— Bez wątpienia.

— Obejrzysz ją starannie?

— Oczywiście.

— I powiesz jej, czego się ma trzymać?

— Zaraz jutro. W razie potrzeby zawezwę nadzorcę, który zna te sprawy lepiej ode mnie.

— Bardzo to ładnie z twojej strony. A pani, miss Jane, ma zapewniony majątek — oświadczył

Summy z przekonaniem.

Ben Raddle uważał, że chwila jest stosowna, aby oznajmić kuzynowi o swym postanowieniu.

— I my również — zaczął, nie patrząc Summy Skimowi w oczy.

— I my?

— Tak. Ponieważ jesteśmy zmuszeni czekać na zakończenie sporu o granicę, postanowiłem wznowić eksploatację i prowadzić ją aż do rozstrzygnięcia sporu. Jutro Lorique zajmie się zebraniem robotników.

Ben Raddle spodziewał się wybuchu. Jakież było jego zdziwienie, gdy Summy rzekł dobrodusznie:

— To doskonały pomysł... doprawdy, doskonały!

Po czym, nie wracając do sprawy, jak gdyby nie miała żadnego znaczenia, dodał:

— Słuchaj Ben, pozwoliłem sobie ofiarować miss Jane gościnę w naszym domku, gdyż jest zmuszona nocować pod gołym niebem. Nie masz nic przeciwko temu?

— Co za pytanie? Nasz domek jest do dyspozycji miss Edgerton, to oczywiste.

— Wszystko więc dobrze się składa — rzekł Summy. — I wobec tego proponuję...

— Co?

— Żebyśmy oprowadzili miss Jane — po swojej własności — zakończył wesoło Summy i nie czekając odpowiedzi wyruszył, prowadząc z sobą Jane Edgerton. Ben Raddle szedł za nimi oszołomiony zgodą kuzyna.

Tymczasem Summy Skim mówił do swej towarzyszki tonem najpoważniejszym w świecie:

— Bądź co bądź, miejscowości złotodajne mają też swoje dobre strony. Miejscowości te, miss Jane...

Nie mogąc zrozumieć tej zadziwiającej przemiany, Ben Raddle zapalił papierosa i wzruszył ramionami.

XIV.

Eksploatacja

Optymizm Summy Skima nie trwał długo. Obudziwszy się nazajutrz, powrócił do swych zwykłych poglądów, którym pod wpływem nie wytłumaczonej przyczyny sprzeniewierzył się przez chwilę. Kiedy stwierdził, że jego przewidywania sprawdziły się, wpadł w zły humor, o ile mogło się nań zdobyć jego łagodne z natury usposobienie.

Tak więc Ben Raddle do chwili kiedy będzie mógł sprzedać działkę, będzie ją eksploatował. Kto wie nawet, czy odstąpi ją kiedykolwiek!...

— Nieszczęśliwa godzina — powtarzał sobie rozważny Summy Skim. — Ach! Wuju Josiasie!... Jeżeli staliśmy się kopaczami, zbieraczami złota, poszukiwaczami złota, czy, moim zdaniem, poszukiwaczami ńedzy, to tobie, wuju, to zawdzięczamy... Dość zbliżyć rękę do tej maszyny, aby porwała całego człowieka... Zima nadejdzie i nie powrócimy do Montrealu!... Zima w Klondike!... Z mrozami, do których mierzenia trzeba było wykonać rozkoszne termometry o skali wskazującej poniżej zera tyle stopni, ile nie wskazuje ich powyżej zera żaden inny termometr! Co za perspektywy! O, wuju Josiasie, wuju Josiasie!

Takim myśłom oddawał się Summy Skim. Ale czy to pod wpływem swego łagodnego usposobienia, czy też z innej jakiej przyczyny, jego przekonania straciły już dawną moc. Czy Summy Skim miał się zmienić i spokojny obywatel z Green Nalleyrniałby znaleźć upodobanie w koczowniczym życiu?

Okres eksploatacji dopiero się zaczął. Od dwu zaledwie tygodni pod wpływem odwilży grunt rozmiękł i na rzekach zniknęła powłoka lodowa. Jeżeli nawet ziemia, stwardniała od wielkich mrozów, stawiała gdzieniegdzie pewien opór, kilof i motyka mogły mu już podolać. Do warstwy złotodajnej można się było dostać bez obawy, że ściany szybu, zamrożnięte przez zimę, zapadną się niebawem.

Nie mając na działce odpowiednich maszyn, Ben Raddle musiał zadowolić się miską i płuczką, tak zwaną „pan” w języku kopaczy. Pierwotny ten sposób eksploatacji był właściwie wystarczający dla działek sąsiadujących z Forty. Miles Creek.

Górskie kopalnie złota potrzebują jednak narzędzi bardziej udoskonalonych. Maszyny tłokowe, służące do miażdżenia kwarcu, były już w użyciu w pokładach górskich Klondike z równym powodzeniem, jak i w innych kopalniach Kanady i Kolumbii Brytyjskiej.

Ben Raddle, dla urzeczywistnienia swoich zamiarów, nie mógł znaleźć cenniejszego pomocnika od dotychczasowego nadzorca. Człowiek ten, niezwykle biegły w swym zawodzie, stosować mógł z korzyścią ulepszenia, które inżynier chciał wprowadzić.

W każdym razie należało się śpieszyć. Zbyt długa przerwa w eksploatacji działki 129 mogłaby

zwrócić uwagę władz, żądnych jak największego zysku z podatków pobieranych od właścicieli działek.

Nadzorca nie mógł tak łatwo, jak przypuszczał, zebrać żądanej liczby robotników. Nowe pokłady odkryte w górzystej części okręgu ściągnęły tam górników, gdyż zarobek w tych stronach przedstawiał się korzystniej. Zapewne imigranci nie przestawali przybywać do Dawson, lecz zapotrzebowanie na robotników było wielkie wobec małego rozpowszechnienia maszyn.

Kiedy nadzorca zajęty był zbieraniem robotników, Ben Raddle, dotrzymuje obietnicy danej Jane Edgerton, udał się wraz z kuzynem na jej działkę.

Osobliwy podział działki na dwa poziomy, jeden wyższy w górze rzeki, drugi niższy w dolnym jej biegu, zwrócił natychmiast uwagę inżyniera. Po zbadaniu położenia brzegów rzeki, wypowiedział swoje zdanie:

— Nikt nie mógłby ocenić wartości pani działki — mówił. — Pewną jednak jest rzeczą, że pani się omyliła, wybierając niższy poziom.

— Dlaczego? — spytała Jane. — Przecież dokonując tego wyboru kierowałam się śladami szybów, które tam znalazłam.

— Właśnie obecność szybów powinna była panią zniechęcić. Czy nie jest rzeczą oczywistą, że szyby te, wiercone, a następnie opuszczone, w okolicy, w której przebywa tylu kopaczy, nie przynosiły żadnego dochodu? Dlaczego pani miałyby mieć więcej szczęścia od innych?

— To prawda — przyznała Jane uderzona trafnością uwagi.

— Mogę przytoczyć jeszcze jeden argument, ale aby pani mogła zrozumieć całą jego doniosłość, musi pani wiedzieć, jak utworzyła się warstwa złotodajna, którą oboje eksploatujemy. Warstwa ta jest pozostałością wód Forty Miles Creek, z bardzo dawnych czasów, kiedy rzeka ta, rozlana szeroko, pokrywała swoimi wodami działkę 129 i inne okoliczne, jak również miejsce, w którym obecnie stoimy i wawóz do niego przylegający, tworzący rodzaj zatoki, do której prąd, napotkawszy wzgórek dzielący nasze posiadłości, wpadał z pewnym naporem. Oczywiście woda musiała najpierw przepłynąć przez piętro wyższe, po czym z wysokości skalistej zapory spadała kaskadą na niższy poziom, aby znów wrócić do pierwotnego kierunku. Skalista ta zapora siłą rzeczy zagradzała drogę prądowi, który załamywał się i wirował. Jest więc rzeczą bardzo prawdopodobną, że koło tej zapory zostawił całą swą cięższą zawartość, a mianowicie cząsteczki złota, które ze sobą uniósł. Wgłębienie utworzone przez skalistą zaporę zapełniało się stopniowo cząsteczkami złota i mogłoby pewnego dnia dojść do niższego poziomu, gdyby jak można przypuszczać, właśnie w tym samym czasie trzęsienie ziemi nie spowodowało usunięcia się kamieni przykrywających obecnie warstwę piaszczystą i nie wpłynęło na bieg rzeki, która musiała się cofnąć na północ i skierować do łożyska, którym płynie obecnie.

Summy Skim nie ukrywał swego zachwytu.

— Wspaniale! — zawołał. — Jesteś genialny Ben!

— Nie zachwycaj się zbyt — rzekł Ben Raddle. — W każdym razie są to tylko hipotezy. Zdaje mi się jednak, że nie mylę się, twierdząc, iż jeżeli na działce 127 bis jest złoto, to znajduje się ono pod kamieniami, które pokrywają jej górną część...

— Chodźmy zobaczyć — odezwała się Jane ze zwykłą stanowczością. Nie zwlekając, wszyscy troje wyruszyli w drogę wąwozem, ciągnącym się około dwustu metrów, po czym, doszedłszy do miejsca, gdzie skalista zaporą wychodzi z wąwozu, podążyli na wyższą płaszczyznę, zbliżając się do rzeki. Droga wśród zawałonych kamieni, niekiedy olbrzymich, była niezmiernie uciążliwa i podróżnicy potrzebowali około godziny, aby dostać się do rzeki.

Pomimo cierpliwych poszukiwań Ben Raddle nie mógł znaleźć ani cząstki piasku. Była to płaszczyzna pokryta kamieniami i skałą, a w odstępach między nimi dostrzec można było inne skały głęboko wryte w ziemię.

— Będzie rzeczą trudną dowieść eksperymentalnie mojej teorii — zauważył Ben Raddle, dochodząc do prostopadłej skały, stanowiącej krawędź płaszczyzny.

— Nie tak trudną, jak myślisz — rzekł Summy Skim, który oddaliwszy się na i kilka metrów dostrzegł małą przestrzeń piasku między skałami. — Zobacz — I piasek!

Ben Raddle zbliżył się do kuzyna. Kwadratowy spłachetek piasku, wielki jak chustka do nosa, widniał między dwoma kamieniami.

— I to piasek wspaniały! — zawołał Ben, przypatrując mu się. — To cud, że nikt nie odkrył go przed nami. Spójrz na jego zabarwienie, Summy; niech pani patrzy, miss Jane. Założę się sto przeciw jednemu, że piasek ten zawiera złoto warte do pięćdziesięciu dolarów na szalę.

Trudno było to sprawdzić na miejscu. Napełniono przeto kapelusze i kieszenie cennym znaleziskiem i ruszono w drogę powrotną!

Po dojściu do rzeki przemyło w niej kruszec, oswobadzając go z piasku i Ben Raddle mógł stwierdzić z zadowoleniem, że ocena jego była o połowę zaniżona. Wydajność złota nie mogła być mniejsza niż sto dolarów z szali.

— Sto dolarów! — zawołał Jane i Summy z zachwytem.

— I to co najmniej — oświadczył kategorycznie Ben Raddle.

— A zatem — majątek mam zapewniony — szepnęła Jane z odcieniem wzruszenia pomimo swej niezmiernie zimnej krwi.

— Nie unośmy się — rzekł Ben Raddle — nie unośmy. Zapewne, jestem przekonany, że ta część pani działki zawiera bryłki złota znacznej wartości, lecz nie mówiąc już, że odkrycie tego kawałka może być dziełem czystego przypadku, musimy się liczyć z olbrzymimi kosztami, które pociągnie za sobą oczyszczenie gruntu. Wymaga to wielu robotników, narzędzi... nawet dynamit będzie potrzebny.

— Jeszcze dziś wezmę się do dzieła — rzekła Jane energicznie. — Postaramy się z Patrickiem

oczyścić kawałek tego gruntu bez niczyjej pomocy. To co z niego wydobędziemy, pozwoli nam kupić narzędzia i nająć robotników...

— Doskonale to pani obmyśliła — przyznał Ben Raddle — i nie pozostaje nam nic innego jak życzyć pani powodzenia...

— I przyjmując podziękowania, gorące moje podziękowania — dodała Jane. — Bez panów przekroczyłabym granicę, udała się w głąb Alaski i nikt wiedzieć by nie mógł...

— Ponieważ jestem pani współnikiem — rzekł nieco chłodno Ben Raddle — w moim interesie leżało pomóc pani, aby zmniejszyć o ile można ryzyko, na które narażony jest kapitał uosobiony w pani.

— Prawda — przyznała Jane z zadowoleniem.

Summy Skim przerwał tę rozmowę działającą mu widocznie na nerwy.

— Zdziwiacie mnie, słowo daję. Traktujecie wszystko po kupiecku... Ja choć nie jestem „wspólnikiem”, cieszę się niezmiernie z tak pomyślnego obrotu sprawy!

Pozostawiwszy Jane Edgerton, kuzyni wrócili na działkę 129, gdzie napotkali już kilkunastu robotników. Nadzorca zdołał zgodzić ich około trzydziestu za sumę przeszło dziesięciu dolarów dziennie.

Zresztą była to płaca przyjęta w okolicy Bonanzy. Większość robotników zarabiała od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu franków dziennie, wielu też z nich wzbogacało się szybko, nie wydając pieniędzy z taką łatwością, z jaką je zarabiali.

Wysokość płacy nie powinna jednak nas dziwić. W pokładach Sookum na przykład robotnik zbierał złoto wartości stu dolarów na godzinę, otrzymywał zaś zaledwie setną część tego.

Jak już wspomnieliśmy, sposób eksploatacji działki 129 był dość prymitywny. Narzędzia, które wystarczały wujowi Josiasowi, nie zadowoliły siostrzeńca. Zajął się więc natychmiast ich udoskonaleniem, sprowadzając za pośrednictwem nadzorcy, za wysoką cenę, dwa „rockery”.

„Rocker” — udoskonalona płuczka — jest po prostu pudłem długości trzech, a szerokości dwu stóp, rodzajem trumny przytwierdzonej do ruchomej belki. Wewnątrz znajduje się sito zaopatrzone w kwadratowy kawałek wełny, które zatrzymuje ziarnka złota, przepuszczając piasek. Na niższej krawędzi sita, poruszanego ruchomą belką, zhańduje się nieco rtęci służącej do złączenia się z metalem, o ile jest on zbyt drobny, aby można go było zebrać ręką.

Ben Raddle wolałby zamiast „rockera” sprowadzić tak zwany „sluice”, ale ponieważ sprowadzić go nie mógł, więc postanowił go zbudować. „Sluice” to rodzaj kanału z drewna poprzegradzanego w sześciocalowych odstępach poprzecznymi rowkami. Gdy wprowadzi się do niego rozwodnione błoto, ziemia i kwarc spłyną, a złoto zatrzyma się w rowkach wskutek swego ciężaru gatunkowego.

Dwie te maszyny są bardzo pomocne w wydobywaniu złota, lecz wymagają zainstalowania pompy,

która doprowadziłaby wodę do górnej ich krawędzi, co znacznie powiększa koszty. O ile chodzi o działki górskie, niekiedy można wykorzystać naturalny spadek wody, ale na działkach rzecznych z konieczności należy uciec się do środków mechanicznych pociągających za sobą wielkie wydatki.

Tak więc eksploatacja działki 129 rozpoczęła się w pomyślniejszych warunkach.

Summy Skim, mędrkując na swój sposób, nie przestawał zwracać uwagi na zapał, z jakim Ben Raddle brał się do pracy.

— Stanowczo — mówił do siebie — Benowi udzieliła się panująca tu epidemia i dałby Bóg, aby na mnie nie przyszła kolej! Obawiam się bardzo, że wyleczyć ją nie będzie można nawet po zrobieniu majątku, a posiadana wówczas ilość złota okaże się znów niewystarczająca...

Jednakże właściciele działki 129 byli jeszcze daleko od tego. Może ziemia, działki kryła bogactwa, jak to twierdził nadzorca, w każdym razie dzieliła się, nimi skąpo. Dostanie się do warstwy złotodajnej, ciągnącej się w gruncie wzdłuż Forty Miles Creek, przedstawiało wielkie trudności. Ben Raddle musiał przyznać, że szyby są za płytkie i że należy wiercić je dalej. Był to trud niemały w porze roku, w której ściany szybów nie były zamrożone.

Ale czy w ogóle warto było rozpoczynać tę kosztowną pracę i czy nie lepiej byłoby ją zostawić dla syndykatów lub osób prywatnych pragnących nabyć, działkę 129? Czy Ben Raddle nie powinien był poprzestać na swych dotychczasowych narzędziach? ,

Jednakże przemywanie na miskach przynosiło mu tylko ćwierć dolara zysku z miski. Wobec płacy robotników dochód to był żaden i można było zwątpić w przewidywania nadzorcy.

Cały czerwiec był pogodny. Kilka burz, chociaż gwałtownych, przeszło niepostrzeżenie. Praca więc wrzała wzdłuż Forty Miles Creek.

W pierwszych dniach lipca właściciele działki 129 mogli wysłać do Dawson zaledwie trzy tysiące dolarów, złożonych na ich rachunek w kasach Anglo-American Transportation and Trading Company.

— Dołożyłbym z własnej kieszeni, gdyby nie była pusta — mówił Summy Skim — aby żalowali niedoszęłego nabycia działki 129. Ale trzy tysiące dolarów!... Będą się z nas śmiali!

— Cierpliwości, Summy, cierpliwości! — odpowiadał Ben Raddle. — To jeszcze się zmieni.

W każdym razie, aby „się zmieniło”, należało działać szybko. Z nadejściem lipca zostały tylko dwa letnie miesiące. Słońce, zachodzące o wpół do jedenastej, ukazuje się na horyzoncie o pierwszej z rana. Między zachodem a wschodem słońca panuje jednak zmrok tak słaby, że gwiazdy podbiegunowe są zaledwie widoczne. W tych warunkach praca mogłaby iść nieprzerwanie przy dwu zmianach robotników. W ten sposób pracowano po drugiej stronie granicy, na terytorium Alaski, gdzie Amerykanie rozwijali niesłychaną działalność.

Ku wielkiemu zmartwieniu Bena nie można było pójść w ich ślady. Nadzorcy bowiem pomimo usilnych starań udało się zebrać zaledwie czterdziestu robotników.

To samo było na działce 127 bis. Jane Edgerton mogła zebrać zaledwie dziesięciu pracowników, pomimo że nie liczyła się z płacą.

Co wieczór zdawała sprawę Summy Skimowi i Benowi Raddle'owi z rezultatów swych usiłowań. Nie dorównywały one wynikom pierwszej próby, lecz wydajność płuczek nie była mniejsza niż cztery dolary na płuczkę, a nierzadko dochodziła do dziesięciu. W tych warunkach dziesięciu robotników wystarczyłoby do osiągnięcia kilkuset tysięcy franków dochodu do końca sezonu.

Ale, niestety, byli oni zajęci oczyszczaniem terenu, a pomimo siły i oddania Patricka praca ta posuwała się z wolna. W każdym razie obszar piasku zwiększał się powoli, w miarę jak wyrzucano kamienie na niższą płaszczyznę można było przewidywać, że w połowie lipca działka 127 bis dawać będzie swej właścicielce poważne dochody.

Na działce 129 tymczasem przewidywania były mniej pomyślne pomimo usilnej działalności Bena Raddle'a.

Czytelnik się nie zdziwi, zważywszy usposobienie Bena Raddle'a, że (inżynier brał nieraz czynny udział w pracy. Nie wzdragał się pomagać swym robotnikom, pilnując ich. Z płuczką w ręku przemywał błoto, a często nawet wprawiał w ruch „rocker”. Tymczasem Summy Skim nie tracił oczywiście swego spokoju i na próżno Ben Raddle chciał mu udzielić choć część swego zapłała.

— I cóż, Summy, nie spróbujesz? — pytał.

— Nie — odpowiadał Summy niezmiennie — nie mam do tego powołania.

— Nie jest jednak rzeczą trudną poruszać płuczką rozrabiając żwir, od którego oddzielają się cząsteczki złota, pozostające na dnie.

— Prawda, Ben. Ale czego chcesz? Nie mam upodobania do tego zawodu. Nie, nawet gdyby mi płacono dwa dolary za godzinę.

— Jestem przekonany, że miałbyś szczęśliwą rękę! — rzekł Ben z odcieniem żalu.

Pewnego dnia jednak Summy dał się namówić. Posłusznie wziął płuczkę, położył na nią ziemię wydobyłą z jednego z szybów i po zmieszaniu jej z wodą — zaczął ją sączyć powoli.

Ale na płuczce nie było ani śladu kruszcu.

— Ani odrobiny! — rzekł. — Nawet tyle, abym mógł zapłacić za tytoń do fajki!

Summy za to miał szczęście na polowaniu. Pomimo, że przypadek sprowadzał go prawie zawsze — jak gdyby starał się o to — do działki 127 bis, gdzie tracił wiele cennego czasu, wyczekując aż Jane Edgerton skończy pracę, zawsze wracał z obfitą zdobyczą. Ze powodzenie zawdzięczał swej niewątpliwej sprawności myśliwskiej, w to wątpić nie było można. Ale obfitość zwierzyny na okolicznych równinach i w wąwozach sąsiednich odgrywała tu również niepoślednią rolę. Łosi kanadyjskich nie spotykał wcale, za to nieraz upolował w lasach karibu, zwierzę podobne do

renifera. Co do krzyków, kuropatw śnieżnych i kaczek, to były ich tysiące na bagnach obu brzegów Forty Miles Creek. Polowaniem na nie pocieszał się Summy Skim podczas swego przedłużonego pobytu w Klondike, a jednak tęsknił za pełną zwierza okolicą Green Valley.

W pierwszej połowie lipca przemywanie dało lepsze wyniki. Nadzorca natrafił wreszcie na żyłę kruszcu, coraz bogatszą w złoto w miarę jak zbliżała się do granicy. Płuczki wydobywały znaczną liczbę ziaren złota. Choć nie znaleziono ani jednego większego kawałka, dwutygodniowy dochód sięgał trzydziestu siedmiu tysięcy dolarów. Przewidywania nadzorcy zaczęły się sprawdzać, pragnienia zaś Bena Raddle'a rosły.

Z rozmów z robotnikami dowiedziano się, że na działce Teksańczyka Huntera nastąpił również pomyślny zwrot, w miarę jak zbliżano się do granicy wschodniej. Nie ulegało wątpliwości, sądząc z coraz bogatszej wydajności warstwy złotodajnej, że w pobliżu, a może na samej granicy, znajduje się jedna tylko bonanza, czyli jedno miejsce złotodajne.

Podnieceni tą perspektywą robotnicy z obu działek zbliżali się ku sobie. Niebawem mieli się spotkać na granicy obu państw.

Robotnicy Teksańczyka w liczbie trzydziestu ludzi byli wszyscy pochodzenia amerykańskiego. Trudno było o bardziej opłakany zespół. Brutalni, gwałtowni i kłótlivi, o odstręczającym wyglądzie, odpowiadali w zupełności swym pracodawcom znanym z najgorszej strony w okolicach Klondike.

Na ogół zachodzi różnica między Amerykanami i Kanadyjczykami pracującymi w kopalniach. Ci ostatni są zwykle daleko posłuszniejsi, spokojniejsi i bardziej karni. Towarzystwa amerykańskie zatrudniają jednak chętniej swych ziomków, pomimo ich gwałtowności, skłonności do buntu, codziennych utarczek spowodowanych nadmiarem wysokowych trunków. Rzadko dzień mijał bez interwencji policji na jednej lub drugiej działce. Nierzadko zdarzają się strzały lub pchnięcia sztyletem, nieraz zaś ciosy śmiertelne. Rannych trzeba odsyłać do szpitala w Dawson i tak już przepełnionego ofiarami nieustającej epidemii.

W trzecim tygodniu lipca eksploatacja okazała się jeszcze pomyślniejsza, choć większych kawałków złota nie znaleziono nadal. Ale wreszcie dochód przewyższał wydatki i 20 lipca nowy przekaz w wysokości dwunastu tysięcy dolarów wysłany został na nazwisko panów Skima i Raddle'a do kas Anglo-American Transportation and Trading Company.

Summy Skim zacierał ręce.

— A to się zdziwi pan William Broll!

Nie ulegało już teraz wątpliwości, że dochód z całej kampanii osiągnie sto tysięcy franków. Wartość więc działki wzrosła znacznie, wskutek czego z nabywcami można się było potargować.

Działce 127 bis również sprzyjały okoliczności. Po oczyszczeniu niewielkiej części terenu Jane Edgerton zaczęła zbierać owoce swej pracy. Do domku obu kuzynów zaniecono złoto warte trzy tysiące dolarów, które miało być wysłane do Dawson. Według wszelkiego prawdopodobieństwa działka 127 bis będzie mogła osiągnąć pod koniec eksploatacji dochód w wysokości pięćdziesięciu

tysiący franków, pomimo trudnych i powolnych początków.

W ostatnich dniach lipca Summy Skim wystąpił z propozycją nie pozbawioną słuszności:

— Nie wiem, dlaczego — rzekł — mielibyśmy tu pozostać i dlaczego miss Jane i my nie mielibyśmy sprzedać działek?

— Dlatego, że nie moglibyśmy dokonać transakcji na wygodnych dla nas warunkach przed sprostowaniem granicy.

— Ech! Niech diabli porwą sto czterdziesty pierwszy południk! Sprzedaż może równie dobrze odbyć się z Montrealu za listownym pośrednictwem kancelarii notariusza Snubbina, jak i w Dawson.

— Lecz nie na tak sprzyjających warunkach — odparł Ben Raddle.

— Dlaczego? Jeżeli miss Jane i my znamy dokładną wartość działki?

— Za miesiąc lub sześć tygodni będzie jeszcze większa — oświadczył inżynier — a wtedy dadzą nam za działkę nie czterdzieści tysięcy dolarów, lecz osiemdziesiąt tysięcy, sto tysięcy!

— Co zrobimy z tym wszystkim?

— Dobry użytek, bądź pewny — rzekł Ben Raddle. — Czy nie widzisz, że warstwa złotodajna staje się coraz bogatsza, w miarę jak zbliża się ku zachodowi? — Tak, ale w miarę zbliżania się»dojdziemy do działki 131 — zauważył Summy Skim — a skoro robotnicy nasi zetkną się z robotnikami tego rozkosznego Huntera, nie wiem, co może się zdarzyć.

Istotnie, należało się spodziewać, że podczas tego spotkania dojdzie niechybnie do starcia pomiędzy obu stronami. Już zaczęto grozić sobie wzajemnie, Lorique przemówił się z nadzorcą amerykańskim, człowiekiem Brutalnym i nieokrzesanym i należało się obawiać, że groźby zamienią się w czyny wraz z powrotem Huntera. Niejeden kamień został rzucony z tej drugiej strony... jednakże nie prędeż, aż się przekonano, że nie zawiera ani odrobiny złota... Lorique wraz z Benem Raddle'em robili wszystko, aby pohamować robotników. Nadzorca amerykański przeciwnie, podburzał ciągle swych robotników i nie przegapił żadnej sposobności, aby szukać zaczepki z nadzorcą kanadyjskim.

Zresztą eksploatacja na terenie amerykańskim była mniej pomyślna i na razie działka 129 warta była więcej niż działka 131; zdawało się nawet, że warstwa złotodajna zaczyna się kierować ku południu, oddalając się od brzegu Forty Miles Creek i były wszelkie dane ku temu, że poszukiwana bonanza znajduje się na terytorium kanadyjskim.

27 lipca obydwie strony były oddalone od siebie o dziesięć metrów. Przed upływem dwu tygodni dojdą do granicy. Summy Skim obawiał się zajścia.

Istotnie, 27 lipca zaszedł wypadek, który przyczynił się do pogorszenia sytuacji.

Hunter i Malone zjawili się na działce 131.

Noc z 5 na 6 sierpnia

Na północno–zachodnim obszarze Ameryki, między Oceanem Lodowatym a Spokojnym, oprócz terytorium Klondike znajdują się jeszcze inne złotodajne okolice i prawdopodobnie w niedługim czasie zostaną odkryte jeszcze nowe pokłady. Przyroda, poskapiwszy tym stronom urodzajnej ziemi, obdarzyła je w zamian cennym kruszczem.

Pokłady złotodajne, należące do terytorium Alaski, są położone wewnątrz krzywej, którą zakreśla Jukon między Klondike i St. Michel, sięgając aż do koła podbiegunowego.

Jedna ich część graniczy z Circle City, miasteczkiem położonym o trzysta siedemdziesiąt kilometrów na południe od Dawson. Tam bierze początek Birch Creek, rzeka która wpada do Jukonu w pobliżu Fortu tej samej nazwy, znajdującego się na kole podbiegunowym na południowym krańcu zakrętu wielkiej rzeki.

Ostatnia kampania dobiegała końca, kiedy rozeszły się pogłoski, że pokłady Circle City dorównują pokładom Bonanzy. Wystarczyło to, aby tłum kopaczy podążył w tamtą stronę.

Hunter i Malone byli w tej liczbie. Po rozpoczęciu eksploatacji działki 131, wsiedli na parowiec stojący w porcie Jukonu i podążyli do Circle City, aby zbadać okolicę Birch Creek. Nie odpowiadała widać ich oczekiwaniom, powrócili bowiem na działkę 131 z postanowieniem zatrzymania się na niej do końca kampanii. W przeciwnym razie nie omieszkaliby podążyć do Dawson, aby znalezione złoto zostawić w kasynach i domach gry tego miasta.

— Obecność Huntera nie przyczyni się do spokoju na działkach, a szczególnie tych, które znajdują się nad Forty Miles Creek — rzekł Lorique do obu kuzynów, gdy dowiedział się o przybyciu Tekszańczyka.

— Będziemy mieli się na baczności — odparł Ben Raddle.

— Dobrze panowie zrobią — oświadczył nadzorca. — Ja ze swej strony nakazę robotnikom ostrożność.

— Czy nie byłoby wskazane zawiadomić policję o przybyciu tych łotrów? — spytał Ben Raddle.

— Musi ona już wiedzieć o nich — rzekł Lorique. — W każdym razie możemy wysłać umyślnego do Fort Cudahy, aby uprzedzić wypadki.

— Na Boga! — zawołał Summy Skim z niezwykłą u niego żywością.

— Pozwólcie, że powiem, iż jesteście zbyt mało pewni siebie. Gdyby osobnik ten okazał się zbyt gwałtowny, potrafimy odpowiedzieć mu jak należy.

— Niech i tak będzie, Summy — rzekł Ben Raddle. — Ale po co masz się spotykać z tym człowiekiem?

— Mamy dawne rachunki do załatwienia.

— Zdaje mi się, że nie „pozostałeś mu dłużnym — zaprzeczył Ben Raddle, nie chcąc, aby kuzyn narażał się na przykrości. — Stałeś w obronie kobiety i to jest rzecz całkiem naturalna; osadziłeś Huntera jak należy i ja postąpiłbym tak jak ty; ale tu, gdy idzie o bezpieczeństwo całej działki, pozostawmy to policji.

— A jeśli jej nie będzie? — rzekł Summy nieustępliwie.

— Jeśli jej nie będzie — odezwał się nadzorca — potrafimy obronić się sami, może pan być pewien.

— Ostatecznie — rzekł Ben Raddle — nie jesteśmy tu po to, aby zajmować się oswobodzeniem Forty Miles Creek od tych nędzników, lecz...

— Aby sprzedać działkę — odpowiedział Summy Skim z pewnym podnieceniem, wracając jak zawsze do swej ulubionej piosnki.

— Powiedźcie mi, Lorique, czy wiadomo, co słyhać z komisją nadgraniczną?

— Mówią, że jest dopiero na południu — rzekł nadzorca — u podnóża góry Elie.

— To za daleko, aby udać się do niej.

— Zbyt daleko. Trzeba by wracać do Skagway...

— Przeklęty kraj! — zawołał Summy Skim.

— Słuchaj, Summy — odezwał się Ben Raddle, kładąc rękę na ramieniu kuzyna. — Musisz uspokoić się trochę. Idź na polowanie, zabierz Neluta i przynieś nam dzisiaj dobrej zwierzyny. Przez ten czas będziemy poruszali „rockerem”, starając się zebrać obfity plon.

— Kto wie? — wtrącił nadzorca. — Dlaczego nie miałyby się nam zdarzyć to, co zdarzyło się w październiku 1897 roku pułkownikowi Earvay w Cripple Cfeek?

— A co zdarzyło się temu pułkownikowi? — spytał Summy Skim.

— Znalazł on na swej działce, na głębokości siedmiu stóp, bryłę złota wartości stu tysięcy dolarów.

— Pchi! — odezwał się Summy pogardliwym tonem.

— Bierz strzelbę, Summy — rzekł Ben Raddle. — Poluj do wieczora i strzeż się niedźwiedzi!

Summy Skim nie miał nic lepszego do roboty, niż iść za radą kuzyna. Neluto i on podążyli wąwozem, a w kwadrans później rozległ się odgłos ich strzałów.

Ben Raddle zaś wrócił do swej pracy i nakazał robotnikom nie zwracać uwagi na zaczepki padające z działki 131. Tego dnia wszakże nie zaszło nic szczególnego na obu działkach.

Podczas nieobecności kuzyna Ben Raddle miał sposobność ujrzenia Huntera i Malone'a. Linia graniczna, przebiegająca jak dotąd na swym dawnym miejscu, przechodziła koło wąwozu, dążąc na południe. Domek Teksańczyków stał naprzeciwko domku nadzorcy, na przeciwległej stronie granicy. Ben Raddle mógł więc widzieć ze swego pokoju Huntera i jego towarzysza przechadzających się po działce 131. Nie starając się zwrócić ich uwagi na siebie, ani również kryć się przed nimi, stał oparty o krawędź okna parterowego domku.

Hunter i Malone zbliżyli się do granicznego słupa, rozmawiając z ożywieniem. Rzuciwszy spojrzenie na rzekę i sąsiadujące z nią działki, zbliżyli się do wąwozu. Byli w złych humorach, co nie było dziwne, gdyż wydajność działki 131 od początku kampanii była jedną z najgorszych, mimo że sąsiednia działka dawała znaczny dochód.

Hunter i Malone szli wzdłuż wąwozu, tak że niebawem znaleźli się prawie na wysokości domku. Stąd spostrzegli Bena Raddle'a, który udawał, że nie zwraca wcale na nich uwagi, choć widział doskonale, iż szukali z nim zaczepki, wymachując groźnie rękami i podnosząc nadmiernie głos. Gdy się oddalili, zbliżył się do nadzorcy poruszającego płuczką. — Widział ich pan? — zagadnął Lorique.

— Widziałem, ale nie myślę zwracać uwagi na ich zaczepki.

— Pan Skim wydaje mi się mniej cierpliwy...

— Będzie musiał jednak się uspokoić — oświadczył Ben Raddle. — Powinniśmy udawać, iż nie znamy tych ludzi wcale.

Następne dni minęły bez wypadków. Summy Skim, zachęcany przez kuzyna, wyruszał wczesnym rankiem na polowanie wraz z Indianinem, wracając dopiero po południu. Robotników z obu działek było jednak coraz trudniej utrzymać w pewnej od siebie odległości, gdyż z postępem pracy zbliżali się coraz bardziej do słupów granicznych. Już niebawem miała nadejść chwila, w której, jak mówił nadzorca, mieli się spotkać „kilof z kilofem, motyka z motyką”. Najmniejszy sprzeciw wywołać mógł spór, a od sporu do utarczki, od utarczki do bójki był krok tylko. Któż byłby zdolny ich powstrzymać? A przy tym czy Hunter i Malone nie postarają się wywołać zamieszek i na innych działkach amerykańskich? Można było spodziewać się wszystkiego po tych łotrach, a w takim razie policja z Fort Cudahy byłaby zupełnie bezsilna.

Dwie doby minęły spokojnie. Teksańczycy nie pokazywali się zupełnie. Może zwiedzali pokłady Forty Miles Creek położone na terytorium Alaski, dość że pomimo kilku sprzeczek między robotnikami nie zaszło nic godniejszego uwagi. Przez następne trzy dni Summy nie mógł chodzić na polowanie z powodu nie sprzyjającej pogody. Deszcz lał chwilami strumieniami i z konieczności musiano siedzieć w domku. Przemywanie piasku stawało się wtedy bardzo trudne: szyby pełne były

wody, która rozlewając się po powierzchni działki, tworzyła grubą warstwę błota, sięgającego po kolana.

Dwaj kuzyni skorzystali z tych wolnych chwil, aby zważyć wydobyte złoto i ułożyć je w workach. W przeciągu ostatnich dwu tygodni wydajność działki 129 zmniejszyła się nieco. Jednakże przesyłka do Dawson warta była nie mniej niż dziesięć tysięcy dolarów.

Eksploatacja działki Jane Edgerton przynosiła zaś coraz większe dochody, tak że w krótkim czasie mogła ona dołączyć do kruszcu swych sąsiadów złoto warte dwanaście tysięcy dolarów.

Pracę podjęto dopiero 3 sierpnia po południu. Po dżdżystym ranku niebo przejaśniło się pod wpływem południowo-wschodniego wiatru. Należało się jednak spodziewać burz, które w tym miesiącu bywają silne, sprawiając nieraz wielkie szkody.

Tego dnia Teksaszczyk powrócił z wyprawy. Zamknęli się natychmiast w swym domku, ukazując się dopiero 4 sierpnia.

Summy Skim, korzystając z pogody, wybrał się na polowanie. Doniesiono mu, że kilka niedźwiedzi pokazało się w okolicy, Summy zaś marzył o podobnym spotkaniu. Nie byłoby ono zresztą dla niego pierwszym; niejedno z tych zwierząt padło od jego kul w Green Valley.

Tego dnia Lorique miał szczęście. Kopiąc dół prawie na granicy działki, natrafił na bryłkę złota wartości co najmniej czterystu dolarów, czyli dwu tysięcy franków francuskich. Nadzorca nie mógł powstrzymać swej radości i z całych sił zaczął zwoływać towarzyszy.

Robotnicy i Ben Raddle przybiegli, a zobaczywszy kawałek złota wielkości orzecha, tkwiący w odłamku kwarcu, krzyknęli z podziwu.

Na działce 131 zrozumiano o co chodzi. Zawrzał tam gniew, zresztą całkiem zrozumiały, gdyż od jakiegoś czasu robotnicy amerykańscy nie mogli natrafić na miejsce złotodajne i praca ich stawała się coraz bardziej jałową i kosztowną.

Wśród zgiełku dał się słyszeć zjadliwy głos Huntera:

— Czy tylko ci łajdacy z łąk Far Westu mają być szczęśliwi?

W ten sposób wyrażał się o Kanadyjczykach.

Ben Raddle usłyszał obelgę.

Zdobywszy się na milczenie, odwrócił się od grubiańskiego Huntera, wzruszając ramionami na znak pogardy.

— Hej, tam — wołał Teksaszczyk — muszę z panem pomówić, panie z Montrealu.

Ben Raddle milczał.

— Co ma mnie powstrzymać! — wołał dalej Hunter.

I z tymi słowy chciał się rzucić w stronę Bena Raddle'a, lecz Malone powstrzymał go. Nie przeszkodziło to jednak, że robotnicy z obu działek grozili sobie gestami i obraźliwymi słowami, z czego można było wnioskować, iż starcie rozpocznie się niebawem.

Tego wieczora Summy Skim powrócił z polowania w doskonałym nastroju, gdyż udało mu się zabić niedźwiedzia; wprawdzie nie bez przygody, o której ze szczegółami opowiedział Benowi. Inżynier przemilczał zajście z Hunterem, więc po kolacji położyli się niebawem i Summy zasnął twardym snem myśliwego.

Nazajutrz robotnicy mieli się spotkać na granicy działek. Co z tego miało wyniknąć? Czy Hunter i Malone będą znów szukali zaczepki i podburzą swoich pracowników? Było to wielce prawdopodobne.

A tu ku wielkiemu zmartwieniu Bena Summy nie wybierał się na polowanie. Pogoda była niepewna; gęste chmury nadciągały z południowego wschodu. Burza wisiała w powietrzu.

Cały ranek część robotników zajęta była przemywaniem, druga zaś pod kierownictwem nadzorca kopała ziemię prawie na granicy obu posiadłości.

Do południa wszystko układało się pomyślnie. Oprócz kilku obustronnych złorzeczeń, na które nadzorca nie zwracał uwagi, nie doszło do żadnego poważniejszego starcia.

Niestety, po południu rzeczy przyjęły inny obrót. Hunter i Malone przechadzali się po swojej działce, dwaj zaś kuzynowie — po swojej.

— Co? Ci łotrzy są już z powrotem? — odezwał się Summy Skim. — Nie widziałem ich jeszcze... A ty, Ben?

— Owszem... wczoraj — odpowiedział wymijająco Ben Raddle. — Zrób tak jak ja. Nie zajmuj się nimi.

— Ależ spoglądają na nas w sposób, który mi się wcale nie podoba...

— Nie zwracaj na nich uwagi!

Teksańczycy zbliżyli się. Ale ponieważ zaczepnym ich spojrzeniom nie towarzyszyły obelżywe słowa, więc Summy Skim mógł udawać, że ich nie dostrzega.

Tymczasem robotnicy nie przestawali pracować po obu stronach granicy, oczyszczając grunt, zbierając błoto, aby je zanieść do przemywania. Byli już tak blisko, że zderzali się niemal motykami lub kilofami.

O godzinie piątej dały się słyszeć gwałtowne krzyki. Ben i Summy z jednej, a Hunter i Malone z drugiej strony przybiegli, spotykając się na granicy.

Robotnicy z obu działek przerwali pracę, obwołując zwycięstwo. Bonanza została odkryta. Podczas ostatniego przemywania piasku uzyskano już złoto wartości stu dolarów, kiedy nagle, na dnie wgłębienia, odkryto bryłę złota ocenianą na co najmniej dwa tysiące dolarów. Nogę na niej postawili obaj nadzorcy równocześnie.

— Do nas należy! — wołał zasapany Hunter.

— Nie, nie! — zaprzeczał Lorique, nie zdejmując nogi. ;

— Do ciebie, psie?... Spójrz na słupek. Zobaczysz, że na moim stoisz gruncie! Spojrzawszy na linię demarkacyjną, oznaczoną dwoma sąsiednimi słupami, Lorique stwierdzić musiał, że w przystępie gorliwości przekroczył granicę i westchnąwszy, chciał już ustąpić, gdy Ben Raddle wmieszał się do rozmowy:

— Jeżeli przekroczyliście granicę, Lorique — rzekł głosem spokojnym — to dlatego, że została ona przesunięta tej nocy. Wszyscy mogą się przekonać, że słupy nie stoją na swoim miejscu, ale o metr na wschód.

Istotnie. Szereg słupów tworzył linię łamaną, zakreślając ku wschodowi kąt na wysokości obu działek.

— Złodzieju! — krzyknął Hunterowi w twarz nadzorca.

— Sam jesteś złodziejem! — krzyknął Hunter, rzucając się na Kanadyjczyka, który upadł zaskoczony.

Summy Skim podbiegł ku nadzorcy przytrzymywanemu przez Huntera. Ben Raddle w ślad za kuzynem chwycił za gardło nadbiegającego Malone'a. W mgnieniu oka Lorique był oswobodzony, a Hunter z kolei powalony na ziemię.

Wtedy powstał niesłychany chaos. Motyki i kilofy, zamieniwszy się w silnych rękach w straszną broń, groziły rozlewem krwi, gdyby straż policyjna, obchodząca w tej chwili Forty Miles Creek, nie zjawiała się w samą porę.

Dzięki temu oddziałowi, złożonemu z pięćdziesięciu odważnych ludzi, utarczka została przerwana.

Ben Raddle zagadnął pierwszy Huntera, któremu złość odebrała mowę.

— Jakim prawem chciał pan przywłaszczyć sobie nasze dobro?

— Twoje dobro — zawył grubiańsko Hunter — schowaj sobie twoje dobro... Nie będziesz się nim cieszył długo!

— Spróbuj mi je odebrać — pogroził Summy, zaciskając pięści.

— O! Z tobą — wrzeszczał Hunter pieniąc się — mamy jeszcze porachunki do załatwienia.

— Kiedy zechcesz — rzekł Summy Skim.

— Kiedy zechcę?... A zatem!...

Hunter przerwał nagle. Jane Edgerton poprzedzona przez Patricka, wracała z całodziennej pracy na działkę 129. Usłyszawszy niezwykle hałas, zbliżała się szybkim krokiem do miejsca zgiełku. Hunter poznał ją natychmiast.

— A — rzekł drwiąco — wszystko jasne. Dzielny obrońca kobiet bronił własnej sprawy.

— Nędzny tchórze! — zawołał oburzony Summy. — Tchórze?

— Tak, tchórze — powtarzał Summy Skim, tracąc panowanie nad sobą — f to zbyt podły, aby przyjąć wyzwanie.

— Zobaczysz! — zawył Hunter. — Znajdę cię!

— Kiedy będziesz chciał — odparł Summy Skim. — Choćby jutro.

— Tak, jutro! — rzekł Hunter.

Gdy policja przeniosła słupy na poprzednie miejsca, robotnicy musieli wrócić do swych dawnych stanowisk. Lorique zaś zabrał z triumfem wspaniałą zdobycz, która wywołała całą kłótnię.

— Summy — rzekł Ben Raddle — nie możesz bić się z tym łotrem.

— A jednak będę.

— Nie, Summy, nie będziesz.

— Będę, mówię ci, a jeżeli uda mi się wpakować mu kulę w łeb, będzie to najpiękniejszy czyn myśliwski mego życia. Polowanie na wstrętą bestię.

Pomimo wszelkich wysiłków Ben Raddle nie mógł wpłynąć na postanowienie kuzyna. Zniechęcony zwrócił się o pomoc do Jane Edgerton.

— Miss Jane! — zawołał Summy. — Właśnie dla niej pojedynek ten jest potrzebny. Hunter ją poznał i będzie ją prześladował.

— Ależ ja nie potrzebuję, aby się mną opiekowano — odezwała się Jane prostując swą wątłą postać.

— Dajcie mi spokój — zawołał zrozpaczony Summy. — Chyba jestem na tyle dorosły, abym wiedział, co mam robić. A w tej chwili mam chęć...

— Co?

— Tylko zjeść obiad — oświadczył Summy Skim, siadając z taką energią, że stołek rozleciał się na trzy części.

Nie przewidziana klęska miała przeszkodzić, a przynajmniej opóźnić rozwiązanie tej sprawy.

Powietrze tego dnia stawało się z godziny na godzinę cięższe. Około siódmej, w atmosferze przesiąkniętej elektrycznością, zaczęły się pojawiać błyskawice, a odgłos gromu dał się słyszeć na południowym wschodzie. Choć słońce było wysoko, ciemności pokryły horyzont.

Po południu na niektórych działkach zauważono zjawiska niepokojące: głucho drgania podziemne, którym towarzyszyły przeciągłe odgłosy i wytryski gazów siarkowych z niektórych szybów. Nie ulegało wątpliwości, że podziemne żywioły dały znać o sobie.

O godzinie wpół do jedenastej, w chwili gdy w domku działki 129 miano się układać do snu, dał się odczuć silny wstrząs.

— Trzęsienie ziemi! — zawołał Lorique.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy domek przewrócił się, jak gdyby zabrakło mu fundamentów.

Wielkie szczęście, że mieszkańcy zdołali zeń wybiec.

Natomiast co za widok ukazał się ich oczom!

Grunt działki zniknął pod gwałtowną powodzią. Wody rzeki, wystąpiwszy z brzegów płynęły torując sobie nowe łożysko.

Zewsząd słychać było krzyki bólu i rozpacz. Robotnicy, zaskoczeni w swych szafasach, ratowali się ucieczką przed ogarniającą ich powodzią. Drzewa wyrwane z korzeniami lub złamane, płynęły z szybkością pociągu.

Powódź zbliżała się do zwałonego domku. Jeszcze sekunda, a woda go zaleje.

— Uciekajmy! — zawołał Summy Skim i porywając Jane Edgerton w ramiona, rzucił się z nią ku zboczowi wzgórza.

W tej chwili pień brzozy uderzył Bena, łamiąc mu nogę poniżej kolana. Lorique i Neluto, spieszący mu z pomocą, zostali przewróceni. Wszyscy trzej byliby zginęli, gdyby nie Patrick. Gdy powracający Summy unosił na swych plecach kuzyna, olbrzym schwycił nadzorcę i sternika i pewny siebie, jak skała wśród rozszalałych wód, prowadził ich z dala od fal.

Po chwili wszyscy byli ocaleni. Przy blasku błyskawic klęska ukazała się w całej swej grozie.

Domek znikł, a z nim skarby kuzynów i Jane Edgerton. Pagórek, przez który przechodziła rano i wieczór, zmienił swoje zarysy. Objęła się o niego cała masa wód, pokrywająca na kilometr długości prawy brzeg Forty Miles Creek.

Wraz z dwudziestu innymi działkami własność obu kuzynów i Jane Edgerton zniknęła pod warstwą wody głęboką na dziesięć metrów.

Na próżno spadkobiercy Josiasa Lacoste'a przebyli tysiące kilometrów, aby eksploatować jak najkorzystniej działkę 129. Spadek przypadł na zawsze. Działka 129 nie istniała.

Część druga

I

Zima w Klondike

Trzęsienie ziemi, mające zresztą charakter lokalny, wstrząsnęło tą częścią Klondike, która ciągnie się od granicy do rzeki Jukon i przez którą przepływa środkowy bieg Forty Miles Creek.

W Klondike trzęsienie ziemi nie jest częstym zjawiskiem. Ziemia tej krainy, przeważnie złożona z agregatów kwarcu i skał wulkanicznych wskazuje, że powstała wskutek sił podziemnych od czasu do czasu odzywających się z niezwykłą mocą. Zresztą, w okolicy Gór Skalistych, zaczynających się od koła podbiegunowego wznosi się kilka wulkanów jeszcze niezupełnie wygasłych.

O ile trzęsienia ziemi lub wybuchy wulkanów są na ogół rzeczą rzadką w tej okolicy, o tyle powodzie, spowodowane nagłym wylewem rzek, zdarzają się często.

Nie oszczędzały one również Dawson. Niejednokrotnie most łączący miasto z przedmieściem Klondike City był zrywany siłą wylewu.

Tym razem okolica Forty Miles Creek poniosła podwójną klęskę. Trzęsienie ziemi zburzyło działki na rozległej przestrzeni po obu stronach granicy, następująca zaś za nim powódź zalała miejsce dawnych poszukiwań, uniemożliwiając dalszą eksploatację.

W pierwszej chwili trudno było ocenić wielkość szkód. Głęboka ciemność panowała w całej okolicy. O zburzonych domkach, chatach i szałasach, o liczbie pozostałych przy życiu pracowników, o rannych, o zasypanych zwaliskami lub zatopionych, można się było dowiedzieć dopiero nazajutrz i stwierdzić, czy wielkość katastrofy nie zmusi zamieszkałych tu imigrantów do opuszczenia tych okolic.

Na razie można było być pewnym, iż powódź zniszczyła bezpowrotnie pokłady znajdujące się na prawym brzegu Forty Miles Creek. Pod wpływem, podziemnego żywiołu łożysko rzeki podniosło się do poziomu jej brzegów, co świadczyło, że wylew rzeki nie był tylko przejściowy. Pokłady znajdowały się pod warstwą wody wysokości pięciu do sześciu stóp, więc dostanie się do nich było niepodobieństwem.

W jakich cierpieniach i trwodze spędzić musieli noc biedni ludzie zaskoczeni tą nagłą klęską! Nie mieli żadnego schronienia, burza zaś trwała do piąte, rano. Pioruny niejednokrotnie uderzały w brzozy i osiny, pod którymi skryły się liczne rodziny.

Jednocześnie ulewny deszcz nie przestawał padać. Gdyby Lorique nie znalazł w górze wąwozu małej groty, do której złożył Bena Raddle'a, ranny nie miałby gdzie spocząć.

Łatwo sobie wyobrazić, co działo się w duszy obu kuzynów. Po to więc przedsięwzięli długą i męczącą podróż, aby paść ofiarą takiego wypadku! Wszelkie ich wysiłki zostały zniweczone. Nie pozostało nic z ich spadku, nawet plon ostatnich tygodni. Złoto, zebrane przez nich i przez ich

nieszczęśliwą towarzyszkę, zniknęło bezpowrotnie wraz z domkiem i całym ich dobytkiem. Pochłonęły je fale rozszalałej rzeki.

Gdy burza ucichła, Summy Skim i nadzorca opuścili grootę, pozostawiając Bena Raddle'a pod opieką Jane Edgerton. Powrócili jednak niebawem z wiadomością, że działki 127 bis i 131 znikły podobnie jak działka 129. Tym samym spór o granicę został rozstrzygnięty. Było obojętne czy sto czterdziesty pierwszy południk przeniesiony miał być na wschód, czy też na zachód; czy ziemia, na której znajdowały się obie działki należała do Kanady czy do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Rozlewisko rzeki ogarnęło je całkowicie.

O liczbie ofiar klęski dowiedziano się dopiero po przeprowadzeniu śledztwa. Prawdopodobnie niektóre rodziny musiały zostać zaskoczone w swych chatkach lub szałasach i nie mając czasu uciec przed powodzią zginęły na miejscu.

Ben Raddle, Summy Skim, Lorique i Jane Edgerton ocaleli cudem, chociaż inżynier nie wyszedł z tego bez szwanku. Obecnie jedyną ich troską było przeniesienie w jak najkrótszym czasie chorego Bena do szpitala w Dawson.

O kłótni Huntera ze Skimem zapomniano zupełnie. Inne troski zajmowały obu przeciwników, którzy może już nigdy nie mieli się spotkać.

Zresztą po ustąpieniu ciemności na polu klęski oświetlonym promieniami słońca nie widziano już obu Teksaszczyków. Z ich domku położonego u wejścia wąwozu, poprzez który płynęły obecnie wody Forty Miles Creek, nie pozostało ani śladu. Wraz z działką znikły również maszyny i inne narzędzia. Rzeka płynęła bowiem z tym większą szybkością, że burza wzmagająca siłę prądu i rozlanie wód nie wpływało na obniżenie ich poziomu.

Nie wiadomo było, czy Teksaszczycy wyszli cało z tej strasznej przygody. Summy Skima nie obchodził wprawdzie ich los. Wyłączną Jego troską było móc sprowadzić Bena do szpitala w Dawson, gdzie znalazłby odpowiednią opiekę, a po jego wyzdrowieniu, o ile nie będzie za późno, wyruszyć z powrotem przez Skagway i Vancouver do Montrealu. Nie mieli żadnego powodu by pozostawać dłużej w Klondike. Działka 129 straciła bowiem swą wartość pod głęboką warstwą wody, która ją pokrywała. Najlepsze co mogli więc uczynić, to opuścić jak najprędzej ten kraj przeklęty, w którym, jak nie bez słuszności mówił Summy Skim, żaden człowiek zdrow na ciele i umyśle nie powinien był nigdy postawić nogi...

Ale czy rychły powrót był możliwy? Czy rekonwalescencja Bena Raddle'a nie potrwa tygodnie albo i miesiące?

Tymczasem pierwsza połowa sierpnia dobiegała końca. U schyłku zaś drugiej rozpoczynała się zima, tak wczesna w tych stronach polarnych i pociągająca za sobą niemożliwość przebycia jezior i góry Chilkoot, jak również rzeki Jukon, na której przestaną kursować parowce, zanim Ben Raddle powróci do zdrowia.

W takim razie pobyt przez zimę w Dawson był nieunikniony. Perspektywa zaś zakopania się siedmio- lub ośmiomiesięcznego w śniegach Klondike nie mogła być miłą.

Aby uniknąć takiego nieszczęścia, należało czym prędzej dostać się do Dawson i prosić doktora Pilcoxa o jak najszybsze wyleczenie chorego.

Na szczęście — gdyż sposób przejazdu stawał się sprawą palącą — Neluto odnalazł swój wóz w całości w miejscu wyniosłym, na którym go pozostawił. Koń zaś, pasąc się na wolności, zbiegł z chwilą nadchodzącego niebezpieczeństwa i powrócił obecnie do swych panów.

— Jedźmy! — zawołał Summy Skim. — Jedźmy natychmiast! Ben Raddle schwycił go za rękę.

— Czy przebaczysz mi, Summy? Gdybyś mógł wiedzieć, jak mocno żałuję, że wciągnąłem cię w tę smutną przygodę.

— Nie o mnie tu chodzi — rzekł Summy opryskliwie — ale o ciebie... Bądź i teraz uległy. Miss Jane zabandażuje ci nogę, jak można najlepiej, po czym Patrick i ja położymy cię na wozie, na dobrym posłaniu z suchych liści. Miss Jane, Neluto i ja wsiądziemy na wóz, a Patrick i Lorique dostaną się do Dawson na własną rękę. Będziemy jechali prędko... to jest wolno, aby uniknąć wstrząsów. Gdy dostaniemy się do szpitala jestem przekonany, że doktor Pilcox wyleczy twoją nogę jednym spojrzeniem... o ile tylko nie będzie spoglądał na nią zbyt długo, abyśmy mogli jeszcze powrócić przed zimą.

— Ależ, kochany Summy — rzekł Ben Raddle — jest możliwe, że leczenie moje potrwa długo, rozumiem zaś z jaką niecierpliwością oczekujesz powrotu do Montrealu. Dlaczego nie miałbyś pojechać sam?

— Bez ciebie, Ben?... Przypuszczam, że mówisz w gorączce. Ależ, mój stary, prędzej dałbym sobie samemu złamać nogę!

Poprzez drogi, po których sunęły rzesze ludzi, udające się na poszukiwanie pracy w innych okolicach, wóz unoszący Bena Raddle'a dotarł do gościńca wiodącego do Fort Cudahy wzdłuż prawego brzegu Forty Miles Creek, gdzie czynne były działki nie ogarnięte powodzią. Niektóre z nich jednakże, mimo że ocalały, były na razie niezdatne do eksploatacji. Uszkodzone trzęsieniem ziemi, które udzieliło się również okolicom oddalonym od granicy, zasypując szyby, niszcząc maszyny i pompy, burząc domki mieszkalne, przedstawiały opłakany widok. Nie była to wszakże ruina ostateczna, która nie pozwoliłaby wrócić do pracy w roku przyszłym.

Wóz posuwał się z wolna, gdyż wyboista droga powiększała cierpienia chorego. Dopiero więc na trzeci dzień dotarli do Fort Cudahy.

Summy Skim nie szczędził starań choremu, ale trzeba przyznać, że czynił to tak niezdarnie, iż Ben Raddle byłby pożałowania godnym, gdyby nie pomoc Jane Edgerton. Wynajdywała ona różne sposoby, aby podtrzymać złamaną nogę, aby zmieniać jej położenie na coraz wygodniejsze, a przede wszystkim umiała przemówić do chorego krzepiącymi słowy.

Niestety, ani ona, ani Summy Skim nie potrafili nastawić złamanej nogi. Do tego potrzebny był lekarz, a tymczasem ani w Fort Cudahy, ani w Fort Reliance, gdzie przybyli w dwie doby później, nie znaleźli doktora.

Summy miał się czym niepokoić. Stan chorego mógł się znacznie pogorszyć z powodu braku umiejętnej pomocy. Ben Raddle wprawdzie znosił cierpliwie ból, niewątpliwie bardzo dotkliwy, ale dlatego tylko, że nie chciał zatrząwać Summy Skima. Jednak w przystępie gorączki mimowolne jęki inżyniera świadczyły o jego cierpieniu.

Należało zatem pospieszyć się z przybyciem do stolicy Klondike. Dopiero tam Ben Raddle mógł doznać ulgi. Toteż z jaką radością odetchnął Summy Skim, gdy 16 sierpnia po południu wóz zatrzymał się przed szpitalem w Dawson.

Wypadek zrządził, że w tej samej chwili Edith Edgerton znajdowała się u wejścia gmachu. W mgnieniu oka poznała chorego, na którego widok musiała doznać silnego wzruszenia, gdyż pokryła się tak niezwykłą bladością, iż zwróciło to uwagę jej otoczenia. Nie zdradziła jednak swego wzruszenia w żaden inny sposób, chyba tylko tym, że zapomniała uścisnąć swą kuzynkę. Bez słowa zajęła się chorym, którego pod jej kierunkiem przeniesiono do szpitala tak zręcznie, że nie wydał nawet najmniejszego jęku. W dziesięć minut później Ben leżał w osobnym pokoju, zasypiając na śnieżnej białości pościeli.

— Widzi pani, miss Edith, że miałem słusność twierdząc, iż w naszym osobistym interesie zabieramy panią do Dawson — rzekł Summy żalonym tonem.

— Co się stało z panem Benem? — spytała Edith, jakby nie słysząc tych słów.

Jane opowiedziała jej wszystkie wydarzenia, aż do chwili obecnej. Nie skończyła jeszcze mówić, gdy nadszedł doktor Pilcox wezwany natychmiast przez Edith.

O trzęsieniu ziemi, które nawiedziło okolice Forty Miles Creek, wiedziano już w Dawson od kilku dni, jak również o tym, że ofiarą klęski padło ze trzydzieści osób. Ale doktor Pilcox nie przypuszczał, że jedną z nich będzie Ben Raddle.

— Jak to! — zawołał ze swą zwykłą jowialnością — to pan Raddle... i to ze złamaną nogą!

— Tak, doktorze, on sam — rzekł Summy Skim. — Mój biedny Ben cierpi bardzo.

— Dobrze... dobrze, nic mu nie będzie — ciągnął doktor dalej. — Złożymy nogę!... Nic wielkiego... To tylko zwykłe złamanie.

Doktor bardzo zręcznie nastawił nogę, po czym kazał ją włożyć w przyrząd, który unieruchomił ją zupełnie. Praca, jak zwykle, nie przeszkadzała mu w rozmowie.

— Kochany pacjencie — mówił — możesz się pochwalić, że masz Szczęście! Aksjomat głosi: złamać członki, aby były mocne. Będzie pan miał nogi jak jeleń lub łoś kanadyjski... a raczej jedną nogę, o ile nie zechce pan, abym złamał drugą!

— Dziękuję bardzo — szepnął Ben Raddle z lekkim uśmiechem, wróciwszy zupełnie do przytomności.

— Nie krępuj się! — ciągnął dalej jowialny doktor. — Jestem do dyspozycji... Nie? Pan się nie

decyduje?... Poprzestaniemy więc na wyleczeniu jednej.

— Ile czasu potrwa leczenie? — spytał Summy.

— Ech... Miesiąc, sześć tygodni... Kości, panie Skim, nie można złączyć tak łatwo jak dwa kawałki żelaza rozpalone do białości. Trzeba czasu.

— Czas... czas... — mruknął Summy Skim.

— Cóż robić — odparł doktor Pilcox — tu działa natura, a ta jak panu wiadomo, nie śpieszy się nigdy. Dlatego nawet wymyślono cierpliwość.

Mieć cierpliwość — to jedno pozostało Summy Skimowi. Cierpliwie czekać na nadejście zimy, zanim Ben Raddle powróci do zdrowia! Ale czy ma kto pojęcie o kraju, w którym zima zaczyna się w pierwszych dniach września, a nagromadzenie śniegu i lodów przerywa wszelką komunikację? Jakże zaś Ben Raddle, o ile nie byłby zupełnie zdrow, mógł podołać powrotowi tak uciążliwemu przez górę Chilkoot, aby dostać się do Skagway i wsiąść na parowiec idący do Vancouver? Gdyby zaś mieli płynąć rzeką Jukon do St. Michel, musieliby to zrobić za dwa tygodnie, gdyż później rzeka zamarza. 1 sierpnia przewodnik Bill Stell wrócił do Dawson.

Pierwszym zajęciem Billa Stella było zorientowanie się, czy panowie Ben Raddle i Summy Skim zakończyli sprawę działki 129 i czy przygotowują się do odjazdu. W tym celu poszedł do doktora Pilcoxa.

Jakże się zdziwił, gdy dowiedział się, że Ben Raddle jest chory i że wyzdrowieje dopiero za sześć tygodni.

— Tak — oświadczył mu Summy — oto czego doczekaliśmy się! Nie tylko, że nie sprzedaliśmy działki 129, ale tej działki nie ma już wcale! A nie tylko nie ma działki 129, lecz również niepodobną rzeczą jest opuścić wstrętny Klondike i wrócić do krainy nadającej się bardziej do zamieszkania.

Po tych słowach opowiedział przewodnikowi o klęsce, która nawiedziła Forty Miles Creek i o wypadku Bena Raddle'a.

— Ten wypadek jest najgorszy — zakończył Summy Skim — bo co do działki 129 to pogodziliśmy się z jej stratą. Nie chodziło mi o nią bynajmniej. Co za niemądrą myśl miał wuj Josias, nabywając działkę 129, a na domiar złego pozostawiając nam ją w spadku!

Sto dwadzieścia dziewięć!... Z jaką pogardą wymawiał Summy Skim tę przeklętą liczbę!

— Ach! Jakże błogosławiłbym to trzęsienie ziemi, gdyby Ben nie padł jego ofiarą! Wyzwoliłoby nas ono od tego nieszczęśliwego spadku. Nie ma już działki! Nie ma eksploatacji! To największe dobrodziejstwo, jakie mogliśmy osiągnąć.

— A więc będą panowie zmuszeni — wtrącił przewodnik — spędzić zimę w Dawson?

— Powiedz na biegunie północnym — poprawił go Summy Skim.

— Tak więc ja — ciągnął dalej Bill Stell — który przyjechałem po panów...

— Odjedziesz bez nas, Bill — odpowiedział Summy Skim głosem pełnym rezygnacji graniczącej z rozpaczą.

Istotnie, w kilka dni po tej rozmowie przewodnik pożegnał się z obu Kanadyjczykami, obiecując, że wróci po nich na wiosnę.

— Za osiem miesięcy — westchnął Summy Skim.

Tymczasem zdrowie Bena Raddle'a poprawiało się z każdym dniem. Doktor Pilcox był niezmiernie zadowolony. Noga pacjenta, twierdził, wyjdzie z przygody mocniejsza i służyć będzie właścicielowi za dwie.

— To znaczy, że posiadać ich będzie trzy, o ile dobrze liczę — mawiał. Ben Raddle nie skarżył się na swoje kalectwo. Dogłądany starannie przez Edith, przyzwyczajał się jakby do pobytu w szpitalu. Można mu było tylko zarzucić, że był nieco za wymagający względem swej usłużnej pielęgniarki. Zatrzymywał ją ustawicznie przy swym łóżku, a nawet nie pozwalał jej odchodzić, robiąc wymówki, gdy się oddalała. Trzeba jednak przyznać, że ofiara tej tyranii nie gniewała się o to bynajmniej. Chętnie prowadziła z nim długie rozmowy, korzystając zaś ze snu inżyniera, zdwajała swą troskę przy innych chorych, aby poświęcenie się jednemu z nich nie przynosiło uszczerbku pozostałym.

W ciągu długiego sam na sam młodzi ludzie nie myśleli wcale o nawiązaniu serdeczniejszych kontaktów. Gdy Summy Skim zajmował się polowaniem ze swym wiernym Neluto, Ben Raddle interesował się wiadomościami z rynków Dawson i nowymi odkryciami w złotodajnych okolicach. Edith była jego żywą gazetą. Czytała mu miejscowe dzienniki: „Słońce Jukonu”, „Słońce Północy”, „Złoto Klondike” i jeszcze wiele innych. Czy poza działką 129 nie istniało już nic więcej w kraju? Czy nie można było nabyć innej działki? Inżynier stanowczo polubił pracę w Forty Miles Creek.

O ile nie mówił nigdy o swych nowych zamiarach Summy Skimowi, o tyle nie ukrywał ich wcale, gdy był sam z Edith, która nie zrażona niepowodzeniem kuzynki, patrzyła z nadzieją w przyszłość. Rozpatrywali oboje wartość każdej części okręgu, snując najpoważniej w świecie nowe plany. Jak z tego widać, o ile gorączka spowodowana wypadkiem opuściła Bena Raddle'a, o tyle trawiąca go gorączka złota nurtowała wciąż jego duszę i nie zapowiadała rychłego ustąpienia. Gorączka ta nie opierała się zresztą na żądzy posiadania cennego kruszcu, lecz na pragnieniu dokonania odkryć i urzeczywistnieniu śmiałych marzeń kiełkujących w jego umyśle.

Czyż jego wyobraźnia nie mogła być podniecona wiadomościami o górzystych działkach Bonanzy, Eldorado i Little Skookum?

Tu przemywano złoto warte do stu dolarów na robotnika i na godzinę. Tam wydobywano złota za osiem tysięcy dolarów z szybu długości dwudziestu czterech stóp, a szerokości — czternastu!

Syndykat londyński zakupił dwie działki nad Bear i Dominion za cenę miliona siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy franków. Działka 26 nad Eldorado była do nabycia za dwa miliony. Każdy robotnik wydobywał w niej dziennie złoto warte do sześćdziesięciu tysięcy franków. Dome zaś, na

pograniczu wód między Klondike River i Indian River, według trafnych obliczeń pana Ogilwiego, powinno być dostarczyć ogółem złota wartości stu pięćdziesięciu milionów franków.

A jednak dla przeciwstawienia się tej złotej ułudzie, Ben Raddle powinien był mieć w pamięci słowa pastora z Dawson, wypowiedziane do pana Ames Semire'a, Francuza, jednego z podróżników, którzy najlepiej zbadali te złotodajne okolice:

— Zanim pojedzie pan, należy zapewnić sobie łóżko w moim szpitalu. Jeżeli gorączka złota owładnie panem w ciągu pańskiej wycieczki, nie pożałuje pan tego. Przypuśćmy nawet, że znajdzie pan bryłki złota — tych nie brak w kraju — w każdym razie nie uniknie pan zmęczenia. A wtedy łatwo nabawić się szkorbutu lub innej choroby. Otóż ja wydzierzawiam łóżko za dwieście pięćdziesiąt franków rocznie wraz z bezpłatną opieką lekarską. Wszyscy biorą ode mnie bilety. Oto pański...

W staranność opieki szpitala w Dawson Ben Raddle wątpić obecnie nie mógł. Ale czy jego nieodparta chęć przygód nie pociągnie go daleko od Dawson, do tych niezbadanych jeszcze okolic, gdzie odkrywają coraz to nowe pokłady?

Tymczasem Summy Skim dowiadywał się na policji o obu Tekszańczyków, ale policja nie miała o nich informacji. Nie powrócili do Dawson, gdyż obecność ich z pewnością byłaby zauważalna. Nie omieszkaliby bowiem zjawić się w kasynach, w domach gry i we wszelkich miejscach zabaw, gdzie odgrywali pierwszoplanowe role. Przypuszczano więc, że zginęli podczas trzęsienia ziemi w Forty Miles Creek, którego następstwem była klęska powodzi. W każdym razie, ponieważ żadnego z Amerykanów pracujących na działce 131 nie odnaleziono, a niepodobieństwem było, aby wszyscy padli ofiarą powodzi, było możliwe, że Hunter i Malone wraz z robotnikami udali się do pokładów Circle City i Birch Creek, gdzie może ponownie zaczęli poszukiwania złota.

Na początku października Ben Raddle wstał ze swego posłania. Doktor Pilcox mógł być dumny ze skutków leczenia, do których przyczyniły się w niemałym stopniu starania Edith Edgerton.

O powrocie do Montrealu nie mogło jednak być mowy. Ben Raddle musiał się oszczędzać i nie mógłby jeszcze przedsięwziąć podróży z Dawson do Skagway. Zresztą było już za późno. Śnieg zaczął padać obficie, rzeki zamarły, żegluga została wstrzymana. Temperatura spadła do piętnastu stopni poniżej zera, a nie było wykluczone, że spadnie dalej — do pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu stopni.

Dwaj kuzyni zamieszkali w hotelu przy Front Street, obiady i kolacje spożywali zaś w French Royal Restaurant, przeważnie w smutnym nastroju. Mówili ze sobą mało. Ale nawet teraz zarysowywała się różnica ich usposobień.

Summy Skim mówił, potrząsając głową:

— Najgorszą rzeczą w tej całej sprawie jest to, że nie mogliśmy opuścić Dawson przed zimą.

Ben Raddle odpowiadał niezmiennie:

— Najgorsze jest może to, że nie sprzedaliśmy działki przed katastrofą, a na pewno to, że nie możemy jej nadal eksploatować.

Słyszając to Summy Skim, aby nie prowadzić zbędnego społu, brał strzelbę i szedł z Nelutem na polowanie w okolicach miasta.

Upłynął miesiąc. Termometr zadziwiał zmiennością temperatury. To wskazywał trzydzieści do czterdziestu stopni poniżej zera, to znów dziesięć do piętnastu, zależnie od kierunku wiatru.

W ciągu tego miesiąca rekonwalescencja Bena Raddle'a postępowała szybko. Wkrótce mógł towarzyszyć Summy Skimowi w jego wycieczkach, z dnia na dzień dłuższych, do których przyłączała się zwykle Jane Edgerton. Trójka wędrowców z prawdziwą przyjemnością odbywała te piesze spacerunki.

17 listopada udali się na północ o milę od Dawson. Summy Skimowi powiodło się polowanie i miano już wracać, gdy Jane Edgerton zatrzymała się nagle i zawołała, wskazując na drzewo oddalone o pięćdziesiąt kroków.

— Człowiek!... Tam!

— Człowiek? — powtórzył Summy Skim.

Istotnie, pod brzozą leżał człowiek rozciągnięty nieruchomo na śniegu. Zapewne zmarł, temperatura była bowiem niezwykle niska.

Trzej wędrowcy podbiegli ku niemu. Nieznajomy mógł liczyć czterdzieści lat. Oczy miał zamknięte, a na twarzy malowało się bezmierne cierpienie. Oddychał jeszcze, lecz tak słabo, że był na progu śmierci.

Niewiele myśląc Ben Raddle pokierował pozostałymi.

— Ty, Summy — rzekł tonem rozkazującym — pójdziesz na poszukiwanie jakiegokolwiek pojazdu. Ja biegnę do najbliższego domu po ciepły napój, a miss Jane będzie przez ten czas rozcierała chorego śniegiem, starając się przywrócić mu przytomność.

Rozkazy zostały spełnione natychmiast. Gdy Ben Raddle biegł w swoją stronę, Summy Skim zdążył wielkimi krokami do Dawson.

Jane pozostała sama z chorym. Zaczęła mu nacierać energicznie twarz śniegiem, po czym rozpiąwszy gruby kaftan dostała się do piersi i ramion.

Z jednej z kieszeni wysunął się skórzany portfel, z którego wypadł plik papierów. Jeden z nich swym osobliwym wyglądem zwrócił uwagę Jane. Był to pergamin złożony we czworo, o brzegach zniszczonych ciągłym tarcieniem. Jane, po rozłożeniu go, ujrzała przed sobą mapę wybrzeża morskiego, na której widniał tylko jeden równoleżnik, jeden południk i duży czerwony krzyż w jednym punkcie tego nieznanego kraju.

Jane starannie złożyła pergamin i wsunawszy go machinalnie do kieszeni, zebrała inne kartki, które położyła z powrotem do portfela, po czym wróciła do swego zajęcia. Skutki nacierania okazały się zbawienne. Człowiek poruszył się. Powieki zadrgały, a sine usta zaczęły wymawiać niewyraźne słowa, ręka zaś wyciągnęła się najpierw do piersi, a następnie do dłoni Jane Edgerton, obejmując ją lekkim uściskiem. Gdy Jane nachyliła się, mogła usłyszeć kilka słów pozornie bez związku:

— Tam — szeptał umierający. — Portfel... Daję go... Wulkan złotodajny... Dziękuję... tobie... matko...

W tej chwili nadszedł Ben Raddle, a na drodze dał się słyszeć odgłos szybko zdążającego pojazdu.

— Oto co znalazłam — rzekła Jane, wręczając inżynierowi portfel.

Portfel ten zawierał tylko listy z tym samym nazwiskiem w adresie: Jacques Ledun; wysłane z Nantes lub Paryża.

— Francuz! — zawołał Ben Raddle.

Po chwili nieznajomy zapadł ponownie w stan zupełnego odrętwienia, lecz leżał już na wozie, który zdążył szybko do szpitala w Dawson.

II

Złotodajny wulkan

Po kilku minutach wóz był przed szpitalem. Chorego przeniesiono do tego samego pokoju, który zajmował Ben Raddle podczas swej choroby. Nie miał więc sąsiedztwa innych chorych.

Wyróżnienie to zawdzięczał Summy Skimowi.

— Jest to Francuz, prawie ziomek! — mówił do Edith Edgerton, chcąc zaskarbić jej łaski. — To co pani uczyniła dla Bena, niech uczyni obecnie dla niego; a mam nadzieję, że doktor Pilcox leczyć go będzie równie skutecznie jak mojego kuzyna.

Doktor nie omieszkał podążyć do swego nowego pacjenta. Francuz leżał nieprzytomny z zamkniętymi oczami. Puls miał bardzo słaby, oddech zaledwie wyczuwalny. Na ciele nie było wcale ran; był tylko wynędzniały i wyczerpany nędzą i trudem... Nie ulegało wątpliwości, że ten nieszczęśliwy człowiek padł z wyczerpania i że zmarłby nocą, gdyby pozostawiono go bez ratunku.

— Człowiek ten jest na pół zamarznęty — rzekł doktor Pilcox.

Okryto go kołdrami i obstawiono butelkami z wrzącą wodą; wlewano w niego gorące napoje i rozcierano ciało, aby pobudzić obieg krwi. Zastosowano wszystko co tylko było w ludzkiej mocy. Próżne jednak były to wysiłki.

Chory pozostawał nadal nieprzytomny.

Wobec tego doktor Pilcox nie mógł zapewnić, że pacjent utrzyma się przy życiu.

Z listów znalezionych w jego portfelu dowiedziano się, że nazywa się Jacques Ledun i że listy noszą podpis jego matki. Ostatni, z Nantes, pisany był pięć miesięcy temu pod adresem: Dawson, Klondike. Matka błagała o odpowiedź, której prawdopodobnie nie otrzymała już od syna.

Ben i Summy, a następnie Jane i Edith Edgerton, odczytali wszystkie te listy z niezmiernym wzruszeniem, ukrywającym przez obu kuzynów pod niejednym skurczem twarzy, a objawiającym się u obu kuzynek łzami, których pomimo całego hartu duszy ukryć nie mogły. Każdy wiersz w tych listach zawierał całą moc macierzyńskiego uczucia. Był to nieprzerwany ciąg rad, pieszczot i nawoływań, aby Jacques dbał o swe zdrowie, a przede wszystkim, aby powrócił i zaniechał pogoni za szczęściem. Matka nie obawiała się biedy, byleby zносиła ją z nim razem.

Listy te były cenną wskazówką dla otoczenia. W razie gdyby Jacques Ledun zakończył życie, można było donieść matce o nieszczęściu, jakie ją spotkało.

Z listów tych dowiedziano się, że Francuz opuścił Europę przed dwoma laty, jak również, że nie od razu podążył do Klondike z zamiarem poszukiwania złota. Z adresów niektórych listów można było wnioskować, że udał się wpierw do złotodajnych pokładów Ontario i Kolumbii, skąd

przyciągnięty niezwykłymi wiadomościami z dzienników Dawson, skierował się wraz z liczną rzeszą poszukiwaczy w te strony. Nie musiał być jednak właścicielem działki, gdyż w jego portfelu nie znaleziono żadnego dokumentu świadczącego o jego prawie własności, ani zresztą żadnego innego oprócz listów.

Jedyny dokument, który istniał, nie znajdował się w portfelu. Jane Edgerton bowiem nie przyszło nawet na myśl pokazać go towarzyszom i kuzynce. Dopiero wieczorem udając się na spoczynek przypomniawszy sobie o nim. Wtedy rozłożyła ten osobliwy kawałek pergaminu i w świetle lampy przyjrzała mu się uważnie.

Była to mapa. Linie dość nieregularnie nakreślone ołówkiem tworzyły wybrzeże oceanu, do którego wpadała rzeka wraz z kilku dopływami. Sądząc z położenia na mapie, rzeką tą płynęła na północny zachód. Czy była to rzeka Jukon, czy jej dopływ Klondike? Przypuszczenie takie należało odrzucić. Mapa wskazywała wyraźnie, że wybrzeże i przylegające do niego okolice musiały znajdować się ponad kołem podbiegunowym. Przy skrzyżowaniu południka $136^{\circ}15'$ i równoleżnika nie oznaczonego liczbami, widniał czerwony krzyż, który najpierw zwrócił uwagę Jane Edgerton. Na próżno trudziła się nad rozwiązaniem zagadki. Bez dokładnego oznaczenia równoleżnika nie można było się domyślić, w jakiej części Ameryki Północnej znajduje się nakreślone wybrzeże i jakie miejsce lądu wskazuje tajemniczy krzyż.

O ile więc Jacques Ledun nie odzyska przytomności, nikt się nigdy nie dowie, czy nieznajomy kierował się dopiero do tej krainy, czy też z niej powracał.

Nie ulegało wątpliwości, że Jacques Ledun należał do rodziny zajmującej niepoślednie stanowisko społeczne. Nie był to prosty robotnik. Świadczyły o tym listy matki pisane poprawnym stylem. Przez jakie niepowodzenia, przez jakie nieszczęścia musiał przejść, aby doczekać się tak opłakanego końca na szpitalnym łóżku?

Upłynęło kilka dni, a stan chorego nie polepszał się wcale. Nieświadomie wymówił kilka niewyraźnych słów. Nie można było nawet przekonać się, czy nie stracił pełni swych władz umysłowych.

— Przypuszczać należy — oświadczył doktor Pilcox — że umysł chorego doznał silnego wstrząsu. Gdy otwiera oczy, spojrzenie jego jest błędne.

— A stan fizyczny nie polepsza się? — spytał Summy Skim.

— Wydaje mi się jeszcze poważniejszy niż stan psychiczny — wyraźnie oświadczył doktor.

Z tych słów można było wywnioskować, że mimo swego zwykłego optymizmu lekarz stracił wszelką nadzieję.

Ale Ben Raddle i Summy Skim opierali się tym smutnym przeczuciom. Wmawiali w siebie, że z czasem nastąpi polepszenie. Gdyby nawet Ledun nie wrócił zupełnie do zdrowia, może odzyska pełnię władz umysłowych i odpowie na zadane mu pytania.

W kilka dni po orzeczeniu doktora zdawało się, że przewidywania obu kuzynów sprawdzają się i że doktor Pilcox niepotrzebnie wątpił w skuteczność swego leczenia. Poprawa stanu chorego była widoczna. Bezwład zaczął się zmniejszać. Wzrok stał się bardziej stanowczy i jak gdyby pytając błędził po nieznanym pokoju, zatrzymując się na otaczających go osobach.

Czyżby ten nieszczęśliwy człowiek miał być uratowany?

Doktor potrząsał głową z powątpiewaniem. Lekarza pozory zwieść nie mogły. Jeżeli chory odzyskał przytomność, to po to, by ją stracić na zawsze. Jeżeli oczy otworzyły się, to po to, by zamknąć się na wieki. Był to ostatni wysiłek życia przed bliskim zgaśnięciem.

Edith pochyliła się, wsłuchując się w słowa, które chory wymawiał cichym i przerywanym głosem. I domyślając się raczej niż rozumiejąc, odpowiedziała:

— Jest pan w pokoju szpitalnym.

— Gdzie? — spytał Jacques Ledun, usiłując się podnieść.

— W Dawson. Sześć dni temu znaleziono pana omdlałego na drodze... Przyniesiono pana tutaj.

Powieki Leduna zamknęły się na chwilę. Zdawało się, że wysiłek go wyczerpał. Doktor kazał mu dać kilka wzmacniających kropeł, po których chory ocknął się znowu.

— Kim jesteście? — spytał.

— Kanadyjczykami — odpowiedział Summy Skim — prawie że Francuzami, możesz pan nam zaufać. Uratujemy cię.

Chory uśmiechnął się lekko i opadł na poduszki. Zapewne czuł, że umiera, gdyż łzy spływały po jego wychudłej twarzy. Za radą doktora zostawiono go w spokoju, czekano u wezglowia, aż chory odzyska dość sił, aby mógł przemówić.

Dwa następne dni nie przyniosły ani pogorszenia, ani polepszenia stanu zdrowia Leduna. Osłabienie było tak wielkie, że zdawało się, iż mówić już nie będzie. Tymczasem z długimi przerwami chory zaczął mówić znowu z wielkim wysiłkiem, jakby zachęcając, aby go pytano. Widoczne było, że pragnie mówić o sobie.

W ten sposób stopniowo dowiedziano się kolei jego życia. Pewne okoliczności pozostały jednak nie wyjaśnione. Co robił w Klondike? Skąd powracał lub gdzie szedł, kiedy padł zemdlony na drodze?

Jacques Ledun, liczący lat czterdzieści, budowy silnej, którą mogło pokonać tylko ostateczne wyczerpanie, był Bretończykiem z Nantes.

Matka, żona bankiera zrujnowanego przez spekulacje, przebywała stale w tym mieście, walcząc z coraz to większą biedą.

Od dzieciństwa Ledun miał pociąg do morza. Ciężka choroba, która zaskoczyła go w chwili, gdy miał zdawać egzaminy w szkole morskiej, zachwiała na wstępie jego karierę. Przekroczywszy wiek przepisowy, musiał przyjąć miejsce sternika na okręcie handlowym, a po odbyciu kilku podróży do Melbourne, Indii i do San Francisco został wreszcie kapitanem. Z tym tytułem wstąpił jako miczman do marynarki wojennej.

W tej służbie pozostał trzy lata. Nie mając jednak żadnych widoków na przyszłość, gdyż awans zależny był od wyjątkowych okoliczności, podał się do dymisji i wrócił do marynarki handlowej.

O dowództwo statku było trudno, musiał więc zadowolić się rolą zastępcy kapitana na żaglowcu opływającym morza południowe.

W ten sposób upłynęły cztery lata. Miał dwadzieścia dziewięć lat, kiedy zmarł ojciec, pozostawiając wdowę prawie w nędzy. Na próżno Jacques Ledun starał się o miejsce kapitana. Brak pieniędzy, jak to zwykle bywa, stanął temu na przeszkodzie, poprzestał więc na roli zastępcy. Ale przyszłość zamknęła się przed nim, nie dając mu możliwości zapewnienia nawet średniego dostatku swej ukochanej matce.

Podczas swych podróży dotarł do Australii i Kalifornii, gdzie znajdowały się złotodajne pokłady przyciągające wielu imigrantów. Jak zwykle mała ich część wzbogaca się, reszta kończy ruiną i nędzą. Jacques Ledun, olśniony powodzeniem niektórych, postanowił również szukać szczęścia w poszukiwaniu złota.

W tym czasie uwaga wszystkich była zwrócona na Kanadę, choć było to przed odkryciem nowych pokładów w Klondike. W innych, mniej na północ położonych częściach Dominium znajdowały się również pokłady złotodajne, daleko dogodniejsze do eksploatacji, gdyż praca w nich nie była przerywana przez straszną porę zimową, jak w okolicach Jukonu. Jedna z kopalni, „Le Roi”, dała wówczas w ciągu dwu lat cztery miliony pięćset tysięcy franków zysku. Jacques Ledun ofiarował swoje usługi temu przedsiębiorstwu.

Ale ten kto sprzedaje pracę swych rąk lub umysłu, nie wzbogaca się zwykle. To o czym marzył odważny lecz nieostrożny Francuz było równie nie do urzeczywistnienia na ziemi jak na morzu. Czy jako robotnik, czy jako urzędnik, skazany był na wegetowanie przez całe swoje życie.

Zaczęto wtedy mówić o pokładach w okolicach rzeki Jukon. Nazwa Klondike olśniewała, jak dawniej Kalifornia, Australia i Transwal. Tłum imigrantów podążył na północ; Jacques Ledun podążył za nimi.

Pracując w Ontario zawarł znajomość z niejakim Harrym Brownem, Kanadyjczykiem pochodzenia angielskiego. Obaj byli pochłonięci ambicją i żądzą powodzenia. Harry Brown namówił Leduna, aby opuścił dotychczasowe miejsce i podążył w nieznaną stronę. Obaj, z niewielką sumą pieniędzy, udali się wkrótce do Dawson.

Postanowili pracować na własną rękę. Rozumieli dobrze, że kopalnie w okolicach Bonanzy, Eldorado i Sixty Miles Creek są dla nich zamknięte. Gdyby nawet cena działek w tych stronach nie była zbyt wygórowana, to i tak nie znaleźliby miejsca wolnego w tej okolicy. Dobijano się o nie za

cenę miliona dolarów. Zmuszeni więc byli wyruszyć na północ Alaski lub Dominium, z dala od Wielkiej Rzeki, do tych krain niemal jeszcze dziewiczych, gdzie kilku poszukiwaczy złota dopiero natrafiło na pokłady złotodajne. Należało udać się tam, gdzie nikt nie był jeszcze i odkryć nowe złoża, które stałyby się własnością pierwszego przybysza.

W ten sposób rozumowali Jacques Ledun i Harry Brown.

Bez przyrządów, bez robotników, z zapasem pieniędzy na półtora roku, opuścili Dawson. Żywiąc się w drodze upolowaną zwierzyną, udali się na północ Yukonu do krainy nieznanej, położonej poza kołem podbiegunowym.

Jacques Ledun wyruszył w drogę na początku lata, to jest na sześć miesięcy przed dniem, w którym został znaleziony w okolicy Dawson. Gdzie zatrzymał się z Harry Brownem? Czy dotarli do wybrzeży Oceanu Lodowatego? Czy nagrodą za ich wysiłki było jakieś nowe odkrycie? Przypuszczenie to wydawało się nieprawdopodobne wobec opłakanego stanu Leduna. A do tego Jacques Ledun pozostał sam. W drodze powrotnej na obu, towarzyszy napadli tubylcy i tylko Jacques Ledun ocalał, pozostawiając swe mienie napastnikom. Harry Brown zginął i jego kości bieleły obecnie w tych bezludnych stronach.

Oto wszystko, czego można się było dowiedzieć od chorego i z wielką trudnością, gdyż Jacques Ledun, którego osłabienie wzrastało z dnia na dzień mówił z przerwami.

Wyniki poszukiwań, jak również miejscowość, z której powracali Harry Brown i Jacques Ledun w chwili napadu Indian, pozostaną na zawsze okryte mgłą tajemnicy, o ile chory zakończy życie.

A jednak istniał dokument, chociaż niedokładny, pozostający zapewne w związku z dziejami nieszczęśliwych towarzyszy. O tym dokumencie nie wiedział nikt prócz Jane Edgerton. Myślała o nim często, chcąc go zużytkować zależnie od okoliczności. Zapewne, gdyby Jacques Ledun powrócił do zdrowia, oddałaby mu go niechybnie. Ale w przeciwnym razie?

Tymczasem Jane trudziła się nad rozwiązaniem tajemniczej zagadki. Nie ulegało wątpliwości, że na tej mapie widniała okolica, w której przebywali w ostatnich czasach Francuz z Kanadyjczykiem. Ale gdzie znajdowała się ta okolica? Gdzie płynęła rzeka, której kręta linia zarysowywała się z południowego wschodu na północny zachód? Czy był to dopływ Yukonu, czy Koyukuku czy też Porcupine River?

Pewnego dnia, będąc sam na sam z chorym, Jane położyła mu mapę przed oczy. Spojrzenie Leduna ożywiło się i zatrzymało przez chwilę na czerwonym krzyżu tak intrygującym dziewczynę. Była przekonana, że ten krzyż oznacza miejsce jakiegoś nowego odkrycia... Lecz wkrótce chory odsunął mapę i zamknął oczy, nie wymówiwszy ani słowa.

Czy nie miał siły mówić, czy też zatrzymać chciał dla siebie tajemnicę? Czyżby w głębinach tej duszy, mającej wkrótce opuścić wyczerpane ciało, tkwiła jeszcze nadzieja powrotu do życia? Może biedak chciał dla siebie zachować nagrodę za tyle wysiłków? Może pocieszał się, że zobaczy swoją matkę i u jej stóp złoży majątek dla niej zdobyty...

Tymczasem dni upływały szybko. Zima stawała się coraz ostrzejsza. Temperatura dochodziła do pięćdziesięciu stopni Celsjusza poniżej zera. Niepodobna było wychodzić. Obaj kuzyni, o ile nie byli w szpitalu, spędzali czas w swym pokoju hotelowym. Niekiedy wszakże, odziani w futra aż ponad głowę, szli do jednego z kasyn, mało zresztą uczęszczanych, gdyż większość poszukiwaczy powróciła przed zimą do Dyea, Skagway lub Vancouver.

Możliwe, że podążyli tam Hunter i Malone. W każdym razie było rzeczą pewną, iż od czasu wylewu Forty Miles Creek nikt ich nie widział, nie było ich również na liście ofiar trzęsienia ziemi, których tożsamość została ustalona.

Podczas tych dni mroźnych i nawiedzanych często śnieżycami Summy Skim musiał wyrzec się polowania na niedźwiedzie, podchodzące nieraz do bram miasta. Był zmuszony jak wszyscy do zamknięcia się zupełnego w mieszkaniu, co wraz z nadmiernym obniżeniem się temperatury, było przyczyną najróżnorodniejszych chorób dziesiątkujących ludność.

Szpital nie mógł nadażyć z przyjmowaniem chorych, a miejsce, które miało być wkrótce opuszczone przez Leduna, nie pozostało później wolne ani przez chwilę.

Doktor Pilcox wyczerpał wszystkie środki, mogące przywrócić choremu siły. Lekarstwa nie działały, żołądek nie znosił wcale pożywienia. Życie widocznie uchodziło z dnia na dzień, z godziny na godzinę z tego wyczerpanego organizmu.

30 listopada z rana Jacques Ledun uległ ciężkiemu atakowi, z którego zdawało się, że nie wyjdzie. Rzucił się gwałtownie i choć był osłabiony, nie można go było utrzymać na łóżku. W tym podnieceniu powtarzał wciąż te same słowa:

— Tam... wulkan... wybuch... złoto... lawa złota... Po czym z rozpaczą w głosie wołał:

— Matko... matko... dla ciebie!

Stopniowo podniecenie ustępowało, a wraz z nim powracał stan ostatecznej niemocy. Ledwie dostrzegalny oddech świadczył tylko o życiu chorego. Doktor orzekł, że chory nie wytrzyma drugiego ataku.

Po południu Jane Edgerton, która przyszła czuwać nad chorym, zauważyła że Ledun jest spokojniejszy, a nawet że odzyskał przytomność. Istotnie, polepszenie nastąpiło — jak to często bywa — przed śmiercią.

Jacques Ledun otworzył oczy. Wzrok jego dziwnie nieruchomy spoczął na młodej pielęgniarce. Widać było, że chciał coś powiedzieć. Jane pochyliła się, starając się zrozumieć słowa, które szeptał umierający.

— Mapa — mówił Jacques Ledun.

— Oto jest — rzekła Jane, podając dokument właścicielowi. Jak za pierwszym razem chory odepchnął ją ruchem ręki.

— Daję ją — szepnął. — Tam... krzyż czerwony... wulkan złotodajny.

— Pan oddaje mapę?... Komu?...

— Pani...

— Mnie?

— Tak... pod warunkiem... żeby pani myślała... o mojej matce.

— Pana matce?... Pan chce mi polecić swoją matkę?

— Tak.

— Niech pan liczy na mnie. Ale co mam zrobić z pańską mapą? Nie rozumiem jej znaczenia.

Umierający jakby myślał przez chwilę, po czym rzekł:

— Ben Raddle.

— Chce pan widzieć pana Raddle'a?

— Tak.

Gdy inżynier nadszedł, chory dał znać Jane Edgerton, że chce pozostać z nim sam na sam.

Po czym, szukając po omacku ręki Bena Raddle'a, rzekł:

— Umieram... życie moje ucieka... czuję to...

— Nie, przyjacielu — zaprzeczył Ben Raddle — uratujemy cię.

— Umieram — powtórzył Jacques Ledun. — Zbliź się pan... Obiecałeś mi... że nie zapomnisz o mojej matce... Ufam ci... Słuchaj i zapamiętaj dobrze, co ci powiem.

I głosem słabnącym, lecz wyraźnym, głosem człowieka świadomego tego co mówi, powierzył Benowi następującą tajemnicę:

— Gdy mnie znaleźliście... wracałem z bardzo daleka... z północy... Tam znajdują się najbogatsze pokłady w świecie... Nie potrzeba kopać ziemi... Ziemia sama wyrzuca złoto ze swych wnętrzności! Tak... tam... odkryłem górę... wulkan wyrzucający ogromną ilość złota... wulkan złotodajny... Golden Mount.

— Wulkan złotodajny? — powtórzył Ben Raddle ze zwątpieniem w głosie.

— Musi mi pan uwierzyć — zawołał Jacques Ledun z pewną gwałtownością, starając się podnieść na swym posłaniu. — Musi mi pan wierzyć. Jeżeli nie dla pana, to dla mojej matki... niech to będzie spadek dla niej... Dostałem się na szczyt tej góry... zszedłem do jej wygasłego krateru... Pełno w

nim złotonośnego kwarcu... kawałków złota... trzeba tylko zebrać...

Po tym wysiłku chory wpadł w stan omdlenia, po kilku jednak minutach przyszedł do siebie i spojrzał na inżyniera.

— Dobrze — szepnął — jest pan tu... przy mnie... pan mi wierzy... pójdzie tam... do Golden Mount...

Głos jego słabł coraz bardziej. Ben Raddle, którego przyciągał ręką, nachylił, się nad nim.

— Przy 68°37' szerokości... długość jest oznaczona na mapie...

— Na mapie? — spytał Ben Raddle.

— Spyta się pan... Jane Edgerton...

— Miss Edgerton posiada mapę tej okolicy? — pytał Ben Raddle niezmiernie zdziwiony.

— Tak... ja dałem... tam... w punkcie, gdzie nakreśliłem czerwony krzyż... przy rzece... na północy Klondike... wulkan... którego bliski wybuch wyrzuci złoto... piasek złoty... tam... tam...

Jacques Ledun, wsparty na ramieniu Bena Raddle'a, wyciągnął drżącą rękę w kierunku północy.

Ostatnie słowa, które wyszeptał posiniałymi ustami brzmiały:

— Matko... matko...

Po czym z największą słodyczą:

— Mamusiu!

Wstrząsnął nim ostatni, śmiertelny dreszcz. Skonał.

III

Summy Skim nie upiera się przy wyjeździe do Montrealu

Pogrzeb biednego Francuza odbył się nazajutrz. Jane i Edith Edgerton, jak również Ben Raddle i Summy Skim odprowadzili go na cmentarz. Na grobie postawiono drewniany krzyż z nazwiskiem nieboszczyka. Wkrótce jednak wszelki ślad po skromnej mogile zniknął pod wpływem tamtejszej zmiennej pogody. Po powrocie z cmentarza Ben Raddle, spełniając daną obietnicę, napisał do jego matki.

Później zajął się rozważeniem sytuacji powstałej po powierzeniu mu niespodziewanej tajemnicy.

Nikt dziwić się nie będzie, że tajemnica złotej góry mogła zająć uwagę Bena Raddle'a. Ale że inżynier, człowiek rozsądny, mógł przyjąć tę tajemnicę za prawdę dowiedzioną — było to rzeczą nieco osobliwą. Tymczasem tak było w istocie. Ani na chwilę nie przeszło przez myśl Bena Raddle'a, że zwierzenia Leduna nie opierają się na pewnych podstawach. Nie wątpił wcale, że na północy Klondike znajduje się cudowna góra, która dziś czy jutro wyrzuci z siebie, jak z olbrzymiej kieszeni, całe stopy złota.

Miliony złotych bryłek zostaną wyrzucone w powietrze, o ile nie będzie można ich zbierać w ostatecznie wygasłym kraterze.

Zresztą wszystko przemawiało za tym, że bogate pokłady złotodajne powinny istnieć w okolicach rzeki Mackenzie i jej dopływów. Według słów Indian, odwiedzających często te krainy przyległe do Morza Arktycznego, tamtejsze rzeki obfitowały w złoto. Toteż syndykaty miały niebawem pomyśleć o rozszerzeniu swych poszukiwań aż do części Kanady znajdującej się między Oceanem Lodowatym a kołem podbiegunowym; poszukiwacze zaś złota mieli się tam przenieść na przyszłe lato, gdyż kto pierwszy przybędzie, ten ma więcej szans powodzenia. Kto wie, myślał sobie Ben Raddle, czy nie odkryją wulkanu, o którego istnieniu, dzięki Ledunowi, wie jak dotąd on jeden?

Jeżeli chciał skorzystać z przywileju, działać musiał szybko. Przede wszystkim należało jednak uzupełnić swoje wiadomości w tym względzie, a najpierw zobaczyć mapę, którą zmarły Francuz wręczył Jane Edgerton.

Ben Raddle bez zwłoki udał się do szpitala z postanowieniem szybkiego załatwienia tej sprawy.

— Z tego co Jacques Ledun mówił mi przed śmiercią — rzekł do Jane — ma pani podobno u siebie mapę należącą do niego.

— Istotnie posiadam mapę — odpowiedziała Jane.

Ben Raddle westchnął z zadowoleniem. Sprawa pójdzie łatwo, skoro Jane potwierdza słowa Francuza.

— Ale ta mapa należy wyłącznie do mnie — zakończyła.

— Do pani?

— Do mnie, z tej prostej przyczyny, że Jacques Ledun mi ją dobrowolnie podarował.

— Aha — rzekł Ben niepewnie.

Po chwili milczenia odezwał się:

— Mniejsza o to, gdyż nie przypuszczam, by pani nie chciała mi jej użyczyć.

— To zależy — odpowiedziała Jane z największym spokojem.

— Ba? — zawołał zaskoczony Ben Raddle. — To zależy?... A od czego?... Niech mi to pani wytłumaczy, proszę bardzo.

— Jest to bardzo proste — rzekła Jane. — Mapa, o której mowa i którą wręczył mi jej prawowity właściciel, wskazuje, jak mogę przypuszczać, dokładne miejsce bajecznie bogatej kopalni. Jacques Ledun oddał mi mapę, a ja w zamian obiecałam mu, że będę pomagała jego matce, zaś obietnicę tę będę musiała i mogła spełnić tylko wówczas, jeżeli zużytkuję powierzony mi dokument. Otóż wskazówki, znajdujące się na tej mapie, nie są dokładne.

— A zatem?

— A zatem, ponieważ pan zwraca się do mnie, przypuszczam, że Jacques Ledun udzielił panu wskazówek, których mi brak, prawdopodobnie zobowiązując pana w ten sam sposób co i mniej lecz nie wyjawiając panu tych informacji, które ja posiadam. Jeżeli tak jest istotnie, nie odmawiam wręczenia panu dokumentu, lecz pod warunkiem, że będę pana współniczką. Słowem, pan posiada jedną połowę tajemnicy, ja drugą. Czy pan chce, abyśmy złączyli obydwie połowy i abyśmy się podzielili tym, co nam przyniesie całość?

Na razie Ben Raddle był jakby porażony tą odpowiedzią. Jej treść była dla niego niespodzianką. Stanowczo, Jane Edgerton była bardzo sprytna. Ale rozsądek i sprawiedliwość wzięły górę... Zresztą propozycja młodej poszukiwaczki była całkiem dobra. Nie ulegało wątpliwości, że Jacques Ledun chciał zdwoić możliwość polepszenia bytu matki i dlatego zwrócił się do dwu różnych osób, żądając od nich tego samego zobowiązania. Przy tym co przeszkadzało j mu przyjąć propozycję Jane Edgerton i podzielić się z nią dochodem z eksploatacji złotodajnego wulkanu? Albo wulkan ten był jedynie mitem, a w takim razie tajemnica, a tym bardziej jej połowa, nie miała żadnej wartości, albo złotodajny wulkan istnieje, a wtedy — podział jego bogactw z Jane Edgerton nie ma znaczenia, gdyż wulkan ten dostarczy nieskończoną ilość cennego kruszcu.

Rozmyślenia te trwały zaledwie kilka sekund, gdyż Ben Raddle zdecydował się od razu.

— A więc dobrze — zgodził się.

— Oto mapa — rzekła Jane, podając mu rozwinięty pergamin.

Ben Raddle ogarnął mapę jednym spojrzeniem i nakreślił na niej równoleżnik przecinający krzyż, który oznaczył liczbą 68°37'.

— Współrzędne są teraz dokładne — oświadczył z zadowoleniem. — Można iść z zamkniętymi oczyma do złotodajnego wulkanu.

— Wulkanu złotodajnego? — powtórzyła Jane — Jacques Ledun wymawiał kilkakrotnie te słowa.

— Jest to góra, do której się wybieram...

— Do której się wybieramy — sprostowała Jane.

— Do której wybierzemy się na wiosnę — potwierdził inżynier.

Po czym zaczął opowiadać Jane Edgerton o tym, co powierzył mu Jacques Ledun. Zapewnił ją o istnieniu prawdziwej złotej góry, Golden Mount, nieznaney dotąd nikomu, a którą odkrył Jacques Ledun i jego towarzysz Harry Brown. Mówił, jak zmuszeni do powrotu z powodu braku przyrządów, zostali napadnięci przez bandę tubylców, mając przy sobie dowody swego odkrycia i jak jeden z nich został zabity, a drugi, obrabowany doszczętnie, ginął z braku środków do życia.

— I pan nie zwątpił w prawdziwość tej historii? — spytała Jane Edgerton, gdy Ben Raddle skończył mówić.

— Z początku byłem do niej usposobiony sceptycznie — przyznał. — Ale szczerłość Leduna przekonała mnie. Historia to prawdziwa, może pani być pewna. To nie znaczy jednak, żebyśmy z niej mieli osiągnąć jaką korzyść. W tych sprawach zawsze istnieje możliwość, że inni nas wyprzedzą. Jeżeli Golden Mount nie jest znana w dosłownym znaczeniu tego słowa, to w każdym razie poszukiwacze wiedzą o jej istnieniu z legend podawanych sobie z ust do ust. To wystarczy, aby jakiś poszukiwacz bardziej łatwowierny i bardziej odważny od innych zechciał się przekonać, czy legenda nie jest piękną i dobrą rzeczywistością. Oto niebezpieczeństwo, które nam grozi i któremu możemy się przeciwstawić pod dwoma warunkami: pośpiechu i milczenia.

Nie można się dziwić, że inżynier od tej chwili śledził uważnie wszystkie wiadomości dotyczące poszukiwaczy złota. Jane nie ustępowała mu w tym wcale, najczęściej zaś oboje razem zajmowali się bliską im sprawą, jak również oboje trwali w postanowieniu nie wyjawienia nikomu swej tajemnicy aż do ostatniej chwili. Ben Raddle nie mówił nawet o tym Summy Skimowi. Nic zresztą nie nagliło, ponieważ upłynęły dopiero trzy miesiące z ośmiu miesięcy zimy w Klondike.

Tymczasem komisja graniczna ogłosiła rezultat swych badań i orzekła, że obustronne pretensje zostają oddalone. Nie znaleziono bowiem żadnej pomyłki. Granica między Alaską i Kanadą nie może być przesunięta ani na zachód na korzyść Kanadyjczyków, ani na wschód z ich szkodą, a co za tym idzie, działki graniczne nie zmieniają przynależności państwowej.

— Dużo nam z tego przyjdzie! — zawołał Summy Skim, gdy dowiedział się o tym orzeczeniu. — Bardzo dobrze, że działka 129 pozostaje własnością Kanady. Szkoda tylko, że ją ochrzczono po śmierci.

— Działka istnieje nadal pod wodami Forty Miles Creek — odpowiedział nadzorca, który nie chciał tracić nadziei.

— Bardzo słusznie, Lorique. Zaczynjcie więc ją eksploatować pod wodą, na głębokości pięciu do sześciu stóp! Chyba że pod wpływem ponownego trzęsienia ziemi rzeczy wrócą do dawnego stanu...

I wzruszając ramionami Summy dodał:

— Zresztą, jeżeli Pluton i Neptun zechcą mieszać się nadal w sprawy Klondike, to mam nadzieję, że dlatego, aby skończyć na zawsze z tą straszną krainą, aby ją zniszczyć i zalać tak doszczętnie, że nie pozostanie w niej ani kawałka złota.

— O, panie Skim! — zawołał nadzorca szczerze oburzony.

— A zresztą? — odezwał się Ben Raddle jak człowiek nie wypowiadający wszystkich swych myśli. — Czy sądzisz, że tylko Klondike posiada pokłady złota?

— Nie wykluczam ze swojej przepowiedni innych krain — odparł Summy Skim — jak Alaska, Dominion, Transwal... a będąc szczerzy, dodam: krain całego świata.

— Ależ, panie Skim — oburzył się nadzorca — złoto, to złoto!

— Nie wiecie, co mówicie, Lorique. Chcecie wiedzieć, co to jest złoto? A więc, moim zdaniem złoto — to blaga. I nie zechciejcie mi przeczyć.

Rozmowa mogłaby się przeciągnąć bez żadnej korzyści dla rozmówców, gdyby Summy nie zakończył jej słowami:

— Zresztą niech Pluton i Neptun robią, co im się podoba. Nie moja to rzecz. Zajmuję się tylko sprawami, które mnie obchodzą. Wystarczy mi to, że działki 129 już nie ma i że to nas zmusi do powrotu do Montrealu.

Niestety w ustach Summy Skima słowa te brzmiały jak figura retoryczna. Rzeczywistość przeczyła im w zupełności. Rok dobiegał dopiero końca, przekazując swemu następcy długie zimowe miesiące, a o powrocie mowy być nie mogło.

Ostatni tydzień roku, a z nim święta Bożego Narodzenia, zapadły w pamięć Skima na zawsze. Wprawdzie temperatura nie spadła poniżej minus dwudziestu stopni, ale pogoda była okropna. Byłoby lepiej, gdyby nastąpił spadek temperatury wraz z północnym wiatrem, suchym i orzeźwiającym.

W ciągu ostatniego tygodnia roku ulice Dawson opustoszały z powodu braku oświetlenia. Żadna lampa nie wytrzymałaby naporu śniegu, zresztą nie można byłoby się do niej dostać. Zwały śnieżne pokrywały ulice na pięć do sześciu stóp, tamując ruch pieszy i kołowy. Jeżeli pod wpływem większego mrozu te masy śnieżne stwardnieją, żaden kilof ani motyka im nie poradzą. Trzeba by je wysadzać dynamitem. W niektórych dzielnicach, w pobliżu rzek Jukon i Klondike, wiele domów było zasypanych do pierwszego piętra, tak że dostęp do nich był możliwy tylko przez okna. Na szczęście

hotel przy Front Street wolny był od tej barykady i kuzyni mogliby wychodzić, gdyby ulice były dostępne. Ale przy pierwszym kroku wpadało się w śnieg po szyję.

O tej porze roku dzień jest nader krótki. Słońce ukazuje się zaledwie nad pagórkami otaczającymi miasto. Śnieg pada tak gęstymi i dużymi płatkami, że światło elektryczne przedostać się przezeń nie może i miasto tonie w ciemności dwadzieścia godzin na dobę.

Z konieczności więc Ben Raddle i Summy Skim nie opuszczali swego pokoju. Nadzorca i Neluto, którzy wraz z Patrickiem mieszkali w skromnym zajeździe w dalszej dzielnicy, nie mogli odwiedzać swych panów, jak to czynili zwykle, a wszelkie kontakty z Jane i Edith Edgerton musiały zostać przerwane. Summy Skim próbował raz udać się do szpitala, ale o mało nie został zasypany śniegiem. Uratowała go pomoc służby hotelowej.

Nie potrzebujemy dodawać, że instytucje publiczne zawiesiły swe czynności. Listy nie przychodziły, dzienników nie było. Gdyby nie nagromadzenie zapasów w hotelach i domach prywatnych, ludność wymarłaby z głodu. Nigdy miasto nie znajdowało się w podobnie groźnym położeniu. Śnieg nie pozwolił dojść do rezydencji komisarza i zarówno poddani amerykańscy jak kanadyjscy znaleźli się bez opieki. A co dopiero mówić o ofiarach chorób tak licznych o tej porze roku, których nie można było nawet odwiedzić na miejsce ich wiecznego spoczynku. Gdyby w tych okolicznościach wybuchła epidemia, wkrótce nie pozostałoby w mieście ani jednego mieszkańca.

Pierwszy dzień 1899 roku był straszny. Całą noc i cały dzień śnieg padał bez przerwy, zasypując całkowicie pokaźną liczbę domów. Na prawym brzegu Klondike River widniały tylko dachy domów. Przypuszczać było można, że niebawem całe miasto zniknie pod warstwą śniegu jak Pompeja zniknęła pod popiołem Wezuwiusza. Gdyby temperatura spadła w tym czasie do czterdziestu lub — pięćdziesięciu stopni, cała ludność zginęłaby pod tą stwardniałą masą.

2 stycznia niespodziewanie zaszła zmiana. Wiatr zmienił nagle kierunek i temperatura podniosła się powyżej zera. Niebezpieczeństwo minęło. Śnieg stopniał w kilka godzin, wywołując prawdziwą powódź. Wynikły stąd wielkie szkody; ulice zamieniły się w potoki, który wody, zabierając ze sobą wszelkiego rodzaju odpadki, potoczyły się z hałasem na zmarzniętą powierzchnię rzeki Jukon i jej dopływu.

Powódź ta rozprzestrzeniła się na cały okręg. Między innymi Forty Miles Creek, wezbrawszy nadmiernie, zalała działki leżące w dół jej biegu. Była to klęska równająca się klęsce sierpniowej.

Jeżeli Ben Raddle żywił jakąkolwiek nadzieję powrotu na działkę 129, teraz musiał wyrzec się jej ostatecznie.

Gdy tylko wznowiono ruch na ulicach miasta, Lorique i Neluto podążyli do Northern Hotel, Ben Raddle zaś i Summy Skim pośpieszyli do szpitala, witani przez swe towarzyszki z radością zdwojoną przez długie zamknięcie. Co do doktora Pilcoxa, to ten nie stracił nic na humorze.

— I cóż, doktorze — spytał go Summy Skim — trwa pan nadal w swym zachwycie dla przybranego kraju?

— Cóż pan chce? — odpowiedział doktor. — Czyż Klondike nie jest godzien podziwu? Nie wiem, czy za pamięci ludzkiej spadła kiedykolwiek podobna ilość śniegu?... Ciekawy to przyczynek do wspomnień z pańskiej podróży, panie Skim.

— Może pan być pewny, doktorze!

— Na przykład, gdyby powrót wielkich mrozów nie został poprzedzony kilkoma dniami odwilży, byłibyśmy wszyscy z mumifikowani. To dopiero gratka dla dzienników starego i nowego ładu! Taka sposobność już się nie zdarzy i należy żałować, że wiatr zwrócił się na południe!

— Z tej strony pan to bierze, doktorze?

— Z tej strony należy to brać. To się nazywa filozofią, panie Skim.

— Filozofia przy pięćdziesięciu stopniach poniżej zera... Ja jej hołdować nie będę — stwierdził nieprzekonany Summy.

W styczniu, jak wiadomo, daleko do końca zimy. W drugiej połowie tego miesiąca spadek temperatury był nadmierny, ale — zachowując wszelką ostrożność — można było wychodzić bezkarnie. Koniec stycznia okazał się łaskawszy niż jego początek, w tym znaczeniu, że śnieżyce były rzadsze i już nie tak gwałtowne. Istotnie, o ile powietrze jest spokojne, zimno można znieść; dopiero gdy wiatr północny, idący od bieguna, zacznie dąć gwałtownie, ścinając twarze ludzi i zamieniając ich oddech w szron i lód, niebezpiecznie jest wychodzić z mieszkania. Summy Skim mógł więc uprawiać ulubiony sport w towarzystwie wiernego Neluta, a niekiedy i Jane Edgerton. Zresztą nikt nie byłby w stanie powstrzymać go od tych wycieczek, pomimo niespodziewanych zmian temperatury. Nie nęciły go emocje gry, ani przyjemności w kasynach, a czas dłużył mu się bezmiernie. Pewnego dnia, gdy mówiono mu na co się naraża polując tak zawzięcie, odpowiedział najpoważniej w świecie:

— Dobrze, nie będę polował, obiecuję, jeżeli...

— Jeżeli? — nalegał doktor Pilcox.

— Jeżeli zimno będzie tak wielkie, że proch nie będzie mógł się zapalić. O ile Jane Edgerton nie towarzyszyła Summy Skimowi, spotykała się wtedy zwykle z Benem, albo w szpitalu, albo w Northern Hotel. Zresztą nie było dnia, aby się nie widzieli. Edith była zawsze obecna przy ich rozmowach, choć obecność ta nie była konieczna. Lecz inżynier był innego zdania. Dopuściwszy dziewczynę do tajemnicy, zwracał się do niej o zdanie w najmniejszym nawet szczególe tyczącym się przyszłej wyprawy. Być może, iż cenił jej zdanie tak wysoko, dlatego że go nie wypowiadała i że przyjmowała wszystko z zamkniętymi oczyma; tak jak przyjęła wiadomość o nowym projekcie, godząc się na wszystko, co wyszło z ust inżyniera, trzymając niezmiennie jego stronę przeciwko kuzynce, a nawet w razie potrzeby przeciw nadzorcy, który — choć nieświadomy celu wyprawy — zwykle uczestniczył w tych naradach. Wszystko co Ben Raddle mówił, powiedziane było dobrze. Wszystko co Ben Raddle robił, było dobrze zrobione. Inżynier cenił wielce tę pochlebną opinię wygłaszaną z taką naiwnością.

Nadzorcę zaś inżynier wypytywał o Klondike, a przede wszystkim o krańce północne okręgu, dobrze mu znane. Summy Skima, który wracając z polowania, zastawał ich zawsze razem, zaczęły niepokoić te tajne narady.

„O czym mogą tak rozprawiać we czworo? — powtarzał w myśli. — Czy Ben nie ma dosyć, a nawet za wiele tej wstrętnej krainy? Czy znów chce próbować szczęścia za namową nadzorcy? Ale przecież ja jestem, i choćbym nawet miał użyć siły!... Jeżeli będę w maju w tym okropnym mieście, to chyba tylko wówczas, gdyby zacny doktor Pilcox amputował mi obydwie nogi... i to nie ma pewności, czy nie powlókłbym się jako kaleka!”

Summy nadal nie wiedział nic o zwierzeniach Leduna. Ben Raddle i Jane Edgerton — zgodnie z umową — dotrzymywali tajemnicy, Lorique zaś wiedział tyle, co Summy Skim. Nie przeszkadzało to jednak nadzorcy pochwalać zamiarów Bena Raddle’a, jak zwykle to zresztą czynił i zachęcać go do poszukiwania szczęścia. Czy po tylu trudach związanych z przyjazdem do Klondike, miałby się zrazić pierwszym niepowodzeniem; szczególnie, gdy to niepowodzenie było zależne od okoliczności zupełnie wyjątkowych, by nie powiedzieć jedynych w swoim rodzaju? Zapewne, zatonięcie działki 129 jest wypadkiem bardzo nieprzyjemnym, ale czy nie można nabyć innej działki? Udając się dalej na północ, można natrafić na złoża równie bogate, jak te utracone... Przecież Bonanza i Eldorado dają nadal wspaniałe rezultaty...

Na północy ciągnie się rozległa złotodajna okolica, prawie jeszcze nieznaną. Ten kto jako pierwszy odkryje nowe złoża, będzie ich właścicielem... Nadzorca zajmie się wyszukaniem robotników... Zresztą, dlaczego Benowi nie miałoby się udać, gdy innym się powiodło? Umiejętności inżyniera odgrywają nawet w tej hazardowej grze rolę szczęśliwego atutu.

Nietrudno sobie wyobrazić, że podobne rozmowy były na rękę Benowi. Istnienie Golden Mount z legendarnego stawało się dla niego rzeczywiste. I zaczął o tym wulkanie marzyć na jawie!... Golden Mount! Ta działka, to więcej niż działka, to góra, której wnętrze zawiera miliony bryłek złota... To wulkan wyrzucający własną siłą swoje skarby!... Tak, należy przedsięwziąć tę wyprawę. Jeśli wyruszą na początku wiosny, wystarczy trzy do czterech tygodni, aby znaleźć się u celu podróży. A tam wciągu kilku dni można zebrać tyle złota, ile go nie dostarczyły dopływy Jukonu w ciągu dwu lat, po czym powrócić przed zimą wraz z potężną mocą kruszcu, przed którą zblednie potęga królów.

Ben Raddle i Jane poświęcali całe godziny na studiowanie szkicu, nakreślonego ręką Francuza. Przenieśli szkic na mapę Klondike i dzięki wyznaczonym współrzędnym doszli do wniosku, że czerwony krzyż należy umieścić na lewym brzegu rzeki Rubber, odnogi Mackenzie i że odległość dzieląca złotodajny wulkan od Dawson nie jest większa niż dwieście osiemdziesiąt mil, to jest około pięciuset kilometrów.

— Dobrym wozem i z dobrym koniem — mówił zapytany o to Lorique — można przejechać pięćset kilometrów w dwadzieścia dni i to wyjeżdżając w pierwszej połowie maja.

Tymczasem Summy Skim nie przestawał powtarzać, sobie:

— Co, do diabła, spiskują we czworo?

Choć nie wiedział o co chodzi, przypuszczał, że treścią tych częstych rozmów musi być projekt jakiejś nowej wyprawy i postanowił sprzeciwić się temu ze wszelkich sił.

— Bawcie się, moje dzieci — mruzczał — bawcie się na swoją rękę, a ja na swoją; zobaczymy kto będzie górą.

Nadszedł marzec, a z nim nagła zmiana temperatury, która spadła do sześćdziesięciu stopni poniżej zera. Summy Skim zwrócił na to uwagę Bena Raddle'a, mówiąc, że o ile potrwa tak dalej, zabraknie stopni na termometrze.

Inżynier, wyczuwając niezadowolenie kuzyna, starał się go nie drażnić.

— Istotnie, mrozy są niezwykle — rzekł dobrodusznym tonem — ale ponieważ nie ma wiatru, znosi się je lepiej, niż myślałem.

— Tak, Ben... tak — przyznał Summy powściągliwie — powietrze jest bardzo zdrowe, zabija mikroby w olbrzymich ilościach.

— Dodam — odezwał się Ben Raddle — że według opinii mieszkańców tego kraju, mróz nie powinien trwać długo. Spodziewają się nawet, że zima nie przedłuży się w tym roku i że będzie można powrócić do pracy z początkiem maja.

— Do pracy?... O ile pozwolisz mi na to mocne wyrażenie, ośmielam się mówić, że kpię z niej! — zawołał Summy Skim podniesionym głosem. — Nie wątpię, że skorzystamy z wczesnej wiosny, aby wyruszyć w drogę powrotną, gdy tylko powróci przewodnik.

— Myślę — zauważył inżynier, czując, iż zbliża się godzina zwierzeń — że dobrze będzie przed wyjazdem odwiedzić działkę 129.

— Działka 129 podobna jest w tej chwili do kadłuba okrętu dawno zatopionego na dnie morza. Dostać się do niej może jedynie nurek. A ponieważ nie mamy odpowiedniego stroju...

— Przecież są tam zatopione miliony!...

— Nawet miliardy, jeżeli chcesz. Nie przeczę temu bynajmniej. Lecz w każdym razie są one stracone na zawsze. Nie widzę potrzeby powrotu do Forty Miles Creek, gdyż podróż ta nasunie ci tylko niemiłe wspomnienia.

— Jestem zupełnie wyleczony.

— Może nie tak zupełnie, jak sądzisz. Zdaje mi się, że gorączka...ta sławna gorączka... wiesz... gorączka złota...

Ben Raddle spojrział kuzynowi prosto w oczy i jak człowiek zdążający śmiało do celu, postanowił mu odkryć swoje zamiary.

— Muszę z tobą pomówić, Summy — rzekł — lecz nie unos się przy pierwszych słowach.

— Przeciwnie, uniosę się! — zawołał Summy Skim. — Nic mnie od tego nie powstrzyma, oświadczam ci z góry, jeżeli napomkniesz mi tylko o możliwości opóźnienia naszego powrotu.

— Słuchaj, mam ci powierzyć tajemnicę.

— Tajemnicę? A z czyjego polecenia?

— Z polecenia tego Francuza, którego przywiozłeś na pół umarłego do Dawson.

— Jacques Ledun powierzył ci tajemnicę?

— Tak.

— I dotąd nie mówiłeś mi o tym?

— Nie, bo poddał mi myśl projektu, nad którym trzeba się było zastanowić. Summy Skim zerwał się.

— Projekt! — zawołał. — Jaki projekt?

— Nie, Summy — odparł Ben Raddle — wpierw spytaj: jaka tajemnica. O projekcie później. Trzymajmy się porządku rzeczy i uspokój się.

Po tych słowach Ben Raddle opowiedział kuzynowi o istnieniu Golden Mount, góry, którą odkrył Jacques Ledun przy ujściu rzeki Mackenzie, na samym wybrzeżu Oceanu Lodowatego; pokazał mu szkic z czerwonym znakiem, a następnie mapę, na której inżynier odszukał wspomnianą górę.

Odległość między nią a Dawson była na niej dokładnie oznaczona w kierunku północ–północ–wschód, mniej więcej na sto trzydziestym szóstym południku. Wreszcie powiedział mu, że ta góra... to wulkan, którego krater zawiera ogromną ilość złotodajnego kwarcu, a wewnątrz... miliardy bryłek złota.

— I ty wierzysz w ten wulkan z tysiąca i jednej nocy? — spytał Summy Skim drwiącym tonem.

— Wierzę, Summy — odpowiedział Ben Raddle z takim naciskiem, że wszelka dyskusja w tym względzie stawała się zbędną.

— Dobrze — potwierdził Summy. — A potem?

— Jak to — potem? — zapytał zdenerwowany Ben Raddle. — Co? Więc będąc w posiadaniu takiej tajemnicy, nie mielibyśmy z niej skorzystać? Więc inni mieliby to zrobić?

Summy Skim, panując nad sobą, odparł spokojnie:

— Jacques Ledun również chciał szukać tam szczęścia, a wiesz, co z tego wynikło. Tony złota w Golden Mount nie przeszkodziły temu, że umarł w szpitalu.

— Bo został napadnięty.

— My zaś — odezwał się Skim — nie potrzebujemy się obawiać napaści, oczywiście... W każdym razie, chcąc eksploatować tę górę, należałoby — jak sądzę — przebyć ze sto mil w kierunku północnym.

— Istotnie, ze sto mil, a może i więcej.

— Tymczasem nasz odjazd do Montrealu ma nastąpić w pierwszych dniach maja.

— Opóźnimy go o kilka miesięcy, to wszystko.

— To wszystko! — powtórzył Summy Skim ironicznie. — Tylko że wtedy będzie za późno, aby wyruszyć w drogę powrotną.

— Jeżeli będzie za późno, spędzimy jeszcze jedną zimę w Dawson.

— Nigdy! — zawołał Summy Skim z taką stanowczością, że Ben Raddle uznał za stosowne przerwać rozmowę.

Ben Raddle miał zresztą zamiar powrócić do niej, co się też stało pomimo niechęci kuzyna. Tłumaczył mu, że podróż odbędzie się bez żadnych trudności, gdy nastanie odwilż. W ciągu dwu miesięcy można dotrzeć do Golden Mount, zebrać złoto warte kilka milionów i powrócić do Dawson. Wystarczy jeszcze czasu, aby powrócić do Montrealu, a przynajmniej wyprawa do Klondike nie spełźnie na niczym.

Ben Raddle nie wyczerpał jednak wszystkich argumentów. Najsilniejszy pozostawił na zakończenie. Jeżeli Jacques Ledun powierzył mu tajemnicę, to miał ku temu ważny powód. Chodziło mu o matkę, biedną nieszczęśliwą kobietę, dla której zdobywał majątek i której starość byłaby zapewniona, gdyby syn urzeczywistnił swoje zamiary. Czy Summy chce, aby jego kuzyn nie dotrzymał obietnicy danej umierającemu?

Summy Skim wysłuchiwał argumentów Bena, nie przerywając mu. Pytał siebie, który z nich dwóch oszalał: czy Ben, mówiący te nadzwyczajne rzeczy, czy on, słuchający ich cierpliwie. Gdy Ben Raddle skończył, pofolgował swemu oburzeniu.

— Mogę ci odpowiedzieć tylko jedno — rzekł głosem drżącym od gniewu — że będę żałował, iż podałem rękę temu nieszczęśliwemu Francuzowi, a tym samym przeszkodziłem, aby tajemnica przepadła wraz z jego śmiercią. Jeżeli podjąłeś względem niego pewne zobowiązania, możesz się z nich wywiązać w inny sposób. Będzie można wyznaczyć matce roczną rentę i ja podejmuję się osobiście tym zająć. Co zaś do twego projektu, mam dość niepoważnych przedsięwzięć, które udają się nam tak wspaniale; nie powrócę do niego więcej, nie. Dałeś mi słowo, że powrócimy do Montrealu. Nie zwrócę ci go nigdy. To wszystko.

Na próżno Ben Raddle starał się go przekonać. Summy był nieustępliwy, a nawet miał do niego pretensje za to naleganie. Inżynier zaczął się więc niepokoić, czy nastrój kuzyna nie wpłynie na ochłodzenie ich wzajemnych stosunków.

Summy Skim zaś walczył ze sobą. Myślał wciąż o tym, co się stanie, jeżeli Ben Raddle nie da się przekonać. Czy mógłby go zostawić samego? Summy nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości. Wiedział dobrze, że nie — zniósłby niepokój o jego los i że w ostatniej chwili ustąpi. Lecz gniew wzbierał w nim na samą myśl o tym. Toteż ukrywał swoją troskę pod oschłością, na jaką zdobyć się mogło jego łagodne usposobienie.

Ben Raddle, sądząc z pozoru, zwątpił zupełnie w przekonanie kuzyna. Choć nie był wrażliwy z natury, odczuł jednak głęboko nieporozumienie, które wkradło się do ich przyjaźni. Czas upływał, a ono trwało. Wreszcie pewnego dnia Ben Raddle zwierzył się Jane Edgerton ze swej troski i nieprzejednanego stanowiska kuzyna. Zdziwiła się wielce. Nie zastanawiała się nigdy nad poglądem Summy Skima w tej sprawie. Zdawało się jej rzeczą zupełnie naturalną, że jego pogląd musi być zgodny z jej poglądem, chociaż byłaby w wielkim kłopotcie, gdyby ktoś zażądał od niej wytłumaczenia przyczyny tego optymizmu. Tak czy inaczej, w tym nastroju ducha, zdziwienie przeszło w gniew, jak gdyby biedny Summy Skim obraził ją osobiście. Ze swoją zwykłą stanowczością udała się natychmiast do hotelu z zamiarem zrobienia mu wymówek za jego niegodne postępowanie.

— Podobno pan się przeciwstawia naszej wyprawie do Golden Mount? — odezwała się bez żadnego wstępu i z pewną oschłością w głosie.

— Naszej? — powtórzył Summy zaskoczony.

— Pytam się pana, dlaczego panu zależy na tym, aby przeciwstawiać się wyprawie, którą zamierzamy podjąć, pański kuzyn i ja.

Summy Skimowi zdawało się, że śni.

— Jak to — rzekł cichym głosem — więc i pani wybiera się w tę podróż?

— Nie udawaj pan nieświadomego — odezwała się surowo. — Powinien pan być lepszym towarzyszem i wybrać się z nami bez wahania, aby mieć udział w naszej zdobyczy. Złota Golden Mount wystarczy na nas troje.

Summy Skim zaczerwienił się po uszy. Westchnął tak silnie, że zdawało się, iż wchłania w siebie całe otaczające go powietrze i wykrzyknął zuchwale:

— Ależ ja nie pragnę niczego innego. Tym razem zdziwiła się Jane.

— A zatem, o czym mówił mi pan Raddle?

— Ben nie wie, co mówi — rzekł Summy z beczelnością zatwardziałego kłamcy. — Wprawdzie nie zgadzałem się z nim w niektórych szczegółach, ale szczegóły te dotyczyły tylko planu wyprawy. Jej sens nie podlega żadnej dyskusji.

— Chwała Bogu! — zawołała Jane.

— Miss Jane, niech pani osądzi, jak mógłbym wyrzec się takiej podróży? Wprawdzie nie złoto mnie nęci, ale...

Summy urwał na tym słowie, wielce zakłopotany, co ma dalej powiedzieć.

— Ale co? — nalegała Jane.

— Polowanie... zresztą sama podróż, odkrycie... przygody...

Summy stawał się romantykiem.

— Każdy ma swój cel — rzekła Jane odchodząc, aby podzielić się z Benem nową wiadomością.

Inżynier jednym skokiem znalazł się w hotelu.

— Czy to prawda, Summy? Decydujesz się jechać z nami?

— Czyż mówiłem ci kiedykolwiek co innego? — odpowiedział Summy z tak zdumiewającą bezczelnością, że stropiony Ben Raddle pytał siebie, czy ich długie dysputy na temat podróży nie były tylko snem.

IV

Circle City

Jak wiadomo, bogactwa Kanady północnej i Alaski nie ograniczają się tylko do zasobów Klondike. Jest to niezmiernie szczęśliwa okoliczność dla ludzi szukających silnych wrażeń, działki bowiem Klondike, choć dalekie jeszcze od wyczerpania, wzrastają w cenie z dnia na dzień tak, że w krótkim czasie oprócz potężnych syndykatów nikt nie będzie mógł je nabyć. Toteż poszukiwacze złota, gromadnie lub pojedynczo, dążą na północ, trzymając się brzegów Mackenzie, a następnie Porcupine River.

Należy zaznaczyć, że różnego rodzaju pogłoski zwracały wtedy uwagę poszukiwaczy na te dalekie strony, o których wiedziano daleko mniej, niż o Australii, Kalifornii i Transwalu w początkach ich eksploatacji. Wiadomości te napływały nie wiadomo skąd i przez kogo. Najwięcej jednak do ich rozprzestrzenienia przyczyniły się plemiona Indian, koczujących na rozległych odludziach północy, graniczących z Oceanem Lodowatym. Nie mogąc sami eksploatować pokładów, Indianie chcieli przyciągnąć do nich imigrantów. Opowiadali, że za kołem podbiegunowym znajduje się wiele rzek złotonośnych. Pokazywali nieraz kawałki złota zebrane w okolicach Dawson jako pochodzące spod sześćdziesiątego czwartego równoleżnika. Żądza szczęścia musiała być wielka u poszukiwaczy złota, jeżeli wierzyli im na słowo.

Ben Raddle wiedział o tym, że w Klondike podają sobie z ust do ust legendę o złotodajnym wulkanie. Być może ona to pobudziła nieszczęsnego Francuza do wyprawy na północ. Dotąd jednak nikt nie wstąpił w jego ślady. Lecz legenda o złotodajnym wulkanie miała coraz więcej zwolenników, a ponieważ niektórzy z poszukiwaczy wybierali się na północ, więc było prawdopodobne, że możliwość stanie się rzeczywistością.

Zarówno na wschodzie, jak i zachodzie poszukiwania prowadzone były na dużą skalę. Okolica wzgórz Domes była już podzielona na równe działki, a w przeciwnym kierunku wiele motyk kopało ziemię w okolicach Circle City.

Tam w swoim czasie udali się Hunter i Malone, by znaleźć nową szansę. Nie osiągnąwszy jednak pożądanego rezultatu, powrócili na swoją działkę 131, gdzie zaskoczyła ich katastrofa 5 sierpnia.

Ani Hunter, ani Malone, ani żaden z ich robotników nie padli ofiarą katastrofy. Jeżeli z początku przypuszczano, że zginęli, to dlatego iż natychmiast opuścili działkę, przenosząc się do Circle City.

W tych okolicznościach Hunter nie myślał wcale o zamierzonym spotkaniu z Summy Skimem, tak jak i Summy Skim ze swej strony zapomniał o nim. Konflikt został więc z konieczności zakończony.

W chwili gdy Hunter i Malone przybyli do Circle City pozostały jeszcze dwa miesiące lata, mogli więc wznowić poszukiwania. Ale stanowczo szczęście im nie sprzyjało. Dochody wyrównywały zaledwie wydatki i gdyby Hunter nie posiadał nieco dawniejszych oszczędności, jego towarzysze i on nie mieliby z czego utrzymać się przez zimę.

Niespodziewane zdarzenie miało ich zresztą wybać z kłopotów w tym względzie.

Ludzie takiego pokroju jak Hunter i Malone nie mogą żyć bez niesnasek i kłótni. Zuchwałym roszczeniem sobie prawa do naginania wszystkich do swej woli, do nieposzanowania praw innych, do zachowywania się wszędzie jak w kraju zdobytym, zakłócali spokój wszystkim. Mieliśmy już dowód tego przy Forty Miles Creek. To samo działo się przy Birch Creek. Tym razem jednak nie cudzoziemcy, lecz ziomkowie padali ofiarą ich niepohamowanej gwałtowności.

Ostatecznie wdać się w to musiał rząd Alaski. Na skutek starcia z policją banda Huntera została aresztowana i skazana na dziesięciomiesięczne zamknięcie w więzieniu Circle City.

Tym sposobem sprawa mieszkania i pożywienia podczas zimy dla Teksaszczyków została pomyślnie załatwiona.

Musieli natomiast wyrzec się przyjemności wielkiego miasta i tym samym pozbawić swej obecności kasyna i domy gry w Skagway, Dawson lub Vancouver.

W więzieniu Hunter i Malone myśleli o przyszłości. Co mają przedsięwziąć, gdy na wiosnę opuszczą swą celę? Działka 131 nie istniała, pokłady w Circle City nie dawały dostatecznych dochodów. Gdy wyczerpie się reszta zapasu, czeka ich nędza, o ile nie zdarzy się jakiś dobry interes. Na swych towarzyszy, zebranych z różnych okolic, mogli w pełni liczyć. Będą oni posłuszni ich rozkazom. Ale trzeba było wydać ten rozkaz, czyli mieć plan i cel działania. O ten cel właśnie chodziło. Czy nadarzy się sposobność wyjścia z trudnego położenia, w którym się znajdowali?

Sposobność ta zjawiała się wskutek następujących okoliczności.

Wśród więźniów Hunter zauważył Indianina nazwiskiem Krarak, który ze swej strony zwrócił szczególną uwagę na Huntera. Wzajemna ta sympatia była rzeczą naturalną. Podłożem tego rodzaju uczuć jest zawsze zgodność usposobienia i zapatrywań, szczególnie w ujemnym znaczeniu tego słowa. Toteż obaj awanturnicy porozumieli się prędko i nawiązali bliższe stosunki.

Krarak miał lat czterdzieści. Krępy, silny, o złowrogim spojrzeniu, musiał podobać się obu Teksaszczykom.

Pochodził z Alaski, a przebywając od młodości w tej krainie, znał ją dokładnie. Mógłby być doskonałym przewodnikiem, gdyby jego wygląd nie był tak odstręczający. Zresztą nieufność, którą wzbudzał, była całkiem usprawiedliwiona. Poszukiwaczom, z którymi miał do czynienia, dał się dobrze we znaki. Obecnie siedział w więzieniu za znaczną kradzież popełnioną przy eksploatacji złóż w okolicach Birch Creek.

W pierwszym miesiącu ich pobytu w więzieniu Hunter i Krarak trzymali się zdaleka od siebie. Hunter zauważył bowiem, że Krarak chce mu powierzyć jakąś tajemnicę, czekał więc, aż ten przemówi.

Nie omylił się zresztą. Pewnego dnia Indianin zaczął mu opowiadać o swych wycieczkach po Ameryce Północnej wtedy, gdy był przewodnikiem przedstawicieli Kompanii Hudsonskiej,

zwiedzających okolice Porcupine River, położone między Fort Yukon, Fort Mc Pherson i Oceanem Lodowatym.

Z początku Krarak mówił ogólnikowo, lecz stopniowo przeszedł do szczegółów, mogących wzbudzić zainteresowanie Huntera.

— Na północy, w pobliżu Oceanu Lodowatego — odezwał się pewnego dnia — znajduje się złoto w wielkiej obfitości. Wkrótce przybędą tam tysiące poszukiwaczy.

— Nie pozostaje więc nic innego, jak ich wyprzedzić.

— Zapewne — odparł Krarak. — Ale trzeba znać położenie złóż.

— A ty je znasz?

— Znam ich kilka. Lecz dostać się do nich trudno... można błędzić kilka miesięcy i przejść koło nich nie zauważywszy ich wcale... Jeden szczególnie... co za złoża!... Ach? Gdybym był wolny!

Hunter spojrzał mu prosto w oczy.

— Co byś zrobił, gdybyś był wolny?

— Poszedłbym tam, dokąd dążyłem, gdy mnie aresztowano — odpowiedział Krarak.

— Dokąd zatem?

— Tam, gdzie złoto zbiera się taczkami! — oświadczył szumnie Indianin.

Na próżno Hunter chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Krarak milczał.

Zresztą powiedział wystarczająco dużo, aby pobudzić chciwość rozmówcy.

Hunter i Malone przekonani, że Krarak znał dokładnie miejsce, gdzie znajdują się pokłady złota na wybrzeżu morskim, postanowili wydobyć od niego tajemnicę, aby wykorzystać ją dla siebie. Lecz Indianin nie odpowiadał na ich pytania, zadowolając się twierdzeniem, że pokłady na pewno istnieją.

Wraz z końcem kwietnia nadszedł kres zimy, która w Circle City była równie ciężka jak w Dawson. Więźniowie cierpieli bardzo. Hunter i jego towarzysze oczekiwali z niecierpliwością odzyskania wolności, aby wyruszyć na północ kontynentu amerykańskiego.

W tym względzie pomoc Kraraka była niezbędna. Zresztą Indianin jej nie odmawiał. Ale władze amerykańskie niestety nie spieszyły się z ułatwieniem tej podróży. Jeżeli Hunter i jego towarzysze mieli być wypuszczeni niebawem z więzienia, to Krarak z powodu licznych występków skazany był na wieloletnie zamknięcie.

Pozostawała zatem tylko ucieczka. Wydostać się z więzienia można było jedynie pod częścią muru, stanowiącego z jednej strony równocześnie granicę więzienia i miasta. Przebicie otworu pod murem

od wewnątrz było niepodobieństwem z powodu czujności straży. Lecz od zewnątrz i nocą można było to zrobić bez wielkich trudności, zachowując odpowiednią ostrożność.

Z kolei pomoc Huntera okazała się niezbędną. Łotrzy porozumieli się z łatwością. Zawarto umowę stwierdzającą, że Hunter po wyjściu z więzienia ułatwi ucieczkę Indianinowi, ten zaś w zamian zaprowadzi Teksaszczyka do pokładów na północy Klondike, o których on tylko wiedział.

Trzynastego maja upłynął termin uwięzienia Huntera i jego towarzyszy. Indianin pozostał więc sam, czekając chwili sposobnej do ucieczki. Ponieważ nie był zamknięty w osobnej celi, łatwo mógł wydostać się z ogólnej sypialni bez zwrócenia na siebie uwagi.

Następnej też nocy dotarł do muru i czekał tam na leżąc aż do świtu.

Jego cierpliwość wystawiona była jednak na ciężką próbę. Przez całą noc nie usłyszał najmniejszego szelestu.

Hunter i Malone bowiem nie mogli zabrać się natychmiast do dzieła, obawiając się zwrócenia uwagi policji, która mogła być zdziwiona, że nie opuszczają bezzwłocznie Circle City.

Po upływie jednak dwudziestu czterech godzin, zaopatrzwszy się w kilofy i motyki złożone w zajeździe, w którym się zatrzymali przed udaniem do więzienia, a w którym zamieszkali po jego opuszczeniu, skierowali się w stronę muru.

W miasteczku panowało już pewne ożywienie. Poszukiwacze złota, zachęceni wczesnym latem, przybywali z południowych okolic Jukonu. Była to okoliczność sprzyjająca Teksaszczykom, gdyż w tłumie mniejszą na siebie zwracali uwagę.

Następnej nocy, o godzinie dziesiątej, Krarak znów zajął miejsce przy murze.

Mrok był zupełny, silny wiatr dął z północy.

O jedenastej Indianin, przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał pewne szmery.

Nie mylił się. Hunter i Malone pracowali nad jego oswobodzeniem. Motyką kopali rów pod murem w ten sposób, aby nie naruszyć kamieni.

Ze swej strony Krarak zaczął odgarniać ziemię palcami.

Na szczęście nikt mu nie przerwał roboty. Wiatr i zimno zatrzymały strażników wewnątrz budynku, nie zauważono więc nieobecności Indianina.

O północy otwór był wreszcie gotów.

— Chodź — szepnął Hunter.

— Nie ma nikogo na zewnątrz? — spytał Krarak.

— Nikogo.

Po upływie kilku chwil Indianin był wolny.

Na północ od rzeki Yukon, na której lewym brzegu mieściło się Circle City, ciągnęła się rozległa równina pokryta jeszcze resztkami śniegu. Na rzece lód popękał i płynęła po niej kra. Barka nie mogłaby jeszcze płynąć po wodzie, zakładając, że Hunter mógłby ją zdobyć bez zwrócenia uwagi policji.

Indianin jednak potrafił sobie poradzić. Skacząc z kry na krę będzie mógł dostać się na prawy brzeg, a zanim spostrzegą jego nieobecność, będzie już daleko.

Należało się jednak śpieszyć, aby przed wschodem słońca mógł być bezpieczny.

Nie było chwili do stracenia.

— Wszystko omówione?

— Wszystko.

— Gdzie się spotkamy?

— Jak było powiedziane: o dziesięć mil od Fort Yukon, na lewym brzegu Porcupine River.

Istotnie, taka była umowa. Za dwa lub trzy dni Hunter i jego towarzysze mieli opuścić Circle City, kierując się ku Fort Yukon, położonemu w dół rzeki na północnym zachodzie. Stąd mieli się udać w górę biegu Porcupine River, na północny wschód. Indianin zaśmiał, po przebyciu Wielkiej Rzeki, podążyć na północ, w prostej linii do jej dopływu.

W chwili rozstania Hunter powtórzył:

— Wszystko omówione?

— Wszystko.

— I zaprowadzisz nas? — spytał Malone.

— Wprost do złoża.

Jednak Hunter nie dowierzał mu jeszcze w pełni.

— Idź więc — rzekł. — A jeżeli oszukałeś nas, nie sądź, że się nam wymkniesz. Trzydziestu ludzi szukać cię będzie i znajdzie...

— Nie oszukałem was — odparł Krarak spokojnie. A wyciągając rękę na północ dodał:

— Majątek, olbrzymi majątek czeka tam nas wszystkich.

Indianin zbliżył się do brzegu.

— Miejsce, do którego was zaprowadzę — rzekł uroczystym tonem — nie jest zwykłym złożem złota. To zbiornik złota, a raczej góra złota. Bez trudności napelnicie nim wozy. Gdyby było was stu, gdyby było was tysiąc — nawet wtedy możecie mi zostawić moją część bez uszczerbku dla swojej.

I jednym skokiem znalazł się na krze, która uniosła go z biegiem rzeki. Hunter i Malone zobaczyli, jak skoczył na drugą, oddalając się prędko od brzegu. Po upływie kilku minut zniknął w ciemnościach.

Teksasńczycy wrócili do zajazdu i nazajutrz zaczęli przygotowywać się do odjazdu.

Oczywiście o wschodzie słońca spostrzeżono ucieczkę Indianina, lecz śledztwo nie dało żadnego wyniku, współnictwo więc Huntera pozostało tajemnicą.

W trzy dni później Hunter i jego towarzysze, łącznie trzydziestu ludzi, wyruszyli wraz ze szczupłym zapasem narzędzi galarem w dół rzeki do Fort Yukon.

22 maja zrobili w tym miasteczku zakupy prowiantu i przenieśli się na sanki zaprzężone w silne psy. Karawana wyruszyła na północny wschód wzdłuż lewego brzegu Porcupine River. O ile Indianin dotrzyma słowa, spotkają się z nim wieczorem.

— Oby tylko był! — rzekł Malone.

— Będzie — odpowiedział Hunter. — Jeżeli skłamał, strach go przygoni, jeżeli powiedział prawdę — interes.

Istotnie, Indianin czekał na nich i pod jego przewodnictwem banda posuwała się dalej wzdłuż lewego brzegu Porcupine River ku lodowatym pustyniom dalekiej północy.

V

Lekcja boksu

W księdze przeznaczenia było widać zapisane, że Summy Skim po odbyciu podróży z Benem Raddle'm do Klondike, towarzyszyć mu będzie również do najbardziej oddalonych okolic Ameryki Północnej. Opierał się temu dzielnie. Wyczerpał całą moc swych argumentów. A ostatecznie wystarczyło kilka słów kobiecych, aby w przeciągu dziesięciu sekund runęło jego niezłomne postanowienie.

Czy jednak on sam nie pragnął tej porażki? Czy miałby odwagę wracać do Montrealu bez kuzyna lub też cierpliwość, by oczekiwać jego powrotu w Dawson? Ośmielamy się wątpić w to.

W każdym razie pytania te pozostaną na zawsze bez odpowiedzi, gdyż Summy Skim zdecydowanie wybierał się z kuzynem na zdobycie Golden Mount.

— Ustąpić za pierwszym razem — powtarzał sobie — to narazić się na dalsze ustępstwa. Mogę winić tylko samego siebie!... Ach! Green Valley! Green Valley, jakżeś daleko!

Czy trzeba dodawać, że bardziej dla przyzwoitości i nie zaprzeczania samemu sobie, Summy wylewał przed sobą te żale? Zapewne tęsknił do Green Valley. Ale coś, czego określić by nie mógł, napełniało radością jego duszę. Czuł się wesoły i szczęśliwy jak dziecko, a perspektywa bądź co bądź uciążliwej podróży nie sprawiała mu żadnej przykrości. Zapewne polowanie obudziło w nim upodobanie do przygód.

Dzięki wczesnemu nadejściu lata przewodnik powrócił do Dawson już w pierwszych dniach maja. Przejście przez Chilkoot i żegluga przez jeziora i rzekę Lewis mogły odbyć się wcześniej niż zwykle i w bardziej pomyślnych warunkach. Bill Stell, jak to było umówione osiem miesięcy temu, miał się stawić, aby przeprowadzić obu kuzynów do Skagway, skąd mieli wyruszyć parowcem do Vancouver.

Przewodnik nie zdziwił się zbytnio, gdy dowiedział się, że zamiary Bena Raddle'a uległy tak zasadniczej zmianie. Wiedział dobrze, że kto raz dostanie się do Klondike, ten niełatwo się z nim rozstaje. W każdym razie, jeżeli nawet inżynier nie przywiązał się do Klondike, tym niemniej nie myślał o powrocie do Montrealu.

— A więc? — spytał przewodnik.

— Tak będzie, zacny Billu.

Oto wszystko co odpowiedział Summy Skim.

Dowiedziawszy się jednak, że Bill weźmie udział w ich wyprawie, Summy Skim stał się wymowniejszy, nie ukrywając wcale radości, jaką sprawiła mu ta wiadomość.

Istotnie, był to dobry pomysł. Ben Raddle miał słuszość, wybierając Billa na przewodnika, ażeby

zaś zachęcić go do tego, wyjawiał mu prawdziwy cel wyprawy. Tajemnicy Leduna, której strzegł tak zazdrośnie, nie zawahał się powierzyć Billowi, gdyż ufał mu w zupełności.

Z początku przewodnik nie chciał wierzyć w istnienie Golden Mount. Słyszał już o tej legendzie, lecz nie dawał jej wiary. Dopiero gdy Ben Raddle opowiedział mu dzieje Leduna, gdy pokazał mu mapę, na której zaznaczony był złotodajny wulkan, przewodnik otrząsnął się ze swej nieufności i stopniowo doszedł do tego samego przekonania, co Ben Raddle.

— Posłuchaj, Bill — zakończył inżynier — są tam bogactwa niezmierne; nie można w to wątpić. Jeżeli zdołałem cię przekonać, dlaczego i ty nie miałbyś z nich skorzystać?

— Pan chce, abym towarzyszył panom do Golden Mount?

— Więcej nawet. Chcę byś był naszym przewodnikiem. Byłeś już przecież w tych stronach. O ile wyprawa się nie uda, zapłacę hojnie za twoje usługi; jeżeli zaś będzie przeciwnie, dlaczego nie miałbyś i ty sięgnąć do tej wulkanicznej kasy?

Pomimo wyznawanej filozofii życiowej dzielny przewodnik zawahał się. Podobna okazja nie zdarzyła mu się nigdy.

Przerażała go tylko długość podróży. Najdogodniejsza droga, biegnąca po linii łamanej przez Fort Mac Pherson, który niegdyś poznał, liczyła sześćset kilometrów.

— Prawie tyle co ze Skagway do Dawson — zauważył inżynier — a przecież nie obawiasz się jej wcale.

— Zapewne, panie Raddle i dodam jeszcze, że droga między Dawson a Fort Mac Pherson nie jest uciążliwa. Ale dalej, do ujścia rzeki Mackenzie, może być inaczej.

— Dlaczego zakładasz najgorsze? — odparł Ben Raddle. — Bądź co bądź sześćset kilometrów można przebyć w ciągu miesiąca.

Było to możliwe, jednak pod warunkiem, że nie zdarzy się nieszczęśliwy wypadek, o jaki nietrudno w tych odległych krainach.

Bill Stell wahał się jeszcze, lecz niedługo.

Do nalegań Bena Raddle'a dołączyły się prośby Neluta, uszczęśliwionego z powrotu swego dowódcy, Summy Skima, który namawiał go wymownie, wreszcie Jane Edgerton przekonującej go całą mocą swej wymowy. Wszyscy mieli rację: jeśli wyprawa miała dojść do skutku, pomoc przewodnika stawała się bardzo cenną i zwiększała szansę powodzenia.

Neluto zaś, choć nie był świadom celu podróży, miał chęć ją odbyć. Jakże pięknym polem do popisu dla myśliwego była ta nieznaną krainą!

— Pytanie tylko, kto będzie miał to pole do popisu... — zauważył Summy Skim.

— Ależ... my — odpowiedział Neluto nieco zdziwiony tą uwagą.

— O ile nie staniemy się zwierzyną dla innych! — odparł Summy, chcąc dowieść tym Indianinowi, że niefortunnie wybrał porę dla wyjątkowej jak na siebie stanowczości.

Istotnie, w tych północnych krainach, w czasie lata koczują bandy Indian, ze strony których spodziewać się nie można niczego dobrego i przeciw którym nieraz musieli się bronić agenci Kompanii Hudsonskiej.

Przygotowania do podróży odbyły się szybko. Przewodnik, zawsze gotów do wyjazdu na północ czy południe, dostarczył wszystkiego: wozy, łodzie przenośne, namioty i muły, którym pożywienia nie braknie na zielonych równinach, a więc tym samym są wygodniejsze do podróży niż psy. Co do żywności, nie mówiąc o produktach zdobytych polowaniem i rybołówstwem, tę łatwo było dostać w Dawson, gdyż dowiozły ją do tego miasta towarzystwa zajmujące się dostawą wszelkich zapasów do kopalni w Klondike. Broni też było niemało, a gdyby przyszło użyć karabinów, miałby kto je używać.

Grupa, prowadzona przez przewodnika, składała się z obu kuzynów, Jane Edgerton, Neluta ze swoim wozem i koniem, Patricka Richardsona, dziewięciu Kanadyjczyków — byłych robotników z działki 129 oraz sześciu ludzi pozostających w służbie u Billa Stella, czyli ogółem ze dwudziestu przeszło osób. Niewielka liczba pracowników była zupełnie wystarczająca do eksploatacji Golden Mount, gdyż jedyną czynnością miało być, zdaniem Leduna, zbieranie bryłek złota znajdujących się w kraterze wygasłego wulkanu.

Dołożono tyle starań do szybkiego przygotowania tej wyprawy, że wyjazd nastąpił już 6 maja.

Nie można się dziwić, że Ben Raddle przed opuszczeniem Dawson chciał dowiedzieć się ostatecznie, co się stało z działką 129. Z jego polecenia nadzorca i Neluto udali się na miejsce, lecz nie znaleźli nic nowego. Działka 129, jak również działka 131 i wiele innych po obu stronach granicy, były całkowicie zatopione. Rzeka, powiększona trzęsieniem ziemi, płynęła nowym korytem. O tym, aby można ją było sprowadzić do dawnego łożyska, mowy być nie mogło, a w każdym razie byłoby to przedsięwzięcie tak kosztowne, że nikt by się go nie podjął. Lorique zatem powrócił pewny, że działka jest stracona na zawsze.

5 maja podróżni gotowi byli do odjazdu. Po południu Summy Skim i Ben Raddle udali się do szpitala, aby pożegnać się z Edith i doktorem.

Przy wejściu spotkali obie kuzynki, które razem chciały spędzić ostatni dzień przed wyjazdem Jane. Edith była jak zawsze spokojna i pogodna. Co zaś myślała o tej podróży, tego nikt nie mógł powiedzieć.

Zagadnięta o to przez Bena Raddle'a odpowiedziała:

— Nie myślę wcale o niej. Każdy urządza sobie życie według swego upodobania. Najważniejsze, aby to, co ma być dokonane, spełnione zostało dobrze.

Rozmowa trwała przeszło dwie godziny. Zaznaczyć należy, że prawie wyłącznie Summy i Jane

brali w niej udział. W miarę jak chwila rozstania zbliżała się, Ben i Edith zachowywali coraz bardziej uporczywe milczenie, jak gdyby jakaś ciężka troska mąciła im myśli.

Wreszcie Summy wstał i zaczął żegnać się wesoło.

— Tylko bez zgryzoty! — zakończył głosem donośnym. — Bądźmy dobrej myśli. Przed zimą będziemy z powrotem, uginając się pod ciężarem złota!

— Niech Bóg cię wysłucha — wyszeptał Ben Raddle przeciągle, podając Edith rękę, którą dziewczyna uścisnęła w milczeniu.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi i obaj kuzyni podążyli do doktora, Summy zagadnął Bena z ożywieniem:

— Co się stało? Masz minę grobową, a miss Edith wtóruje ci w zupełności. Bardzo to zachęcające! Czy podróż straciła dla ciebie swój urok?

Ben Raddle z widocznym wysiłkiem chciał dojść do równowagi.

— Żartujesz, Summy — odparł krótko.

Jeśli zaś chodzi o doktora Pilcoxa, to ten jasno sformułował swój sąd o ich wyjeździe:

— Będziecie mieli piękną podróż — rzekł — kraina bowiem, do której jedziecie, musi być piękniejsza jeszcze niż Klondike, choć i tu nie brak ładnych miejscowości! Zresztą, gdyby droga wasza prowadziła na południe, powrócilibyście do Montrealu, a wtedy nie zobaczylibyśmy was więcej. A tak musicie powrócić do Dawson, gdzie radzi będziemy was witać.

Reszta dnia upłynęła Benowi na naradzaniu się z nadzorcą. O tym, co Ben Raddle mówił, Summy na szczęście nie wiedział, byłby bowiem poważnie zatrwożony stanem duszy kuzyna.

Inżyniera od czasu znajomości z nadzorcą stanowczo opanowała gorączka złota. Lorique, którego całe życie upłynęło na poszukiwaniu złota, przekazał stopniowo Benowi swą żądzę wzbogacenia się. Namiętność ta jak zarazek trujący powoli organizm oddziaływała na Bena z taką mocą, że w końcu wyłącznym celem inżyniera stało się zdobycie złotodajnego piasku. Powrót do Montrealu rozplynął się jak we mgle. Cel życia widział teraz w Klondike, który mocą swej złotodajnej ziemi obudził drzemiącą w nim namiętność gracza.

Ben Raddle postanowił, że Lorique nie weźmie udziału w wyprawie, lecz pozostając w Dawson, będzie śledził bieg wypadków. O ile zdarzyłoby się coś pomyślnego, miał wykorzystać okazję na miejscu.

Nazajutrz, o godzinie piątej z rana, karawana wyruszyła z Dawson, wzdłuż prawego brzegu rzeki Klondike na północny wschód.

Pogoda sprzyjała podróżnym: niebo było czyste, podmuchy wiatru słabe, termometr wskazywał pięć do sześciu stopni ciepła. Śnieg znikł prawie zupełnie, pozostawiając na zieleniejącej ziemi tylko

gdzieniegdzie płaty olśniewającej białości.

O drogę od Dawson do Mac Pherson byli spokojni. Przewodnik znał ją dobrze, mogli polegać na nim w zupełności.

Okolica zresztą było dość równa. Przecinało ją tylko kilka rzeczek, początkowo dopływów Jukonu i Klondike, a następnie, poza kołem podbiegunowym, dopływów Peel River płynącej wzdłuż Gór Skalistych do rzeki Mackenzie.

Tak więc pierwsza część podróży z Dawson do Mac Pherson nie przedstawiała żadnych trudności. Po zniknięciu śniegu poziom rzek był niski, przeprawa przez nie będzie więc łatwa. Od Peel River zaś droga ułoży się zależnie od okoliczności.

Podróźni nasi, z wyjątkiem może Summy Skima i Patricka Richardsona, pobudzeni łatwo zrozumiała autosugestią, jechali przeświadczeni o swym powodzeniu. Zresztą Summy Skim nie zastanawiał się właściwie ani chwili nad celem podróży. Jego wrogie usposobienie minęło bezpowrotnie. W ciągu całej drogi był wesół, choć nie zdawał sobie właściwie sprawy dlaczego i rozweselał wszystkich swym dobrym humorem...

Patrick zaś nie miał żadnego zdania w tym względzie, jeśli w ogóle mógł się zdobyć na jakikolwiek pogląd. W przeddzień wyjazdu Jane powiedziała mu:

— Patricku, jutro jedziemy.

— Dobrze, panie Janie — odpowiedział wierny olbrzym, który jakby nie zauważył zmiany płci swego młodego pana.

Inni, a raczej ci, którzy poznali tajemnicę Leduna, a więc Ben Raddle, Jane Edgerton i Bill Stell, wierzyli święcie w istnienie Golden Mount i znajdujących się tam skarbów. Reszta zaś karawany, wiedząc tylko, że celem wyprawy jest poszukiwanie złota, jechała z przeświadczeniem, że i ona coś na tym skorzysta. Co więcej, Ben Raddle wzbudzał tym większe zaufanie. Opowiadano sobie po cichu, że przewodnik dał mu cenną wskazówkę, i że wiedzie ich niechybnie do źródła nadzwyczajnych bogactw, które inżynier mocą swej władzy potrafi wykorzystać natychmiast.

W tak pogodnym nastroju opuszczano Dawson. Wóz, na którym siedzieli obaj kuzyni i Jane Edgerton, posuwał się z początku dość szybko, wkrótce musiał jednak zwolnić biegu, gdyż reszta karawany nie mogła za nim nadążyć. Nie potrzebowali natomiast odbywać częstych postojów, droga bowiem przez gładką równinę nie była męcząca. Od czasu do czasu, jadący na wozie mężczyźni, chcąc ulżyć zwierzętom, szli pieszo. Wtedy Ben Raddle i przewodnik rozmawiali o tym, co zajmowało wyłącznie ich umysły. Summy Skim zaś i Neluto polowali na prawo i lewo, przynosząc niemało zwierzyny, w którą obfitowała okolica. Po czym, nie czekając nocy, dość późnej pod tą szerokością o tej porze roku, rozkładali się obozem do rana.

16 maja, w dziesięć dni po wyjeździe, karawana minęła koło podbiegunowe. Dotąd nic szczególnego nie zaszło. Nawet nie napotkali bandy, którą ustawicznie tropią agenci Kompanii Hudsonskiej wypierający Indian bardziej na zachód.

Pogoda sprzyjała, zdrowie podróżnym służyło. Ci silni ludzie, zahartowani w trudach, nie poddawali się zmęczeniu. Zwierzęta na zieleniejących równinach miały paszy pod dostatkiem. Obozowiska łatwo było urządzać nad brzegiem rzeki lub na skraju lasu, pełnego brzoź, osin i sosen, ciągnącego się w nieskończoność w kierunku północno-wschodnim.

Stopniowo okolica zmieniała wygląd. Od wschodu ukazał się łańcuch Gór Skalistych. W tej części bowiem Ameryki Północnej teren zaczyna być falisty, a wznosząc się coraz bardziej przechodzi w łańcuch gór, ciągnących się wzdłuż całego nowego lądu.

Po przebyciu kilku kilometrów za kołem podbiegunowym, podróżni musieli przejść w bród rzekę, płynącą w kierunku północno-zachodnim ku Porcupine River.

Z powodu całej sieci rzeczek i nierówności gruntu droga prowadząca na północ od tej rzeki stała się uciążliwa i gdyby nie nadzwyczajna uwaga powożącego Neluta, oś i koła wozu mogłyby nieraz ulec złamaniu.

Nikogo zresztą nie dziwiły te drobne przeszkody, nikt bowiem nie spodziewał się znaleźć w tych odludnych stronach dróg starannie wybrukowanych i oświetlonych gazem. Jeden Bill tylko, który znał dawniej tę drogę, okazał nieco zdziwienia.

— Lat temu dwadzieścia — rzekł — kiedy karawana przechodziła przez jeden z wąwozów, droga wydała mi się lepszą.

— Nie mogła jednak zmienić się od tego czasu — odezwał się Summy Skim.

— Ale ostatnia ciężka zima mogła ją uszkodzić — zauważył inżynier.

— To samo i ja przypuszczam — rzekł przewodnik. — Mróz był niezwykły, więc ziemia potrzaskała. Musimy też strzec się lawin.

Istotnie, kilka razy ogromne kawałki kwarcu i granitu, podmyte topniejącym śniegiem, stoczyły się łamiąc lub miażdżąc drzewa na swej drodze. Niewiele brakowało, aby jeden z wozów padł ich ofiarą.

W ciągu dwu dni droga była ciężka i przebyta odległość mniejsza niż zwykle. Ben Raddle przeklinał to spóźnienie, Summy zaś przyjmował je ze spokojem.

Nie złoto go bowiem ciągnęło. Ponieważ nie mógł wrócić do cywilizowanego kraju, wszystko mu było jedno, czy podróżuje, czy spędza czas w inny sposób. A zresztą, przyznać musiał w duchu, że jest zupełnie szczęśliwy.

— Zdziwiający jest ten Ben — mówił niekiedy do Jane Edgerton. — To człowiek szalony.

— Bynajmniej — odpowiedziała — tylko mu pilno, nic więcej.

— Pilno mu, dlaczego mu pilno? Psuje zawsze terażniejszość swą troską o jutro. Ja płynę z prądem i przyjmuję z pokorą kolej rzeczy.

— Pan Raddle ma wytknięty cel. Dąży prosto do Golden Mount, a droga, która tam prowadzi, jest dla niego środkiem zupełnie obojętnym.

— Golden Mount — o ile istnieje — będzie na swoim miejscu tak samo za dwa tygodnie jak i za tydzień. Przypuszczam zresztą, że w Fort Mac Pherson zatrzymamy się dłużej. Po tej ciągłej wędrówce, zdaje się, że zasłużyliśmy na wygodne łóżko.

— O ile będą zajazdy w Fort Mac Pherson. Zapytany o to przewodnik odpowiedział przecząco.

— Fort Mac Pherson jest tylko posterunkiem obronnym agentów Kompanii Hudsonskiej. Są tam jednak pokoje.

— Skoro są pokoje, muszą być i łóżka — odezwał się Summy Skim — nie gniewałbym się zaś wcale, gdybym mógł wyciągnąć wygodnie nogi przez dwie lub trzy noce.

— Wpierw trzeba tam dotrzeć — przerwał Ben Raddle — a dlatego nie zatrzymujemy się po drodze zbyt długo.

Karawana przyśpieszała, o ile to było możliwe w tych krętych wyboistych wąwozach, lecz mimo nawoływań Bena Raddle'a nie można było wydostać się prędzej niż za dzień z górzystej okolicy prowadzącej do Peel River.

Dopiero 21 maja po południu dotarli do rzeki i bezzwłocznie przedostali się przez ten ważny dopływ Mackenzie dzięki krze, która znajdowała się jeszcze na niej. Przed nocą cała karawana przeniosła się na prawy brzeg i rozłożyła obozem w cieniu wielkich sosen morskich. Zajęto się przygotowaniem kolacji, zawsze z niecierpliwością oczekiwaną.

Nie było jednak sądzone, aby dzień minął bez wypadku. Za ledwie zasiedli do posiłku, gdy jeden z Kanadyjczyków, który oddalił się niedawno w dół rzeki, przybiegł z powrotem, wołając przestraszony:

— Bacność!... Bacność!

Wstano w popłochu. Tylko Summy Skim jako myśliwy z zawodu nie zapomniał schwycić karabin. W jednej chwili był gotów do strzału.

— Indianie? — spytał.

— Nie — odrzekł Bill Stell — niedźwiedzie.

Rzeczywiście, śladem biegnącego Kanadyjczyka podążały trzy niedźwiedzie o potężnym wyglądzie, z rodzaju grizli, przebywające zwykle w wąwozach Gór Skalistych.

Niedźwiedzie, przynaglone prawdopodobnie głodem, sądząc z ich straszliwego ryku, przywędrowały tu po żer.

Zanim się zorientowano, trzy niedźwiedzie znalazły się w obozowisku tuż przy Jane Edgerton,

która nie miała już czasu uciec. Jednym skokiem Summy Skim znalazł się przed nią i podniósłszy karabin wystrzelił dwukrotnie.

Summy nie chybił nigdy, przynajmniej tak twierdził. Teraz dał tego dowody, Dwa niedźwiedzie padły, aby już nie powstać. Lecz został trzeci. Obojętny na porażkę swych towarzyszy, biegł z całą szybkością. Jeszcze chwila, a bezbronny Summy zostałby schwyty w kleszcze groźnych pazurów zwierzęcia. Chcąc sprzedać drogo swe życie, Summy chwycił za lufę karabinu i trzymając go jak maczugę, oczekiwał swego losu.

Nagle niedźwiedź zachwiał się. Uderzony w bok, musiał się zwrócić ku drugiemu wrogowi, którym był Patrick Richardson. Bez żadnej innej broni prócz swych żylastych pięści Irlandczyk przybiegł z odsieczą i według wszelkich prawideł boksu wymierzył w prawy bok niedźwiedzia tak potężny cios, że rozpęd zwierzęcia został powstrzymany.

Niedźwiedź cofnął się w stronę napastnika i ze straszliwym rykiem rzucił się ku niemu. Widzowie tej strasznej sceny wydali okrzyk trwogi. Tylko Patrick, skupiony — i czujny, nie okazywał najmniejszego zdenerwowania.

Widok był niezwykły: z jednej strony olbrzymie zwierzę, niesione niebywałą wściekłością, rzucające się na przeciwnika z wyprężonymi pazurami i połyskującymi zębami; z drugiej — wspaniały okaz fizycznej siły ludzkiej, równie olbrzymi, równie potężny jak jego przeciwnik. Wprawdzie nie był tak dobrze jak on uzbrojony, lecz z braku broni naturalnej dysponował rozumem, tym ognikiem inteligencji, która jest wyłącznym przywilejem rodzaju ludzkiego.

Zdawało się, że powtarza się karta zamierzchłych dziejów, kiedy to nasi przodkowie musieli tylko z pomocą siły swych mięśni zdobywać ziemie nieznane im i wrogie.

Również tym razem inteligencja zwyciężyła. W chwili, gdy niedźwiedź miał zdusić Patricka w swych kosmatych łapach, ramiona Irlandczyka rozwarły się szybko i jego pięść z gwałtownością pocisku, uderzyła niedźwiedzia w samą paszczę.

Cios był potężny. Niedźwiedź zachwiał się na swych tylnych łapach i przewrócił do tyłu. Patrick zaśmiał się z cicha i przygotowywał do drugiego ataku.

Niedługo czekał. Niedźwiedź zerwał się z zakrwawioną paszczą i pełen wściekłości rzucił się na oślep na przeciwnika.

Patrick nie stracił zimnej krwi. W odpowiedniej chwili, znakomicie wybranej, rzucił się z obu pięściami na przeciwnika. Lewa dosięgnęła oka, prawa zmiażdżyła paszczę z taką siłą, że słychać było trzask łamiących się zębów.

Znów niedźwiedź przewrócił się i znów Patrick czekał wspaniałomyślnie, aby przeciwnik podniósł się do walki. Godniej nie można było się zachować nawet w walce sportowej.

Niedźwiedź podnosił się zresztą z trudnością. Wreszcie powstał, lecz aby zawisnąć ociężale na swym zadzie, bez ruchu i jęku. Nieprzytomnie tarł zranione oko, podczas gdy mięsisty język lizał

zakrwawione wargi.

Zniecierpliwiony Patrick, z pięścią zaciśniętą postąpił krok naprzód; wtedy niedźwiedź cofnął się natychmiast. Irlandczyk powtórzył ten sam ruch, niedźwiedź szedł za jego przykładem. Przez trzy minuty dwaj przeciwnicy ścigali się z wolna ku zdumieniu widzów.

Patrick w najwyższym zniecierpliwieniu przerwał ten osobliwy taniec. Nie mogąc dosięgnąć cofającego się wroga, schylił się, porywając duży kamień, pragnąc tym wyzwaniem zachęcić przeciwnika do walki.

Jego wysiłek poszedł na marne. Gdy niedźwiedź zobaczył ruch Irlandczyka, poddał się. Lekcja była widocznie skuteczna. Opadł na cztery łapy i cofał się wolno i trwożliwie, ze ściśniętym zadem, rzucając jednym zdrowym okiem błagalne spojrzenie na swego zwycięzcę.

W kilka minut później zniknął wśród drzew lasu.

Homerycki śmiech połączony z burzą oklasków towarzyszył temu nieoczekiwanemu odwrotowi. Otoczono Patricka i wieszowano mu zwycięstwa.

— Dziękuję ci, Patricku — rzekł Summy Skim z zapalem, ściskając silnie dłoń swego zbawcy.

— Tak, dziękuję — powtarzała Jane, zwracając się do olbrzyma. — Dziękuję i brawo!

Patrick, zdawało się, nie widział Summy Skima. Dla niego na ziemi istniał tylko jego młody pan.

— Nie ma za co — rzekł skromnie do Jane. — To zwierzę, panie Janie, nie znało wcale boksu.

VI

Blisko celu

Fort Mac Pherson, położony mniej więcej na 135° długości geograficznej zachodniej i 67° szerokości północnej, był wtedy najbardziej na północ wysuniętą placówką Kompanii Hudsonskiej w Ameryce Północnej. Panował on nad całą okolicą pokrytą siecią odnóg rzecznych, tworzących ujście Mackenzie do Oceanu Lodowatego. Myśliwi mieli tam schronienie i obronę przed bandami Indian, błądzącymi po równinach północnej Kanady.

Fort ten, wzniesiony na prawym brzegu Peel River, kontaktował się najczęściej z Fort Good Hope, zbudowanym w górze rzeki Mackenzie. Zapas futer przenoszono z jednego fortu do drugiego, czekając na wysłanie ich do głównego składu Kompanii.

Fort Mac Pherson ma rozległy magazyn, nad którym zbudowany został pokój dla głównego agenta, pokoje dla innych agentów i wielka sala zaopatrzona w łóżka polowe na dwadzieścia osób. W dole są stajnie dla koni i mułów. Lasy sąsiednie dostarczają opału koniecznego do zabezpieczenia się przed silnymi mrozami podbiegunowej zimy.

Drewna wystarczy na wiele lat jeszcze. Pożywienia zaś dostarczają dostawy Kompanii, nie mówiąc już o zdobyczach rybaków i myśliwych.

Fort Mac Pherson zarządzany jest przez głównego agenta, mającego do dyspozycji dwudziestu ludzi rodem z Kanady i Kolumbii Brytyjskiej, prawdziwych żołnierzy poddanych surowej dyscyplinie. Ciężkie było życie tych ludzi narażonych na ostry północny klimat i na niebezpieczeństwa, które groziły im ze strony band włóczących się ustawicznie w tych odludnych stronach. Toteż broń mieli zawsze w pogotowiu, a Kompania baczyła pilnie, aby zapas amunicji nie wyczerpał się nigdy.

W chwili, gdy Ben Raddle i jego towarzysze stanęli w Fort Mac Pherson, załoga przeżywała jeszcze utarczkę z nieznanymi napastnikami.

Kilka dni temu, rankiem 25 maja, wartownik dał znać o zbliżaniu się grupy złożonej z trzydziestu do czterdziestu ludzi, w tym kilku Indian, idącej wzdłuż prawego brzegu Peel River.

Na tę wiadomość, jak to było w zwyczaju, brama Fort Mac Pherson została dokładnie zamknięta. Do wnętrza nie można się było dostać inaczej jak przez mur.

Kiedy grupa napastników stanęła przed bramą, wysunął się jeden z nich, o ile można było sądzić jej przywódca i zażądał, aby otworzono im wrota. Główny agent wszedł na wierzchołek muru i pilnie przyjrzał się przybyszom. Wydali mu się widocznie podejrzani, gdyż odmówił im wejścia.

Dalsze wypadki wykazały, jak roztropną była ta decyzja. Rozległy się przekleństwa i groźby. Z akcentu agent poznał, że w skład bandy oprócz Indian wchodziłi również Amerykanie z Ameryki

Południowej, zawsze skłonni do gwałtu.

Napastnicy nie poprzestali na słowach. Od słów przeszli do czynów. Nie wiadomo, czy chcieli zaopatrzyć się na dalszą drogą, czy też zawładnąć fortem, dość że usiłowali wysadzić bramę. Na próżno. Napastnicy zostali odparci, przy czym kilku z nich odniosło rany od strzałów broniącej się załogi. Odeszli wreszcie w kierunku północno-zachodnim, oddając wpierw w kierunku fortu kilku wystrzałów, które na szczęście chybiły.

Od tego czasu, bojąc się powrotu niebezpiecznej szajki, załoga Fort Mac Pherson trzymała się ciągle na baczności. I nie na darmo. W pięć dni później, 30 maja, dano znać o zbliżaniu się nowej bandy, która również szła w stronę fortu od prawego brzegu rzeki.

Niemalą niespodzianką dla przewodnika i jego karawany — gdyż oni to właśnie nadjeżdżali — był widok muru fortu, na którym stało dwudziestu uzbrojonych ludzi, żądających, aby się natychmiast oddalili.

Porozumienie okazało się konieczne.

Wreszcie główny agent, który w przybyłych poznał Kanadyjczyków, a Billa przypomniał sobie jako dawnego znajomego z czasów, gdy obaj służyli w policji kanadyjskiej, kazał otworzyć wrota, przez które wjechała cała karawana, witana już uprzejmie.

Dowódca fortu uważał za wskazane wytłumaczyć się ze swego postępowania. Opowiedział, jak banda Amerykanów i Indian zachowała się wrogo względem załogi, jak chciała wtargnąć przemocą i dlaczego musieli użyć broni. Czego właściwie chcieli ci włóczędzy, nie wiadomo. W każdym razie nieufność załogi została całkowicie usprawiedliwiona późniejszą utarczką.

— A co się stało z tą bandą? — spytał przewodnik.

— Po swym niepowodzeniu odeszła.

— W którą stronę?

— Na północny zachód.

— Ponieważ idziemy na północ, nie spotkamy jej prawdopodobnie — zauważył Ben Raddle.

— Życzę tego panom gorąco — odezwał się główny agent — wydała mi się bowiem zbiorowiskiem ludzi najgorszego autoramentu.

— W jakim celu mogli wędrować? — pytał Summy Skim.

— Zapewne chcieli odkryć nowe złoża złota, mieli bowiem ze sobą potrzebne do tego narzędzia.

— Czy słyszał pan o złożach złota w tych okolicach Kanady? — spytał Ben Raddle.

— Z pewnością istnieją — odpowiedział dowódca — należy je tylko znaleźć.

Nie wiedział nic więcej. Nie uczynił najmniejszej nawet wzmianki o Golden Mount, choć góra ta nie mogła być zbyt oddalona od Fort Mac Pherson.

Benowi było to na rękę. Wolał, aby tajemnica Leduna nie była znana nikomu. Przeciwnie, nieświadomość ta niemile podziałała na Summy Skima, który nie przestał powątpiewać w istnienie wulkanu. Aby się upewnić, spytał głównego agenta, czy na północy znajdują się wulkany. Urzędnik oświadczył, że nigdy o tym nie słyszał, co zwiększyło jeszcze niepokój Skima.

Przewodnik zadowolił się powiedzeniem swemu dawnemu koledze, że karawana udaje się właśnie na poszukiwanie złotodajnej ziemi przy ujściu Mackenzie. Dodał, że po miesięcznej podróży chcieliby odpocząć dwa lub trzy dni w Fort Mac Pherson, o ile tu nie odmówią im gościnności.

Prośba przewodnika nie napotkała żadnych trudności. W tej zresztą chwili tylko część załogi znajdowała się na miejscu. Myśliwi powrócić mieli dopiero za miesiąc. Nie brak było miejsca i karawana mogła rozgościć się swobodnie.

Ben Raddle podziękował gorąco głównemu agentowi za uprzejme przyjęcie i w godzinę później zmęczeni podróżni zażywali pożądanego wypoczynku.

Trzy dni upłynęły spokojnie, żaden wypadek nie zamącił pobytu karawany w Fort Mac Pherson. Gdy nadeszła pora odjazdu, podróżni, zupełnie wypoczęci, gotowi byli do wyruszenia w dalszą drogę.

2 czerwca z rana, po należytym podziękowaniu dowódcy i jego ludziom za gościnę, karawana opuściła Fort Mac Pherson, udając się w drogę wzdłuż prawego brzegu Peel River.

Ben Raddle, Summy Skim i Jane Edgerton zajęli miejsca na wozie powożonym przez Neluta. Inne wozy szły pod kierunkiem Billa Stella, który musiał się zrzec swej roli przewodnika wyprawy, nie znał bowiem wcale drogi za Fort Mac Pherson.

Inżynier objął więc kierownictwo wyprawy. Według mapy nakreślonej przez Leduna, do Golden Mount prowadziła droga zbaczająca nieco na lewo od Peel River.

W południe zatrzymano się przy rzeczce, na skraju świerkowego lasu. Zwierzęta pasły się na sąsiedniej polance. Lekki podmuch wiatru północno — wschodniego odświeżył powietrze, na niebie pokazały się chmurki.

Okolice była równa, tylko od strony wschodniej zarysowywały się pierwsze wzniesienia Gór Skalistych. Odległość dzieląca podróżnych od Golden Mount nie przewyższała dwustu kilometrów, w tych warunkach przebyć ją było można w ciągu pięciu do sześciu dni, o ile nie zajdzie coś nadzwyczajnego.

W rozmowie z Summy Skimem przewodnik powiedział:

— W każdym razie jesteśmy u kresu podróży. Niedługo będziemy myśleli o powrocie.

— Kochany Billu — odrzekł Summy — każda podróż kończy się dopiero z chwilą powrotu do

domu, a co się tyczy tej podróży, to uwierzę, że nadszedł jej koniec, dopiero wtedy, gdy drzwi naszego domu przy ulicy Jacques — Cartier zamkną się po moim doń wejściu.

Bill Stell zamilkł, Ben Raddle zaś spojrział wymownie na Jane Edgerton. Stanowczo niepoprawny był ten Summy!

Zanim karawana dotarła do miejsca, gdzie Peel River wpada do Mackenzie, upłynęły trzy dni. Przybyła tam dopiero 5 czerwca po południu.

Podróż minęła spokojnie. O postoje nie było trudno na równym brzegu rzeki. Kraj był bezludny. Od czasu do czasu tylko przeciągały grupki Indian, zajmujących się rybołówstwem w delcie Mackenzie. Bandy, która napadła Fort Mac Pherson, nie spotkano nigdzie, zadowolenie było więc całkowite.

— Chciałbym żebyśmy mogli dojść do Golden Mount sami i powrócić stamtąd również sami — nic więcej — powtarzał kilkakrotnie Bill Stell.

Karawana miała się na baczności. Trzech ludzi przebywało ustawicznie na zwiadach, reszta zaś na przemian pilnowała podczas postoju obozowiska, aby nikt nie mógł ich zaskoczyć.

Ostrożność ta okazała się zbyt duża, karawana bowiem bez żadnego wypadku dotarła do ujścia Mackenzie.

Ujście to jest siecią wodną, jakiej nie ma nigdzie indziej.

Sto pięćdziesiąt kilometrów od oceanu Mackenzie dzieli się, tworząc wielki wachlarz, na wiele odnóg złączonych licznymi kanałami, pokrytymi lodem tylko podczas zimy.

Patrząc na to pogmatwane rozgałęzienie Mackenzie można nawet przypuszczać, że zachodnią odnogę tworzy sama Peel River złączona z główną odnogą wschodnią przez sieć wodną znajdującą się między nimi.

Tak lub inaczej, karawana musiała przejść na brzeg lewy, ponieważ Golden Mount, jak to wskazywały współrzędne geograficzne wulkanu, znajdował się w pobliżu tego brzegu na wybrzeżu Oceanu Lodowatego.

Na szczęście poziom wód nie był wysoki, więc przewodnikowi udało się znaleźć odpowiedni bród, przez który przeszli z pewną trudnością tego samego dnia.

Samo przejście zajęło całe popołudnie, ale wieczorem wszyscy byli już na przeciwległym brzegu rzeki.

Nazajutrz, 6 czerwca, o godzinie trzeciej z rana Bill Stell dał hasło do odjazdu. Sądził, że trzy dni wystarczą, aby dotrzeć do wybrzeża. Karawana ujrzałaby więc wkrótce Golden Mount, o ile mapa była dokładna. Gdyby nawet długość i szerokość wskazane przez Leduna okazały się niezupełnie ściśle, górę zawsze będą w stanie spostrzec, gdyż musi panować nad okolicą.

Droga wzdłuż zachodniej odnogi Wielkiej Rzeki odbyła się bez większych przeszkód. Pogoda była

jednak mniej sprzyjająca. Chmury nadciągające z północy mknęły szybko, a gwałtowny deszcz spadł kilkakrotnie. Z tego powodu podróż opóźniła się nieco, postoje zaś były nieraz bardzo uciążliwe. Znoszono jednak z humorem te wszystkie niedogodności pocieszając się bliskością celu.

Sprzyjającą okolicznością było to, że nie musiano pokonywać całej sieci wodnej. W takim wypadku trzeba byłoby przeprowiać się przez pokaźną liczbę rzek, a nie wiadomo czy wszystkie posiadały bród. Kłopotu byłoby niemało.

8 czerwca wieczorem pozostało do wybrzeża siedem do ośmiu mil, nazajutrz zatem miano je osiągnąć.

Ben Raddle uważał, że nadeszła chwila stosowna do wyjawienia towarzyszom prawdziwego celu ich wyprawy. Opowiedział więc otaczającej go grupie poszukiwaczy zwierzenia, które w swoim czasie uczynił mu nieszczęśliwy Francuz.

Na jego słowa radość ogarnęła wszystkich. Spojrzenia zwracały się ku północy w nadziei ujżenia szczytu Golden Mount. Gdyby wulkan nie miał nawet pięciuset do sześciuset stóp wysokości, to i tak powinien być widoczny z tej odległości.

Słońce było jeszcze dość wysoko na niebie. Niestety, mgła zasłaniała horyzont. Niecierpliwi wędrowcy nie mogli więc ujrzeć upragniony szczyt.

Można sobie wyobrazić, do jakiego napięcia nerwów doszli teraz podróżni, a szczególnie Ben Raddle, żyjący od tak dawna wyłącznie tą myślą, która za kilka godzin miała stać się rzeczywistością lub też ułudą.

Jane Edgerton była niemniej podniecona. Oboje nie mogli sobie znaleźć miejsca. Gdyby nie przewodnik i Summy, wyruszyliby w dalszą drogę wśród ciemności.

— Ależ, do stokroć! Uspokój się Ben, niech się pani uspokoi, miss Jane — powtarzał Summy Skim. — Cierpliwości, do jutra. Jeżeli Golden Mount istnieje, znajdziecie go na miejscu. Nie ucieknie, do diabła! Nie ma potrzeby związać obóz w nocy, aby dostać się w pobliże wulkanu o kilka godzin wcześniej.

Bill Stell popierał rozsądne uwagi Summy Skima. Istotnie w nocy można było natknąć się na jakąś bandę czy to Indian, czy też awanturników wszelkiego rodzaju jak na przykład ta, która napadła na Fort Mac Pherson.

W takich okolicznościach minęła noc. Z początku dnia mgły się nie rozwiały. Golden Mount nie mógł być widoczny nawet z odległości dwóch kilometrów.

Ben Raddle z zaciśniętymi ustami i czołem zasepionym, ledwie mógł powstrzymać swój gniew. Summy Skim, pomimo wrodzonego spokoju, odczuwał złośliwą przyjemność na widok rozgniewanego Bena, który zaciągnął go tak daleko od Green Valley.

— Irytuj się, irytuj się, stary — mruzczał do siebie. — Jeżeli Golden Mount nie istnieje, nie ujrzysz go, to pewne.

Uwagę tę, zupełnie słuszną, świadczącą jednak o nieuleczalnym sceptycyzmie Summy Skima, usłyszała Jane Edgerton, stojąca niestety zbyt blisko niego. Spojrzała na swego towarzysza wzrokiem tak rozdrażnionym, że ten zaczerwienił się po uszy. Chcąc naprawić swój błąd dodał pospiesznie:

— Ale ponieważ istnieje, ujrzymy go, gdy się rozjaśni, to pewne.

I powtórzył głośno z przejęciem.

— To pewne!

Po czym, chcąc się przekonać, czy otrzymał przebaczenie, podniósł wzrok na młodą podróżniczkę, lecz stwierdzić musiał z upokorzeniem, że wcale nie zwracała na niego uwagi.

O czwartej rano zwinięto obóz. Dzień był już w pełni, słońce wznosiło się o kilka stopni nad horyzontem. Jego obecność dawała się odczuć, choć promienie nie mogły przeniknąć przez gęstą mgłę.

Wyprawa wyruszyła w drogę. O godzinie jedenastej wybrzeże nie musiało być chyba oddalone bardziej niż o trzy mile. Golden Mount jednakże był niewidoczny.

Summy Skim zaczął się obawiać, że kuzyn dostanie obłędu. Tyle trudów, tyle niebezpieczeństw przebytych miało się zakończyć rozczarowaniem?

Wreszcie, nieco przed południem, powietrze rozjaśniło się. Czerwona kula słońca zarysowała się niewyraźnie w nieco bardziej przejrzystej mgłę. Wtem zabrzmiał głos Neluta:

— Tam!... tam!... Dym! — zawołał.

Ale, jak gdyby żałując swego śmiałego stwierdzenia, dodał:

— Albo obłok.

Zaś po chwili zastanowienia dodał jeszcze:

— Albo ptak!

I znów wpadł w zadumę. Dym, obłok, ptak... Czy to już wszystko? Czy Indianin wyczerpał wszystkie możliwości? Nie, możliwe były jeszcze inne rzeczy.

— Albo nic zgoła! — mruknął ku swemu wielkiemu zadowoleniu, ale w każdym razie ku zadowoleniu swego sumienia.

Gdyby nawet mówił głośniej, nikt by go nie słyszał. Wszyscy bowiem, jakby skamieniali, skierowali spojrzenia na północny skraj horyzontu.

Ben Raddle również patrzył na północ, zdjęty nurtującym go niepokojem.

— Dym?... — szeptał. — Ależ nie? To niemożliwe... przecież według słów Leduna, Golden Mount jest wygasłym wulkanem!

A jednak Neluto niepotrzebnie się wahał. Jego pierwsze przypuszczenie było słuszne.

Mgła rozwiewała się coraz bardziej. Niebawem słońce zajaśniało na bladym błękitnie nieba, ukazując wśród powitalnych okrzyków poszukiwaczy, wyłaniającą się na horyzoncie cudowną górę, złotodajny wulkan z pióropuszem dymu powiewającym na szczycie...

VII

Niespodziewana przeszkoda

Pomimo uciążliwej drogi, Ben Raddle i jego towarzysze potrzebowali tylko dwu godzin, aby przebyć odległość dzielącą ich od Golden Mount. Szli w milczeniu, zatopieni w swych myślach biegnących ku celowi ich marzeń, przyspieszając kroku, o ile na to pozwalały nierówności terenu. Zdawało się, że ciągnie ich siła olbrzymiego magnesu tkwiącego we wznoszącej się przed nimi górze.

Około godziny trzeciej stanęli u podnóża wulkanu. U jego stóp na wschodzie płynęła rzeczka Rubber, a z północy Ocean Lodowaty podmywał swymi falami kamieniste podłoże góry.

Okolica była całkowicie bezludna. Ani poza górą, na zachód, ani od strony ujścia Mackenzie, nie widniała żadna wioska, ani też dostrzec nie było można Indian wędrujących wzdłuż wybrzeża. Na morzu nie było widać ani statku, ani żaglowca zajmującego się połowem wielorybów, ani dymu żadnego parowca.

A jednak była to pora, w której na morzach północnych zjawiają się poławiacze wielorybów lub myśliwi polujący na foki.

Czy należało stąd wnioskować, że nikt nie wyprzedził Bena Raddle'a i jego towarzyszy i że Jacques Ledun był jedynym, który osiągnął ujście Mackenzie; jedynym, który wiedział o istnieniu złotodajnego wulkanu?

Złóże złota, jeżeli istniało w ogóle, należało do Bena Raddle'a jako do odkrywcy. Nikt przed nim nie wziął w posiadanie Golden Mount, ponieważ nie było granicznego słupa, który wskazywałby na właściciela, nikt zatem nie będzie miał prawa upominać się o zajętą ziemię, ani władze kanadyjskie nie będą mogły żądać od niego żadnej zapłaty.

U podnóża wschodniego zbocza góry, oddzielonego od Rio Rubber lasem brzóz i osin, o niespełna pół mili od wybrzeża, przewodnik rozłożył obóz. Wody i drewna miano więc pod dostatkiem.

Poza górą, ku zachodowi i południu, ciągnęły się zieleniejące równiny, na których rosły kępy drzew i które zdaniem Summy Skima musiały obfitować w zwierzynę.

Obóz pod kierunkiem Billa Stella rozłożono szybko. Namioty postawiono na skraju lasu. Wozy stanęły na polance, a muły poszły się paść na sąsiednich łąkach. W odpowiednich miejscach rozstawiono posterunki strażnicze, aby dostęp do obozowiska był strzeżony dzień i noc, choć na razie nie groziło żadne niebezpieczeństwo, pomijając możliwość ukazania się niedźwiedzi, stale przebywających na terytorium Kanady.

Nikt zresztą nie wątpił, że eksploatacja Golden Mount nie potrwa długo, o ile tylko można się będzie dostać do krateru, wydobyć zeń złoto i naładować wozy. W takim wypadku nie trzeba będzie

tracić czasu ani na kopanie, ani rozbijanie kilofem lub przemywanie piasku. Złoto, według słów Leduna, powinno się w nim znajdować w formie proszku lub samorodnych bryłek, pracę bowiem przygotowawczą wykonali już dawno robotnicy Plutona.

Ben Raddle jednakże nie mógł orzec nic stanowczego, dopóki nie wejdzie na górę i nie zbada położenia krateru, do którego, jak mówił Jacques Ledun, dostęp był łatwy.

Bill Stell przy tej sposobności zrobił dość trafną uwagę:

— Panie Raddle, Francuz wyjawiając swą tajemnicę, wspomniał, zdaje mi się, o wygasłym wulkanie?

— Istotnie.

— Osiągnął, o ile wiem, jego szczyt.

— Tak, a nawet zwiedził krater. Ale od tego czasu siły wulkaniczne zaczęły działać.

— Nie ulega wątpliwości — odpowiedział przewodnik — skoro kłęby dymu unoszą się nad górą. Zadaję sobie pytanie, czy w tych okolicznościach dostęp do krateru będzie możliwy.

Bena Raddle'a zastanawiała również ta okoliczność. Nie mieli do czynienia z wulkanem wygasłym, lecz z wulkanem chwilowo nie działającym, który obecnie zaczyna działać.

— To możliwe — odpowiedział — lecz ten objaw może mieć również dobre strony. Dlaczego wybuch wulkanu nie miałby oszczędzić nam trudu, wyrzucając złoto, które się w nim kryje? Moglibyśmy je zbierać u podnóża góry. Jutro, po obejrzeniu krateru będziemy wiedzieli, czego mamy się trzymać.

Noc minęła spokojnie, tylko od czasu do czasu odzywał się pomruk niedźwiedzi, które jednak nie zbliżyły się do Golden Mount.

O piątej rano wszyscy byli na nogach.

Summy Skim, pomimo swej obojętności, przypatrywał się z pewnym zainteresowaniem sławnemu wulkanowi.

— Wiesz, o czym myślę, Ben? — spytał kuzyna.

— Nie, Summy — odparł Ben Raddle. — Lecz będę wiedział, gdy mi powiesz.

— Naturalnie. A więc myślę, że gdyby wujowi Josiasowi przypadło wódką zmieszaną z wodą w odpowiednim stosunku. Wzięto również motykę, kołki i liny, potrzebne do wspinania się w zbyt spadzistych miejscach.

Pogoda sprzyjała, zapowiadając piękny dzień. Parę obłoków pędzonych lekkim podmuchem północnego wiatru łagodziło działanie promieni słonecznych.

Neluto pozostał, aby wraz z resztą ludzi strzec obozowiska. Choć okolica była niezamieszкана, należało się mieć na baczności.

Ben Raddle, Summy Skim i przewodnik wyruszyli w drogę o godzinie ósmej, wraz z Jane Edgerton, która chciała im towarzyszyć. Wszyscy czworo ruszyli w kierunku południowego podnóża góry, aby dostać się do zachodniego zbocza.

Nie było wiadomo, kiedy nastąpił ostatni wybuch, ale po drodze nie natrafili na ślad wulkanicznych substancji, które według słów Leduna miały zawierać złoto w tak wielkiej ilości. Można było tylko wnioskować, że skały wyrzucone przez wulkan wpadły do morza i leżały na jego dnie.

— Co nas to obchodzi? — odezwał się Ben Raddle do Billa Stella, który zrobił tę uwagę. — Przekonaliśmy się niezbitcie, że od czasu, gdy Jacques Ledun odwiedzał te strony, wybuchu nie było. A to najważniejsze. Ponieważ zaś znalazł tu bryłki złota, my znajdziemy je również.

Było około dziewiątej, gdy czterej wędrowcy stanęli u stóp zachodniego zbocza.

Z przewodnikiem na czele zaczęli się natychmiast wspinać na górę. Z początku pochyłość była względnie łagodna, trawa zaś służyła doskonałym oparciem dla nóg. Liny były na razie niepotrzebne. Bill Stell umiał zresztą chodzić po górach.

Prowadził go instykt, a szedł tak sprawnie, że reszta towarzyszy nie mogła nadążyć.

— Oto co znaczy przejść dwadzieścia razy Chilkoot! — odezwał się nieco zasapany Summy Skim. — Taka wycieczka hartuje nogi, zmieniając je w nogi kozic i nadając im moc stali.

W każdym razie po odbyciu trzeciej części drogi, również kozica byłaby w kłopotcie. Skrzydła sępie lub orle okazałyby się przydatniejsze.

Zbocze stało się tak strome, że trzeba było pomagać sobie nogami i rękoma, czepiając się krzewów. Wkrótce zostały użyte kołki i liny. Bill Stell szedł przodem, wbijał kołek w trawę i rozwijał linę, za pomocą której inni wdrapywali się ku niemu. Należało się mieć na baczności, gdyż każde poślizgnięcie groziło upadkiem śmiertelnym.

Około godziny jedenastej wędrowcy dotarli do połowy drogi. Zatrzymano się, aby odpocząć i pokrzepić ożywczym płynem, po czym zaczęto wspinać się dalej.

Choć wydobywający się z wulkanu dym świadczył o wznowieniu jego działalności, zbocze nie ulegało wstrząsom, a nawet nie było słyhać żadnego odgłosu. Zapewne z tej strony grubość ścian góry była zbyt wielka. Należało więc przypuszczać, iż komin wulkanu toruje sobie drogę do krateru w północnej części góry, w pobliżu wybrzeża morskiego.

Wędrowcy nie przestawali wspinać się, chociaż szło im to coraz trudniej. Dlaczego jednak nie mieli dokonać tego, czego dokonał Jacques Ledun?

Zegarek Bena Raddle'a wskazywał trzynaście minut po dwunastej, gdy wędrowcy znaleźli się na

płaskowzgórzu, okalającym otwór krateru.

Każdy z nich, mniej lub bardziej zmęczony, zajął miejsce na skałach kwarcowych znajdujących się na płaskowzgórzu, którego obwód osiągał trzysta do czterystu stóp. Prawie na środku widniał otwór, z którego wydobywał się żółtawy dym.

Zanim skierowano się do krateru, Ben Raddle i jego towarzysze siedząc na skałach, przypatrywali się rozległej panoramie, rozciągającej się przed ich oczami.

Na południu ciągnęły się zielone równiny, w dali zaś widniały pagórki, poza którymi Fort Mac Pherson panował nad okolicą.

Na zachodzie wybrzeże Oceanu Lodowatego rysowało się jako piaszczyste płaszczyny, a w głębi lądu widać było ciemny gąszcz lasu odległego o około półtorej mili.

Na wschodzie, u podnóża Golden Mount, rozciągała się sieć wodna ujścia Mackenzie. Liczne odnogi tej rzeki wpadały do rozległej zatoki odgradzonej od oceanu archipelagiem jałowych wysepek i czerniawych skał. Dalej wybrzeże skręcało prosto ku północy, kończąc się wyniosłym przylądkiem, zamykającym horyzont z tej strony.

Na północy Golden Mount, poczynając od prostopadłego zbocza, którego podnóże znikало pod wodą, morze ciągnęło się nieskończenie, znikając w przestworzach horyzontu.

Powietrze, odświeżone podmuchem wiatru, było niezmiernie czyste. Morze połyskiwało w promieniach słonecznych.

Wybrzeże było puste. Nie było widać ani rybaków, ani innych ludzi, choć ujście Mackenzie obfituje w ryby różnego rodzaju.

Natomiast od strony morza przewodnik dostrzegł przez lunetę kilka żagli i dym widniejący na horyzoncie.

— To statki poławiaczy wielorybów — rzekł. — Płyną z cieśniny Beringa. Za trzy miesiące wrócą tą samą drogą. Jedni dążą do St. Michel w ujściu Jukonu, drudzy do Pietropawłowska na Kamczatce, na wybrzeżu Azji, po czym udają się do portów Oceanu Spokojnego, aby tam sprzedać swą zdobycz.

— Czy niektórzy z nich nie zatrzymają się w Vancouver? — spytał Skim.

— Z pewnością — odparł Bill Stell — ale czyniąc to błądzą i to bardzo, gdyż większa część załogi, przyciągnięta sławą Klondike, opuszcza swe stanowiska, aby udać się na poszukiwanie złota.

Bill mówił prawdę. Bliskość kopalni złota wpływa podniecająco na marynarzy, choć powracają zmęczeni trudnym połowem wielorybów. Toteż kapitanowie okrętów unikają, o ile to możliwe, portów Kolumbii Brytyjskiej, dążąc do portów azjatyckich.

Po półgodzinnym odpoczynku Ben Raddle i jego towarzysze rozpoczęli oglądanie płaskowzgórza Golden Mount. Krater znajdował się nie pośrodku, jak sądzili, lecz w części południowo —

wschodniej. Otwór krateru miał siedemdziesiąt pięć do osiemdziesięciu stóp obwodu. Trzymając się od strony wiatru, aby uniknąć gryzącego dymu, mogli przybliżyć się do brzegu krateru i zajrzeć do jego wnętrza.

Wszystko co dotąd widzieli, zgadzało się w zupełności ze słowami Leduna. Pochyłość zboczy krateru była dość łagodna i z łatwością byłoby można doń zejść, gdyby nie duszące gazy obficie wydobywające się z jego wnętrza. Ziemia usiana była drobinami złota, co jeszcze bardziej potwierdzało słowa Francuza. Ale sproszkowane złoto, które tam zastali, zmieszane z ziemią i resztkami lawy, przedstawiało minimalną wartość wobec skarbów, po które przyjechali z tak daleka.

— To oczywiste — rzekł Ben Raddle — że Jacques Ledun nie miał przed sobą przeszkody, utrudniającej nam dostęp. Wówczas wulkan był nieczynny, mógł więc zejść do jego wnętrza. Musimy poczekać, aż siły podziemne przestaną działać, a wtedy my również zejdziemy do krateru i będziemy czerpać, jak on wtedy, złoto pełnymi rękami.

— A jeżeli dym wydobywać się będzie ciągle — spytał Summy — i dostanie się do krateru będzie niepodobieństwem?...

— Będziemy czekali.

— Będziemy czekali... na co?

— Na to, aby wybuch dokonał tego, czego my zrobić nie możemy, czyli aby wyrzucił z wnętrza Golden Mount kruszec w nim zawarty.

Istotnie, innego wyjścia nie było. Miało ono jednak swoje złe strony, które podróżnicy musieli wziąć pod uwagę. Dla ludzi nie potrzebujących liczyć się z czasem, którym było wszystko jedno czy zimę spędzą przy ujściu Mackenzie czy też w Dawson, wyjście to byłoby wskazane. O ile jednak okoliczności się nie zmienią, czyli o ile w przeciągu dwu i pół miesiąca wulkan nie przestanie działać albo nie wyrzuci z siebie pożądanego złota, czy nie będą zmuszeni opuścić Golden Mount, dążąc na południe, gdzie ich zatrzyma rozpoczynająca się już zima?

Wszyscy czworo zadawali sobie to pytanie, ale każdy odpowiadał na nie na swój sposób.

Bill Stell uśmiechał się do siebie nieco drwiąco. Dostał dobrą nauczkę. On, który dotąd chronił się od gorączki złota, zaraził się na równi z innymi i oto czego się doczekał! Wyleczenie jednak nastąpiło prędko. Wróciwszy do swej dawnej filozofii, przyjmował niepowodzenie spokojnie, pocieszając się, że niczego innego nie można się spodziewać w zawodzie poszukiwacza złota.

Jane Edgerton stała nieruchomo, ze ściągniętymi brwiami, patrząc uporczywie na unoszące się kłęby dymu. Stwierdzała, że są wypadki, w których — energia i stanowczość nie wystarczają i gniewała się na te moce natury, przed którymi jej wola musi się ugiąć.

Summy Skim był najbardziej nieszczęśliwy. Znow przyjdzie zimę spędzić w Klondike! Na samą tę myśl drżał cały.

On to odpowiedział na propozycje Bena Raddle'a.

— Bardzo dobrze rozumiesz, lecz pod warunkiem, iż wybuch nastąpi.

W tym cały problem. Czy nie uważasz, że ten wulkan jest bardzo spokojny? Nie wyrzuca z siebie ani popiołu, ani nawet kamyczka. Nie słyhać najlżejszego odgłosu. Dym unosi się z niego, lecz dym dziwnie spokojny! Czy nie sądzisz, że to rzecz osobliwa!

Ben Raddle odpowiedział wymijająco:

— Zobaczymy.

Po dwugodzinnym pobycie na płaskowzgórzu, wędrowcy zaczęli schodzić do obozu. Zajęło im to godzinę. Przed trzecią po południu Ben Raddle i jego towarzysze, dość zmęczeni, lecz cali i zdrowi, byli z powrotem w obozowisku.

Gdy Summy został sam na sam z kuzynem, opanowany swą myślą, zwrócił się do niego z tymi słowami:

— Słuchaj, Ben, mówię poważnie. Co zrobimy, jeżeli wybuch się spóźni... jeżeli nastąpi dopiero zimą?

Ben Raddle za całą odpowiedź odwrócił głowę, Summy zaś nie miał odwagi nalegać więcej.

VIII

Interwencja Bena

W chwili gdy Ben Raddle powziął zamiar nowej wyprawy, nie wątpił, opierając się na dokładnych wskazówkach Leduna, że wystarczy tylko sięgnąć po leżące w kraterze złoto, naładować nim wozy i powrócić do Dawson. Zajęcie to nie miało zająć więcej niż osiem dni; cała podróż miała więc trwać najwyżej trzy miesiące. Toteż z czystym sumieniem przyrzekł Summy Skimowi, że będą z powrotem w połowie sierpnia, a zatem w samą porę, aby móc wyruszyć przed zimą do Skagway, a następnie do Vancouver, skąd pociągiem dostaną się do Montrealu.

— A jakiego to pociągu trzeba będzie — odpowiedział mu wtedy Summy żartobliwie — by przewieźć nas i miliony z Golden Mount!

Otóż, jeżeli miliony leżały w miejscu wskazanym, w kraterze, to wydobyć ich stamtąd nie było można.

Ta niespodziewana przeszkoda zmusiła podróżnych do pozostania dłużej, może nawet o kilka tygodni, nad brzegiem Morza Arktycznego. Przewodnik zajął się więc zapewnieniem żywności dla ludzi i zwierząt aż do dnia, w którym będzie trzeba wracać na południe. Byłoby bowiem szaleństwem spędzać zimę pod namiotami. Tak czy inaczej, należało przejść koło podbiegunowe najpóźniej w połowie sierpnia. Po upływie tego terminu droga będzie dla nich zamknięta wskutek nawalnic i zawiei śnieżnych, które nawiedzają te mroźne okolice.

Na ten pobyt, będący jednym ciągiem oczekiwania, należało uzbroić się w niezwykłą cierpliwość. W każdym razie działanie wulkanu wymagało bacznej uwagi i kilkakrotne jeszcze odwiedzenie krateru było rzeczą nieodzowną. Ani Ben Raddle, ani Bill Stell, ani tym bardziej Jane Edgerton nie oszczędzą sobie trudu śledzenia tego zjawiska.

Summy Skim zaś i Neluto nie omieszkają skracać sobie czasu polowaniem, czy to na równinach ciągnących się na południe i zachód od góry, czy też na bagnach delty rzeki Mackenzie. Zwierzyny było pod dostatkiem w tych stronach, więc zawołanym myśliwym nie braknie rozrywki. Przewodnik radził im jednak, aby się zbyt nie oddalali, gdyż o tej porze roku wybrzeże Oceanu Lodowatego nawiedzają plemiona Indian, których z ostrożności należało unikać.

Pozostali zaś będą mieli możliwość zabawiania się rybołówstwem. Ryb bowiem nie brak w labiryncie rzecznych ujścia Mackenzie, a dzięki temu nie braknie żywności dla wszystkich aż do nadejścia zimy.

Dni mijały bez zmiany sytuacji. Działalność wulkanu nie wzmagała się wcale. Jak przypuszczał Ben Raddle, wnosząc z miejsca, w którym znajdował się krater, dym wydostawał się z północno-wschodniej części góry, na co zresztą wskazywała pochyłość zachodniego zbocza, jedyne do dostępnego do wspinania się. Z obozowiska znajdującego się u podnóża Golden Mount od wschodniej strony, słyhać było wyraźnie głuchy pomruk podziemnej pracy. Inżynier wnioskował z

tego, że grubość tego zbocza nie jest znaczna, a Bill Stell podzielał jego zdanie.

Jane Edgerton, Ben Raddle i przewodnik odwiedzali prawie codziennie krater, a niestrudzony Summy wraz z wiernym Neluto polował zawzięcie. Pewnego dnia zapragnął jednak towarzyszyć przyjaciółom na górę. Nie w porę się wybrał, gdyż o mało nie przyplącił swej zachcianki życiem.

W pobliżu szczytu wszyscy czworo szli połączeni liną. Bill Stell był na czele, Ben Raddle na końcu, Summy zaś i Jane Edgerton między nimi; Summy wyprzedzał dziewczynę. Gdy przechodzili przez stożek miałkiego popiołu, nagromadzonego wskutek dawnych wybuchów na niższym poziomie wulkanu, lina pękła. Summy, który właśnie zrobił krok, stracił równowagę, upadł i zaczął się staczać po zboczu z szybkością nadaną mu przez prawo ciężenia. Na próżno starał się zatrzymać! Grunt usuwał się pod palcami.

Pozostali wydali okrzyk trwogi. Summy nie mógł dotrzeć żywy do podnóża góry i byłby za sobą pociągnął towarzyszy złączonych z nim tą liną, czyli Bena Raddle'a, a przed Benem Jane Edgerton.

Na szczęście dziewczyna nie straciła przytomności. Niezwykłym zbiegiem okoliczności Jane, w chwili gdy lina pękła, znalazła kępę karłowatych krzewów, o które oparła się silnie.

Gdy Summy, zmuszony do zastosowania się do prawa ciężenia, zsunął się koło niej, schwyciła go za ubranie i nadludzkim wysiłkiem zatrzymała w pędzie.

Summy stanął na równe nogi, oszołomiony może, lecz zdrow i cały.

— Nic złamanego? — spytał z dołu Ben Raddle.

— Nic — odpowiedział Summy. — Parę zadraśnięć, które obejdą się bez pomocy doktora Pilcoxa!

— A zatem w drogę! — zawołał uspokojony Ben Raddle.

Summy zaprotestował.

— Pozwól przynajmniej, abym podziękował miss Jane; ocaliła mi życie. Jane Edgerton przybrała złośliwą minę.

— Niepotrzebnie — rzekła. — Spłaciłam tylko dług. W każdym razie pozwoli pan, że zwrócę mu uwagę, choćby to nawet miało zmienić pana poglądy, że i kobiety przydadzą się na coś czasami.

Summy byłby niewdzięcznikiem, gdyby temu zaprzeczył, toteż przyznał rację z całym zapalem. Po chwili zaczęli schodzić dalej i wkrótce dotarli szczęśliwie do obozowiska.

I znów dni mijały bez zmiany działalności wulkanu. Najmniejszy nawet płomień nie ukazał się w czeluści krateru.

Nadszedł dzień 20 czerwca.

Łatwo sobie wyobrazić, w jakim podnieceniu żyli Ben Raddle i jego towarzysze. Bezsilność, bierność oczekiwania drażniły ich w najwyższym stopniu. Wszystko co było potrzebne na dłuższy pobyt zostało zrobione, nuda ogarnęła więc cały obóz.

Jednej tylko osobie nie brakowało zajęcia: Jane Edgerton.

Przygotowywała posiłki, miała więc dość pracy, chcąc zaspokoić apetyty dwudziestu jeden podróżników.

Pewnego razu zaniedbała jednak ten obowiązek. Było to wtedy, gdy na szczycie wulkanu zaskoczyła ją wraz z towarzyszami gęsta mgła, zamykając drogę powrotu. Musiano pozostać na szczycie kilka godzin ku wielkiemu żalowi Jane, martwiącej się o śniadanie dla swej gromadki.

Gdyby przewidziała co się dzieje w obozie, byłaby mniej strapiona. Znalazł się bowiem zastępca, a tym zastępcą był nie kto inny, lecz Summy. Z tego samego powodu, który zatrzymał wędrowców na szczycie góry, Summy Skim nie poszedł na polowanie. Chcąc więc zająć się czymkolwiek, wybrał wyjątkowo pracę kucharza. Okręcony fartuchem, płaczącym się mu między nogami, wywijał nożem i widelcem, przygotowując posiłek, który byłby wyśmienity, gdyby kucharz miał tyle talentu co zapału.

Jakie było zdziwienie Jane, gdy po opadnięciu mgły powróciła do obozu i zastała stół nakryty, a śniadanie gotowe. Nietrudno było odgadnąć, kto był tego sprawcą. Zresztą Summy nie ukrywał się bynajmniej. Przeciwnie, z pewną chętnością pokazywał się przepasany fartuchem, uzbrojony w narzędzia kuchenne, z twarzą zarumienioną od ognia.

— Do stołu! — zawołał wesoło, gdy tylko Jane i jego towarzysze mogli usłyszeć jego głos.

Kiedy wszyscy zasiedli do stołu, Summy zaczął usługiwać Jane. Z gracją wytrawnego lokaja podał jej półmisek, z którego zaczerpnęła obficie.

— Niech się pani nie obawia spróbować — zachęcał Summy. — Powie mi pani, jak smakuje.

Ale w chwili, gdy Jane miała się zabrać do jedzenia, Summy przerwał jej, mówiąc:

— Słówek przedtem, miss Jane. Pragnę zauważyć, choćby to nawet miało zmienić pani poglądy, że i mężczyźni przydadzą się na coś czasami!

Jane w milczeniu spróbowała podanej potrawy.

— Nie podzielam pańskiego zdania — rzekła zimno.

Pieczeń była rzeczywiście niesmaczna. Summy upokorzony, musiał to przyznać, gdy sam jej spróbował.

Dobre czy złe — śniadanie zostało spożyte. Zęby nie próżnowały, języki tym bardziej.

A o czym by mówili, jeśli nie o swym kłopotcie? Rozmawiano o Golden Mount, o bogactwach zawartych w jego wnętrzu i o przeszkodzie w ich wydostaniu. Podczas rozmowy jeden z obecnych

zapropował, jako rzecz całkiem prostą, aby górę wysadzić prochem.

— Cały nasz zapas prochu nie wystarczyłby nawet na wybicie dziury — odpowiedział Bill Stell — a zresztą, gdyby to było możliwe, co by to dało?

— Może lawinę złota — rzekł Kanadyjczyk.

— Nie — odparł wywiadowca — tylko dym. Przedostałby się przez nowy otwór zamiast przez czelusć krateru, i nie zyskalibyśmy nic na tym.

— Co zatem począć?

— Czekać.

— Czekać! — zawołał jeden z dawnych robotników działki 129. — Wkrótce stanie się to niemożliwe. Najdalej za dwa miesiące będziemy musieli wyjechać, jeżeli nie chcemy tu zimować.

— To pojedziemy — oświadczył Ben Raddle odzywając się nagle. — Wrócimy do Dawson i będziemy tu ponownie na początku lata.

— Co? — zawołał Summy, zrywając się z miejsca — spędzić jeszcze jedną zimę w Klondike!

— Tak — oświadczył krótko Ben Raddle. — Wolno ci wracać do Montrealu. Ja zostanę w Dawson. Wybuch nastąpi wcześniej czy później. Chcę być przy tym.

Jane Edgerton wmieszała się do rozmowy, która mogłaby przybrać niepomyślny obrót, pytając:

— Czy nie ma żadnego sposobu, aby wywołać wybuch?

— Żadnego — rzekł Ben Raddle — nie możemy...

I jak gdyby zabłysła, mu jakaś myśl, inżynier przerwał, patrząc uporczywie na Jane Edgerton. Na próżno nalegała. Potrząsając głową, milczał zapamiętale.

Przez następne dni pogoda uległa zmianie. Gwałtowne burze ciągnęły z południa. Zmniejszenie ciśnienia atmosferycznego, zdawało się potęgować działalność wulkanu. Wśród dymu pokazały się płomienie.

Po tych burzach nastąpiły ulewne deszcze, a po nich — częściowy wylew ujścia Mackenzie. Woda zalała przestrzeń dzielącą dwie główne odnogi.

Nie potrzebujemy dodawać, że Summy musiał zaniechać polowania i że z powodu bezczynności, czas mu się dłużył.

23 czerwca jednakże zaszła rzecz ważna.

Po południu Ben Raddle zaprosił Billa Stella, Summy Skima i Jane Edgerton do swego namiotu.

— Chciałbym z wami pomówić, drodzy przyjaciele — rzekł, gdy wszyscy zajęli miejsca — i proszę was, abyście zwrócili baczną uwagą na to, co wam proponuję.

Rysy jego twarzy wyrażały powagę. Zmarszczone czoło świadczyło o trosce, która nurtowała jego duszę. Summy Skim, szczerze mu oddany, zaniepokoił się wielce. Czyżby Ben Raddle chciał zaniechać swego zamiaru? Czy zdecydował się powrócić do Montrealu, o ile nic by się nie zmieniło przed końcem lata? Summy Skim byłby bardzo zadowolony z takiego rozwiązania.

— Drodzy przyjaciele — zaczął Ben Raddle — nie możemy wątpić, że istnieje Golden Mount i skarby w nim zawarte. Jacques Ledun nie mylił się; stwierdzić to mogliśmy naocznie. Pierwsze objawy mającego nastąpić wybuchu nie pozwalają nam, niestety, dostać się do wnętrza krateru. Gdyby to było możliwe, byłibyśmy już w tej chwili w drodze powrotnej do Klondike.

— Wybuch nastąpi — oświadczył Bill Stell.

— Ale wulkan musi wybuchnąć przed upływem sześciu tygodni — mruknął Summy.

Zaległo milczenie. Wszyscy wpadli w zadumę. Ben Raddle po chwili skupienia, jak „gdyby ważąc następstwa długo opracowywanego planu odezwał się znowu:

— Kilka dni temu miss Jane Edgerton poddała mi myśl, której nie wypowiedziałem od razu. Być może uczyniła to w chwili zniechęcenia, po stwierdzeniu naszej bezsilności wobec nieprzewidzianych wypadków, być może, że do swego powiedzenia nie przywiązywała żadnej wagi... Ale mnie ta myśl uderzyła, zastanawiałem się nad nią głęboko, szukałem środków, aby ją urzeczywistnić, i zdaje mi się, że je znalazłem. Na pytanie, czy nie można w jakiś sposób wywołać wybuchu, odpowiadam: dlaczego nie?

Jane Edgerton zabłysły oczy. „To rozumiem! Działać, panować nad naturą, zmusić ją swoją wolą do uległości, to się dopiero nazywa żyć!”. Usta jej drgały, cała postawa wyrażała niecierpliwość, z jaką oczekiwała na przedstawienie tego podniecającego projektu.

Summy Skim i przewodnik spoglądali na siebie z niemym pytaniem, czy inżynier jest przy zdrowych zmysłach, czy tyle rozczarowań i trosk nie wpłynęło ujemnie na jego rozum. Ben Raddle, jak gdyby zaprzeczając tym myślom, odezwał się z całą przytomnością człowieka zdającego sobie całkowicie sprawę ze swych postępów:

— Wulkany, jak wiecie, są położone zwykle nad morzem: Wezuwiusz, Etna i tyle innych na starym i nowym lądzie. Z tego wynika, że woda ma związek z nimi. Zresztą współczesna teoria dowodzi, że wulkany mają podziemne połączenia z oceanami. Woda dochodzi do nich stopniowo lub nagle, zależnie od rodzaju skał okolicznych i przy zetknięciu się z ogniem wewnętrznym zamienia się w parę. Kiedy para ta pozostaje długo zamknięta we wnętrzu ziemi, wtedy mocą swego ciśnienia powoduje wstrząsy, starając się : wydobyć na zewnątrz, a gdy to się uda, porywa ze sobą resztki żużli, popiół, skały i wyrzuca je wśród kłębow dymu i płomieni. W tym, nie ulega wątpliwości, leży przyczyna wybuchów wulkanicznych i trzęsień ziemi, przynajmniej po części... A zatem, dlaczego ludzie nie mogliby spróbować tego, co czyni natura?

Obecni pochłaniali inżyniera wzrokiem. Jeżeli ta teoria nie jest jeszcze absolutnie pewna, to w każdym razie uważana jest za najprawdopodobniejszą. Co zaś się tyczy Golden Mount, to wszystko wskazywało na jego połączenie z Oceanem Lodowatym. Przez czas mniej lub więcej długi połączenie to zostało przerwane, dziś jednak musi być inaczej, skoro z wulkanu wydobywa się para. Czy nie można więc uczynić większym dopływ wody morskiej do centralnego ogniska? Czyżby inżynier nosił się ze śmiałą myślą dokonania tego niesłychanego dzieła?

— Zauważyliście, jak i ja — ciągnął dalej Ben Raddle — że krater jest położony przy północno — wschodnim zboczu góry. Zresztą odgłos pracy podziemnej daje się słyszeć z tej strony, a nawet w tej chwili odgłosy te stają się głośniejsze.

Istotnie, jak gdyby na potwierdzenie słów inżyniera, głuche pomruki rozległy się na zewnątrz ze szczególnym natężeniem.

— Musimy uważać za pewnik, że komin wulkanu przechodzi w pobliżu naszego obozowiska. Pozostaje nam więc wybić otwór z tej strony góry i wykopać kanał, przez który woda przedostałaby się w ilości nieograniczonej.

— Jaka woda? — spytał Bill. — Morska?

— Nie — odpowiedział inżynier. — Nie potrzebujemy sięgać tak daleko. Czy nie mamy w pobliżu Rio Rubber? Oddzielona od Mackenzie, znajdzie ujście we wnętrzu Golden Mount.

Ben Raddle mówił o tym, jak gdyby już wykopany kanał przepuszczał wody Rio Rubber. W miarę przedstawiania swego projektu umocnił się w swym postanowieniu i uważał je za nieodwołalne.

Pomimo nadmiernej śmiałości pomysłu nikt z obecnych nie przeciwstawiał mu się. Jeżeli inżynierowi zamysł się nie uda, nie pozostaje już nic, jak tylko myśleć o drodze powrotnej. Jeżeli zaś mu się powiedzie, jeżeli wulkan istotnie odda swe bogactwa, to wynik będzie podobny z tą różnicą, że nie z pustymi, lecz naładowanymi wozami powrócą do Klondike.

Pomysł Bena Raddle'a pociągnąć mógł jednak poważne niebezpieczeństwo. Czy przemiana tak wielkiej ilości wody w parę nie dokona się zbyt gwałtownie? Czy nie wywoła katastrofy? Czy nie wywoła nie tylko wybuchu, lecz i trzęsienia ziemi, grożącego zniszczeniem obozu i całej okolicy?

Ale o tym niebezpieczeństwie nikt myśleć nie chciał i nazajutrz, 24 czerwca, , wzięto się do pracy.

Z polecenia inżyniera zaczęto od wybicia otworu w zboczu góry. Oczywiście, jeżeli skała okaże się za twarda, aby ją skruszyć, jeżeli nie będzie można dostać się do komina krateru, to próżnym byłby trud kopania kanału odprowadzającego wody rzeki.

Otwór korytarza mającego prowadzić do krateru umieszczono dwadzieścia stóp poniżej poziomu rzeki, aby spadek wody był szybki. Na szczęście nie natrafiono na twardą skałę, przynajmniej w pierwszej połowie pracy. Najpierw napotkano kruszącą się ziemię, następnie kamieniste szczątki i odłamki lawy od dawna tkwiące w masie góry, wreszcie kawałki kwarcu, skruszone poprzednimi wstrząsami.

Praca nie ustawała ani dniami, ani nocą. Nie było godziny do stracenia. Nie wiedzano, jaka jest grubość ściany, Ben Raddle bowiem nie miał na czym oprzeć swych wyliczeń i być może była ona większa niż sądził. Im dalej posuwano się z robotą, tym głośniejsze stawały się odgłosy. W każdym razie zbliżanie się do komina nie oznaczało jeszcze, że miano doń dotrzeć.

Summy Skim i Neluto zapomnieli o polowaniu. Brali udział w pracach, jak zresztą i sam inżynier, toteż otwór zwiększał się codziennie o pięć do sześciu stóp.

Po pięciu dniach natrafiono jednak na warstwę kwarcu, o którą stępiły się kilof i motyka. Ile czasu trzeba byłoby poświęcić, aby przebić tę niezmiernie twardą powłokę, która sięgała zapewne do samego wnętrza góry? Ben Raddle postanowił wysadzić skałę za pomocą prochu i użyć do tego, ku zmartwieniu Summy Skima, część jego nabojów. Proch ten nie był używany jedynie w celach myśliwskich. W razie potrzeby mógł również służyć jako środek obrony. Nie przewidywano jednak żadnego niebezpieczeństwa, okolica była odludna i żaden tubylec nie zawitał jeszcze w te strony.

Zastosowanie miny okazało się skuteczne. Drażenie korytarza szło nadal wolniej, jednak nie ustało zupełnie.

8 lipca, po dwutygodniowej pracy, długość korytarza wydała się wystarczająca. Miał on objętość trzydziestu stóp kwadratowych, głębokość zaś sięgała czternastu sążni. Mógł więc pomieścić znaczną ilość wody. Odgłosy wulkanu dochodziły z taką siłą, że grubość ściany nie wynosiła chyba więcej niż jedną do dwu stóp. Wystarczy więc kilka min, aby zakończyć wydrążanie korytarza.

Projekt Bena Raddle'a nie napotkał więc na żadną nieprzewycięzoną przeszkodę. Wykopanie kanału na powierzchni ziemi, którym płynąć miały wody Rio Rubber, nie przedstawiało żadnej trudności i chociaż miał się on ciągnąć na długości trzystu stóp, wykonanie jego nie potrwałoby dłużej niż dziesięć dni.

— Najtrudniejszą pracę wykonaliśmy — rzekł Bill Stell.

— I najdłuższą — dodał Ben Raddle. — Jutro zaczniemy kopać kanał w odległości sześciu stóp od lewego brzegu Rio Rubber.

— A zatem — odezwał się Summy — ponieważ mamy wolne popołudnie, użyjemy go na...

— Na polowanie, nieprawdaż panie Summy? — rzekła Jane wesoło.

— Nie, miss Jane — odpowiedział Summy Skim — na odwiedzenie po raz ostatni krateru, aby stwierdzić, co się tam dzieje.

Summy miał rację, wyruszono więc natychmiast. Mając już wprawę nabytą dzięki częstym wycieczkom, podróżnicy, do których dołączył Neluto, w półtorej godziny byli już u szczytu góry.

Do krateru jednak nie mogli się zbliżyć tak blisko, jak za pierwszym razem. Para bowiem, która się z niego wydobywała, była nadzwyczaj gęsta i poprzecinana długimi płomieniami, a żar przy kraterze był nie do zniesienia. Ale wulkan nie wyrzucał ani lawy, ani kamieni.

— Stanowczo — zauważył Summy Skim — wulkan nie jest hojny, a jeżeli posiada złoto, to ukrywa je zazdrośnie.

— Weźmiemy siłą to, czego nie chce nam oddać dobrowolnie — rzekła Jane Edgerton.

Musieli jednak przyznać, że działanie wulkanu jest daleko silniejsze. Jego pomruk przypominał odgłos wody gotującej się w kotle pod wysokim ciśnieniem, którego ściany syczą pod wpływem ognia. Wybuch zbliżał się. Może jednak upłynąć jeszcze kilka tygodni lub kilka miesięcy, zanim wulkan zechce wyrzucić z siebie rozpaloną zawartość.

Ben Raddle po obejrzeniu krateru nie myślał więc wcale o przerwaniu prac, lecz przeciwnie — postanowił przyspieszyć ich wykonanie.

Wędrowcy, opuszczając szczyt góry, po raz ostatni ogarnęli wzrokiem okolice. Wydała im się zupełnie pusta. Ani na równinie ani na morzu nie dostrzegli nic osobliwego. Przynajmniej pod tym względem Ben Raddle i jego towarzysze mogli być zupełnie zadowoleni. Zdawało się, że tajemnica Golden Mount jest wyłączną ich własnością.

Obróceniu tyłem do krateru spojrzeli na rozległą przestrzeń. Szczególnie Summy był cały zatopiony w myślach. Z oczyma utkwionymi na południowym wschodzie stał nieruchomo i jak gdyby zapomniał o towarzyszach.

— Co tak zajmującego widzi pan w tej stronie? — spytała go Jane Edgerton.

Summy odpowiedział głosem zdławionym.

— Montreal, miss Jane, Montreal i Green Valley.

— Green Valley — powtórzyła Jane. — Miejscowość ta leży panu bardzo na sercu.

— Czy może być inaczej? — odparł Summy, nie odrywając wzroku od kierunku, który go przyciągał tak jak biegun przyciąga igłę magnesu. — Czy nie tam żyłem? W Green Valley znam tych, co przyszli na świat po mnie, a mnie znają ci, co przyszli na świat przede mną. Tam jestem znany i mile witany przez wszystkich od najstarszego wiekiem do najmłodszego i — z wyjątkiem mojego kochanego Bena, który niestety stworzony jest do przyjmowania uczuć, lecz nie odwrotnie — tam tylko znajduję ciepło rodzinne. Kocham Green Valley i Green Valley kocha mnie, miss Jane.

Summy umilkł. Jane z kolei zamyśliła się głęboko. Kilka słów wymówionych przez towarzysza podróży obudziło w jej sercu uśpione uczucia.

Może, myślała, największe wysiłki i powodzenie nie wystarczą w życiu. Może tkwią w nas inne instynkty domagające się swych praw, których zadowolić nie jest w stanie triumf naszej woli. Może pod wpływem tych słów zauważyła złe strony swego położenia? Może ujrzała się słabą i samotną, na szczycie tej góry oddalonej od zamieszkałych krain, otoczona w większości ludźmi nieokrzesanymi, dla których była tylko przelotną znajomością? Może mówiła sobie, że ona również nie ma rodziny i, mniej szczęśliwa od Summy Skima, nie ma podobnego jak on Green Valley, w którym ktoś powitałby ją z otwartymi ramionami?

— Co to? — zawołał nagle Neluto, obdarzony najlepszym ze wszystkich wzrokiem. — Zdawałoby się, że...

— Że co? — spytał Ben Raddle.

— Nic — odrzekł Neluto. — A jednak zdawało mi się, że widziałem...

— Co widziałeś? — nalegał Ben Raddle.

— Nie wiem — mówił niepewnie Indianin. — Zdawało mi się... Dym może...

— Dym?... — zawołał inżynier. — W jakim kierunku?

— Tam — objaśniał Neluto, wskazując na las, który o trzy mile od wulkanu zarysowywał się na zachodzie.

— Na skraju lasu?

— Nie.

— W głębi lasu, pod drzewami?

— Tak.

— W jakiej odległości?

— Dwie, lub trzy mile wśród drzew, może mniej...

— A może więcej — dokończył Ben Raddle zniecierpliwiony. — Znam twoją piosnkę, Neluto. W każdym razie nic nie widzę.

— Ja również nie widzę nic — rzekł Neluto. — A nawet nie jestem pewny, czy widziałem... To taki mały dym... Mogłem się omylić.

Pierwszy raz odkąd dotarli do Oceanu Lodowatego, dała się zauważyć w tych stronach obecność ludzi. Dym nad drzewami świadczył, że pod drzewami rozłożono obozowisko. Niezależnie od tego, kto to uczynił, niczego dobrego po nim spodziewać się nie należało.

Ale któż to mógł być? Czy myśliwi, czy raczej poszukiwacze złota, którzy dowiedzieli się o istnieniu Golden Mount?

Być może, przybysze nie widzieli jeszcze wulkanu, ukrytego za zasłoną olbrzymich drzew. Ale gdy staną na skraju lasu, ukaże im się w całej pełni, a wtedy nie wiadomo, co wyniknie z tego odkrycia.

W każdym razie było to poważne zagrożenie, nie dające spokoju Benowi i jego towarzyszom.

Wszyscy, z wyjątkiem Jane Edgerton, która trwała w swym zamyśleniu, zwrócili spojrzenia w

kierunku zachodnim. Nic osobliwego nie spostrzeżono. Najmniejszy nawet obłok dymu nie pokazał się nad drzewami, tworzącymi ciemną linię na horyzoncie.

Przekonany o omyłce Neluta, Ben Raddle dał hasło do odwrotu.

W tej chwili Jane zbliżyła się do Summy Skima.

— Jestem zmęczona, panie Skim — rzekła słabym głosem.

Summy stanął ze zdziwienia. Miał się czemu dziwić. Niesłychane, żeby Jane przyznawała się do zmęczenia. Musiała w niej zajść jakaś niespodziewana zmiana.

Tak, zmiana zaszła, panie Skim. Jane była bardzo zmęczona. Przekonania, które podtrzymywały ją na duchu, gdy spełniała niestrudzenie czyny ponad jej siły, zachwiały się, jeśli nie zostały zupełnie zniweczone. Przez chwilę ujrzała życie w innym świetle niż w blasku walk i nieprzerwanych wysiłków. Poznała wartość uczucia. Chciała być kochana, otoczona opieką; zrozumiała, że tylko w rodzinnym gronie spełniłoby się to pragnienie i ciało jej osłabło pod brzemieniem samotności. Jakże bardzo była teraz zmęczona!

Zacny Summy nie myślał o tym wszystkim; nie poddawał analizie słów Jane. Patrzył na nią tylko i zaskoczony zmęczonym głosem, którym wypowiedziała swe słowa, zaczął się dziwić, że odkrył to, czego nie spostrzegł dotąd. Jakże delikatna, jak wątła, jak ładna była ta dziewczyna, jak znikoma wobec przestrzeni, które ją otaczały. Co za nieszczęście, że znajduje się tu, w tej odległej krainie, narażona na tyle trudów, cierpień i niebezpieczeństw! I serce Summy Skima ogarnęła wielka litość.

— Niech się pani nie obawia — rzekł do niej z uśmiechem mającym pokryć wzruszenie. — Jestem przy pani. Niech się pani oprze mocno na mnie. Jestem silny i wytrzymały.

Zaczęli schodzić. Summy wybierał drogę i podtrzymywał swoją towarzyszkę z pieczołowitością starszego brata, z troskliwością amatora, w którego ręce dostało się kosztowne i delikatne cacko.

Jane, nieświadoma tej troski o nią, dała sobą kierować. Szła jak gdyby ogarnięta dziwnym snem z oczami utkwionymi wdał. Na co patrzyła? Czy tam w dali przyciągał ją świat nieznan, czy jeszcze bardziej nieprzenikniona tajemnica jej strwożonego serca?

IX

Polowanie na łosie

Prawy brzeg Rio Rubber tworzył wyraźnie zarysowane kolano, oddalone o blisko pięćdziesiąt sążni od miejsca, gdzie zaczynał się korytarz prowadzący do komina krateru. Odpływ wody miał być wykonany w samym zgięciu kolana. Należało więc wykopać kanał długości trzystu stóp.

9 lipca z rana zaczęto nową pracę. Pierwsze uderzenie łopatą pokazało, że obejdzie się bez wielkiego wysiłku. Grunt do głębokości ośmiu stóp był dość podatny. Głębokość ta wraz z podobną szerokością miały wystarczyć do utworzenia kanału, a co najważniejsze, nie trzeba było używać prochu, którego zapas i tak się znacznie zmniejszył.

Do dzieła wzięto się z zapalem. Bliskość celu dodawała im sił. Wszyscy znali plany Bena Raddle'a, a chociaż większość nie rozumiała teorii, na jakiej się opierał, nikt nie wątpił, że Golden Mount wyrzuci z siebie wkrótce cały zapas złota.

Szczególnie Patrick dokazywał cudów. Dzięki swej sile pracował za dziesięciu.

W tych warunkach budowa kanału postępowała szybko. Zmieniając się i korzystając z długiego zmroku pracowano częściowo i w nocy. Ben Raddle pilnował wykonania robót i zwracał stale uwagę, aby brzegi kanału nie obsuwały się, przy czym przypatrywał się bacznie, czy nie natrafi przypadkiem na żyłę złotodajną. Nie znalazł jednak nic.

— Rio Rubber — zauważył przewodnik — nie jest warta Bonanzy. Wreszcie, co nas obchodzi, że ta rzeka nie dostarcza nam złota, skoro przyczyni się do wydobycia go z Golden Mount.

Upłynął tydzień. Szesnastego lipca kanał był prawie skończony. Zostało do wykopania jeszcze kilka metrów, a następnie wystarczy rozkopać brzeg rzeki na długości pięciu do sześciu stóp i przebić ścianę odgradzącą korytarz od komina. Reszty dokonają wody rzeki, wpadając przez kanał do wnętrza wulkanu.

Ile czasu trzeba będzie, aby nastąpił wybuch spowodowany nagromadzeniem się pary? Na to nikt nie mógł odpowiedzieć. Jednakże inżynier zauważył, że działalność wulkanu zwiększała się z dnia na dzień. Wśród kłębow dymu unosiły się coraz to większe płomienie, oświetlając podczas krótkich godzin nocnych okolice góry na rozległej przestrzeni. Można więc było sądzić, że gdy woda dostanie się do głównego ogniska, przemieniając się natychmiast w parę, wywoła pożądany efekt.

Tego dnia przed zmrokiem Neluto, cały zasapany po długiej drodze, zbliżył się pośpiesznie do Summy Skima.

— Ach... panie Skim!... panie Skim!...

— Co się stało?

— Łosie... panie Skim... łosie!

— Łosie! — zawołał Summy.

— Tak., całe stado... może pół tuzina... — może więcej... może...

— Mniej — dokończył Summy. — Znam już to, mój chłopcze. W jakim kierunku zjawily się?

— Tam...

I Indianin wskazał na zachód od Golden Mount.

— Daleko?

— O, może mila... może pół mili...

— Może dwieście kilometrów — dokończył Summy ze śmiechem. Jednym z największych pragnień zapalonego myśliwego było upolować choć parę łosi. Odkąd przyjechał do Klondike, sposobność ta go omijała. Słyszał tylko o zjawieniu się dwojga czy trojga tych zwierząt w okolicy Dawson lub na terytorium Forty Miles Creek. Wiadomość przyniesiona przez Neluta pobudziła więc niezwykle jego żyłkę myśliwską.

— Chodź! — rzekł do Indianina.

Obaj opuścili obozowisko, dążąc najpierw podnóżem góry, a następnie skręcając na południe. Summy mógł wtedy na własne oczy zobaczyć stado łosi, idących spokojnie na północny zachód przez rozległą równinę.

Pomimo chęci rozpoczęcia polowania natychmiast, Summy, wiedziony rozsądkiem, odłożył je do następnego dnia. Pora bowiem była spóźniona. Zresztą najważniejszą rzeczą było zjawienie się tych zwierząt w okolicy.

Po powrocie do obozu, Summy zwierzył się ze swoich zamiarów Benowi. Ponieważ nie brakowało rąk do pracy, inżynier mógł obejść się jeden dzień bez Neluta. Postanowiono więc, że dwaj myśliwi wyruszą o piątej rano na poszukiwanie łosi.

— Ale — rzekł Ben Raddle — obiecaj mi, Summy, że nie zapuścisz się zbyt daleko...

— Powinieneś to powiedzieć łosiom — odparł Summy ze śmiechem.

— Nie, Summy, do ciebie mówię. Należy strzec się bardzo jakiegoś niepożądanego spotkania w tych bezludnych stronach.

— Właśnie dlatego, że są bezludne, są pewne — odparł Summy.

— Niech i tak będzie. Obiecaj mi jednak, że wrócisz po południu.

— Po południu... albo wieczorem.

— Wieczory, które trwają do połowy nocy. To nie zobowiązuje cię do niczego — zauważył inżynier. — Nie, Summy, powiedzmy o godzinie szóstej, a jeżeli nie wrócisz o tej porze, będę niespokojny.

— Dobrze — rzekł Summy. — Niech będzie szósta... i kwadrans dodatku!

— Zgadzam się na ten kwadrans pod warunkiem, że nie potrwa dłużej niż piętnaście minut!

Ben Raddle obawiał się zawsze, że jego kuzyn w zapale polowania oddali się bardziej, niż należało. Dotąd żaden Indianin nie pokazał się przy ujściu Mackenzie. Lecz nie było wykluczone, że może się to zdarzyć, tym bardziej, że Ben Raddle nie przestawał myśleć o dymie, który Neluto spostrzec miał nad lasem. Choć dwa tygodnie minęły od tego wypadku, inżynier wciąż się niepokoił i marzył o chwili, gdy osiągnąwszy swój cel, będzie mógł powrócić do Dawson.

Nazajutrz o piątej rano Summy Skim i Neluto opuścili obóz, uzbrojeni w karabiny dalekonośne, zaopatrzeni w odpowiednią ilość żywności oraz prowadząc ze sobą przywiezionego psa. Zwierzę to, wabiące się Stop, było raczej psem podwórzowym niż myśliwskim. Ale Summy zauważywszy u niego dobry węch i pewne zalety towarzyskie, zajął się jego wychowaniem, przywiązując go tym do siebie. Był nawet dumny z rezultatu swej nauki.

Powietrze było świeże, choć słońce stało już dość wysoko nad horyzontem. Dwaj myśliwi oddalili się szybko, podczas gdy pies uwijał się przy nich szczekając.

Summy Skim, w swych wycieczkach w okolice Dawson i Forty Miles Creek nie miał sposobności, z wyjątkiem pamiętnej przygody z trzema niedźwiedziami, pochwalić się większą zdobyczą. Toteż radował się na myśl, że wkrótce upoluje grubszą zwierzynę.

Łoś kanadyjski jest zwierzęciem o wspaniałych rogach. Niegdyś bardzo pospolity w stronach, przez które przepływa Jukon i jego dopływy i na wpół oswojony, od czasu odkrycia kopalni złota w Klondike, usunął się bardziej na północ, wracając powoli do stanu dzikiego.

Trudno go podejść, gdyż daje się upolować tylko w bardzo pomyślnych okolicznościach. Szkoda to wielka, gdyż skóra jego jest bardzo cenna, a mięso nie ustępuje wcale wołowemu.

Summy Skim wiedział, do jakiego stopnia to zwierzę jest czujne. Obdarzone niezwykłym słuchem i węchem i nadzwyczajną rączością, przy najmniejszym niebezpieczeństwie, wbrew swej wadze, która dochodzi nieraz do pięciuset kilogramów, ucieka tak szybko, że dogonić go nie sposób. Obaj myśliwi musieli więc przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby podejść je na odległość strzału.

Stado łosi, które Neluto spostrzegł na krańcu lasu, musiało obecnie znajdować się w odległości półtorej mili.

Na równinie rosły kępy drzew, można więc było przesuwać się niepostrzeżenie wśród nich, aby dostać się do skraju lasu. Ale dalej myśliwi nie mogli postąpić ani kroku, aby nie dać znać o swej obecności. Łosie mogły wtedy uciec i trzeba by było wyrzec się nadziei natrafienia na ich ślady.

Naradziwszy się, Summy Skim i Neluto postanowili wejść do lasu bardziej na południe. Stamtąd, idąc od drzewa do drzewa, będą mogli okrążyć stado i zająć je od tyłu.

Po trzech kwadransach Summy Skim i Indianin dostali się do lasu o dwa prawie kilometry od miejsca, w którym pasły się łosie. Neluto trzymał za obrozę Stopa drżącego z niecierpliwości.

— Idźmy teraz skrajem lasu, ale od wewnątrz — rzekł Summy Skim. — Tylko, na Boga, nie puszczaj psa!

— Tak, panie Skim, ale ze swej strony niech pan mnie trzyma, nie będzie to zbyt ciężkie!

Summy uśmiechnął się. Stanowczo miał dość kłopotu z powstrzymaniem samego siebie!

Podchodzenie pod osłoną drzew nie było łatwe. Osiny, brzozy i sosny splatały się ze sobą, a gęste krzaki tamowały drogę. Należało z całą ostrożnością omijać suche gałęzie, którymi zasłana była ziemia. Ich szelest zwróciłby uwagę łosi, tym bardziej, że niezmacona najłżejszym powiewem cisza panowała w powietrzu. Słońce, podniósłszy się wyżej, zalewało swymi promieniami nieruchome gałęzie. Świergot ptaków ustał; las stał jak skamieniały.

Było już po dziewiątej, gdy myśliwi zatrzymali się dla odpoczynku w odległości trzystu stóp od miejsca, w którym przebywały łosie. Stado nie wyrażało niepokoju. Nie można było jednak wątpić, że przy najmniejszym szeleście zerwie się do ucieczki i to prawdopodobnie w kierunku południowym, ku źródłom Porcupine River.

Summy Skim i Neluto nie myśleli o odpoczynku, choć byli już zmęczeni. Czasu nie było można tracić wobec nadarzającej się sposobności upolowania tak pożądaney zdobyczy.

Z nabitym karabinem, z palcem na spuście prześlizgiwali się wśród krzewów pełzając wzdłuż krawędzi lasu. Choć niebezpieczeństwo im nie groziło, jak to bywa przy polowaniu na dzikie zwierzęta, Summy przyznał później, że nie odczuwał jeszcze nigdy takiego zdenerwowania. Serce mu biło gwałtownie, ręce mu drżały, obawiał się, że chybi celu. Gdyby nie dosięgnął swym strzałem tak upragnionego zwierzęcia, umarłby ze wstydu!

Summy Skim i Neluto zbliżali się w milczeniu. Czołgali się jeden za drugim. Po kilku minutach zbliżyli się do łosi na sześćdziesiąt kroków. Byli na stanowisku. Stop, przytrzymywany przez Neluta, ziajał, lecz nie czekał.

Zdawało się, że łosie nie przeczuwały niebezpieczeństwa. Jedne leżały spokojnie na trawie, inne pasły się obok.

Jednakże jeden z nich, wspaniały okaz o rogach wznoszących się na kształt gałęzi drzewa, podniósł głowę. Uszy mu zadrgały, wyciągnął szyję w stronę lasu, jak gdyby wciągnąć chciał powietrze idące stamtąd.

Czyżby zwęszył niebezpieczeństwo i zamierzał ratować się ucieczką, pociągając za sobą resztę?

Summy Skimowi na tę myśl krew uderzyła do głowy. Ale, hamując się, szepnął do Neluta:

— Ognia!... I obaj do jednego, aby nie chybić!

W tej chwili dało się słyszeć gwałtowne szczekanie i Stop, uwolniony przez Neluta, który musiał go puścić, aby podnieść strzelbę, rzucił się w stronę stada.

Nie trzeba było więcej. Stado kuropatw nie uleciałoby prędzej, niż pasące się łosie. Ani Summy ani Neluto nie mieli czasu wystrzelić.

— Przeklęty pies! — zawołał Summy z gniewem.

— Powinienem był go trzymać za gardło! — rzekł Indianin.

— A nawet go udusić! — dodał Summy wściekły.

Oczywiście, gdyby pies był na miejscu, zapłaciliby drogo za swe szczekanie. Ale Stop był już o dwieście metrów od myśliwych, gdy ci przekroczyli krawędź lasu. Rzucił się w pogoń za łosiami i na próżno starano się go przywołać.

Stado biegło w kierunku północnym z taką szybkością, że pies pomimo swej siły i chyżości dogonić go nie mógł. Czy zawróci do lasu, czy też podąży równiną od strony wschodniej? Byłoby to bardzo szczęśliwe, gdyż tym sposobem zbliżyłoby się do Golden Mount, którego dym unosił się o półtorej mili od lasu. Ale mogło również podążyć w kierunku południowego wschodu, w stronę Peel River i skryć się w wąwozach Gór Skalistych, a w takim razie należałoby się wyrzec zdobyczy na zawsze.

— Idź za mną — zawołał Summy Skim do Indianina — i starajmy się nie stracić ich z oczu!

Obydwaj, biegnąc wzdłuż krawędzi lasu, puścili się w pogoń za stadem, które było oddalone od nich o niespełna kilometr. Ta sama nieprzewyciężona żądza, która popychała psa do biegu, opanowała również ich, nie pozwalając się zastanowić.

Po kwadransie Summy Skimowi zadrżało gwałtownie serce. Łosie stanęły, jak gdyby wahając się, którędy mają biec. Nie mogły uciekać dalej w kierunku północnym, do wybrzeża, gdyż musiałyby się tam zatrzymać. Jeżeli zaś zawrócą na południowy wschód, Summy Skim i Neluto musieliby wyrzec się pogoni.

Po chwili wahania łosie skrzyły do lasu, znikając w gęstwinie drzew. Przywódca stada pierwszy dał skok, a za nim podążyła reszta.

— Nic lepszego stać się nie mogło — zawołał Summy Skim. — Na równinie nie mogliśmy podejść do nich. W lesie nie będą mogły uciekać tak szybko; może uda się nam je dogonić, a tym razem...

Czy rozumowanie to było słuszne czy nie, w każdym razie pociągnęło za sobą ten skutek, że myśliwi zapuścili się w głąb lasu, o którego rozległości nic nie wiedzieli.

Stop ich wyprzedzał. Wkrótce jednak zniknął zupełnie i tylko szczekanie oznajmiało o jego obecności.

Teraz pies wziął górę nad łosiami. Wspaniałe rogi zwierząt przeszkadzały im w torowaniu sobie drogi poprzez gęste krzaki, gdy Stop przedostawał się przez nie ze zwinnością. W tych warunkach myśliwi mogli dotrzeć do celu.

Szli już dwie godziny, przedostając się — przez gęstwinę, kierując się jedynie głosem szczekającego psa.. Porwani niepohamowaną żądzą biegli przed siebie, zapuszczając się coraz bardziej na zachód i nie myśleli o tym, że mogą zabłądzić, nie znając drogi.

Im bardziej oddalali się od skraju, tym bardziej las rzedniał. Spotykali te same osiny, brzozy i sosny, lecz nie tak skupione i rosnące na glebie wolnej od krzewów i krzaków.

Myśliwi nie widzieli jeszcze łosi, za to Stop biegł ich tropem, dając znać szczekaniem, że nie jest od nich daleko.

Summy Skim i Neluto zagłębiali się w las coraz bardziej, gdy nagle, tuż po dwunastej, szczekanie psa ustało.

Znajdowali się wtedy w miejscu przestronnym, gdzie dochodziły swobodnie promienie słońca. W jakiej odległości byli od krawędzi lasu? Summy Skim, biorąc pod uwagę upływ czasu, wywnioskował, że przebyli osiem do dziesięciu kilometrów. Mogli więc jeszcze wrócić do obozu po krótkim odpoczynku, którego byli spragnieni.

Wyczerpani i zgłodniali usiedli pod drzewem przygotowując się do posiłku. Apetytu im nie brakło, żalowali tylko, że nie mogli do obiadu dodać smacznej pieczeni z mięsa łosia.

Gdy zjedli do syta, zaczęli się zastanawiać, w jakim kierunku mają się udać. Na próżno rozsądek nakazywał wracać do obozu. Summy ani myślał o tym. Jeżeli powrót z niczym jest rzeczą upokarzającą dla myśliwego, to ostatecznym wstydem jest wracać bez psa. Tymczasem Stop nie wracał.

— Gdzie on może być? — spytał Summy Skim.

— W pogodni za łosiem — odpowiedział Indianin.

— To jasne, Neluto. Ale w takim razie gdzie są łosie?

Jak gdyby w odpowiedzi Stop zaszczekał w odległości trzystu sążni. Myśliwi zerwali się bez słowa i pobiegli w stronę, gdzie odzywało się szczekanie psa.

Cały ich rozsądek i przezorność przepadły. Summy Skim i Neluto biegli bez tchu.

Obecnie mogli biec bez końca. Kierunek bowiem, w którym dążyli, nie był już kierunkiem północno-zachodnim. Łosie skręciły na południowy zachód, za nimi zaś zajadły w pogoni Stop, a dalej jeszcze bardziej zajadli jego panowie. Pozostawili więc w tyle Golden Mount i obóz.

W każdym razie słońce dopiero zaczęło zniżać się na horyzoncie; jeżeli myśliwi nie zdążą na godzinę szóstą, zgodnie z daną obietnicą, mogą się stawić na siódmą lub ósmą czyli dość wcześnie przed zachodem słońca.

Summy Skim zresztą i Neluto nie zastanawiali się wcale nad tym. Biegli ile im sił wystarczyło, nie myśląc o niczym, nie starając się nawet przywołać psa.

Stracili zupełnie rachubę czasu. Zmęczenia nie czuli wcale. Summy Skim zapomniał, gdzie się znajduje. Polował na krańcach północy, jak gdyby polował w okolicach Montrealu.

Parę razy Neluto i on myśleli, że uda im się wystrzelić, gdyż łosie ukazywały się w odległości niespełna pięciuset kroków. Ale zwinne zwierzęta nagle zniknęły, a z nimi ostatnia sposobność posłania im strzału.

Znów minęło parę kwadransów na próżnej pogoni, gdyż słabnące szczekanie psa świadczyło, że łosie zdołały go wyprzedzić.

Wreszcie szczekanie umilkło. Albo pies był daleko, albo też się zmęczył.

Summy Skim i Neluto upadli bez sił na ziemię. Była czwarta po południu.

— Skończone! — rzekł Summy, gdy wreszcie zdołał przemówić.

Neluto kiwnął głową, przytakując.

— Gdzie jesteśmy? — odezwał się Summy Skim.

Indianin wyraził gestem swą niewiedzę i spojrzął dookoła siebie.

Myśliwi znajdowali się w pobliżu polanki, przez którą przepływała rzeczka, dążąc zapewne na południowy zachód do jednego z dopływów Porcupine River. Słońce oświetlało polankę jasno. Poza nią ciągnęła się gęstwina drzew, jak gdyby broniąc przejścia.

— Musimy wyruszyć — rzekł Summy Skim.

— Do obozu, jak sądzę — odpowiedział Neluto.

— A cóż robić! — zawołał Summy, wzruszając ramionami.

— W drogę więc — rzekł Indianin, wstając ciężko i kierując się wzdłuż polanki.

Nie uszedł dziesięciu kroków, gdy nagle zatrzymał się, patrząc badawczo na ziemię.

— Niech pan spojrzy — rzekł.

— Co widzisz?

— Ogień.

— Ogień?

— Przynajmniej był.

Summy Skim, zbliżywszy się, dostrzegł mały stos popiołu, na który patrzył Indianin z zamyśleniem.

— Czyżby myśliwi byli w lesie? — spytał Summy.

— Myśliwi... lub co innego — odpowiedział Neluto. Summy nachylił się. Patrzył badawczo na popiół.

— Nie jest świeży — rzekł wstając.

W istocie popiół był biały, jakby zakrzepły wskutek wilgoci; musiał znajdować się tu już od dawna.

— Chyba tak — przyznał Neluto. — Ale oto co nam będzie służyło za wskazówkę.

O kilka kroków od wygasłego ogniska bystry wzrok Indianina dojrzał wśród trawy błyszczący przedmiot. Zbliżył się szybko i podniósł wydając okrzyk zdziwienia.

Był to sztylet o płaskim ostrzu tkwiącym w skórzanej rękojeści.

Neluto obejrzał go dokładnie i oświadczył:

— Nie można określić, jak dawno znajduje się tu popiół, natomiast można przypuszczać, że sztylet został zgubiony nie dawniej niż dziesięć dni temu.

— Tak — odrzekł Summy Skim. — Ostrze jest jeszcze błyszczące i zaledwie pokryte rdzą.

Neluto po starannym obejrzeniu broni orzekł, że jest to wyrób hiszpański. Na rękojeści wyryta była litera M, a na ostrzu — nazwa Austin, stolica stanu Texas.

— A zatem — odezwał się Summy Skim — kilka dni temu, jacyś nieznajomi obozowali na polance!...

— I to nie Indianie — zauważył Neluto — gdyż Indianie nie mają tego rodzaju broni.

Summy oglądał się niespokojnie.

— Kto wie — dodał — czy nie dążyli do Golden Mount?

Było to możliwe. A jeżeli człowiek, którego własnością był ten sztylet, należał do licznej bandy, wielkie niebezpieczeństwo groziło Benowi i jego towarzyszom. Kto wie, czy banda ta nie znajduje się obecnie w okolicach ujścia Mackenzie!

— Idziemy — rzekł Summy Skim.

— Natychmiast — odpowiedział Neluto.

— A pies? — zawołał Summy.

Indianin zaczął go nawoływać. Na próżno. Pies się nie zjawił. O polowaniu zapomniano zupełnie. Obecnie jedyną myślą było dostać się do obozu i przestrzec wszystkich przed niebezpieczeństwem.

— W drogę i to bez chwili zwłoki — zawołał żywo Summy Skim. W tej samej chwili o trzysta kroków od polanki rozległ się wystrzał.

Pustkowie zaludnia się bardziej niż to było pożądane

Gdy Summy Skim i Neluto wyruszyli na polowanie, Ben Raddle obejrzał starannie rozpoczętą pracę. „O ile nie będzie przeszkód, kanał zostanie skończony wieczorem. Pozostanie wtedy tylko wybić otwór w ścianie krateru i wyźłobić wejście do kanału, aby wody Rio Rubber miały wolny dostęp do niego, a stąd do wnętrza Golden Mount.

Olbrzymia masa wody, zamieniona w parę w ognisku krateru, wywołała wybuch, wyrzucając substancje wulkaniczne. Zapewne będą w nich żuźle, popiół, a wraz z nimi kawałki złota i kwarc złotodajny, które wpadną im w ręce bez trudu.

Tymczasem odgłosy wewnątrz wulkanu stawały się coraz głośniejsze. Zaczęto się wahać, czy wywołanie sztucznego wybuchu będzie potrzebne.

— Zobaczymy — odpowiedział Ben Raddle przewodnikowi, gdy ten zwrócił mu na to uwagę. — Nie możemy zapominać, że zostaje nam mało czasu do powrotu. Jest już druga połowa lipca.

— I byłoby nieostrożnością spóźnić się — rzekł Bill Stell. — Za miesiąc musimy myśleć o odwrocie, gdyż trzeba liczyć trzy tygodnie na podróż do Klondike, szczególnie jeżeli nasze wozy będą ciężko naładowane...

— Będą, nie wątpię w to.

— W takim razie, panie Raddle, zima będzie w pełni, gdy wrócimy do Dawson. O ile zechce zaskoczyć nas w drodze, możemy mieć wiele trudności przy przeprawie jeziorami, zanim dostaniemy się do Skagway.

— Złote są twoje słowa, Bill — odpowiedział inżynier żartując — i nic w tym dziwnego, gdyż jesteśmy pod złotą górą! Lecz bądź spokojny. Byłbym zdziwiony, gdybyśmy za tydzień nie byli w drodze do Klondike.

Dzień minął na pracy. Wieczorem kanał był wykopany do końca.

O piątej po południu nie dano jeszcze znać o powrocie myśliwych. Ben Raddle nie niepokoił się, wiedząc że Summy Skimowi przysługuje jeszcze godzina do terminu powrotu. Przewodnik jednak nie omieszkał kilkakrotnie udać się na zwiady, aby się przekonać, czy nie wracają. Lecz nikt nie ukazał się w oddali.

O szóstej Ben Raddle zaczął się niecierpliwić, obiecując sobie nie szczędzić wymówek kuzynowi. Niewiele to jednak pomogło, gdyż myśliwi nie zjawili się dalej.

O siódmej niezadowolenie Bena przeszło w niepokój, a w godzinę później niepokój się podwoił.

— Naturalnie zapomnieli o wszystkim — powtarzał sobie. — Nie można liczyć na Skima, jeśli ma zwierzę przed sobą i strzelbę w ręku. Pędzi! Pędzi jak szalony!... Nie ma sposobu go zatrzymać... Nie powinienem był pozwolić na to polowanie.

— Ciemności nie zapadną przed dziesiątą — rzekł Bill Stell, chcąc uspokoić inżyniera — a nie ma obawy, aby pan Skim zabłądził. Golden Mount ukazuje się z daleka, wśród ciemności zaś płomienie wulkanu będą służyły za drogowskaz.

Uwaga była słuszna. Gdziekolwiek znajdowałiby się myśliwi, zawsze muszą zobaczyć wulkan. Gdyby jednak padli ofiarą jakiegoś wypadku? Gdyby nie mogli powrócić?

Upłynęły dwie godziny. Ben Raddle nie mógł usiedzieć na miejscu. Słońce miało niebawem zniknąć za horyzontem.

Tuż po dziesiątej Ben Raddle i przewodnik, coraz bardziej zaniepokojeni, opuścili obóz, przechadzając się wzdłuż podnóża góry. Słońce zniknęło za horyzontem. Spojrzeli na równinę. Była pusta. Znieruchomieni nasłuchiwali z uwagą. Tymczasem nadeszła noc. Żaden odgłos nie dochodził z równiny.

— Co mam sądzić, panie Raddle? — rzekł przewodnik. — Polowanie na łosie nie jest niebezpieczne i jeżeli pan Skim i Neluto nie napotkali niedźwiedzi...

— Niedźwiedzi... lub rabusiów. Bill. Tak! Mam przeczucie, że spotkało ich nieszczęście.

Bill Stell schwycił nagle rękę inżyniera.

— Niech pan słucha! — rzekł.

Wśród nocy dało się słyszeć szczekanie psa.

— Stop! — zawołał Ben Raddle.

— Nie są daleko! — dodał przewodnik.

Szczekanie stawało się coraz donośniejsze. Przerwało je skomlenie, jak gdyby pies był ranny.

Ben Raddle i Bill Stell wybiegli naprzeciw psa. Spotkali go dwieście kroków dalej.

Stop wracał sam, ciągnąc za sobą łapę, cały pokrwawiony. Zdawało się, że dobywa resztek sił.

— Ranny!... ranny!... i sam!... — zawołał Ben Raddle, czując jak gwałtownie bije mu serce.

Bill Stell zauważył jednak:

— Być może Stop został zraniony niechcący przez swego pana, albo przez Neluta. Albo trafiła go chybiona kula...

— Dlaczego nie został przy swoim panu, gdyby ten mógł przyjść mu z pomocą? — zauważył Ben Raddle.

— W każdym razie — rzekł Bill Stell, odnieśmy psa do obozu i opatrzmy mu ranę. Jeżeli jest lekka, może zaprowadzi nas na trop swego pana.

— Tak — odrzekł inżynier — wyruszymy gromadnie i uzbrojeni, nie czekając dnia.

Przewodnik wziął psa na ręce. Dziesięć minut później byli w obozie. Rana psa nie była ciężka. Dochodziła tylko do mięśni, nie naruszając żadnego organu.

W ranie tkwiła kula, którą zręcznie wyjął przewodnik. Ben Raddle obejrzał starannie kulę.

— Summy nie miał takich kul — rzekł. — Ta jest większa i nie pochodzi z karabinu.

— Rzeczywiście — potwierdził Bill. — Kula ta pochodzi ze zwykłej strzelby.

— W takim razie mieli do czynienia ze złoczyńcami! — zawołał inżynier. — Musieli się bronić... Podczas walki Stop został ranny... a jeżeli nie został przy swoim panu, to znaczy, że jego pana zabrali... albo że zginął wraz z Nelutem!... Biedny Summy, biedny Summy!

Cóż na to mógł odpowiedzieć Bill Stell? Kula, nie pochodząca od myśliwych, pies wracający sam; czy to wszystko nie usprawiedliwiało obaw Bena? Czy można było wątpić, że zdarzyło się nieszczęście? Albo Summy Skim i jego towarzysz zginęli broniąc się, albo znajdowali się w rękach napastników.

O jedenastej Ben Raddle i przewodnik oznajmili towarzyszom o smutnym położeniu. Obudzono robotników, których w krótkich słowach powiadomiono o wypadku. Jane Edgerton drżącym głosem wyraziła myśl wszystkich.

— Trzeba wyruszyć, wyruszyć natychmiast.

Przygotowano się prędko. Zapasów nie brano ze sobą, ponieważ nie było na razie mowy o zbyt dużym oddaleniu się od Golden Mount. Lecz wszyscy byli uzbrojeni, czy to, żeby się bronić w razie napadu, czy to, aby wydrzeć siłą więźniów.

Stop opatrzony, a przede wszystkim nakarmiony i napojony, gdyż był wyczerpany głównie z głodu, objawiał chęć towarzyszenia wyprawie.

Zabierzemy go — odezwała się Jane Edgerton. — Będziemy go nieśli w razie potrzeby. Może ułatwi nam odnalezienie Skima.

O ile poszukiwania okazałyby się płonne, zdecydowani byli nazajutrz przetrząsnąć całą okolicę między oceanem a dorzeczem Porcupine River.

O Golden Mount nie było mowy, dopóki nie odszukają Summy Skima i Neluta i nie poznają ich losu.

Wyruszone więc.

Jane Edgerton, Ben Raddle i Bill Stell niosący psa, szli wzdłuż góry, której głuche odgłosy wstrząsały ziemią. Ze szczytu unosiła się para przecinana coraz to wyraźniejszymi płomieniami, które rzucały dookoła jaskrawy blask.

Po dojściu do zachodniego zakrętu zatrzymali się, aby naradzić, w którym kierunku iść dalej. Najpraktyczniej było zdać się na instynkt psa. Przewodnik postawił go na ziemię. Zdawało się, że rozumne zwierzę odczuwa, czego od niego żądają. Schyliwszy głowę Stop zaczął węszyć ze wszystkich stron, skowycząc głucho.

Po chwili Stop skierował się na północny zachód.

— Pan Skim wyruszył tego rana w kierunku bardziej południowym — rzekł przewodnik.

— Idźmy jednak za psem — odezwała się Jane Edgerton. — Wie lepiej od nas czego się trzymać.

W ciągu godziny podróży przebyli polankę i znaleźli się na krańcu lasu, o milę od tego miejsca, z którego myśliwi udali się w dalszą drogę. Lecz tu nie wiedzieli co począć dalej.

— Na co czekamy? — spytała Jane nerwowo.

— Na świt — odpowiedział Bill Stell. — Nie widzielibyśmy nic pod drzewami. Nawet Stop się waha.

Tymczasem pies nie wahał się. Skoczył nagle i zniknął za drzewami, szczekając głośno.

— Idźmy za nim! — zawołał Jane Edgerton.

— Nie! Czekajcie — rzekł Bill głosem stanowczym — i trzymajcie broń w pogotowiu.

Ale prawie w tej samej chwili dwaj ludzie, prowadzeni przez psa, ukazali się wśród drzew i Summy Skim znalazł się niebawem w objęciach kuzyna.

Pierwsze jego słowa brzmiały:

— Do obozu!

— Co się stało? — spytał Ben Raddle.

— Dowiesz się — odrzekł Summy Skim — ale tam, w obozie!

Po tych słowach wyruszyli spiesznie w powrotną drogę oświetloną płomieniami Golden Mount.

Była pierwsza po północy, gdy dotarli do obozu. Zaczęło świtać. Zorza ukazała się na północnym wschodzie. Zanim weszli do namiotu, starannie obejrzelik okolicę. Nic szczególnego nie dojrzelik.

Wtedy Summy Skim opowiedział pokrótce co zaszło pomiędzy godziną szóstą z rana a piątą po południu. Mówił o bezowocnej pogoni za łosiami, trwającej do południa, o zniknięciu psa i jego szczekaniu i wreszcie o niespodziewanym znalezieniu na krawędzi polanki stosu popiołu po wygasłym ognisku.

— Jest to wskazówka, że jacyś nieznajomi obozowali w tym miejscu, co zresztą nie jest dziwne.

— Istotnie — rzekł wywiadowca. — Nieraz się zdarza, że poławiacze wielorybów lądują na wybrzeżu, nie mówiąc o Indianach, którzy przebywają tu w czasie lata.

— Tylko że w chwili, gdy zbieraliśmy się do odwrotu — rzekł Summy Skim — Neluto zauważył w trawie tę oto broń.

Ben Raddle i Bill Stell obejrzeliby uważnie sztylet i tak jak Neluto oświadczyli, że jest on wyrobem hiszpańskim.

— Z wyglądu sztyletu — ciągnął dalej Summy — zdawało się nam, że został zgubiony niedawno. Co do litery M wrytej na rękojeści...

— Nie mogła służyć żadną wskazówką — przerwał przewodnik.

— Żadną, to prawda, a jednak wiem jakiego nazwiska jest ona inicjałem...

— A to nazwisko? — spytał Ben Raddle.

— Teksańczyk Malone.

— Malone!

— Tak, Ben.

— Towarzysz Huntera? — nalegał Bill Stell.

— Ten sam.

— Więc to oni byli tam kilka dni temu? — spytał inżynier.

— Są tam i obecnie — odparł Summy Skim.

— Pan ich widział? — spytała Jane Edgerton.

— Niech pani posłucha dalej. Przekona się pani o tym.

I Summy opowiedział, co następuje:

— Mieliśmy iść dalej, gdyż odkrycie sztyletu zaniepokoiło nas wielce, kiedy rozległ się wystrzał w niewielkiej od nas odległości.

Mogli to być myśliwi i prawdopodobnie cudzoziemcy, gdyż Indianie nie posługują się bronią palną. Ale w każdym razie ostrożność nie wadziła.

Byłem pewny, że celem strzału były łosie, dopóki nie dowiedziałem się o ranie, którą odniósł Stop. Nie ulega wątpliwości, że mierzono do niego.

— A pomyśl — przerwał Ben Raddle — co się ze mną stało, gdy zobaczyłem psa powracającego bez ciebie... Straszny niepokój mnie ogarnął... Byłem pewny, że ty i Neluto zostaliście napadnięci i że podczas walki pies odniósł ranę... Ach, Summy, Summy! Nie mogę zapomnieć, że to ja wciągnąłem ciebie w to wszystko.

Ben Raddle był niezwykle wzruszony. Summy Skim czuł, co się dzieje w duszy kuzyna, zdającego sobie sprawę z odpowiedzialności ciężącej na nim.

— Drogi Benie — rzekł, ściskając serdecznie jego rękę — co się stało, to się stało. Nie miej do siebie pretensji. Jeżeli nawet nasze położenie jest groźne, nie jest jeszcze beznadziejne. W każdym razie mam nadzieję, że damy sobie radę. Zresztą, sam osądzisz.

Summy opowiadał dalej:

— Kiedy usłyszeliśmy wystrzał, który doszedł ze wschodu, czyli od strony obozu, pośpiesznie opuściliśmy polankę, aby nie być na widoku i skryliśmy się w gęstwinie.

Wkrótce usłyszeliśmy liczne głosy. Jacyś ludzie zbliżali się wśród drzew. Co to byli za ludzie? Jaka była ich liczba? Co właściwie robią w tak bliskiej odległości od Golden Mount? Czy wiedzą o istnieniu wulkanu? Myśli te trapiły nas i chcieliśmy mieć na nie odpowiedź.

Byliśmy przekonani, że nieznajomi podążą w stronę polanki. Wybraliśmy więc miejsce, z którego mogliśmy ją całą obserwować. Dobrze ukryci w trawie i krzakach mogliśmy ich widzieć i słyszeć zarazem.

Nie czekaliśmy długo. Banda pokazała się niebawem. Składała się z czterdziestu ludzi; dwudziestu Amerykanów, dwudziestu zaś tubylców. Nie omyliliśmy się. Mieli widocznie zamiar spędzenia nocy na polance, gdyż rozłożyli się obozem i rozpalili ognisko, przygotowując się do wieczery.

Z ludzi tych ani Neluto, ani ja nie znaleźliśmy żadnego. Byli uzbrojeni w strzelby i rewolwery, lecz złożyli je pod drzewami. Nie odzywali się wcale lub mówili cichym głosem, tak że głos ich do nas nie dochodził.

— A Hunter... Malone? — spytał Ben Raddle.

— Przybyli w kwadrans później — odrzekł Summy Skim — w towarzystwie Indianina i nadzorcy działki 131.

Poznaliśmy ich natychmiast. Tak, te łotry znajdują się w sąsiedztwie Golden Mount wraz z całą bandą im podobnych awanturników.

— Ale czego mogą chcieć w tych stronach? — spytał przewodnik. — Czy wiedzą o istnieniu Golden Mount? O tym, że przybyła tu już grupa poszukiwaczy?

— Zadawałem sobie te same pytania — odrzekł Summy Skim. — I otrzymałem na nie odpowiedź...

W tej chwili przewodnik dał znak, aby Summy Skim przestał mówić. Billowi zdawało się, że słyszy szelest dochodzący z zewnątrz, wybiegł więc natychmiast z namiotu, aby przekonać się co go wywołało.

Równina była pusta. Banda nie zbliżała się do góry, z której dobiegały głuchoe odgłosy zakłócające nocną ciszę.

Gdy przewodnik powrócił, Summy Skim ciągnął dalej swe opowiadanie:

— Dwaj Teksaszczyki usiedli na krawędzi polanki o dziesięć kroków od krzaku, za którym byliśmy ukryci. Z początku mówili o psie spotkanym na drodze. Domyśliłem się, że był to Stop.

„Dziwne to spotkanie — mówił Hunter. — Niemożliwe, aby zabłądził sam w tych okolicach dalekich od wszelkich osad”.

„Nie ulega wątpliwości, że muszą tu być myśliwi — odrzekł Malone. — Lecz gdzie się znajdują? ... Pies uciekał w tym kierunku”. Przy tych słowach Malone wyciągnął rękę na wschód.

„Ech! — zawołał Hunter — kto mi mówi, że to są myśliwi? Nikt nie zapędza się tak daleko za zwierzyną”.

„Prawdę mówisz Hunter — przyznał Malone — muszą tu być poszukiwacze nowych złóż złota”.

„Niech no tylko weźmiemy się do tego — odparł Hunter — zobaczą co im zostanie”.

„Nie napełnią ani jednej płuczki, ani jednej miski” — dodał Malone, brzydko klnąc i śmiejąc się.

Po chwili milczenia bandyci zaczęli znów rozmawiać i w ten sposób dowiedziałem się wszystkiego, co nas interesuje.

Hunter i Malone po raz wtóry obozowali na tej polance. Wyruszyli dwa i pół miesiąca temu z Circle City. Jakiś czas błądzili pod przewodnictwem tubylca Kraraka, który słyszał o legendzie Golden Mount, lecz nie wiedział dokładnie, gdzie znajduje się ta góra. Banda pokonała niepotrzebnie duży kawał drogi na wschód i dotarła przed nami do Peel River. Prawdopodobnie przed nią broniła się załoga Fort Mac Pherson. Stąd musiała wrócić na zachód, docierając do lasu, w którym znajduje się jeszcze i w którym zabłądziła. Tym sposobem była już raz na polance, dziesięć dni temu. Zgaszone ognisko zostało rozpalone przez nią, a dym, który spostrzegł Neluto nad drzewami ze szczytu góry, unosił się właśnie z tego ogniska.

Po pierwszej bytności na polance Hunter i Malone, słuchając niefortunnych rad Indianina Kraraka, udali się w kierunku zachodnim. Oczywiście nie odkryli nic w tej okolicy i powrócili na dawne

miejsce, aby szukać szczęścia na wschodzie, a w razie potrzeby obejść całe wybrzeże i odnaleźć Golden Mount.

Nie wiedzą jeszcze, gdzie znajduje się wulkan, ale obawiam się, że to już tylko kwestia godzin i dlatego musimy być przygotowani na najgorsze.

Tyle powiedział Summy Skim.

Ben Raddle, słuchający go uważnie, zamyślił się. To, czego obawiał się ustawicznie, sprawdziło się. Jacques Ledun nie był jedynym posiadaczem tajemnicy Golden Mount. Jakiś Indianin wiedział o jego istnieniu i powiedział o tym Tekszańcykom. Niebawem odkryją miejsce, gdzie znajduje się wulkan. Nie potrzebują wcale przetrząsać wybrzeża, dość będzie wyjrzeć z lasu, a zobaczą dym i płomień unoszące się nad kraterem. Po upływie godziny dotrą do podnóża góry, a w kilka minut później spotkają się oko w oko z dawnymi sąsiadami z Forty Miles Creek. A wtedy co się stanie?

— Powiedziałeś, że ilu ich jest? — spytał Ben Raddle kuzyna.

— Ze czterdziestu uzbrojonych ludzi.

— Dwu na jednego — rzekł Ben Raddle pochmurnie. Jane Edgerton odezwała się ze zwykłą żywością:

— Cóż z tego! Położenie jest poważne, nie jest jednak beznadziejne, jak to powiedział przed chwilą pan Skim. Jeżeli oni mają przewagę liczby, to my za to — przewagę położenia. Szansę się wyrównają.

Ben Raddle i Summy Skim spojrzeli z zadowoleniem na wojowniczą dziewczynę.

— Prawdę pani mówi — potwierdził Ben Raddle. — Będziemy się bronili, jeżeli okaże się to potrzebne. Ale przedtem postaramy się, aby nas nie spostrzegli.

Przewodnik potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Wydaje mi się to rzeczą trudną — rzekł.

— Spróbujemy w każdym razie — odparł Summy.

— Niech i tak będzie! — zgodził się Bill Stell. — Lecz nie zawadzi być przewidującym. Cóż bowiem uczynimy, jeżeli nas odkryją, jeżeli będziemy musieli walczyć?

Inżynier uspokoił go ruchem ręki.

— Zobaczymy — rzekł.

XI

Przed bitwą

Czy pozostawała jakakolwiek nadzieja, aby Hunter i Malone nie odszukali Golden Mount? Nie, ponieważ zobaczą go z chwilą, gdy przekroczą granicę lasu. A przy tym czy Krarak, Indianin, nie był ich przewodnikiem?

Skoro zaś odkryją Golden Mount, czyż można przypuszczać, że nie spostrzegą Bena Raddle'a i jego towarzyszy? Również nie. Oczywiście było to możliwe, lecz było raczej pewne, że zdradzi ich praca przy kanale mającym sprowadzić wody Rio Rubber do wnętrza wulkanu.

Walka była zatem nieunikniona.

Tymczasem banda Huntera liczyła czterdziestu ludzi, a grupa Bena Raddle'a składała się tylko z dwudziestu jeden.

Przewaga liczebna była tak wielka, że odwaga nie mogła jej zastąpić.

Na razie jednak nie pozostawało nic innego, jak czekać co będzie dalej. Najwyżej za dwie doby Hunter ujrzy Golden Mount.

O tym, aby opuścić obozowisko i powrócić do Klondike mowy być nie mogło. Przewodnik nie zaproponowałby nigdy odwrotu, zresztą nie byłoby zgody na to. Czyż nie oni byli właścicielami tego złotodajnego wulkanu, skoro go odkryli pierwsi? I czy mogli go odstąpić bez walki?

Summy Skim nawet, rozsądny Summy, nie cofnął się.

Cofnąć się przed Hunterem, mając w pamięci jego grubiańskie zachowanie przed przyjazdem do Skagway lub jego bezczelność przy eksploatacji działek 129 i 131!... Przeciwnie, doznawał pewnej przyjemności na myśl, że stanie oko w oko z przeciwnikiem, z którym zetknąć się nie mógł z powodu katastrofy nad Forty Miles Creek. Miał do załatwienia z nim sprawę, ponieważ zaś nadarzała się sposobność, nie zmarnuje jej.

— Wyobrażam sobie — mówił nazajutrz Bill Stell do Bena Raddle'a — że za kilka godzin banda będzie ciągnęła ku Golden Mount. Ciekaw jestem, czy Hunter zechce rozłożyć obozowisko w pobliżu, czy też będzie wolał rozbić namioty na brzegu Mackenzie tak, jak to uczyniliśmy sami?

— Przypuszczam — odrzekł inżynier — że Teksasczycy zechcą przede wszystkim wejść na szczyt Golden Mount, aby się przekonać, czy nie odkryją tam złotodajnego kwarcu i brył złota. To jasne.

— Bez wątpienia — przyznał przewodnik. — Ale gdy się przekonają, że nie można dostać się do krateru, zejda niebawem. A wtedy nie opuszczą wulkanu ani przed jego wybuchem, ani przed tegoż końcem. Tak czy inaczej będą musieli rozbić tu namioty.

— O ile nie pójdą sobie, skąd przyszli — zawołał Summy Skim. — Takie postanowienie z ich strony byłoby bardzo roztropne.

— Możesz być pewny, że go nie powezmą — odezwał się Ben Raddle.

— Zresztą — dodał przewodnik — obecność psa w lesie musiała ich zastanowić. Będą starali się przekonać, czy inni poszukiwacze ich nie wyprzedzili.

— W takim razie — odpowiedział Summy Skim — odkryją nas wkrótce i spróbują stąd wyrzucić. A zatem spotkam się z Hunterem!... Ach, gdyby pojedynek na modłę francuską lub amerykańską — zostawię mu do wyboru — mógł zakończyć nareszcie tę sprawę!...

Rozwiązanie tego rodzaju mogło powstać tylko w rozgorączkowanym umyśle Summy Skima. Teksaszczy, rozporządzając znaczną siłą zbrojną, spróbują niewątpliwie zawładnąć Golden Mount. Należało więc być w pogotowiu, co też uczyniono niezwłocznie.

Bill Stell zwinął namioty, a karawana przeniosła się za kanał. Wozy i namioty ukryto w gęstwinie drzew, na kawałku ziemi, odgraniczonym z jednej strony kanałem, a z trzech innych stron rzeką Rio Rubber, wulkanem i wybrzeżem. Grunt pokryty był trawą dość rzadką, lecz wystarczającą, aby wyżywić zwierzęta przez kilka dni. Tym sposobem wyprawa znalazła się jak gdyby w warownym obozie, prawie niedostępnym z zachodu, północy i wschodu. Z południa zaś kanał tworzył linię obronną, którą napastnicy przekroczyć mogli tylko pod ogniem karabinów, jeśli kanał zostanie napełniony wodą.

Broń była gotowa do walki. Wszyscy byli uzbrojeni w strzelby, rewolwery i noże, nie mówiąc o nie zawodzącej nigdy strzelbie Summy Skima.

Zbyteczne dodawać, że od tej chwili myśliwi musieli zaniechać polowania. Zajmowano się za to rybołówstwem, aby zaoszczędzić zapasów na przyszłość...

Wraz z nadejściem świtu Ben Raddle polecił zbudować zaporę przy wejściu do podziemnej galerii, aby woda jej nie zalała, gdy kanał od strony rzeki zostanie otwarty. Tak więc inżynier, utworzywszy linię obronną, odłożył do odpowiedniej chwili wywołanie wybuchu. Równocześnie polecił przewiercić otwory w ścianie komina wulkanu na dnie podziemnej galerii, w otworach zaś ułożył starannie naboje, tak aby gotowe były do wybuchu.

Po skończonych przygotowaniach oczekiwano ataku, mając się ustawicznie na baczności. Zgromadzono się w najbardziej oddalonej stronie obozowiska. Dostrzec je było można tylko przy zbliżaniu się do lewego brzegu Rio Rubber.

Od czasu do czasu jednak Ben Raddle, Summy Skim i przewodnik przekraczali kanał, aby ogarnąć wzrokiem równinę. Okrążali nawet podnóże góry, stąd bowiem wzrok obejmował całą przestrzeń do lasu, oddalonego o półtorej mili.

Na równinie nie było widać nikogo, jak również na wybrzeżu.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł Bill Stell — że Teksaszczy nie opuścili jeszcze lasu.

— Nie jest im widać pilno — odezwał się Summy.

— Może chcą najpierw zaznajomić się z położeniem — odpowiedział Ben Raddle — a dopiero w nocy zbliżą się do Golden Mount.

— To bardzo prawdopodobne — przyznał przewodnik — będziemy się mieli na baczności...

Dzień minął spokojnie i — wbrew przewidywaniom Bena Raddle'a — również następna noc. Summy Skim jak zwykle spał kamiennym snem, za to Ben Raddle zaledwie drzemał. Niepokój i gniew nurtowały jego duszę.

W chwili, gdy miał osiągnąć cel, zagroziło mu niepowodzenie! A jaka odpowiedzialność zaciąży na nim, jeżeli nie potrafi oprzeć się bandzie Huntera! Czy nie z jego woli urządzono tę wyprawę? Czy nie on namawiał do niej? Czy nie przez niego Summy zmuszony jest spędzić drugą zimę w tych północnych stronach Kanady?

O piątej z rana Ben Raddle i Bill Stell wyszli znów na zwiady. Wrócili z niczym.

Był piękny dzień, barometr zapowiadał stałą pogodę. Lekkie podmuchy wiatru od strony morza odświeżały powietrze, spędzając na południe dym krateru, który wydał się inżynierowi i przewodnikowi mniej gęsty i z mniejszą liczbą płomieni niż wczoraj.

— Czyżby działalność wulkanu miała się zmniejszyć? — spytał Ben Raddle.

— Gdyby wulkan zgasł, ułatwiłby nam robotę — odpowiedział Bill Stell.

— Jak również Hunterowi — odparł inżynier.

Po południu z kolei Neluto wyruszył, aby zbadać położenie. Towarzyszył mu pies. Gdyby ktoś z bandy Huntera podszedł do podnóża góry, rozumne zwierzę dałoby znać o tym.

Około trzeciej Ben Raddle, Summy Skim i Bill Stell, stojąc nad brzegiem rzeki w miejscu, gdzie miało być wykonane połączenie z kanałem, usłyszeli nagle szczekanie dochodzące od strony równiny, dokąd podążył Neluto.

— Co się stało? — spytał przewodnik.

— Zapewne Stop płoszy jakąś zwierzynę — odpowiedział Ben Raddle.

— Nie — zaprzeczył Summy Skim — czekałby inaczej.

— Chodźmy! — rzekł inżynier.

Nie uszli sto kroków, gdy spostrzegli Neluta biegnącego co tchu. Przyspieszyli kroku.

— Cóż tam, Neluto? — spytał Ben Raddle.

— Zjawili się — odrzekł Indianin. — Zbliżają się.

— Wszyscy?

— Wszyscy.

— W jakiej odległości są od nas? — pytał inżynier.

— Mniej więcej — tysiąc pięćset metrów.

— Nie zauważyli ciebie?

— Nie — rzekł Neluto. — Lecz ja widziałem ich dobrze. Ciągną całym taborem.

— W którą stronę?

— Ku rzece.

— Czy słyszeli szczekanie psa? — spytał Summy Skim.

— Nie sądzę — rzekł Neluto. — Byli zbyt oddaleni.

— Do obozu zatem! — zakomenderował Ben Raddle.

W kilka minut później, przechodząc zaporą rzeki kanał, połączyli się z towarzyszami pod osłoną drzew.

Hunter, Malone i cała banda mogli się zatrzymać albo u podnóża Golden Mount, albo też iść dalej ku ujściu Mackenzie.

To ostatnie przypuszczenie było prawdopodobniejsze. Ponieważ ludzie Huntera także byli zmuszeni urządzić kilkudniowy postój, wygodniej im będzie rozbić namioty w miejscu, gdzie w pobliżu jest woda. Tymczasem na zachód od Golden Mount nie było wcale przystani. Hunter zaś musiał wiedzieć, że Wielka Rzeka wpada do oceanu w pobliżu. Należało więc oczekiwać go od strony ujścia, a czy wtedy wykopany kanał mógł nie zwrócić uwagi i czy można było się spodziewać, że obóz nie zostanie odkryty?

Popołudnie minęło jednak spokojnie. Ani Teksaszczyki, ani nikt z ich otoczenia nie pokazał się w okolicy Rio Rubber.

— Być może — odezwała się Jane Edgerton — że Hunter, jak to przypuszczaliśmy, zechce wpierv dostać się na szczyt wulkanu.

— Jest to bardzo prawdopodobne — odpowiedział Summy Skim. — Muszą przecież przekonać się, czy w kraterze jest rzeczywiście złoto.

Na te słowa Ben Raddle kiwnął głową twierdząco.

Dzień upłynął, a Teksańczycy nie zjawili się.

Na wszelki wypadek przewodnik i jego towarzysze postanowili czuwać przez całą noc. Po kolei udawali się do podnóża góry, aby móc ogarnąć wzrokiem całą równinę.

Zmrok, trwający do godziny jedenastej, pozwoliłby im dostrzec zbliżających się ludzi, a w trzy godziny później świt oświetlał okolicę. Ale krótka noc polarna minęła bez zdarzeń. Wschodzące słońce nie przyniosło nic nowego.

To opóźnienie przeciwników jakby potwierdzało mniemanie Bena. Ponieważ Teksańczycy nie zjawili się, z pewnością postanowili udać się na szczyt wulkanu.

Najważniejszą teraz rzeczą było dowiedzieć się, kiedy zamierzają to uczynić. Lecz jakim sposobem można było dowiedzieć się o tym bez dania znać o sobie? Od strony południowej nie było wcale osłony, od wschodniej zaś, przy głównej odnodze Mackenzie, również nie można było ująć przed wzrokiem bandy Huntera, jeżeli ci dostaną się na szczyt Golden Mount.

Pozostało tylko jedno stanowisko, skąd można było ich widzieć z ukrycia. Na lewym brzegu rzeki, poniżej kanału, stała grupa brzoź oddalona o dwieście kroków od lasu, chwilowego schroniska Bena Radlle'a i jego towarzyszy. Pomiędzy obozem a brzozami ciągnął się rodzaj żywopłotu, pozwalający przedostać się niezauważenie do lasu.

Wczesnym rankiem Ben Raddle i Bill Stell udali się tam, aby przekonać się, czy z tego miejsca można będzie widzieć brzeg płaskowzgórza. Płaskowzgórze, okalające szczyt góry, składało się, jak to sprawdzili sami, z bloków kwarcu i ze stwardniałej lawy. Pod nim zaś zbocze góry zwisało prostopadle jak mur, tworząc od strony morza podobną spadzistość.'

— Doskonałe miejsce — rzekł przewodnik. — Możemy tu przyjść i odejść bez zwrócenia na siebie uwagi. Jeżeli Hunter wejdzie na płaskowzgórze, z pewnością zechce obejrzeć stamtąd ujście Mackenzie...

— W istocie — przyznał Ben Raddle. — Dlatego ktoś z naszych musi być tam ustawicznie na stanowisku.

— Dodam, panie Ben, że z góry obóz nie powinien być widoczny. Drzewa osłaniają go dostatecznie. Trzeba będzie uważać, aby ognisko było szybko gaszone, tak aby nie dymiło. Dzięki temu ujdzie wzrokowi Huntera.

— Byłoby to bardzo pożądane — rzekł inżynier. — W takim razie, powtarzam życzenie, aby Teksańczycy, przekonawszy się o niepodobieństwie osiągnięcia krateru, porzucili swoje zamiary i pomyśleli o odwrocie.

— I niech diabli ich prowadzą! — zawołał przewodnik, po czym dodał: — Jeżeli pan chce, mogę pozostać tu sam, pan zaś niech wróci do obozu.

— Nie, wolę pozostać tutaj. A ty idź do obozu i sprawdź czy wszystko jest w porządku i czy zwierzęta są przywiązane.

— Dobrze, a panu Skim powiem, aby przyszedł pana zastąpić za dwie godziny.

— Tak, za dwie godziny — powiedział Ben Raddle, wyciągając się pod brzozę, skąd widać było dobrze szczyt wulkanu.

Tak więc Bill powrócił sam do lasu, a około dziewiątej Summy Skim stosownie do umowy ze strzelbą na ramieniu, jak gdyby szedł na polowanie, poszedł zastąpić kuzyna.

— Nic nowego, Ben? — spytał Summy.

— Nic.

— Żaden z tych bałwanów z Teksasu nie zjawił się na skałach?

— Żaden.

— Z jaką przyjemnością wziąłbym na cel jednego lub dwóch! — odezwał się Summy, pokazując nabity karabin.

— Z tej odległości, Summy? — zauważył inżynier.

— Prawda... trochę za wysoko!

— Zresztą, Summy, nie o zręczność tu chodzi, ale o ostrożność. Zgładzenie jednego człowieka niewiele by pomogło. Tymczasem, jeżeli nas nie odkryją, mam jeszcze nadzieję, że Hunter i jego towarzysze oswobodzą nas ze swej obecności, jeśli przekonają się, że nie mają tu nic do roboty.

Ben Raddle wstał, udając się do obozu.

— Czuwaj dobrze, Summy — dodał — a jeżeli dojrzysz Teksańczyków na płaskowzgórzu, natychmiast biegnij do obozu, tylko ostrożnie, aby cię nie zobaczono.

— Dobrze.

— Bill przyjdzie zastąpić cię po upływie dwu godzin.

— On czy Neluto — rzekł Summy Skim. — Możemy polegać na obu. Neluto ma wzrok Indianina, więcej nie trzeba mówić.

Ben Raddle miał odejść, gdy Summy Skim schwycił go za ramię.

— Czekaj — rzekł.

— Co takiego?

— Patrz... tam w górze! Inżynier spojrzał na Golden Mount.

Na szczycie zjawił się jeden człowiek, a następnie drugi.

— To oni — rzekł Summy Skim.

— Tak, Hunter i Malone! — odpowiedział Ben Raddle, chowając się za drzewami.

Byli to istotnie Teksaszczyki, a prawdopodobnie i inni za nimi. Obchodzili krater dookoła, przypatrując się okolicy. W tej chwili przyglądali się rozległej sieci wodnej ujścia Mackenzie.

— Ach — szeptał Summy — ci dwaj łotrzy! Pomyśleć, że mam dla nich dwie kule, a nie mogę ich dosięgnąć'!

Ben Raddle milczał. Patrzył uważnie na ludzi, którzy staną z nimi do walki o Golden Mount.

Teksaszczyki prawie pół godziny spędzili na płaskowzgórzu. Przenikali wzrokiem całą okolicę, przechylając się niekiedy, aby dojrzeć podnóże wulkanu od strony ujścia.

Czy odkryli obóz? Czy wiedzieli, że jakaś grupa poszukiwaczy wyprzedziła ich w tych staraniach? W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że Hunter i Malone wpatrywali się uparcie w Rio Rubber, gdzie najdogodniej zatrzymać się mogli na kilkutygodniowy postój.

Dwu ludzi zbliżyło się do nich. Jednego z nich Ben Raddle i Summy Skim poznali natychmiast. Był to nadzorca działki 131. Drugim był Indianin.

— Czyżby to był przewodnik, który ich tu przyprowadził? — spytał inżynier.

— Tego widziałem na polance — odpowiedział Summy Skim.

I w tej chwili przyszło mu na myśl, że gdyby ci czterej awanturnicy, straciwszy równowagę, spadli z wysokości ośmiuset do dziewięciuset stóp, poprawiłoby to niezmiernie ich sytuację, a może nawet rozwiązało ją w zupełności. Po śmierci przywódców banda prawdopodobnie opuściłaby swe stanowisko.

Tymczasem stało się inaczej. Nie Teksaszczyki spadli ze szczytu płaskowzgórza, lecz ogromny blok kwarcu oderwał się od niego.

Ten odłam skały, spadając napotkał na występ zbocza i rozleciał się na kawałki, które dotarły do drzew zasłaniających obóz.

Summy Skim wydał okrzyk stłumiony szybko ruchem ręki Bena.

Może ktoś w obozie został ranny? W każdym razie nie dochodził stamtąd żaden odgłos.

Upadek skały przestraszył za to jednego z koni. Zwierzę zerwawszy więzy, wybiegło z lasu, przeskoczyło jednym skokiem kanał i uciekło na równinę.

Krzyk, stłumiony odległością, rozległ się na szczycie Golden Mount. Hunter i Malone wołali

swych towarzyszy.

Pięciu ich czy sześciu przybiegło na płaskowzgórze, po czym zaczęła się ożywiona rozmowa. Z ruchów łatwo było wywnioskować, że Hunter wie obecnie o podróżnych znajdujących się u ujścia Mackenzie: koń mógł zbiec tylko z obozu, obóz zaś jest tu, u stóp góry.

— Przekłete zwierzę! — zawołał Summy.

— Tak — rzekł Ben Raddle — przez nie przegraliśmy grę... przynajmniej pierwszą partię.

Summy, pieszcząc ręką i okiem karabin, wyszeptał przez zęby:

— A teraz rozegramy drugą.

XII

Obleżeni

Towarzysze Bena Raddle'a i Summy Skima nie wiedzieli, że obóz został odkryty. Z miejsca, w którym się znajdowali, nie było widać brzegu płaskowzgórza. Nie wiedzieli nawet, że Hunter i kilku z jego bandy weszli na górę, nie mogli więc przypuszczać, że ktokolwiek widział przestraszonego konia, którego wkrótce przyprowadził Neluto.

Dopiero gdy kuzyni powrócili do obozu, rzecz cała się wyjaśniła. Nikt nie wątpił, że walka nastąpi niebawem.

— Będziemy się bronili — oświadczył Bill Stell. — Nie ustąpimy placu tym nędznikom!

Słowa te przyjęto hucznymi oklaskami.

Prawdopodobnie Hunter przyspieszył bieg wypadków. W każdym razie, nie wiedząc jaką siłą rozporządza nieprzyjaciel, podejmie niechybnie środki ostrożności. Będzie starał się zbadać położenie, zanim rozpocznie walkę. Być może nawet, że gdy dowie się o swej przewadze liczebnej, będzie próbował porozumieć się i uzyskać ustępstwa. Należało jednak wziąć pod uwagę fakt, iż dotąd nie wiedział, że ma do czynienia z sąsiadami z Forty Miles Creek. Gdy zobaczy swego przeciwnika, zaniecha zapewne wszelkich układów.

Zebrano się na naradę, aby zdecydować ostatecznie © sposobie obrony.

Ben Raddle odezwał się w te słowa:

— Nasz obóz jest w doskonałym położeniu: z jednej strony chroni go Golden Mount, z drugiej Rio Rubber, którą Hunter mógłby przejść tylko pod naszym ogniem karabinowym.

— Istotnie, panie Raddle — odpowiedział przewodnik. — Niestety, przed sobą mamy tylko kanał, ciągnący się od rzeki do góry; rów ten, mający zaledwie do ośmiu stóp szerokości, nie — odstraszy przeciwników.

— To prawda, ale tylko wtedy, gdy nie będzie napełniony wodą — odparł inżynier.

— Trzeba napełnić go wodą — zawołała Jane Edgerton.

— Jestem również tego zdania.

— I zrobić to należy natychmiast — dodał przewodnik. — Zanim banda się tu dostanie, upłynie kilka godzin... A zatem do roboty!

Bill Stell zebrał swych ludzi. Zaopatrzeni w narzędzia udali się na miejsce, gdzie kanał przylegał do rzeki. Nie upłynęło nawet kilka minut, a woda zaczęła się wdzierać do rowu.

Droga do obozu została zagrodzona.

Podczas tej pracy Summy Skim, Jane Edgerton i Neluto zajęci byli przygotowywaniem broni. Prochu i kul nie brakło, jak również gotowych naboji.

— Mamy się czym bronić przed tymi łotrami — rzekł Summy Skim — oszczędzać też ich nie będziemy.

— Mnie się zdaje — odezwał się Neluto — że jeżeli przyjmieniemy ich solidną strzelaniną, to odejdą jak przyszli.

— Możliwe, ale nawet gdyby doszło do walki, to nie musimy się obawiać ich przewagi liczebnej. Znajdujemy się pod osłoną drzew, tymczasem oni walczyć będą na otwartym polu. Lepszą okazję do celnego strzału byłoby trudno znaleźć!... Nie zapomnij o tym, Neluto.

— Może pan liczyć na mnie — zapewnił Indianin.

Gdy wszystko było gotowe do walki, nie pozostało nic innego, jak tylko czuwać nad dostępem do obozu. Przed kanałem postawiono straż, mającą dawać pilne baczenie na całą południową stronę Golden Mount.

Rzeczywiście, wyprawa znajdowała się w wyjątkowo dobrym położeniu. Teren, na którym rozłożono obóz, nie miał innego wyjścia prócz grobli przed wylotem kanału, o tyle szerokiej, że można było przez nią przejechać wozem. Gdyby trzeba było uciekać przed Tekszańcami, wąskim tym przejściem mogli dostać się na równiny i do lewego brzegu Rio Rubber. Jeżeli zaś przeciwnie, trzeba byłoby dać wodzie dostęp do wulkanu, aby przyspieszyć wybuch, wystarczyło zapalić naboje, znajdujące się w ziemi, a połączone wspólnym lontem z tymi które już dawniej osadzono na dnie galerii. Na razie zabarykadowano to przejście, pozostawiając w nim tylko wąski otwór, który miał być usunięty w chwili rozpoczęcia walki.

Gdy część załogi pilnowała obozu, druga zasiadła do śniadanie. Ben Raddle, Summy Skim i Jane Edgerton należeli do tych ostatnich. Połów przyniósł obfitą zdobycz, nie napoczynali więc prawie konserw. Zapalono ognisko bez obawy, gdyż obóz był już odkryty; dym więc unosił się swobodnie nad drzewami.

Śniadanie spożyto w spokoju. Bandy nie było widać.

— Być może — rzekł Summy Skim — ci łotry wolą nas zająć w nocy?

— Noc trwa zaledwie parę godzin — odparł Ben Raddle. — Nie mogą więc liczyć, że nas zaskoczą.

— Dlaczego nie? Nie przypuszczają, że mamy się na baczności i że wiemy o ich bytności na Golden Mount.

— Być może — przyznał przewodnik — ale widzieli biegnącego konia. Nie ulega wątpliwości, że wiedząc o obecności psa w lesie, a następnie konia na równinie, są przekonani o obecności w tej

samej okolicy jakiejś grupy poszukiwaczy. A zatem dziś po południu lub z nadejściem nocy, możemy się ich spodziewać.

Około godziny pierwszej Bill Stell podążył do czuwającej straży.

Podczas jego nieobecności Ben Raddle i Summy powrócili do lasu, z którego dostrzegli Huntera i towarzyszy na szczycie płaskowzgórza. Dym unosił się na pięćdziesiąt stóp nad kraterem, a wraz z nim wydobywały się ogniste języki. Działalność wulkanu wzmogła się widocznie. Czy miało to być oznaką zbliżającego się wybuchu?

Mogło to pokrzyżować plany inżyniera. Wulkan wyrzuciłby wraz z lawą i kamieniami substancje złotodajne i Teksaszczyki mieliby zdobycz gotową. Jakże inżynier mógł bić się z nimi o nie? W obozie mogli walczyć skutecznie. Lecz na otwartym polu o zwycięstwie mowy być nie mogło. O ile wybuch nastąpi, gra będzie ostatecznie przegrana, Hunter bowiem ma siłę za sobą.

Inżynier zaniepokoił się tym bardziej, że na to nie było rady, wrócił więc do obozu niezmiernie stroskany.

W tej samej chwili Summy Skim wskazał mu na biegnącego przewodnika. Pośpieszyli natychmiast ku niemu.

— Nadchodzą! — zawołał Bill Stell.

— Czy są jeszcze daleko? — spytał inżynier.

— Około pół mili stąd — odpowiedział przewodnik.

— Czy mamy czas iść na zwiad?

— Owszem — rzekł Bill Stell.

Wszyscy trzej przeszli kanał, dochodząc do miejsca, gdzie stała straż.

Łatwo było z ukrycia ogarnąć wzrokiem całą równinę.

Wzdłuż podnóża wulkanu ciągnęła w zwartym szyku banda. Błyszczały lufy karabinów. Ani wozów, ani koni nie było widać. Zostały zapewne w tyle.

Hunter, Malone i nadzorca szli na czele bandy. Posuwali się ostrożnie, zatrzymując się lub zbaczając o kilkaset kroków na równinie, aby móc dostrzec szczyt Golden Mount.

— Za godzinę będą tutaj.

— Widać, że wiedzą o naszym obozie — odezwał się Summy Skim.

— I że przychodzą z zamiarem walki — dodał Bill Stell.

— A gdybym poczekał, aż Hunter zbliży się na tyle, abym go mógł wziąć na cel? — zawołał Summy Skim. — Przywitałbym go celnym strzałem i jestem pewny, że trafiłbym go jak kaczkę.

— Po co? — sprzeciwił się Ben Raddle. — Nie, powróćmy do obozu i trzymajmy się prawa do ostatka.

Rada była rozumna. Śmierć Teksańczyka wywołałaby niewątpliwie napad, który dotąd nie był jeszcze rzeczą pewną.

Ben Raddle, Summy Skim i przewodnik powrócili więc do obozu. Gdy przeszli gęsiego wąski otwór barykady, został on natychmiast zagrodzony kamieniami przygotowanymi już w tym celu. Odtąd wszelka komunikacja została przerwana.

Wtedy wszyscy odeszli na sześćdziesiąt kroków od brzegu kanału, ukrywając się pod drzewami z bronią w ręku.

Istotnie, lepiej było wytrzymać do końca cierpliwie, aż zbliży się banda i użyć broni wtedy, gdy zechce przekroczyć kanał.

W pół godziny później Hunter, Malone i ich towarzysze zjawili się przy zakręcie zbocza góry. Jedni podążyli wolnym krokiem wzdłuż podnóża góry, drudzy udali się ku lewemu brzegowi rzeki.

Połowa tych ludzi składała się z pracowników działki 131. Resztę stanowiło ze dwudziestu Indian najętych przez Huntera w Circle City i Fort Yukon, gdy wyprawiali się nad Ocean Lodowaty.

Wkrótce banda połączyła się nad brzegiem kanału, na którym zatrzymali się Hunter i Malone.

Z ich rozmowy z nadzorcą, wielce ożywionej i popieranej ruchami rąk, można było wnioskować, że nie wątpią wcale w istnienie obozu, ale że prawdziwym kłopotem był dla nich kanał, gdyż przekroczyć go nie mogli bez narażenia się na ostrzał.

Na pierwszy rzut oka poznali, że kanał wykopany został niedawno; nie mogli się tylko domyśleć w jakim celu to uczyniono, ponieważ jego odpływ był ukryty pod stosem chrustu. Zresztą czy mogli przypuszczać, że kanał ten ma doprowadzić wodę z rzeki do wnętrza Golden Mount?

Hunter i Malone, nie dając za wygraną, upatrywali sposobu, aby przedostać się przez kanał. Musieli koniecznie zbliżyć się do lasku, aby się upewnić, czy nie opuszczono już obozu.

Po upływie kilku minut nadzorca wrócił ze zwiadu i pokazał ruchem ręki groblę, przez którą mogli przejść suchą nogą kanał.

Wszyscy trzej zwrócili się w tę stronę. Widząc barykadę, zagradzającą im drogę, byli już pewni, że lasek nie opustoszał i że tym samym znajduje się w nim grupa poszukiwaczy.

Ben Raddle i towarzysze, śledząc zza drzew poczynania przeciwników, nie wątpili, że Hunter utoruje sobie drogę odrzucając nagromadzone kamienie. Nadeszła chwila czynnego wystąpienia.

— Nie wiem, co mnie powstrzymuje od rozbicia mu głowy!... Strzelba gotowa do wystrzału...

— Nie, Summy, nie strzelaj — rzekł Ben Raddle, opuszczając strzelbę kuzyna. Jeśli nawet zabijesz dowódcę, zostaną żołnierze... Może lepiej spróbować najpierw porozumieć się z nimi. Co o tym sądzisz, Bill?

— Spróbować zawsze można — odrzekł przewodnik — chociaż nie mam żadnych złudzeń. Jeżeli to nie pomoże, w każdym razie nie zaszkodzi.

— W każdym razie — odezwała się Jane Edgerton — nie pokazujmy się wszyscy. Hunter nie powinien wiedzieć, ilu nas jest.

— Zupełnie słusznie — przyznał inżynier. — Wobec tego ja sam...

— I ja — dodał Summy Skim, który nie zgodziłby się nigdy na ukrywanie przed Hunterem.

Właśnie w chwili, gdy na dany przez Huntera znak kilku ludzi miało zburzyć barykadę, Ben Raddle i Summy Skim stanęli na krańcu lasku.

Zobaczywszy ich Hunter skinął na stojących przy barykadzie ludzi, aby cofnęli się i cała banda w postawie obronnej skupiła się o dziesięć kroków od kanału.

Tylko Hunter i Malone z bronią w ręku zbliżyli się do samego brzegu.

Ben Raddle i Summy Skim oparli swe karabiny o ziemię. Dwaj Teksaszczyk poszli za ich przykładem,

— O! — zawołał Hunter tonem wielkiego zdziwienia. — Niech mnie diabli porwą, wszak to panowie z działki 129!

— We własnych osobach — odparł Summy Skim.

— Nie spodziewałem się zastać panów przy ujściu Mackenzie.

— My również was przybywających tutaj — odezwał się Summy.

— To tylko znaczy, że moja pamięć warta jest więcej od pańskiej. Czy nie mamy sprawy do załatwienia między nami?

— Można ją załatwić równie dobrze tu, jaki na Forty Miles Creek — odparł Summy Skim.

— Jak się panu podoba!

Hunter, u którego gniew zajął miejsce zdziwienia, podniósł żywo strzelbę. Summy Skim uczynił to samo.

Banda chciała się zbliżyć, lecz Hunter powstrzymał ich ruchem ręki. Zanim stanie do walki, chciał

się przekonać o sile przeciwnika. Na próżno jednak przenikał wzrokiem lassek; nikt się nie ukazywał.

Ben Raddle uważał, że jego pośrednictwo jest konieczne. Zbliżył się do brzegu i stanął na wprosi; Huntera. Malone i Summy cofnęli się nieco.

— Czego pan chce? — spytał inżynier spokojnie.

— Chcemy się dowiedzieć, co panów sprowadziło do Golden Mount?

— Jakim prawem?

— Oto moje prawo! — odpowiedział brutalnie Hunter, uderzając kolbą o ziemię.

— A oto moje! — odparł Ben Raddle, czyniąc to samo. Nastąpiła chwila ciszy.

— Jeszcze raz pytam, co sprowadziło panów do Golden Mount?

— To co i was — odpowiedział Ben Raddle.

— Czy macie zamiar eksploataowania złoża?

— Tak, złoża, które do nas należy.

— Golden Mount nie należy do nikogo — zaprzeczył Hunter. — Jest własnością wszystkich.

— Nie — odparł Ben Raddle. — Jest własnością tych, którzy go pierwsi zajęli.

— Nie chodzi o to, kto zajął pierwszy! — zawołał Hunter.

— Doprawdy? O cóż więc chodzi?

— Kto będzie — umiał się bronić.

— Jesteśmy gotowi — oświadczył inżynier z całym spokojem.

— Jeszcze raz pytam — rzekł Hunter, tracąc powoli równowagę — czy zechcecie odstąpić nam swoje miejsce?

— Zdobądźcie je — rzekł krótko Ben Raddle.

Na dane przez Malone'a hasło padły strzały. Ben Raddle i Summy Skim skryli się za drzewami. Summy Skim jednak obrócił się przedtem i wycelował w Huntera.

Teksańczyk uchylił się w porę, lecz kula trafiła za to śmiertelnie jednego z jego ludzi.

Z obu stron zawrzało. Strzały padały za strzałami. Lecz towarzysze Bena Raddle'a ukryci za drzewami, nie byli na nie tak bardzo narażeni, jak ich przeciwnicy. Jeżeli wśród pierwszych znalazło się kilku rannych, wśród drugich byli zabici.

Hunter zrozumiał, że o ile nie przekroczy kanału, poniesie znaczne straty w ludziach. Rozkazał więc swej załodze położyć się. Ziemia z wykopanego kanału tworzyła rodzaj nasypu, za którym można się było skryć w pozycji leżącej. Można było wówczas bezkarnie posyłać strzały ku laskowi, skąd nikt nie mógł wyjść bez narażenia życia.

Zabezpieczywszy się w ten sposób, Malone i towarzysze dostali się pełzając do barykady i ukryci za skałami zaczęli powoli wyrzucać kamienie, które staczały się do kanału.

Na tej barykadzie skupiła się cała uwaga broniących. Jeżeli zostanie zburzona, jeżeli banda wtargnie do lasku i zawładnie obozem, wszelka nadzieja oporu zawiedzie i przeciwnicy wezmą górę.

Żaden strzał wysłany z lasku nie uczynił szkody ludziom rozbierającym barykadę. Bill Stell, chcąc za wszelką cenę przeszkodzić jej zburzeniu, zaczął namawiać, aby wystąpiono do otwartej walki.

Ben Raddle oparł się temu. Niebezpieczeństwo groziło każdemu, kto dojdzie do grobli. Lepiej było, aby naraził się na nie Hunter i jego towarzysze, po zburzeniu przeszkody. Do tej chwili nie pozostawało nic innego, jak ostrzeliwać bez ustanku barykadę, odpowiadając równocześnie na wielokrotne wystrzały wymierzane spoza nasypu.

Kilkanaście minut trwała tego rodzaju walka. Nikt z osaczających barykadę nie: został ranny. Ale gdy otwór się zwiększył, kule zaczęły dosięgać przeciwników.

Jeden z Indian został zabity. Drugiego, który zajął jego miejsce, spotkał ten sam los. W tejże chwili Neluto posłał celną kulę w samą pierś Malone'a.

Teksańczyk upadł, a na ten widok cała banda zawyła z przerażenia.

— Doskonale, doskonale! — rzekł Summy Skim do Neluta. — Wspaniały strzał!... Ale zostaw mi Huntera, mój chłopcze!

Zdawało się, że Hunter po upadku Malone'a zaniecha walki, z której nie mógł wyjść zwycięsko. W tych warunkach bowiem napastnicy — mogli zginąć wszyscy, jeden po drugim. Nie chcąc narażać więcej swych ludzi, dał hasło do odwrotu, po czym banda, żegnana strzałami, zebrała rannych i skierowała się ku równinie, by wreszcie zniknąć za masywem Golden Mount.

XIII

Puklerz Patricka

W ten sposób zakończył się pierwszy atak. W bandzie Huntera było kilku rannych i czterech zabitych, a wśród nich jego alter ego — Malone. Strata ta była niepowetowanym ciosem dla bandytów. Ze strony obleżonych kilku ludzi było lekko rannych przez zabłąkane kule.

Należało jednak przypuszczać, że napaść powtórzy się i to może w warunkach bardziej sprzyjających dla przeciwników. Hunter, mściwy i pałający dziką żądzą zawładnięcia Golden Mount, nie będzie oczywiście uważał się za zwyciężonego po pierwszej porażce.

— W każdym razie, ci łotry oddalili się — rzekł przewodnik. — Dziś więc już nie powrócą.

— Nie... ale w nocy może — odrzekł Summy Skim.

— Będziemy się mieli na baczności — oświadczył Ben Raddle. — Zresztą podczas dwu lub trzech godzin nocy Hunterowi będzie równie trudno i przekroczyć kanał, jak i w dzień. Jestem pewny, że się na to nie odważy, wiedząc, że będziemy czujni.

— Czy nie trzeba naprawić barykad? — spytała Jane Edgerton.

— Właśnie mamy to zrobić — odezwał się Bill Stell, wołając kilku ludzi do pomocy.

— Przedtem jednak zobaczymy, czy banda wraca do swego obozowiska.

O szóstej, wśród białego dnia, Ben Raddle, Summy Skim, Jane Edgerton,

Bill Stell i Neluto ze strzelbami w ręku, przeszedłszy groblę ruszyli ku równinie, zapuszczając się na nią na kilkaset metrów. Stąd mogli sięgnąć wzrokiem aż do obozu Teksańczyków.

Hunter i towarzysze oddalali się z wolna pomimo obawy, że mogą być ścigani. Ben Raddle i przewodnik wahali się, czy nie podążyć za nimi. Lecz po chwili zastanowienia uznali za wskazane — powstrzymać się od tego. Lepiej było, aby Teksańczycy nie wiedzieli, jaką siłą rozporządzają przeciwnicy.

Banda zaś oddalała się powoli, ponieważ niektórzy z rannych nie mogli iść, co znacznie opóźniało odwrót.

Przeszło godzinę Kanadyjczycy śledzili ruchy bandy. Hunter minął podnóże Golden Mount i skrył się za występem górskim, pod którego osłoną rozłożył się obozem.

Około ósmej barykada została naprawiona. Dwu ludzi zostało na straży, reszta zaś poszła do lasu na wieczorny posiłek.

Rozmawiano o wypadkach dnia. Porażka Huntera nie wróżyła nic dobrego. Spokój wrócić może dopiero wraz z opuszczeniem przez bandę okolic Golden Mount. Dopóki banda znajduje się w sąsiedztwie, trzeba być przygotowanym na wszystko. Jeżeli nastąpi samorzutny wybuch wulkanu, wywiąże się zawzięta walka o wyrzucone przez niego bryłki złota.

Wieczór minął spokojnie. O spoczynku pomyślano jednak dopiero po należytych zabezpieczeniu się. Ben Raddle, Summy Skim, przewodnik i Neluto postanowili na zmianę pełnić straż przy naprawionej barykadzie. Można było polegać na ich czujności.

Kilka nocnych godzin minęło bez wypadków, jak również dzień następny. Na próżno wywiadowca przekraczał kilkakrotnie kanał. Czyżby Hunter zaniechał swych zamiarów?

I znów noc minęła spokojnie. Gdy na wschodzie ukazały się pierwsze zorze, od strony kanału rozległo się kilka wystrzałów. Natychmiast wszyscy, z wyjątkiem dwu ludzi pozostawionych przy namiotach, wyszli na skraj lasu, gotowi do walki.

Przy barykadzie znajdował się w tej chwili Bill Stell i Neluto. Można było być pewnym, że żaden z napastników nie zdołał przejść barykady. Obaj obrońcy, ukryci za skałami, strzelali przez otwory, broniąc tym sposobem całego południowego brzegu kanału.

Strzały ich jednak nie odnosiły żadnego skutku. Napastnicy, którzy przyczołgali się korzystając z mroku nocy, schronili się za nasypem, rozciągnęli na ziemi i tym sposobem ustrzegli się kul. Dowodziło tego ich nieustanne strzelanie.

Na rozkaz Bena Raddle'a, który widząc, że kule nie osiągają celu, uważał za zbyt cenne marnować zapas prochu, przestano strzelać i załoga oczekiwała spokojnie dalszych wypadków pod osłoną drzew.

Upłynęła godzina. Od strony kanału strzelanina nie ustawała, o tyle gwałtowna, o ile bezskuteczna, gdyż kule przepadały w zieleni drzew, nie przynosząc żadnej szkody oblężonym.

Nagle rozległy się krzyki za linią obroną, podczas gdy strzelanina zmniejszyła się znacznie.

Przewodnik skorzystał z tego, aby opuścić wraz z Nelutem swe stanowisko przy barykadzie, dążąc ku towarzyszom biegiem przez niebezpieczną groblę. Przekazano mu natychmiast dowództwo, jako byłemu żołnierzowi.

Podzielił on szybko grupę na dwie części. Jedna, składająca się z Kanadyjczyków, zajęła skraj lasu, aby bronić obozu od południa, druga zaś, złożona przeważnie z ludzi oddanych na usługi przewodnika, zajęła tyły, dążąc w stronę, skąd dochodziły krzyki. Do nich dołączył Bill Stell; Ben Raddle zaś, Summy Skim i Jane Edgerton zostali z ludźmi broniącymi kanału.

Bill Steel i jego towarzysze nie uszli nawet stu metrów na północ, gdy zobaczyli w pobliżu siedmiu jeźdźców, jadących tak szybko, jak pozwalał im na to rodzaj terenu. Mieli najwyraźniej zamiar zajechania Kanadyjczyków z tyłu.

Bill Stell zrozumiał od razu co zaszło. Oczywiście podczas tej półtorej doby odpoczynku

Teksańczycy szukali brodu na Rio Rubber, a znalazłszy go, przeprawili się konno, korzystając z mroku nocy. Dostali się do obozu od strony północno-wschodniej, podczas gdy część bandy odciągała uwagę obłązonych nieustanną strzelaniną.

Rachuby te, dobre w teorii, w praktyce chybiły. Nie znając liczby przeciwników, Hunter popełnił błąd. Wybrał się na tę zasadzkę ze zbyt małą liczbą ludzi. Jakże mogło tych kilku jeźdźców oprzeć się kilkunastu strzelbom?

Zresztą nie przewidział jeszcze jednego. Zamiast bowiem natrafić na opuszczony obóz, który zniszczyłby w jednej chwili i podążyć dalej na tyły zaskoczonych przeciwników, Hunter został zauważony. Z drugiej zaś strony konie, płacząc się w gęstych krzakach, opóźniły wykonanie jego planu, zamiast go przyspieszyć, jak zakładał. Nie mógł więc uprzedzić wypadków i ostatecznie to on został zaskoczony przez manewr przewodnika i jego towarzyszy.

Musiał więc zaniechać swych zamiarów. Drogę z południa miał zamkniętą, nie pozostało mu więc nic innego, jak przepłynąć konno Rio Rubber.

Ale czasu mu zabrakło. Kanadyjczycy dali ognia trafiając celnie, gdyż napastnicy nie byli oddaleni. Po kilku minutach sześciu jeźdźców, śmiertelnie rannych spadło z koni, trzy konie były zabite, reszta zaś jeźdźców ratowała się ucieczką. Nie było to porażka, ale klęska Huntera.

Przypadkiem on jeden wyszedł cały z tej potyczki. Nie zastanawiał się długo. Widząc, że uciec przed kulami jest niepodobieństwem, rzucił się w stronę przeciwników zmuszonych do przerwania ognia z obawy, aby kule nie dosięgnęły ich samych i narażając się na rozbitcie o pnie drzew, wpadł jak pocisk pomiędzy nie.

W jednej chwili zniknął w zaroślach, wyprzedzając bez trudu oddział przewodnika, który puścił się w pogoń za nim. Lecz mógł być pewnym ocalenia dopiero po przebyciu linii obronnej nad kanałem, a następnie przestrzeni dzielącej skraj lasu od równiny.

Pierwsza przeszkoda nie zaniepokoiła Huntera. Straż, w jego mniemaniu, musiała być tak rozproszona, że łatwo będzie mógł przejechać przez nią. Natomiast druga przeszkoda była groźna, musiał bowiem przyznać, że wysunąwszy się z lasu na otwartą przestrzeń, naraził się na kule z karabinów liczniejszych niż przypuszczał.

Jego umysł, tak zdatny do wybiegów, na próżno szukał wyjścia z trudnego położenia, gdy nagle błysnął mu promień nadziei.

Dojechał właśnie do krańca lasu. Światło przebijało się pomiędzy drzewami, oświetlając przestrzeń poza nimi. Pod osłoną jednego z drzew, jeden ze strzelców załogi kanadyjskiej przygotowywał się do obrony. Z kolanem opartym na ziemi kładł ładunek do strzelby, celował i znów ją nabijał bez chwili przerwy, a tak był zajęty swą czynnością, że nie zwrócił uwagi na nadjeżdżającego Huntera.

Napastnik stłumił okrzyk radości, poznając że ten strzelec jest kobietą i że tą kobietą jest znajoma pasażerka z parowca „Football”.

Ścisnął konia, zapuszczając ostrogi w jego boki, podniósł go z najwyższym wysiłkiem, zsunął się z siodła i z ciałem zwieszonym u jego boku zaczął przesuwając ręką po trawie na wzór kowbojów z Dzikiego Zachodu.

Był już w pobliżu Jane Edgerton, która nie przeczuwała grożącego jej niebezpieczeństwa. Pędząc koło niej, objął ją ramieniem i jak piórko przerzucił na siodło. Po czym pędził dalej, zabezpieczony od kul zakładniczką, którą unosił ze sobą.

Jane Edgerton krzyknęła głośno. Na ten okrzyk wystrzały ustały z obu stron. Przerazone twarze wychyliły się zza drzew, podczas gdy Hunter w zdwojonym galopie wypadł z lasu, dążąc na otwartą przestrzeń, tak groźną dla niego.

Nikt z obecnych po obu stronach walki nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co się stało. Amerykanie wychylili się do połowy ciała nad nasypem. Widząc swego przywódcę pędzącego z popuszczonymi cuglami sądzili, że grozi im niebezpieczeństwo, niewiele więc myśląc zerwali się, szukając schronienia za pierwszym występem Golden Mount. Kanadyjczycy zaś ze swej strony wyszli z lasu tak mocno zdziwieni, że nie przyszło im na myśl ścigać zbiega kulami.

Hunter skorzystał z tego osłupienia. W kilkunastu skokach znalazł się nad brzegiem kanału i przeskoczywszy go z nadludzkim wysiłkiem, pędził jak szalony po równinie.

Kanadyjczycy, którzy już oprzytomnieli, rzucili się tłumnie ku kanałowi. Ale czy można było dogonić pędzącego szaleńczo konia, który dzięki odległości miał tak wielką przewagę nad nimi?

Jeden z nich tylko nie opuścił skraju lasu, uważając tę pogoń za całkiem bezowocną. Jak gdyby wrośnięty w ziemię stał w miejscu, zupełnie spokojny, pewny siebie. Nagle, błyskawicznym ruchem, podniósł strzelbę do ramienia i oddał strzał.

Tym odważnym strzelcem nie mógł być nikt inny, jak tylko Summy Skim. Czy ufał tak dalece swej sprawności, że nie obawiał się zranić Jane Edgerton? Nie potrafiłby na to odpowiedzieć. Wystrzelił, nie celując, odruchowo.

Ale Summy Skim nie chybiał nigdy. Tym razem dał tego nowy dowód, bardziej zdumiewający niż wszelkie inne. Zaledwie rozległ się strzał, gdy koń Huntera zachwiał się ciężko. Hunter, chcąc złapać równowagę, wypuścił z rąk Jane Edgerton, która zsunęła się bez ruchu na ziemię. Zwierzę po kilku skokach opadło bezwładnie, zaś Hunter stoczył się z niego i leżał nieruchomo na ziemi.

Kanadyjczycy osłupieli. Zapanowała chwila głębokiego milczenia. Summy Skim, niepewny rezultatu swego czynu, stał nieruchomo, wpatrując się uporczywie przed siebie. Pięćdziesiąt kroków od kanału leżał Hunter. Żywy czy zabity? Nikt nie wiedział. Nieco bliżej koń wił się w ostatnich konwulsjach. Oddychał ciężko, z nozdrzy spływała mu krew. Jeszcze bliżej, w odległości dwudziestu metrów od barykady, spoczywała Jane Edgerton. Jane Edgerton, którą być może zabił Summy Skim!

Tymczasem banda, widząc upadek przywódcy, rzuciła się w rozsypce ku równinie. Tego tylko było potrzeba, aby wróciła przytomność Kanadyjczykom. Deszcz kul zagroził bandytom drogę. Równina była dla nich zamknięta.

Niestety, to samo niebezpieczeństwo groziło i Kanadyjczykom. Jeżeli strzelcy Bena Raddle'a i oddział Billa Stella mogli uniemożliwić Tekszańczykom odwrót, ci z kolei mogli uniemożliwić im wyjście zza barykady. Równina była więc niedostępna dla obu walczących stron.

Zdawało się, że położenie jest bez wyjścia. Kanadyjczycy nie mogli zbliżyć się do występu, aby nie narazić się na pociski przeciwników. Zaczęto się niecierpliwić i Ben Raddle obawiał się skutków tej niecierpliwości. Summy Skim, tak spokojny przed chwilą, objawiał niezwykle podniecenie. Szalał z bólu na myśl, że Jane Edgerton leży, jak gdyby bez życia, o dwadzieścia metrów od niego, a on nie może biec jej na ratunek. Trzeba było zatrzymać go siłą i walczyć z nim, aby nie rzucił się na barykadę, nie odwalił kamieni i nie naraził na niechybną śmierć, która go tam czekała.

— Więc damy jej umrzeć?... Jesteśmy podli! — wołał nieprzytomny.

— Nie, nie jesteśmy tylko szaleńcami — odparł surowo Ben Raddle. — Uspokój się, Summy i pozwól nam zastanowić się nad położeniem.

Ale na próżno inżynier szukał w swym twórczym umyśle wyjścia z tej sytuacji.

To wyjście znalazł Patrick.

Już kwadrans trwało to nużące oczekiwanie, gdy Patrick, który jakimś cudownym zrządzeniem okoliczności mógł wrócić do lasu bez zwrócenia na siebie uwagi Tekszańczyków, wyszedł z gęstwiny. Szedł wolno; po pierwsze dlatego, że szedł tyłem, po drugie — bo ciągnął po ziemi przedmiot niezmiernie ciężki, padlinę jednego z koni zabitych kilka minut przedtem licznymi wystrzałami oddziału Billa Stella.

Co zamierzał zrobić Patrick i co chciał uczynić z koniem? Nikt nie mógł się tego domyśleć.

Z drugiej strony kanału, ukryci za występem góry Tekszańczycy, widzieli również zbliżającego się olbrzyma.

Pojawienie się Patricka zostało przyjęte przez nich dzikimi okrzykami i gradem kul skierowanych w jego stronę. Patrick jakby nie zwracał uwagi ani na krzyki, ani na kule. Z równym wysiłkiem ciągnął dalej swój ciężar aż do barykady, do której dotarł szczęśliwym przypadkiem bez szwanku.

W przeciągu kilku minut odrzucił kamienie z barykady tak, aby móc przejść swobodnie, po czym schwyciwszy konia za przednie nogi, postawił go na nogach tylnych i jednym zamachem zarzucił go na ramiona.

Pomimo powagi chwili towarzysze Irlandczyka, zachwyceni tym bajecznym dowodem siły, przyjęli jego czyn burzą oklasków. Koń był wprawdzie mały, jednak wagę miał znaczną, wobec czego wysiłek Patricka miał w sobie coś nadludzkiego.

Nikt jednak nie mógł zrozumieć o co mu chodziło. Nikt z wyjątkiem Summy Skima.

— Brawo, Patrick! — zawołał Summy Skim i wrywając się gwałtownie z rąk swojej straży,

pobiegł do olbrzyma, przygotowującego się do przejścia barykady.

Widowisko było osobliwe.

Zgięty we dwoje, z trupem konia, którego tylne nogi ciągnęły się po ziemi, na ramionach — Patrick krokiem wolnym i pewnym przeszedł barykadę, a pod jego osłoną Summy uczynił to samo.

Zaledwie jednak uszli kilka kroków w stronę równiny, a już strzały posypały się gęsto z szanca, za którym schronili się Teksasczycy. Ale ani Patrick, ani Summy nie przejęli się tym. Szli spokojnie pod osłoną niezwykłego puklerza.

Po kilku minutach dostali się do miejsca, gdzie leżała Jane Edgerton. Tu Patrick zatrzymał się. Summy Skim tymczasem schylił się i uniósł dziewczynę w swych ramionach.

Powrót nie poszedł tak łatwo. Strzały padały coraz gęściej. Trzeba było zbaczać, lawirować, w końcu jednak Patrick i Summy Skim, każdy ze swoim ciężarem, zdołali przejść barykadę, podczas gdy Teksasczycy miotali się wyjąc w bezsilnym gniewie.

Dwóch Kanadyjczyków, którzy przyczołgali się do nasypu, oczekiwało ich powrotu, a po przejściu przez barykadę, zajęli się jej naprawieniem. Summy zaś i Patrick udali się na kraniec lasu, dokąd przybyli bez szwanku.

Wtedy Patrick zdjął z siebie osobliwy puklerz. Dwadzieścia kul tkwiło w ciele zwierzęcia. Tarcza okazała się więc przedniego gatunku, miała tylko tę stronę ujemną, że nie każdy mógł się nią posługiwać.

Summy Skim zajął się Jane Edgerton. Dziewczyna nie odniosła ran, jedynie gwałtowny upadek spowodował omdlenie, z którego ocknęła się po kilkakrotnym zwilżeniu skroni wodą. Gdy przyszła do siebie, Summy zaniósł ją do namiotu, aby mogła wypocząć.

Tymczasem przeciwnicy nie ruszali się ze swych stanowisk. Kanadyjczycy, pilnując kanału, bronili Teksaszczykom wejścia na równinę. Napastnicy zaś, kryjąc się za zboczem wulkanu, trzymali ich w szachu. Położenie było więc w dalszym ciągu bez wyjścia.

W ten sposób minął dzień; nadszedł zmrok, a wreszcie — noc.

Ciemność wróciła swobodę ruchów obu walczącym stronom. Ben Raddle i towarzysze oddalili się od kanału. Trzech tylko ludzi pozostało na straży przy kanale, jeden — przy północnym krańcu lasu, reszta zaś powróciła do obozu — aby po wieczornym posiłku odpocząć kilka godzin.

O świcie wszyscy byli na nogach, nieco znużeni, ale cali i zdrowi. Pierwszą ich myślą było spojrzeć na południe.

Czy Teksasczycy skorzystali z mroku nocy, aby odszukać przywódcę? Czy położenie uległo jakiegokolwiek zmianie?

Żaden odgłos nie dolatywał spoza zbocza Golden Mount. Kilku ludzi, okrążywszy Rio Rubber,

odważyło się zapuścić kilkaset metrów na równinę, aby ogarnąć wzrokiem całe podnóże wulkanu. Przeciwników nie było na stanowisku.

Nic nie mąciło ciszy. Zmrok pokrył swym cieniem dwa ciała rozciągnięte na równinie. Świt zastał już tylko jedno. Koń, leżący niedaleko od kanału, tworzył ciemną plamę na jasnym tle zieleni. Drapieżne ptaki snuły się nad trupem zwierzęcia.

Hunter zaś znikł bez śladu.

XIV

Wybuch wulkanu

Drugi atak został więc odparty z większym powodzeniem. Ze strony Kanadyjczyków nie brak było nikogo, tymczasem nieprzyjaciół stracił czwartą część ludzi.

W każdym razie, jeżeli położenie uległo zmianie na lepsze, to nie było jeszcze dobre. Pozostałe siły przeciwnika miały nadal przewagę, a zresztą o zwycięstwie mogła być mowa tylko z chwilą usunięcia z okolicy ostatniego bandyty. Dotąd cała uwaga wyprawy musiała być zwrócona na obronę zagrożonego obozu, o żadnej więc pracy myśleć nie było można.

Czy zdołają oczyścić okolicę od niedobitków bandy Huntera we właściwym czasie? Czy przeciwnie — walka przeciągnie się do zimy, gdy zwycięstwo będzie już bezowocne? Za trzy tygodnie najdalej trzeba będzie wyruszyć z powrotem, o ile pragną uniknąć śnieżnych zawiei i ostrych wiatrów częstych w tej polarnej krainie; o ile zechcą, wyszedłszy zwycięsko z walki z ludźmi, uniknąć zetknięcia się z okrutniejszą jeszcze mocą żywiołów natury.

A zresztą, czy Ben Raddle, chcąc przyspieszyć bieg wypadków, może wywołać wybuch, gdy Teksaszczyki są na miejscu? Czy Hunter, zawładnąwszy wulkanem, nie zbierze sam owoców kupionych drogą takiego trudu i takich wysiłków?

Ben Raddle zajęty był tymi myślami przez cały dzień 22 lipca, który upłynął bez żadnego wypadku.

Niezwykły ten spokój nie przestawał go dziwić. Czy Hunter odłożył na czas nieokreślony swoje plany? W takim razie będą zmuszeni, licząc się z nadejściem zimy, sami poszukać swych przeciwników i za wszelką cenę położyć kres walce, która nie może przeciągać się w nieskończoność.

Nazajutrz wczesnym rankiem przewodnik i Ben Raddle, po przejściu kanału, udali się na równinę. Była pusta. Czyżby Hunter zdecydował się opuścić te strony?

— Żałować należy — rzekł Bill Stell — że nie można wejść na górę od strony obozu. Moglibyśmy ich spostrzec ze szczytu.

— Istotnie, jest to godne pożałowania — odpowiedział Ben Raddle.

— Przypuszczam, że nic nam nie grozi, jeżeli oddalimy się o jakie kilkaset kroków od góry?

— Nic zupełnie, ponieważ nie widać nikogo. Przecież wczoraj byli tu nasi ludzie. Czego oni mogli dokonać wczoraj, my dokonamy dzisiaj. Zresztą, gdyby nas dostrzeżono, zawsze mamy czas powrócić nad kanał i zamknąć barykadę.

— Chodźmy więc, panie Raddle. Zobaczymy przynajmniej szczyt wulkanu. Może dym jest gęstszy, może nawet z krateru wydobywa się lawa.

Oddalili się więc o ćwierć mili w kierunku południowym. Ale w otworze krateru nie zaszła żadna zmiana; dym jak dawniej unosił się wraz z ognistymi płomieniami, gnany wiatrem w stronę morza.

— Wybuch nie nastąpi dzisiaj — zauważył przewodnik.

— Ani jutro — dodał inżynier. — Zresztą nie żałuję tego, a nawet życzę, aby wybuch nastąpił dopiero po wyjeździe Huntera... o ile ten wyjedzie!

— Nie wyjedzie — rzekł Bill Stell, pokazując dym, unoszący się za ostatnim występem Golden Mount.

— Tak — rzekł Ben Raddle — są tu... jak u siebie!... A ponieważ nie śpieszymy się z wypędzeniem ich ze stanowiska, słusznie mogą wnioskować, że nie mamy po temu dostatecznej siły.

Po tych słowach rzucili jeszcze raz wzrokiem na równinę i powrócili zwykłą drogą do obozowiska.

Nadszedł dwudziesty trzeci lipca. Ben Raddle z ubolewaniem myślał o dniach upływających bezowocnie.

Za trzy tygodnie, jak mówił przewodnik, będzie już za późno, aby wyruszyć do Klondike, gdzie wyprawa stanęłaby dopiero 15 września. W tym terminie, poszukiwacze, którzy spędzają zimę w Vancouver, opuszczają Dawson, a parowce kończą żeglugę na rzece Jukon.

Często Summy Skim rozmawiał o tym z przewodnikiem i właśnie tę kwestię poruszali, gdy Ben Raddle przechadzał się nad brzegiem kanału.

Zbliżywszy się do grobli, usunął chrust zakrywający otwór kanału i podszedł do ściany, odgradzającej kanał od komina wulkanu.

Jeszcze raz przekonał się o położeniu otworów wydrążonych w sześciu miejscach ściany; otworów, w które sam włożył naboje. Stwierdził, że sześć innych nabojów znajduje się na swoim miejscu w grobli i że lont jest w dobrym stanie. Dość zapalić jedną zapałkę, a woda wpadnie do krateru gwałtownym potokiem.

Gdyby nie Teksaszczyki, dziś jeszcze próbowaliby szczęścia. Po co miałby dłużej czekać, skoro czas nagli, a wulkan nie zapowiada wybuchu?

Wystarczyło zapalić lont, który paliłby się kilka minut, a później za pół dnia, za dwie godziny, za godzinę może, zebrana para wydobyłaby się z całą gwałtownością przez otwór krateru.

Ben Raddle stał zamyślony przed tą ścianą, przeklinając swoją bezsilność i niemożność natychmiastowego zrealizowania swego śmiałego pomysłu.

Rozmyślając wsłuchiwał się zarazem w odgłosy coraz wyraźniej dochodzące z wnętrza wulkanu. Wydało mu się nawet, że słyszy tarcie ścierających się odłamów skał, jak gdyby te pod wpływem pary unosiły się i pogrążały równocześnie. Czy takie odgłosy miały być zwiastunami wybuchu?

W tej chwili do jego uszu doleciały wołania. Głos przewodnika przenikał przez otwór kanału.

— Panie Raddle!... Panie Raddle!

— Co się stało? — spytał inżynier.

— Niech pan przyjdzie!... Niech pan przyjdzie! — wołał Bill Stell.

Ben Raddle pomyślał, że banda ponawia atak po raz trzeci, wrócił więc szybko na groblę, na której stali Summy Skim, Jane Edgerton i Bill Stell.

— Czy Teksaszczyki znów nas zaczepiają? — spytał.

— Tak! Nędznicy! — zawołał przewodnik — Ale ani z przodu, ani z tyłu, tylko z góry!

Przy tych słowach wyciągnął rękę w stronę Golden Mount.

— Niech pan patrzy — dodał.

Istotnie, nie mogąc skutecznie zaatakować ani od południa, ani od północy, Hunter i towarzysze zaniechali bezpośredniej walki, aby dokonać ataku, którego wynik zmusiłby wyprawę co najmniej do opuszczenia obozu.

Po wejściu na szczyt wulkanu, bandyci obeszlą płaskowzgórze, zatrzymując się tam, gdzie górowało ono nad namiotami Kanadyjczyków. Za pomocą kilofów i drągów podważyli olbrzymie kamienie i odłamy skał, znajdujące się tam setkami. Wkrótce ciężkie te głazy, wysunięte na brzeg płaskowzgórza, zaczęły spadać jak lawiny, łamiąc, przewracając drzewa, niszcząc wszystko po drodze. Kilka pocisków wpadło nawet do kanału, tak że woda wystąpiła z brzegów. Ben Raddle i jego towarzysze stanęli przy zboczu góry, aby uniknąć tego zabójczego kamieniowania.

W lasku pozostać nie było można. Obóz zniknął pod stosami kamieni rzuconych ze szczytu góry, ludzie zaś szukali schronienia nad brzegiem rzeki, będącej zbyt daleko, aby odłamki skał mogły ich dosięgnąć.

Z całego obozu pozostały tylko szczątki. Dwa wozy zostały zupełnie rozbite, namioty przewrócone i podarte, narzędzia — zniszczone. Trzy muły leżały zabite na miejscu. Inne, oszalałe ze strachu, przebyły jednym skokiem kanał, rozpraszając się po równinie. Była to prawdziwa klęska.

Tymczasem z góry dochodziły dzikie wycia i okrzyki zadowolenia. Banda nie posiadała się z radości na widok tej ostatecznej zagłady. A kamienie, padały wciąż, trącąc się niekiedy po drodze i rozpryskując na drobne odłamy jak kartacze.

— Ależ oni nam zrzucą całą górę na głowę! — zawołał Summy Skim.

— Co robić? — spytał Bill Stell.

— Co trzeba robić, nie wiem — odpowiedział Summy Skim — ale co trzeba było zrobić, to wiem

dobrze! Należało posłać kulę Hunterowi, zamiast dogadywać się z nim!

Jane Edgerton wzruszyła ramionami.

— Są to czcze słowa, a tymczasem z naszego dobytku pozostają tylko szczątki. Ocalmy chociaż wozy, ciągnąc je do rzeki, gdzie będą bezpieczne od pocisków.

— Dobrze — przyznał przewodnik. — A potem?

— Potem? — powtórzyła Jane Edgerton. — Pójdziemy do obozu tych bandytów i tam poczekamy na nich. Będziemy do nich strzelać, gdy będą schodzili, a ich wozy zastąpią te, które nam zniszczyli...

Summy Skim rzucił spojrzenie pełne zachwytu na pomysłodawcą towarzyszkę. Projekt był śmiały, lecz mógł się udać. Hunter i towarzysze nie będą mieli wesołych min, gdy zaczną schodzić ze zbocza Golden Mount pod ogniem dwudziestu karabinów.

Oczywiście opuszczą go dopiero z chwilą, gdy zabraknie im kamieni. Będzie więc dość czasu, aby przejść podnóżem góry na drugą stronę. Jeżeli kilku z bandy pozostało w obozie, łatwo będzie dać sobie z nimi radę. Co do Huntera i reszty bandytów, to czatując, można ich będzie powystrzelać jak wróble.

— Doskonale! — zawołał Summy Skim. — Wołajmy ludzi i przejdźmy groblę. Za pół godziny będziemy na miejscu, gdy ci łotrzy będą potrzebowali przynajmniej dwu godzin, aby zejść.

Ben Raddle, chociaż nie brał udziału w rozmowie, słyszał wszystko, co mówiła Jane Edgerton i przyznawał, że był to jedyny sposób wyjścia z beznadziejnego położenia.

W chwili jednak, gdy Summy Skim ruszył w drogę, kuzyn zatrzymał go ruchem ręki.

— Mam lepszy pomysł — rzekł.

— Cóż takiego? — spytał Summy Skim.

— Oddać bandzie to co jej się należy. Mam gotową straszną broń.

— Broń? — powtórzył Bill Stell.

— Wulkan. Wywołamy jego wybuch i zgładzimy ich co do jednego.

Po krótkim milczeniu inżynier dodał:

— Idźcie do naszych ludzi, trzymając się podnóża góry i wybrzeża morskiego. Tymczasem ja zapalę lont, po czym wrócę do was jak najszybciej.

— Zostanę z tobą, Ben! — powiedział Summy Skim, ściskając rękę inżyniera.

— To zbyteczne — odrzekł ten stanowczym głosem. — Nie grozi mi nawet najmniejsze

niebezpieczeństwo. Lont gotów, jak wiesz, zapalę go w jednej chwili.

Nie można było nalegać. Summy Skim, Jane Edgerton i przewodnik oddalili się, aby połączyć się z ludźmi pozostającymi na brzegu Rio Rubber. Ben Raddle zaś zniknął niebawem w otworze, kryjącym się pod chrustem. Pełzając dotarł do połowy podziemia, po czym zapalił lont z jednej strony od grobli, a z drugiej od ściany i wybiegł szybko w kierunku morza.

W kwadrans później miny wybuchnęły z głuchym odgłosem. Wydało się, że góra zatrzęsała się na tysiące kawałków i woda wpadła gwałtownie do otwartego podziemia. Czy na drugim jego końcu ściana wysadzona została poprzez wybuch? Odpowiedziała na to gęsta para unosząca się nad kraterem, zanim ktoś miał czas postawić sobie to pytanie. Tak, ściana znikła, skoro wulkan wyrzucał z siebie swój zatruty oddech.

Równocześnie głuchy łoskot wydobywał się z podziemi. Wrzenie, wycie, świst wody walczącej z lawą i po zetknięciu się z nią ulatniającej się w postaci pary.

Ogień i woda! Który z tych żywiołów wyjdzie zwycięsko z tej tytanicznej walki? Czy ogień, który gasnąc spowoduje zakrzepnięcie jakiejś przeszkody, a tym samym nie pozwoli wodzie dostać się do wnętrza, czy też woda, która dopiero wtedy ulegnie działaniu ognia, gdy dosięgnie go zwycięsko?

Ostatnia to była zagadka do rozstrzygnięcia, rozwiązanie zaś tej zagadki nastąpić miało niebawem.

Pół godziny, godzina minęła. Woda płynęła potokiem, znikając w podziemiu. Kłęby dymu unosiły się nad wulkanem.

Grupa Kanadyjczyków w całym swym składzie czekała uzbrojona z dala od Rio Rubber nad wybrzeżem oceanu. Nieruchomi, milczący, śledzili niespokojnym wzrokiem działalność wulkanu.

Nagle ziemia zadrżała, straszny pomruk doszedł z jej wnętrza. Po czym stała się rzecz osobliwa. Równina zdawała się falować w nieskończoność w kierunku południowym, a gęsty obłok kurzu, wznosząc się, zakrywał tarczę słoneczną.

Kanadyjczyków ogarnęła trwoga. Nawet najśmielsi odczuwali lęk na myśl, że ich słabe ręce rozpięły tę niezwyciężoną moc natury.

Lecz gniew wulkanu nie trwał długo. Obłok kurzu opadł, ukazując słońce w całej pełni.

Westchnienie ulgi wydobyło się z piersi wszystkich, strwożone tętno zwolniło bieg. Nawet uśmiech rozjaśnił oblicza; zaczęli się rozglądać dokoła.

W otoczeniu pozornie nic się nie zmieniło. Fale rzeki ginęły w otchłani oceanu, a fale oceanu rozbijały się o wybrzeże. Golden Mount, niby olbrzym dotknięty nieznaczną, lecz śmiertelną ranką, wznosił swe dumne czoło ozdobione pióropuszem z dymu i płomieni, obojętny na potok wody, który zalewał jego rozległe wnętrze.

I znów upłynął kwadrans. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, nastąpił straszny wybuch.

Część góry runęła, wpadając do morza. Olbrzymia fala zasłoniła horyzont. Z krateru unosiły się kawałki zakrzepłej lawy, popiół oraz kamienie, a dym i płomień wirując z hałasem wznosiły się ku niebu na pięćset metrów.

Od tej chwili wybuch za wybuchem przerywały ciszę. Wulkan, z coraz większą wściekłością, wyrzucał z siebie ogniste pociski. Jedne z nich wracały do krateru, inne opadały ze świstem w fale oceanu.

— Ależ... niech Bóg mi wybaczy! — wyszeptał Summy Skim oprzytomniawszy — nasze złoto spada do morza.

Ta sama uwaga nasunęła się Benowi i przewodnikowi, nie mogąc jednak wymówić ani słowa, zachowali ją dla siebie. Ich rozczarowanie i rozpacz nie miały granic.

Tak więc przedsięwzięto tę podróż, walczono z mocami natury, podjęto tyle wysiłków, tyle trudu, aby doczekać się takiego końca!

Ben Raddle nie omylił się. Wprowadzając wodę do wnętrza wulkanu, wywołał wybuch. Ale na tym kończyła się jego władza. Wybuch nastąpił w warunkach od niego niezależnych, więc cała wyprawa spełzła na niczym.

Wulkan, którego działalność przyśpieszył, wymknął się spod jego woli. Wstrzymać wybuchu nikt nie był w stanie. Ziemia drżała, jak gdyby miała się rozpaść. Syk płomieni, świst pary przenikały powietrze. Szczyt zniknął za obłokiem ognistego dymu i duszących gazów. Niektóre odłamy, wyrzucone w powietrze jak pociski, rozpryskiwały się na złoty proszek.

— To nasze złoto! — skarżył się Summy Skim. Na widok ten wszyscy spoglądali z trwogą.

Nie myśleli w tej chwili o Teksaszczykach, lecz o tych najbogatszych złożach złota, które w tej chwili znikają bezpowrotnie w Oceanie Lodowatym.

Wyprawa nie potrzebowała się już obawiać Huntera i jego bandy. Zaskoczeni wybuchem, nie mieli czasu schronić się przed nim. Być może płasko wzgórze runęło wraz z nimi... Może zostali pochłonięci przez krater?... Może wyrzuceni w powietrze, spoczywali w tej chwili na dnie oceanu...

Ben Raddle pierwszy odzyskał zimną krew.

— Chodźcie!.. Chodźcie! — zawołał.

Za jego przykładem udano się prawym brzegiem rzeki, którą przeszli w bród poza kanałem, na równinę wzdłuż podnóża Golden Mount. Po dwudziestu minutach znaleźli się w obozie Teksaszczyków.

Kilku pozostałych w nim ludzi, widząc, że są osaczeni, uciekło do lasu, podczas gdy konie, przestraszone łoskotem wybuchu i wystrzałami z karabinów, rozproszyły się po łące.

Kanadyjczycy zawładnęli opuszczonym obozem, po czym spojrzeli na urwiste zbocza góry.

Wybuch wulkanu dokonał dzieła zniszczenia. Z bandy Huntera pozostało przy życiu zaledwie kilku ludzi, którzy w szalonej trwodze, całkiem zresztą zrozumiałej, uciekali z Golden Mount, narażając się na złamanie rąk i nóg.

Między nimi zauważono poważnie rannego Huntera. Był w odległości stu metrów od równiny. Bandaż na jego głowie świadczył o śladach przedwczorajszego upadku, który przyprawił go o głębokie omdlenie.

Nieszczęśliwi, widząc, że ich obozowisko jest zajęte, wydali okrzyk rozpacz, a nie mając nic do stracenia, skręcili na północ, starając się dostać, wybrzeżem do lasu.

Dwóm z nich nie było sądzone tam dotrzeć.

W chwili, gdy Hunter, podtrzymywany przez dwu towarzyszy, miał się udać w tym kierunku, ogromny odłam skały wzniosł się nad wyjącem kraterem. I wtedy stała się rzecz osobliwa. O ile inne pociski padały zawsze do oceanu, ten jeden odłam, zbacząc z nieznanych przyczyn, zakreślił parabolę kierując się na południe i z matematyczną dokładnością runął na trzech uciekających Teksaszczyków.

Jeden z nich, szczęśliwy, że uniknął wypadku, uciekł krzycząc. Drugi został zmiażdżony na miejscu.

Hunter zaś, przewracając się z miejsca na miejsce, ze skały na skałę, upadł bez życia u podnóża góry.

Przez ten czas, odłam skały, wyprzedziwszy swą ofiarę, staczał się po zboczu, aż wreszcie zwolniwszy, zatrzymał się powoli u stóp Bena Raddle'a.

Inżynier nachylił się. Pod wyszczerbieniami spowodowanymi przez ciągłe uderzenia błysnął złoty kruszec o blasku metalicznym. Inżynier, silnie wzruszony, poznał że odłam, spełniający wyrok sprawiedliwości, był bryłą szczerego złota.

Jane Edgerton, Summy Skim i Ben Raddle stoją wobec zagadki

Tak więc złoto gorąco pożądane przez Huntera przypadło mu w udziale wraz ze śmiercią. Jakże pragnął tego cennego a tak szkodliwego kruszcu! Ile zbrodni popełnił, ile jeszcze miał popełnić, aby zdobyć jego część! I, jak gdyby ironią losu, to samo złoto roztrzaskało mu czaszkę, pod którą rodziły się jego zbrodnicze zamiary!

Ben Raddle odruchowo zmierzył okiem wartość zadziwiającego pocisku i ocenił go na sumę nie mniejszą niż sto tysięcy franków. Ta bryła złota, będąca jego niezaprzeczoną własnością, wystarczyłaby na pokrycie kosztów nieszczęśliwej wyprawy i pozwoli wynagrodzić skromnie każdego jej uczestnika.

Co za opłakany rezultat wobec olbrzymich zysków, na jakie liczyli! Z nieprzeliczonych skarbów wulkanu dostał im się ten oto jeden jedyny okaz!

Bez wątpienia zjawienie się Tekszańczyków pokrzyżowało plany Bena Raddle'a. Chcąc obronić wyprawę, musiał przyspieszyć wybuch wulkanu. Ale gdyby nawet mógł swobodnie rozporządzać czasem, złoto byłoby stracone dla niego. Wulkan Golden Mount wyrzucał bowiem substancje wulkaniczne od strony wód oceanu.

— Największym nieszczęściem było to — rzekł przewodnik, gdy uspokojono się nieco — że krater wulkanu był niedostępny, gdy tu przybyliśmy.

— Istotnie — przyznał Summy Skim. — Jacques Ledun sądził, że wulkan przerwał ostatecznie swą działalność, tymczasem ten wypoczywał tylko. Szkoda, że nie wziął się do pracy kilka tygodni później...

Ta niefortunna okoliczność przyczyniła się do niepowodzenia Bena Raddle'a. Pozostanie on już na zawsze niepokieszony.

— Mój biedny Benie — mówił Summy Skim — trzeba mieć trochę odwagi i filozoficznie patrzeć na rzeczy! ... Wyrzeknij się swych marzeń i ciesz się szczęśliwym pobylem w naszym drogim kraju, którego nie widziałeś od osiemnastu miesięcy.

Ben Raddle uściskał dłoń kuzyna i opanowując swój smutek, zajął się urządzeniem nowego obozu.

Należało go rozłożyć w miejscu zabezpieczonym od skutków działania wulkanu nawet wówczas, gdyby wylew lawy zmienił kierunek. Zresztą postój ten miał być krótki, nie było bowiem potrzeby dłuższego pobytu w tych podbiegunowych krainach.

Miejsce na postój wybrano dwa kilometry w górę biegu Rio Rubber, po czym wysłano dziesięciu

ludzi mających zebrać wszystko, co pozostało z dawnego obozu. Inni zaś udali się do obozu wrogów i zabrali zeń cały dobytek, ładując go na ich własne wozy. Reszta członków wyprawy rozbiegła się po równinie, aby złapać zbiegłe konie.

Przed wieczorem nowy obóz urządzony został dość wygodnie.

Noc minęła spokojnie. Czuwano z nadmiernej może ostrożności, gdyż obawiać się można było jedynie powrotu pozostałych przy życiu bandytów. Ciszę nocną przerywał jednak tylko groźny głos wulkanu.

Na tle nocnego mroku wybuch był wspaniałym widokiem. Drobiny złota, rozpalone do białości i wyrzucane potężną mocą wulkanu, stworzyły coś na kształt okrągłego sklepienia nad kraterem. Nad tym zaś sklepieniem płomienie sięgały obłoków i oświetlały ponurym światłem całą okolicę aż do granic horyzontu.

Woda kanału znikła wciąż we wnętrzu góry. Jeżeli przypadek nie zabliźni rany zadanej jej zboczem, ileż tygodni i miesięcy wody rozległego ujścia płynąć będą w otchłań podziemia?

— Kto wie — rzekł przewodnik do Summy Skima — czy ta powódź nie zdoła w końcu zgasić ognia wulkanu?

— To bardzo prawdopodobne, ale na miłość Boga, nie mów tego Benowi. Gotów czekać!... A przecież teraz nie mamy co zbierać w kraterze!

Próżne były obawy Summy Skima. Ben Raddle wiedział, czego się trzymać i trzymał się tego z całą konsekwencją. Jeszcze raz poddał się zrządzeniu losu. Działka 129 zniknęła pod wodą, Golden Mount wyrzucił swe skarby do morza; były to fakty, którym nie mógł przeciwdziałać, postanowił więc nie zaprzętać nimi swych myśli. Dla niego te dwa rozczarowania były przeszłością, zwrócił się więc z całą energią ku przyszłości.

Przyszłość, przynajmniej przyszłość najbliższa, było to Dawson. I Bóg tylko wiedział, dlaczego miasto, do którego dążył, ograniczało się dla niego do pewnego pokoju w szpitalu, w którym złotowłosa dziewczyna mówiła mu rzeczy kojące i mądre. Być może myśli jego dążyły do Dawson jedynie prawem kontrastu. Wśród chaosu, który go otaczał, wywoływał mimowolnie, jakby dla wewnętrznej równowagi, ten pogodny obraz.

Nazajutrz, o piątej rano, oświadczył swym towarzyszom, że dziś jeszcze chciałby rozpocząć drogę powrotną. Spodziewał się sprzeciwów. Nie było ich. Nadzieja, a z nią odwaga, opuściły obecnych. Wszyscy wydali westchnienie ulgi na wieść o rychłym powrocie.

Przed wyruszeniem w drogę Ben Raddle i przewodnik obeszlili po raz ostatni podnóże wulkanu. Może wybuch wyrzucił z tej strony kilka odłamków złotodajnego kwarcu?

Niestety. Odłam skały, który po zgładzeniu Huntera zatoczył się aż do nóg inżyniera, był jedyną pamiątką, która wraz z nimi dotrze do Kanady.

Wybuch nie zmienił kierunku. Wszystkie substancje: kamienie, żużel, lawa i popiół, bez przerwy

wpadały do morza, niekiedy nawet o dwa kilometry od wybrzeża. Wybuch nie stracił na sile i niepodobieństwem było osiągnąć szczyt Golden Mount.

W tym samym czasie, gdy Ben Raddle i przewodnik badali okolice wulkanu, Jane Edgerton zbliżyła się do Summy Skima, który spokojnie palił fajkę. Jak wówczas, gdy po raz ostatni schodzili ze szczytu góry, Jane czuła się zmęczona, co dodało jej jeszcze wdzięku.

— Niech mi pan wybaczy — rzekła z pewnym zmieszaniem — że nie podziękowałam panu jak należy, ale dopiero dziś rano dowiedziałam się, jaki nowy dług wdzięczności zaciągnęłam względem pana.

— Któż był tym gadułą? — zaczął Summy Skim podrażnionym głosem.

— Patrick powiedział mi wszystko — przerwała Jane łagodnie. — Wiem, że życie zawdzięczam pańskiej przytomności i pańskiej odwadze... Kiedyś — dodała z nieśmiałym i wzruszającym uśmiechem — miałam śmiałość powiedzieć panu, że spłaciłam swój dług wdzięczności. Przyznaję dzisiaj, że nie potrafię spłacić go nigdy.

— To Patrick zawrócił pani głowę niepotrzebnie — odpowiedział wymijająco Summy. — Jest on w takim razie bardzo skromny, gdyż właściwie to tylko jego zasługa.

— Nie, panie Skim — odezwała się z większym zapalem. — Wiem, jaką rolę odegrał w tym Patrick i zachowam w swym sercu miejsce dla niego, do którego ma prawo. Ale wiem również, jaki pan wziął w tym udział.

— Mój udział? — zaprzeczył Summy. — Ja odegrałem tylko rolę myśliwego i nic więcej. Myśliwy widzi przed sobą uciekającą zdobycz i celuje do niej. To bardzo proste...

Summy zatrzymał się nagle i udając gniew, zawołał:

— A zresztą, dość już tego. Nie chcę, aby mi wspomiano o tej sprawie.

— Niech i tak będzie — zgodziła się Jane Edgerton. — Mówić o niej nie będę, ale myśleć — zawsze.

Wyprawa ruszyła w drogę o godzinie ósmej. Inżynier i Summy Skim szli na czele, a za nimi Jane Edgerton na wozie powożonym przez Neluta. Wozy, naładowane całym dobytkiem ciągnęły pod nadzorem przewodnika.

Zapasy żywności były obfite, gdyż polowanie i połów ryb pozwoliły zaoszczędzić większość konserw. Zresztą po drodze nie brak będzie kaczek, kuropatw i grubszej zwierzyny.

Pogoda była niepewna, co zresztą nie było dziwne o tej porze roku. Należało jednak mieć nadzieję, że w końcu sierpnia dotrą do stolicy Klondike, jak również, że zbytni chłód nie będzie im dokuczał na nocnych postojach.

Gdy wyprawa zatrzymała się na ranny posiłek, Golden Mount był jeszcze widoczny na horyzoncie.

Ben Raddle wpatrywał się w jego zarys, nie mogąc oderwać oczu od dymu, unoszącego się ze szczytu wulkanu.

— Przestań już, przestań, Ben — rzekł mu Summy Skim. — Złoto zamienia się w dym, jak wiele innych rzeczy na tym świecie. Nie myślmy już o tym. Musimy teraz patrzeć nie w tę stronę, lecz w tamtą.

Przy tych słowach Summy wyciągnął rękę na południowy wschód, mniej więcej w kierunku jego drogiego Montrealu.

Za wspólną zgodą Ben Raddle i przewodnik obrali nową drogę powrotu. Zamiast zbaczać na wschód, a tym samym przejść obok Fort Mac Pherson, miano się udać w prostej linii na południe. Tym sposobem droga będzie o wiele krótsza. Wody zaś nie zabraknie w tej okolicy nawadnianej licznymi rzeczkami, szczególnie przy źródłach Porcupine River.

Gdy dzień miał się ku końcowi, podróżni zwrócili uwagę na liczne szczeliny w ziemi, które trzeba było nieustannie omijać, a które wpływały na znaczne opóźnienie podróży. Gdyby przeszkoda ta ciągnęła się dłużej, trzeba byłoby zboczyć na prawo lub na lewo, dopóki nie natrafiliby się na grunt odpowiedniejszy do jazdy.

Na szczęście po przejściu kilku kilometrów sytuacja zmieniła się na lepsze. Szczeliny, choć coraz głębsze, stawały się w zamian coraz rzadsze. Stopniowo zbliżały się do siebie, aż wreszcie spotykano tylko szerokie wyrwy ziemi, jak gdyby utworzone z kilku mniejszych, które dały im początek.

Zjawisko to powtarzało się z matematyczną niemal dokładnością. W odległości sześćdziesięciu kilometrów od Golden Mount, była już tylko jedna, ale tak wielka szczelina, że należało ją nazwać wąwozem. Pęknięcie to, głębokie na piętnaście metrów, a szerokie na sześćdziesiąt, z poszczerbionymi brzegami, jak gdyby po nagłym wstrząsie, ciągnęło się z północy na południe z lekkim zboczeniem na zachód. Szło jakby prawie w prostej linii do Dawson, wyprawa trzymając się więc jego wschodniego krańca, nie potrzebowała się obawiać, że zboczy z linii prostej.

Osobliwa ta szczelina dostarczyła obfitego tematu do rozmów. Olbrzymi rów ciągnął się w nieskończoność, nie zmieniając swego kierunku. Z jego zboczy, na których nie rosła najmniejsza kępka trawy, z cząstek humusu, którego nie zmył jeszcze żaden deszcz, wnioskować było można, że powstał niedawno. Jaka siła mogła dokonać tego olbrzymiego dzieła w przeciągu jednej chwili?

— To Golden Mount — odpowiedział Summy Skimowi Ben Raddle, gdy został o to zapytany. — To wtórny wpływ działania wulkanu. Przed wybuchem, o ile sobie przypominasz, odczuliśmy gwałtowny wstrząs ziemi, a z południa horyzont przez jakiś czas był zasłonięty tumanem kurzu. Wiesz teraz, skąd pochodził ten pył.

— W takiej odległości od góry? — zawołał niedowierzająco Summy Skim.

— Nie jest to wcale rzeczą dziwną — odrzekł inżynier. — Bardzo często wulkany są przed wybuchem powodem takiego rodzaju niespodzianek i to na daleko większej odległości. Lecz

wszystko się uspokaja, gdy tylko wewnętrzne ciśnienie zdoła znaleźć dostateczne ujście przez krater, co właśnie zaszło w tym wypadku.

Dopiero 12 sierpnia przebyto koło podbiegunowe. Droga, choć krótka, była za to gorsza i nie można było pokonać więcej niż dwanaście do piętnastu kilometrów dziennie. Przewodnik żałował mocno, że nie trzymał się dawnej drogi przez Fort Mac Pherson.

Na szczęście zdrowie dopisywało wszystkim. Silni Kanadyjczycy, przyzwyczajeni do trudów, nie odczuwali wcale zmęczenia...

Szeroka szczelina, powstała wskutek działalności wulkanu, towarzyszyła podróżnym w ich drodze na południe. Jednakże sto kilometrów poza kołem podbiegunowym zmniejszyła się. Brzegi jej zbliżały się, a dno podnosiło coraz wyżej. Zmiana ta jednak następowała powoli i swą wierną towarzyszkę podróży stracili z oczu dopiero pięćdziesiąt kilometrów dalej, gdy zбочyli bardziej na zachód. Zmieniła się w uskok gruntu i zniknęła na zachodnim krańcu horyzontu.

Wzgórza, okalające stolicę Klondike ukazały się dopiero 3 września. Było kilka minut po południu, gdy zatrzymano się przed Northern Hotel.

Przed drzwiami hotelu nastąpiło rozstanie. Patrick i Neluto udali się do domu na przedmieściu, gdzie spodziewali się zastać ich przyjaciela Lorique'a. Przewodnik zaprowadził swoich ludzi i dobytek powiększony o własność Huntera do swego składu w Dawson. Dawni zaś pracownicy działki 129 rozproszyli się po mieście, szukając dla siebie pomieszczeń.

Tymczasem Jane Edgerton, Summy Skim i Ben Raddle, którzy pomimo ciężkich przygód nie zapomnieli o wymogach cywilizacji, oddali się z rozkoszą zabiegom toaletowym. Nie zważając na wygórowane ceny, zażyli kąpeli, odwiedzili fryzjera, krawca i krawcową, jak również sklepy z bielizną. Około trzeciej wypoczęci i wyświeżeni, spotkali się w holu Northern Hotel.

Jane, spragniona powitania kuzynki, podążyła do szpitala, Ben i Summy zaś udali się do biura Anglo-American Transportation and Trading Company, aby odebrać złożone tam pieniądze. Bryła złota, przywieziona przez nich z Golden Mount, nie mogła bowiem zastąpić brzęczącej monety, tak bardzo im teraz potrzebnej.

Kiedy Summy podał czek urzędnikowi, ten, z początku obojętny, rzuciwszy okiem na podpis, zamknął z wystraszoną miną okienko, po czym za kratą powstał jakiś niezwykle ruch, który zwrócił uwagę kuzynów.

Widząc, że sporo czasu upłynie zanim zostaną załatwione wszelkie formalności związane z wypłatą czeku, obaj kuzyni podeszli do drugiego okienka, aby spieniężyć bryłę złota zdobytą w tak tragicznych okolicznościach. Gdy urzędnik o eleganckich manierach zobaczył tę niezwykle bryłę, zachował się inaczej niż jego kolega od bieżących rachunków. Ruchem rąk i zdumieniem na twarzy wyrażał zachwyt nad tym wspaniałym okazem. Istotnie było na co patrzeć. Oczyszczona z warstwy kwarcu bryła świeciła żółtym piaskiem, odbijając na swej powierzchni jaskrawo promienie dziennego światła.

Przedstawiciel Trading Company po chwili zachwytu zajął się jej ważeniem. Ocena nie trwała długo.

— Dwadzieścia tysięcy sześćset trzydzieści dwa dolary, pięćdziesiąt centów — oznajmił niebawem.

Ben Raddle potwierdził ruchem głowy.

— Na nazwiska panów...? — spytał urzędnik, trzymając pióro zawieszane nad papierem.

— Summy Skim i Ben Raddle — dokończył inżynier.

Jak i w pierwszym przypadku okienko zamknięto szybko i znów powstał za kratą ten niezwykły ruch, który już zaniepokoił obu kuzynów.

Upłynęło kilka minut. Ben Raddle, mało cierpliwy z natury, zaczął głośno wyrażać swe niezadowolenie, gdy urzędnik, na wyższym niż poprzedni stanowisku, zbliżył się do Summy Skima i Bena Raddle'a, prosząc aby byli łaskawi mu towarzyszyć, gdyż pan William Broll chciałby z nimi pomówić.

Obaj kuzyni, niemało zdziwieni tym uprzejmym zaproszeniem, podążyli za urzędnikiem do wicedyrektora i wkrótce stanęli przed nim.

— Wybaczą panowie — rzekł — że ich niepokoję. Ale dałem zlecenie, aby przy pierwszym pojawieniu się jednego z panów u nas, dano mi znać o tym. Miło mi, że mogę powitać obu panów równocześnie.

Summy Skim i Ben Raddle skłonili się grzecznie, lecz obojętnie.

— Nie mogłem, pojmą to panowie łatwo — ciągnął dalej wicedyrektor — pozwolić panom odejść, nie przywitawszy najważniejszych klientów naszej firmy.

Obaj kuzyni równocześnie spojrzeli na rozmówcę. Czyżby pan William Broll nagle oszalał? A może Anglo-American Transportation and Trading Company doszła do takiej nędzy, że ich marny kredyt miał tak wielkie znaczenie w jej bilansie?

— Ach! — mówił tymczasem wicedyrektor — musieli panowie nieraz śmiać się z nas i mieli panowie do tego zupełne prawo. Ależ nie mieliśmy — wyczucia! Jak sobie pomyślę, że powstrzymał nas ten marny spór o granicę! Jak sobie pomyślę, że ocenialiśmy na pięć tysięcy dolarów — tak pięć tysięcy dolarów! — własność panów!... Zresztą, nie potrzebuję się obawiać, żeby panowie nam robili wymówki za nasze zaślepienie, skoro nam panowie zawdzięczają, że jesteście nadal szczęśliwymi posiadaczami działki 129.

— Działki 129? — powtórzyli jednocześnie Summy Skim i Ben Raddle wprost oszołomieni.

— Cudownej; niezwykłej, nadzwyczajnej działki 129!...

Jeżeli zaś wicedyrektor zatrzymał potok swej mowy na tych trzech przymiotnikach, to dlatego tylko, że na razie słów mu zabrakło!

— Przepraszam pana, ale... — zaczął Summy Skim głosem zdławionym. Ben Raddle, który we wszystkich okolicznościach życiowych odzyskiwał szybko równowagę, przerwał mu.

— Cóż robić, panie wicedyrektorze, w interesach wszystko zależy od przypadku — rzekł zwykłym głosem. — Panowie powetują to sobie przy innej sposobności.

— Podobnej nie znajdziemy nigdy — odezwał się z przekonaniem William Broll. — Ani w Klondike, ani gdzie indziej nie istnieje kopalnia, którą porównać można z działką 129. Zapewne, przynaję, panowie mieli dużo kłopotów. Musieli panowie walczyć na wszystkie strony i ku naszemu wielkiemu żalowi przysyłali nam panowie zaledwie od czasu do czasu jakiś niewielki wkład. Ale obecnie jesteście wynagrodzeni po królewsku, jak o tym świadczą wkłady, które nam panowie przysyłacie codziennie od miesiąca.

— Codziennie? — zauważył Summy Skim.

— Albo prawie codziennie.

— Pan mówi od miesiąca? — nalegał Ben Raddle głosem coraz pewniejszym.

Wicedyrektor zastanowił się chwilę, szukając w pamięci.

— Ależ tak — rzekł — prawie miesiąc temu otrzymaliśmy pierwszą przesyłkę.

— Doprawdy? — rzekł Ben Raddle dobrodusznie.

— Zresztą, jeżeli panowie życzą sobie bliższych szczegółów, sprawdzimy je w księgach rachunkowych.

Przy tych słowach nacisnął dzwonek. Urzędnik zjawił się prawie natychmiast.

— Niech pan mi przyśle — rzekł wicedyrektor, zwracając się do niego — rachunek bieżący panów Summy Skima i Bena Raddle'a, właścicieli działki 129.

Urzędnik oddalił się.

— Przy tej sposobności będę mógł panom podać dokładną sumę, która się im należy. Jest to dość zajmujące! — zawołał William Broll, śmiejąc się głośno.

Przyniesiono księgę. Wicedyrektor rozłożył ją przed sobą.

— Mogą panowie przekonać się sami — odezwał się. — Mamy dziś 3 września, a pierwsza przesyłka przyszła 5 sierpnia...

— 5 sierpnia! — pomyślał Summy Skim.

W rok po zalaniu działki 129 i w tym samym dniu!

— Co zaś do sumy wkładu — ciągnął dalej wicedyrektor, wodząc wzrokiem po długiej kolumnie cyfr — gdzież ona... o... znalazłem. Może panowie zechcą ją zapisać?

Ben Raddle, wzięwszy ołówek do ręki, notował co następuje:

— Trzy miliony trzysta osiem tysięcy czterysta trzydzieści jeden dolarów dziewięćdziesiąt centów... I to bez dzisiejszego wkładu, który podnosi ogólną sumę do trzech milionów trzystu dwudziestu dziewięciu tysięcy sześćdziesięciu czterech dolarów czterdziestu centów.

Inżynier zapisywał te zawrotne sumy pewną ręką. Jeżeli Summy Skim, obawiając się o swój rozsądek, postanowił nie myśleć o tym wcale, Ben Raddle — przeciwnie — zastanawiał się nad tym, pozwalając panu Williamowi Brollowi ciągnąć dalej swą kwiecistą mowę.

— Ach! A ten wkład dzisiejszy!... Przewyższa wspaniałością wszystkie inne, nie wartością oczywiście, lecz osobliwym pięknem!... Co za bryła, na Boga!... Przypuszczam, że jest ona jedyna w świecie i tylko działka 129 może się poszczycić takim okazem...

Ben Raddle zakończył swe rozmyślenia. Nie ulegało wątpliwości, że dyrektor oszalał i to na dobre. Zresztą można się było przekonać o tym w każdej chwili. Odezwał się więc głosem obojętnym.

— Przyszliśmy tu z zamiarem zrealizowania drobnego czeku na tysiąc dolarów, ale — ponieważ jesteśmy tylko przejazdem w Dawson — zdecydowałem, że podjęcie większej sumy będzie dla nas rzeczą wskazaną.

— Do pańskich usług — odpowiedział wicedyrektor. — Jaką sumę życzą sobie panowie?

— Sto tysięcy dolarów — odrzekł Ben Raddle chłodno.

Nareszcie prawda wyjdzie na jaw. Jeżeli wicedyrektor oszalał, nie można było stąd wnioskować, że wszyscy urzędnicy biurowi ulegli również obłędowi. Żart skończy się z chwilą, gdy trzeba będzie wypłacić tę olbrzymią sumę.

— Do pańskich usług — powtórzył pan Broll, odpowiadając na żądanie inżyniera. — Ponieważ potrzeba trochę czasu na odliczenie tych stu tysięcy dolarów, odeślemy je więc panom do hotelu za pokwitowaniem.

„Długo na to poczekamy” — myślał Ben Raddle, żegnając się z wicedyrektorem, który z największą uprzejmością odprowadził gości aż do drzwi. Summy wychodził z powolnością małego dziecka.

— Co myślisz o tym wszystkim, Ben? — wyjąkał, gdy znaleźli się na ulicy.

— Nic — odpowiedział Ben Raddle bardziej wzruszony, niż się wydawało. Nie mówiąc nic więcej, kuzyni doszli do Northern Hotel.

Gdy weszli do holu, zastali tam Jane Edgerton, która oczekiwała ich z niecierpliwością. Oblicze młodej dziewczyny, całe we łzach, wyrażało niezwykle wzruszenie. Malował się na nim straszny niepokój.

Na ten widok Summy Skim zapomniał o fantastycznej rozmowie z wicedyrektorem Anglo-American Transportation and Trading Company. Podbiegł do Jane Edgerton i ściskając serdecznie jej ręce zapytał:

— Co się stało, miss Jane?

— Moja kuzynka zniknęła — odpowiedziała, tłumiąc na próżno łzy. Tym razem Ben Raddle zaniepokoił się.

— Miss Edith zniknęła? — rzekł drżącym głosem. — To niemożliwe!

— To absolutnie pewne — odparła Jane Edgerton. — Wiem o tym od doktora Pilcoxa.

— Czy doktor podał pani jakieś szczegóły?

— Powiedział mi, że Edith opuściła go nagle, bez uprzedzenia, 25 lipca.

— Nie mówiąc nic o powodzie swego wyjazdu?

— Nie.

— Nie mówiąc, dokąd zdąży?

— Wcale. Dodała tylko, że planuje wrócić z początkiem zimy.

— I doktor nie wie, dokąd się udała?

— Nie wie.

— A to wypadek! — zawołał inżynier pod wpływem głębokiego wzruszenia.

W tej chwili wszedł służący z wiadomością, że jakiś pan chce widzieć pana Summy Skima i Bena Raddle'a.

— Proś go tutaj — odpowiedział machinalnie inżynier.

Przybyły trzymał w ręku torbę dość wielkiej objętości.

— Przynoszę panom z polecenia pana Williama Broiła żądane sto tysięcy dolarów i proszę o pokwitowanie — rzekł urzędnik.

Mówiąc te słowa, zaczął wyjmować z torby paczki banknotów, które stopniowo rozkładał na stole.

— Może panowie zechcą sprawdzić?

Ben Raddle, opanowawszy wzruszenie, przeliczył systematycznie pieniądze.

— Zgadza się — rzekł.

— Panowie zechcą podpisać pokwitowanie?

Ben Raddle uczynił to ze spokojem, ale Summy Skimowi kuzyn musiał wskazać miejsce podpisu, prawie prowadzić jego rękę. Summy był jak we śnie i jak gdyby nie z tego świata.

Ben Raddle odprowadził urzędnika do drzwi, po czym wrócił do Jane Edgerton i kuzyna, którzy stali naprzeciwko siebie, wpatrując się w stos banknotów.

Summy Skim był wciąż półprzytomny. Jane Edgerton nadal płakała, ale spoza łez spojrzała na inżyniera pytająco.

Ben Raddle nie był w stanie wdawać się w rozmowę i objaśniać to; czego sam nie rozumiał. Dotąd panował nad sobą, lecz teraz nastąpiła reakcja — czuł się doszczętnie zmęczony i wyczerpany; ruchem ręki dał znać, że będzie mówił później.

Chwilę stali tak nieruchomo na środku holu. Potem, prawie jednocześnie osunęli się na stojące w pobliżu fotele, opierając zmęczone głowy o ich wysokie i wygodne oparcia. Długo pozostawali w tej pozycji, niby Edypowie bezsilni wobec zagadek Sfinksa, podczas gdy na zewnątrz gwar miasta ustawał, a cienie zmroku spływały na okolicę.

XVI

Ex abysso resurgit*

Nie wiadomo, czy stan przygnębienia, w którym znajdował się Ben Raddle, trwałby długo. Było to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę jego energiczne usposobienie. W każdym razie okoliczności nie pozwoliły, aby przygnębienie minęło samo przez się.

W chwili, gdy zapalono światła na ulicach Dawson, służący oznajmił po raz drugi przybycie jakiegoś nieznanego, który chciał się widzieć z panem Summy Skimem.

Był nim Neluto. Nie przychodził z żadną nadzwyczajną wieścią. Chciał tylko zawiadomić, że Patrick i on nie mogą zamieszkać w domu na przedmieściu z tej prostej przyczyny, że Lorique wyjechał przed miesiącem, zamykając dom na dobre.

Wyjazd Lorique'a nie zdziwił bynajmniej Bena. Przypuszczał bowiem, że nadzorca znalazł sobie odpowiednią pracę. Być może zajął się poszukiwaniami na rzecz swego dawnego pana.

Ale pojawienie się Neluta wystarczyło, aby pobudzić do czynu Bena. W jednej chwili otrząsnął się ze swego przygnębienia i powziąwszy szybko decyzję, odezwał się do Neluta:

— Neluto! — rzekł zatrzymując wychodzącego Indianina.

— Słucham, panie Raddle.

— Neluto, jedziemy jutro na działkę 129.

— Na działkę 129! — powtórzył zdziwiony Neluto.

— Tak. Wobec tego zamknięcie domu nie ma żadnego znaczenia, musisz bowiem wyrzec się snu dzisiejszej nocy.

Ben Raddle wziął ze stołu paczkę banknotów.

— Masz dwa tysiące dolarów. Dam ci więcej, jeżeli będzie potrzeba. Nie oszczędzaj pieniędzy, byle tylko jutro o świcie stał przed bramą wóz, w którym moglibyśmy się zmieścić wszyscy.

— Jutro rano! — zawołał Neluto. — Przecież to już noc, panie Raddle.

— Nalegaj, prosz, groź, a przede wszystkim rozdawaj dolary pełnymi garściami. To najlepsza droga. Zresztą, rób co chcesz, byle wóz był gotów na jutro rano.

Neluto westchnął.

— Spróbuję — rzekł, wybiegając szybko.

Po wyjściu Indianina zjawił się doktor Pilcox, jak zawsze uprzejmy i jowialny, aby przywitać przybyłych podróżnych. Jako lekarz zapytał najpierw o zdrowie.

— Jakże się panowie miewają? — spytał.

— Jak pan widzi — odpowiedział Summy Skim.

— A zadowoleni jesteście z podróży?

— Jak pan myśli?

— Przypuszczam... Taka piękna podróż!

— Nie zgadł pan. Jesteśmy zadowoleni, że... powróciliśmy!

Po czym Summy Skim opowiedział o przygodach wyprawy, o Teksańczykach, ich napaściach, o wybuchu wulkanu wywołanym sztucznie, wreszcie o bezowocności wysiłków, gdyż wszystkie złote bryły oprócz jednej leżą obecnie na dnie Oceanu Lodowatego.

— A cóż to za wulkan — rzekł doktor — który nie potrafił nawet zwymiotować w dobrą stronę... Doprawdy, czy warto mu było zadać emetyku?

A przez to lekarstwo doktor rozumiał potok wody, który skierowano do żołądka wulkanu.

Na pociechę powtarzał tylko z pewną, czysto lekarską odmianą to, co Summy Skim powiedział już Benowi:

— Bądźcie filozofami! Filozofia jest najbardziej higieniczną rzeczą pod słońcem. Higiena zaś to zdrowie, a zdrowie to najcudowniejsza z brył złotych!

Ben Raddle nie pozwolił odejść doktorowi nie spytawszy go o Edith. Nie dowiedział się żadnych nowych szczegółów.

Pewnego dnia Edith wyjechała nagle, obiecując, że powróci przed zimą. Doktor musiał zadowolić się tym zapewnieniem, a Ben Raddle był zmuszony iść za jego przykładem wzdychając ciężko.

Nazajutrz przed świtem wynajęty wóz stał przed bramą hotelu. Neluto przeszedł samego siebie. Zapasy żywności, broń, rzeczy niezbędne w podróży, niczego nie brakowało, nie mówiąc już o wygodnym wozie zaprzężonym w dwa rosłe konie. Wyruszone więc o świcie.

Ale jeżeli pieniądze sypane hojną ręką mogły zapewnić im wygodną jazdę, nie miały one żadnego wpływu na zmniejszenie liczby kilometrów. Aby je przejechać, trzeba było w zeszłym roku poświęcić trzy dni; ten sam czas był potrzebny obecnie, aby dostać się na działkę 129.

W Fort Cudahy należało minąć Forty Miles Creek przy jej dopływie. Według objaśnień danych przez tubylców prawy brzeg rzeki już przeszło od miesiąca był nie do przebycia w pobliżu granicy. Stosując się do tych ostrzeżeń, czterej podróżni postanowili przejechać rzekę i trzymać się jej lewego

brzegu.

Wzdłuż całej drogi, a szczególnie w Fort Cudahy mówiono powszechnie o działkach położonych w górnym biegu Forty Miles Creek. Sądząc z tych rozmów można było wnioskować, że dokonano jakichś nadzwyczajnych odkryć w tej okolicy i że znajdują się tam kopalnie o niesłychanej wartości.

Na próżno jednak Ben Raddle wrzał z niecierpliwości. Konie, obojętne na jego zapał, nie zwiększyły liczby kroków, dopiero więc 6 września, o pierwszej po południu, zbliżono się do granicy.

Okolica ta zmieniała się nie do poznania.

Przez większą część drogi podróżni nie zauważyli znaczniejszych zmian. Okolica, którą podziwiali z prawego brzegu, a na którą spoglądali obecnie z lewego, nie wydawała się inna niż przedtem. Wszystko było na swoim miejscu, jak przed katastrofą z 5 sierpnia.

Ale gdy wóz wjechał na wysokość działki 127 bis, eksploatowanej niegdyś przez Jane Edgerton, a stąd przebył szczyt wzgórz, których łańcuch z północnego zachodu dążył poprzez tę działkę do dolnego biegu rzeki, tworząc jej lewy brzeg, krajobraz zmienił się nagle. Zamiast rozlewiska rzeki, pod której wodami zniknęła działka 129, ujrzeli rozległą równinę, ciągnącą się z jednej i drugiej strony granicy na długości kilometra, a na niej pracujące ludzkie mrowie.

Rzeka zaczynała się dopiero na południe od tej równiny i płynęła w granicach dawnej działki 129, ponad którą zbaczała nagle. Pagórek, dzielący dawniej własność obu kuzynów od własności Jane Edgerton, nie stanowił już przeszkody dla jej prądu. Szczytu pagórka nie było widać wcale. Nad nim płynęła rzeka, a trafiając na skalistą zaporę, rozdzielającą dawniej na dwie części działkę 127 bis, spadała kaskadą z wyższego poziomu na niższy, aby o sto metrów dalej skierować swój bieg w dawne łóżysko, którego już nie opuszczała, aż do swego ujścia do Jukonu.

Zmiana dotyczyła zatem strefy bardzo niewielkiej, ciągnącej się z obu stron granicy; strefy, której środkiem płynęła część rzeki Forty Miles Creek, a ciągnącej się ongiś na krańcu działki wuja Josiasa.

Wóz posuwał się dalej w podskokach, a siedzący na nim podróżnicy podziwiali osobliwy widok, sycący ich oczy. Czy była to działka 129? Ależ jej powierzchnia przekraczała znacznie granice przyjęte dla obszaru działek. Jeżeli to była rzeczywiście działka 129, o której dochodach przekonali się z liczb im wskazanych, do kogo należała obecnie i jakim sposobem jej wyniki zapisywane są na dobro Summy Skima i Bena Raddle'a? Przez kogo i dlaczego było to czynione? Kto wynajął robotników, kto nimi zarządzał? Pytania te, nasuwające się jedno po drugim, nie dawały im spokoju.

W miarę jak zbliżali się do równiny, przedmioty nabierały kształtów. Ben Raddle poznał cztery „rockery”, ustawione w dwóch grupach oddalonych od siebie na odległość około trzystu metrów, poniżej zaś zaopatrującą je pompę parową. Przy tych maszynach pracowało około dwustu pięćdziesięciu robotników, czy to kopiąc, czy przemywając piasek złoty z takim skupieniem, że nie zwrócili uwagi na przybyłych.

Jeden z nich wszakże, spostrzegłszy wóz zjeżdżający na teren eksploatacji, przerwał swą pracę,

pytając grzecznie czego sobie życzą.

— Chcemy mówić z waszym panem — odpowiedział Ben Raddle w imieniu wszystkich.

— W takim razie zechcą panowie iść za mną — rzekł robotnik.

Summy Skim, Ben Raddle i Jane Edgerton zeszli z wozu, po czym pod przewodnictwem robotnika zaczęli iść po pochyłości nowego brzegu Forty Miles Creek.

Gdy przeszli pięćset kroków, stanęli przed domkiem zbudowanym na zachodnim stoku wzgórza, które dopiero co przejeżdżali podróżni. Prowadzący ich robotnik pięścią uderzył w drzwi.

Na progu stanęła młoda kobieta, przywitana przez przybyłych okrzykami zdziwienia.

— Edith! — zawołała Jane, rzucając się w jej objęcia.

Wśród pocałunków wzrok Edith Edgerton skierował się ku zbliżającemu się Benowi.

— Miss Edith! — wykrzyknął inżynier z największym zdziwieniem.

— Pan Raddle! — odpowiedziała mu w tym samym tonie Edith.

Kto w tej chwili zwróciłby uwagę na młodą dziewczynę, mógłby dostrzec odcień zmieszania w jej spojrzeniu i lekkie zaróżowienie się twarzy. Było to jednak tak nieuchwytnie, że przeszło niepostrzeżenie.

Gdy nacieszono się wzajemnie i przywitano wśród nieustającego gwaru, gdyż wszyscy mówili razem, Ben Raddle odezwał się wreszcie:

— Czy pani zechce nam wytłumaczyć?...

— W tej chwili — przerwała Edith. — Zechciejcie jednak wejść. Zdaje mi się, że znajdę dość siedzeń, aby was przyjąć.

Umeblowanie domku było nadzwyczaj proste; zasługiwało w pełni na określenie go jako spartańskie. Kufer zastępował szafę, materac z suchych traw służył za posłanie, jeżeli zaś dodamy do tego stół i kilka krzeseł, wyczerpiemy cały spis inwentarza tego skromnego schroniska. Jednakże wzorowy porządek, który tu panował, nadawał wnętrzu pewną wytworność.

— Moje wyjaśnienie będzie bardzo proste — rzekła Edith, gdy wszyscy zajęli już miejsca. — Wieczorem 24 lipca Lorique dowiedział się, że zrządzeniem cudownego wręcz przypadku, okolica Forty Miles Creek stała się widownią katastrofy jeszcze bardziej osobliwej niż zeszłoroczna. Mówiono mianowicie, że większość zalanych działek wyłoniła się z wody. Jakim sposobem wiadomość ta doszła tak szybko do Dawson? Jakim sposobem mogła przebiec w dwadzieścia cztery godziny odległość, której przebyć nie można prędzej niż w trzy dni i to przy najszybszych środkach lokomocji, tego nie wiem. Biegła ona z ust do ust, rozprzestrzeniając się jak oliwa na morzu. W kilka godzin później całe miasto wiedziało o tym.

— Cóż wtedy uczynił Lorique? — spytał Ben Raddle.

— Przyszedł najpierw powiadomić mnie o tym. Zdecydowałam się w jednej chwili. Ponieważ panowie Raddle i Skim byli nieobecni, należało ich zastąpić i uczynić to, co uczyniliby sami. Mogłam spełnić to tym łatwiej, że podczas lata nie ma prawie chorych w szpitalu.

Zaopatrzywszy się w pieniądze, dzięki pełnomocnictwu, jakie pan Raddle zostawił Lorique'owi, wyruszyliśmy oboje nazajutrz rano, nie podając nikomu celu naszej podróży.

— I jesteście tu od tej chwili?

— Tak, od 27 lipca. Zastaliśmy to, na co patrzyliście przed chwilą. Wszystko o czym mówiono było prawdą, tylko nieco przeinaczoną. Działki, jak mogliście się przekonać sami, nie wróciły na swe dawne miejsca. Przeciwnie, zalane za pierwszym razem wskutek wstrząsu łożyska Forty Miles Creek, zalane zostały powtórnie po nowym trzęsieniu ziemi. Dziś pracujemy w samym łożysku Forty Miles Creek, która, ostatecznie wyrzucona z swych dawnych brzegów, płynie dziś w miejscu, gdzie dawniej znajdowały się działki.

— W takim razie — zauważył Ben Raddle — coraz mniej rozumiem...

— Niech pan poczeka — odrzekła Edith. — Zrozumie pan za chwilę. Gdy przyjechaliśmy tutaj, nikt nas jeszcze nie wyprzedził. Jak panu wiadomo, prawo stanowi, że eksploatacja danej działki rozciąga się na prąd wodny, do którego przylega. Część więc łożyska, przylegająca do działki, należy do jej właścicieli. Ten przepis, znany zresztą ogólnie, był przyczyną ociągania się wszystkich. Lorique i ja byliśmy mniej skrupulatni i zaczęliśmy od postawienia słupów, obejmujących równocześnie obszary sąsiadujące z działkami 127 bis i 129 oraz z działką 127 na wschodzie, na zachodzie zaś, z tamtej strony granicy, z działką 131. Później rozpoczęliśmy poszukiwania na tym nietkniętym jeszcze ręką ludzką kawałku ziemi.

— Wiem już o rezultacie tych poszukiwań — przerwał Ben Raddle. — Może on przyprawić o zawrót głowy.

— Ominę teraz szczegóły — ciągnęła dalej Edith Edgerton — i przechodzę od razu do wniosków, jakie wysnuliśmy wówczas z pierwszej próby. Mianowicie doszliśmy do przekonania, że cały ten teren, dotychczas zalany wodą, obfitował w niesłychane bogactwa, chociaż nierównomiernie rozłożone. Otóż łatwo było stwierdzić, o czym przekonała nas później eksploatacja, że zawartość, zresztą bardzo znaczna, złotodajnego piasku, zmniejszała się od środka tego obszaru ku wyznaczonej przez nas granicy. W samym środku, to znaczy naprzeciwko działki 129, byliśmy wprost olśnieni naszymi pierwszymi rezultatami. Co się stało w tym miejscu? Nie jestem uczona, aby orzekać o tym. Może jakiś wstrząs gruntu wywołał w prądzie rzeczonym wiry sprzyjające złożeniu złota dotąd znajdującego się w zawieszeniu? Nie wiem. Wiem tylko, że w tym właśnie miejscu natrafiliśmy na złożę złota prawie bez obcych naleciałości, złożę elipsoidalne o wymiarach w przybliżeniu trzydzieści pięć jardów na dwadzieścia jeden, którego głębokość jest nam jeszcze nieznana, choć musi być wielka.

Słuchaczom Edith zdawało się, że pogrążeni są w jakimś śnie z bajki, że to nie rzeczywistość, lecz

niezwykła opowieść, której słuchają jak w oszołomieniu. Nie mogliby powiedzieć, czy dziwi ich bardziej kaprys przyrody, czy zdrowy sąd i energia tej, która umiała z niego tak umiejętnie skorzystać. Ale nie było to jeszcze wszystko.

— Odkrycie to — ciągnęła dalej Edith — wymagało, aby bez chwili zwłoki zdobyć potwierdzenie prawa do eksploatacji. Jedna działka została zapisana na nazwisko pana Raddle'a, inna — na nazwisko pana Skima, jeszcze inne na nazwiska Lorique'a, kuzynki i moje. Muszę się przyznać, że przy zdobywaniu tych praw, przeważnie dla nieobecnych, zmuszona byłam do popełnienia pewnych... wybiegów. Ale w tego rodzaju sprawach najważniejsze jest to, aby się udały.

— Z pewnością! — przyznał Ben Raddle.

— Nie potrzebuję dodawać, że ani na chwilę nie zapomniałam o rzeczywistym położeniu spraw. Gdyby nie kapitały panów Bena Raddle'a i Summy Skima, działki te powstać by nigdy nie mogły. Do nich więc one należą; ja uważałam się tylko za ich pełnomocniczkę i działałam stosownie do okoliczności. Dziś wszystko jest w porządku. Otrzymałam na działkę, położoną na terytorium amerykańskim, ostatni, należycie sporządzony akt własności.

Edith zbliżyła się do kufra stojącego pod ścianą i wydobyła zeń plik papierów.

— Oto tytuły własności, a oto są dokumenty wystawione przez Lorique'a i przeze mnie, zabezpieczające rzeczywistych właścicieli przed wszelkimi pretensjami z naszej strony. Brak tylko dokumentu Jane, ale mogę ręczyć, że również nie odmówi sporządzenia takowego.

Za całą odpowiedź Jane ucałowała kuzynkę.

Ben Raddle był wprost porażony z zachwytu wobec takiej biegłości w interesach.

— Nadzwyczajne! Nadzwyczajne! — powtarzał do siebie.

Edith wstała.

— Jeżeli teraz chcecie obejrzeć swoją własność, mogę wam służyć za przewodnika, a przy tej sposobności pan Raddle zobaczy się z nadzorcą.

Z domku udano się więc na miejsce eksploatacji. Panował tu wzorowy ład i porządek, jeszcze bardziej imponujący inżynierowi, niż podstępne czyny, o których słuchał z takim zachwytem.

Wszystko szło z dokładnością chronometru. Na każdym krańcu posiadłości, zarówno na terytorium amerykańskim jak i kanadyjskim, stały „rockery”, zaopatrywane przez małą pompę parową położoną przy nowym brzegu rzeki. W centralnej części terenu robotnicy pracowali przy przemywaniu złotodajnego piasku.

— Pompa ta nie kosztowała mnie wcale — wyjaśniła Edith. — Znalazłam ją po opadnięciu wód w dawnym łożysku rzeki. Przypuszczam, że pochodzi z działki położonej w górze rzeki. Cudownym trafem okazała się sprawna. Oczyszcziliśmy ją więc i postawiliśmy w odpowiednim miejscu. Najtrudniej było zdobyć potrzebny do niej węgiel.

Ben Raddle nie mógł już wytrzymać dłużej.

— Niech mi pani wreszcie powie — zawołał — kto pokierował tym wszystkim, kto zorganizował pracę, kto urządził to wszystko?

— Ja, panie Raddle, z pomocą Lorique'a — odpowiedziała Edith bez cienia zarozumiałości, lecz również bez przesadnej skromności.

— Pani! — wykrzyknął inżynier i od tej chwili zatopił się w swych myślach.

Edith oprowadzała w dalszym ciągu swych towarzyszy, udzielając im odpowiednich wyjaśnień. Pokazała im działkę nadzorca, położoną już na terytorium Alaski. Na tej działce, której Lorique był urzędowym właścicielem, spotkano nadzorcę. Był on niezmiernie wzruszony, witając się ze swym chlebodawcą. Ale Ben Raddle był tak zajęty swymi myślami, że nie zauważył chyba serdecznego powitania.

Niebawem w towarzystwie nadzorca powrócono do miejsca eksploatacji.

— To jest właśnie najbogatsza część działek — objaśniała Edith.

— Tu trafiają się teraz płuczki wartości tysiąca dolarów — dodał nadzorca z dumą.

Nadzorca pokazał wydobyte złoto, po czym wszyscy powrócili do domku. Gdy przestępowano próg, Ben Raddle, uderzony nagłą myślą, zatrzymał Edith ruchem ręki.

— Czy pani nie mówiła mi przed chwilą, że wyjazd z Dawson nastąpił 25 lipca?

— Istotnie.

— Kiedy więc podniosło się łożysko Forty Miles Creek?

— 23 lipca.

— Byłem tego pewny! — zawołał Ben Raddle. — Naszemu wulkanowi zawdzięczamy więc obecne powodzenie.

— Jakiemu wulkanowi? — spytała Edith.

Wtedy Ben Raddle opowiedział jej wszystkie przygody, które im się zdarzyły podczas wyprawy na Golden Mount. Kiedy skończył swe opowiadanie, nikt już wątpić nie mógł, że wybuch tak śmiało wywołany był pierwotną przyczyną wstrząsu, którego widownią była ta okolica Klondike. Zrozumieli wszyscy, że trzęsienie ziemi rozszerzało się stopniowo, powodując szereg zmian, objawiających się w podnoszeniu lub opadaniu gruntu.

Długa szczelina, ciągnąca się na setki kilometrów, wskazywała w jakim kierunku szła siła tego wstrząsu, który tu dopiero stracił swą moc. W tym miejscu, osłabionym już przez wstrząs poprzedni, uniósł powierzchnię ziemi zaledwie parę metrów, a tym samym wywołał podobne opadnięcie ziemi

na terenie dawnych działek prawego brzegu rzeki, ciągnące się na szerokości pięćdziesięciu metrów i długości jednego kilometra.

Jane Edgerton szczególnie zachwyciły te wnioski, tak odpowiadające jej poglądom na życie. Nie, czyn nie jest nigdy bezużyteczny. Ich podróż do Golden Mount była tego oczywistym dowodem. Wtedy, gdy im się zdawało, że walczą na próżno, że ich wysiłki są płonne, wtedy wyzwolona przez nich energia wulkanu wywołała kilkaset kilometrów dalej niespodziewany wstrząs, szykując im zwycięski powrót.

Edith spokojnym uśmiechem odpowiedziała na zapal swej kuzynki, zwracając uwagę, że wpierrw należy obejrzeć bilans eksploatacji.

Gdy weszli do domku, rozłożyła księgi rachunkowe, budząc zachwyt Bena ich doskonałym objaśnianiem. Aby ułatwić sobie bilansowanie przychodu i rozchodu, kontrolę wydobywania złota i jego oczyszczania, aby zabezpieczyć się przed kradzieżą tak częstą w tym rodzaju przemysłu, wymyśliła dzięki swemu rozsądkowi i systematyczności metodę łatwą, lecz tak ścisłą, że nie było w niej miejsca ani do pomyłek, ani do nadużyć.

— Dziś rano skończyłam pracę — rzekła na zakończenie. — Miałam wrócić do Dawson z duplikatem tych ksiąg. Lorique zaś pozostanie tu do zimy i prowadzić będzie w dalszym ciągu eksploatację, nad którą — jak przekonaliście się — można czuwać z oddali.

Ben Raddle bez słowa opuścił domek. Było mu duszno. Edith dała mu nauczkę. Nie pozostawiła mu nic do roboty. Urządziła wszystko lepiej, niż sam by to uczynił.

Zaniepokojony Summy podążył za kuzynem. Dlaczego Ben Raddle wyszedł tak spieszenie? Czy nie jest przypadkiem chory?

Nie, Ben Raddle nie był chory. Wpatrzony w dal oddychał pełną piersią, jak gdyby po jakimś głębokim przeżyciu.

— A zatem, Ben — przemówił do niego Summy Skim — twoje zamiary urzeczywistniły się. Przypuszczam, że jesteś zadowolony. Będziesz mógł obracać milionami! Tym bardziej, że oddaję ci moje, o które tak dbam jak o to!...

I Summy uderzył paznokciem o swe mocne zęby. Ben Raddle położył rękę na ramieniu kuzyna.

— Co myślisz o miss Edith, Summy? — spytał go szeptem.

— Ależ ona jest zachwycająca, nad wyraz zachwycająca! — odpowiedział Summy z zapalem.

— Nieprawdaż?... Ale nie dość powiedzieć: zachwycająca. Ta dziewczyna — to zjawisko nadzwyczajne, cudowne zjawisko! — dodał Ben Raddle rozmarzonym głosem.

XVII

Załatwianie rachunków

Po krótkim pobycie na nowej działce 129 Jane, Edith, Ben i Summy powrócili do Dawson, pozostawiając nadzorcy pieczę nad ich własnością. Miał on objąć kierownictwo eksploatacji aż do zupełnego wyczerpania złóż, o ile to było możliwe i posyłać cotygodniowe rachunki do Montrealu, dokąd Summy Skim i Ben Raddle mieli powrócić w jak najkrótszym czasie.

Nadzorca zresztą będzie miał udział w dochodach. Był o to zupełnie spokojny, znając prawość i uczciwość swych chlebodawców. Zakończenie eksploatacji nie zapowiadało się prędko, więc Lorique mógł dorobić się majątku i przedsięwziąć poszukiwania na własną rękę, albo też szukać tak zasłużonego odpoczynku w łagodniejszym klimacie.

Oczywiście czterem podróżnym było nieco ciasno na wozie, do którego wsiedli, lecz nie myślano o tym wcale. Pod wrażeniem ostatnich wypadków wszyscy byli w nader wesołym usposobieniu, nawet Edith pozbyła się swego zwykłego, nieco obojętnego spokoju.

Kuzyni, zainteresowani dalszymi losami swych towarzyszek, dowiedzieli się, że ponieważ Wysiłki Jane spędziły na niczym, ma ona zamiar nadal próbować szczęścia przy poszukiwaniu złota, Edith zaś powróci do swych chorych.

Ben Raddle i Summy Skim, bez zbytniego oburzania się na to, zapytali, czy uważają ich za potwornych niewdzięczników i na tym przerwano rozmowę.

Należało jednak załatwić rachunki. Na wezwanie Bena Raddle'a wszyscy czworo stawili się w salonie, oddanym na wyłączny użytek obu kuzynów.

Inżynier od razu przystąpił do rzeczy.

— Na porządku dziennym jest przede wszystkim sprawa załatwienia naszych rachunków — rzekł, otwierając posiedzenie.

Summy ziewnął.

— To dopiero będzie nudne! — zauważył. — Zresztą, jak mówiłem, napisz w mojej rubryce zero i zatrzymaj sobie wszystko.

— Jeżeli zaczniemy od żartów tego rodzaju — odparł Ben Raddle surowo — nie skończymy nigdy. Proszę cię, Summy, bądź poważny.

— Bądźmy zatem poważni! — zgodził się Summy, wzdychając. — Ale, ile czasu straconego, z którego można zrobić lepszy użytek!

Ben Raddle ciągnął dalej.

— Pierwszym faktem, z którym liczyć się trzeba, jest to, że eksploatacja dzisiejsza Forty Miles Creek stanowi następstwo, wprawdzie nie bezpośrednie, odkrycia Golden Mount.

— Słusznie! — przyznali słuchacze.

— A zatem zobowiązania powzięte na skutek tej podróży zachowują całą swą wartość, a na pierwszym miejscu stawiam zobowiązania względem matki nieszczęsnego Leduna. Czy możecie mi wskazać, jaka część jej przypada?

— Czwarta — odezwała się Jane Edgerton.

— A nawet cztery czwarte — dodał Summy. — Nie widzę w tym żadnej przeszkody.

Ben Raddle wzruszył ramionami.

— Mnie się zdaje — zaproponowała Edith swym spokojnym głosem — że renta byłaby bardziej pożądana.

— Miss Edith ma jak zawsze rację — rzekł inżynier. — Przyjmiemy więc w zasadzie rentę, zostawiając określenie należnej sumy na później. W każdym razie będzie ona obliczona hojnie, to się rozumie samo przez się.

Wniosek przyjęto jednogłośnie.

— Trzeba będzie oprócz tego — ciągnął dalej Ben Raddle — wynagrodzić hojnie nadzorcę, przewodnika i resztę ludzi, którzy brali udział w wyprawie.

— Oczywiście! — odezwały się kuzynki jednocześnie.

— To co zostanie, stosownie do umowy z miss Jane, będzie podzielone na dwie równe części między nią a mną. Nie przypuszczam, aby miss Jane nie zechciała podzielić się ze swoją kuzynką, której zawdzięczamy działkę 129, ja zaś, ze swej strony podzielę się z Summym pomimo jego pogardliwej miny.

— Rachunek pana nie jest dokładny — zaproponowała Jane. — Ponieważ chce pan, nie będąc do tego zmuszony, podzielić się z nami, powinien pan trzymać się ściśle umowy. Zapomniał pan bowiem, że na mocy poprzedniej umowy pan ma prawo do dziesiątej części moich dochodów z Klondike.

— Prawda — rzekł Ben Raddle poważnie.

Wziął papier i ołówek.

— Zaraz obliczymy. Pani mówi, że mam prawo do dziesiątej części należnej jej połowy, czyli do dwudziestej części całości, co w rezultacie daje jedenaście dwudziestych dla mnie, a dziewięć dwudziestych dla pani.

— Jeżeli się nie mylę — przerwał Summy z najpoważniejszą miną — z tego obliczenia wynika, że część miss Edith wynosić będzie siedem piątych z trzech czwartych z trzydziestu ośmiu osiemdziesiątych dziewiątych... Co zaś do mojej, to znajdziemy ją dzieląc wysokość Golden Mount przez promień koła podbiegunowego i mnożąc otrzymaną z tego liczbę przez wiek przewodnika. W ten sposób otrzymamy równanie wykładnicze, z którego wyciągniemy pierwiastek, który z kolei poddany zostanie analizie algebraicznej i rachunkowi różniczkowemu lub całkowemu...

— Te żarty są niesmaczne — odparł sucho Ben Raddle, podczas gdy obie kuzynki wybuchnęły śmiechem.

— Co za galimatias! — westchnął Summy Skim, siadając z największą obojętnością w najdalszym kącie.

Ben Raddle powiódł za nim rozgniewanym wzrokiem, po czym wzruszywszy ramionami, ciągnął dalej:

— Otóż, ponieważ nasz kredyt w Anglo-American Transportation and Trading Company wynosi...

Jane Edgerton przerwała mu:

— A w ogóle — rzekła najnaturalniej w świecie — po co te wszystkie obliczenia?

— Jak to?

— Tak, po co?... Przecież się pobierzemy.

Na te słowa Summy Skim, rozciągnięty dotąd wygodnie w fotelu, zerwał się na równe nogi, wydając złowrogi okrzyk.

— Z kim? — zawołał zduszonym głosem.

Skupiony, z twarzą wykrzywioną, zaciśniętymi pięściami, podobny był do mającego się rzucić dzikiego zwierza.

Widok był tak komiczny, że wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Ale Summy Skim nie śmiał się. Zrozumiał, co tkwiło w jego sercu i załamał się. Zrozumiał, że on, zapamiętały stary kawaler, tak szczęśliwy ze swego bezżeństwa, kochał od dawna, zawsze, kochał do ubóstwienia, od pierwszej chwili, gdy ujrzał ją na pokładzie parowca, tę drobną dziewczynę, która teraz śmiała się głośno. Przez nią i dla niej znosił tak dzielnie to straszne wygnanie w tych odległych stronach. Nie mogąc jej namówić, aby opuściła Klondike, skazał się na pozostanie tu, aby z nią pozostać. A ona teraz najspokojniej mówi o małżeństwie... Naturalnie, że z Benem, młodszym od niego i bardziej pociągającym. Zapewne, jeżeli to stać się musi, będzie umiał zapanować nad sobą... Ale co za ból, co za ból!

— Z kim! — powtórzył głosem tak pełnym łez, że Jane śmiać się przestała.

— Ależ z panem, panie Skim — rzekła. — Przecież to jasne. Na cóż więc... Nie miała czasu dokończyć.

Summy porwał ją w swe olbrzymie ramiona jak piórko i biegając po pokoju, jak szalony, całował ją namiętnie. Na próżno Jane się broniła. Summy nie odczuwał nic prócz radości rozpierającej jego serce. Dopiero, gdy tchu mu zabrakło, rzucił się na fotel, wypuszczając z rąk miły ciężar.

— Szalony! — odezwała się Jane bez gniewu, ale również bez śmiechu, poprawiając potargane włosy.

Udając, że nie widzi Bena, patrzącego na Edith w milczeniu, ani również kuzynki ze spuszczonej uparcie oczyma, Jane wróciła do rozpoczętego zdania, tak niespodziewanie przerwane przez szal radości Summy Skima.

— Po co pytać o to, o czym się wie z góry? Zarówno jest oczywiste, że wychodzę za pana, jak i to że Ben żeni się z moją kuzynką.

Powieki Edith zadrgały z lekka.

— Czy pani potwierdza słowa kuzynki? — spytał Ben Raddle głosem nieco drżącym.

Za całą odpowiedź dziewczyna podniosła na pytającego oczy i wyciągnęła do niego serdecznie rękę.

Uniesienie Summy Skima nie miało granic. Śmiał się, potracał wszystkich, przewracał meble, biegając jak szalony po pokoju.

— Na co czekamy tutaj? — zawołał. — Skoro doszliśmy do zgody, po co marnować czas tak cenny! Działajmy, do diabła, działajmy!

Na próżno tłumaczono mu, że ślub, a tym bardziej dwa śluby nie mogą się odbyć na poczekaniu. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy mu obiecano, że potrzebne formalności załatwione zostaną w jak najkrótszym czasie.

Dotrzymano słowa i istotnie w kilka dni później obydwaj śluby odbyły się w świątyni w Dawson. Uroczystość była niezwykła. Przygody obu par, przechodząc z ust do ust, nabrały wymiaru legendy. Cała ludność, wprawdzie nieco przerzedzona pracą przy wydobywaniu złota, ustawiła się w szeregi, po bokach ślubnego orszaku. Władcza piękność Jane, dumny wdzięk Edith, energiczny wygląd Bena i wspaniała postawa, którą wyróżniał się Summy wzbudzały ogólny zachwyty.

Nie brakło nikogo. Byli wszyscy towarzysze niedoli i radości: Lorique, Bill Stell i cały zastęp robotników, biorących udział w wyprawie na Golden Mount. Edith prowadził doktor Pilcox, weselszy i pulchniejszy niż zwykle, Jane zaś — Patrick, rozpromieniony jak słońce w swoim nowym ubraniu. Jane życzyła sobie tego, a Irlandczyk dumny z zaszczytu, który go spotkał, nie przestawał wszakże nazywać swej młodej pani „panem Janem”, nie zważając na jej białą suknię i pomarańczowy kwiat.

— Podaj mi rękę, Patricku.

— Tak, panie Janie.

— Uważaj, Patricku. Depcesz tren mojej sukni.

— Tak, panie Janie. Jane śmiała się serdecznie.

Państwo młodzi opuścili Dawson tego samego wieczora na statku płynącym na Jukonie. Lorique i Bill Stell zegnali ich, dopóki nie zniknęli im z oczu. Lorique miał nazajutrz wyruszyć do swojej pracy, przewodnik zaś powracał do Skagway przez strefę jezior, zabierając pomocników; ale odtąd, jeżeli zajmował się swą trudną i ciężką pracą, to tylko z zamięłowania. Był bowiem bogaty i musiał przyznać, że poszukiwanie złota ma niekiedy i dobre strony.

Natomiast dwie osoby, które brały żywy udział w tym opowiadaniu, towarzyszyły młodemu parom w ich podróży do Montrealu. Byli to Neluto i Patrick. Pierwszy, w ostatniej dopiero chwili zdobył się na powzięcie stanowczej decyzji, że nie może opuścić tak zawołanego myśliwego jakim był Summy Skim. Drugiego zaś tylko śmierć mogła oderwać od „pana Jana”.

Stopniowo okrzyki, żegnające odjeżdżający parowiec, ginęły w oddali, światła Dawson malały w przestrzeni, aż wreszcie zniknęły, pograżając w mroku nocy wielki statek, dyszący parą i ogniem. Pogoda była piękna. Gwiazdy świeciły na czystym niebie, a powietrze było niezwykle łagodne pomimo późnej pory.

Na rufie statku siedzieli wszyscy czworo na fotelach, które przyniósł Summy Skim.

Wkrótce Ben Raddle przerwał rozkoszną ciszę. Nie będąc w stanie zapanować nad swym żywym umysłem, układał już nowe plany. Wielki majątek, jakim rozporządzał, otwierał przed nim szerokie horyzonty. Toteż dał się ponieść marzeniom, którym dawał ujście w mowie. Działać, tworzyć... Przekształcić ten stos złota w rozległe przedsiębiorstwa i znów je zamieniać na złoto, by z kolei to złoto zamienić na przedsiębiorstwa jeszcze rozleglejsze... I tak dalej... i tak zawsze!...

Jane słuchała go z uwagą i odpowiadała przyjaźnie na śmiałe zamiary marzyciela. Powoli zbliżyli się do siebie, aż wreszcie, wiedzeni potrzebą ruchu, prawie jednocześnie wstając z foteli, udali się na pokład spacerowy, zapominając — on o żonie, ona o mężu. Summy westchnął.

— Już poszli oboje! — rzekł, zwracając się do Edith.

— Należy — odrzekła Edith — brać ludzi i kochać ich takimi, jakimi są.

— Masz słuszość, Edith — przyznał Summy z westchnieniem.

Ale smutek ciążył mu na sercu. Głębsze westchnienie wydobyło się z jego piersi.

— Tak — odezwał się znowu — poszli.

Edith podniosła rękę i opuściła ją nagle, jak gdyby tym ruchem wyrazić chciała, że przyjmuje

przyszłość, jakąkolwiek ona będzie.

— Znam Bena — ciągnął Summy dalej — już w osiem dni po przybyciu do Montrealu zatęskni do przygód i znów zechce udać się w podróż i obawiam się, aby nie pociągnął za sobą twojej kuzynki i tak już mało usposobionej do spędzania życia w zaciszu domowym.

— Jeżeli pojedą — rzekła — to w końcu powrócą. Oczekiwać ich będziemy w domu.

— To nie jest wesołe, Edith.

— Ale użyteczne. Podczas ich nieobecności będziemy pilnowali domu.

Summy westchnął po raz ostatni.

— I będziemy wychowywali ich dzieci — rzekł nie zdając sobie być może sprawy, ile jego odpowiedź zawierała głębokiego komizmu i wzruszającej rezygnacji.

XVIII

Rozkosze Green Valley

Pora letnia. Ani chmurki na błękitnie nieba. Słońce rzuca gorące promienie.

Summy Skim, w skórzanych sztylpach, po powrocie z polowania z Nelutem, siedzi paląc fajkę w cieniu jednego z wielkich drzew, stojących przed domem w Green Valley. O kilka metrów od niego, nieledwie u jego stóp, troje małych dzieci — mających trzy, pięć i sześć lat — bawi się pod nadzorem wychowawczynie o wyglądzie budzącym zaufanie. „Wychowawczynie” ta ma nie mniej niż sześć stóp wzrostu oraz siwiejącą już brodę. To Patrick Richardson. Z biegiem czasu jego młoda pani, ufając mu zupełnie, powierzyła mu to zaszczytne zajęcie.

Patrick, chociaż się zestarzał, nie stracił bynajmniej swej potężnej siły; tylko siły tej nie używał już do boksowania niedźwiedzi, jest ona bowiem wyłączną własnością synów Jane. Olbrzymia spotyka się obecnie z dziećmi, z których jedno siedzi mu na ramionach, drugie na dłoni jak w fotelu, z wielkim palcem służącym za oparcie, a trzecie w kieszeni. Patrick bowiem przyszył do swej kurtki specjalne kieszenie. Mogą wdrapywać się na niego, jak na górę, kopać go, ciągnąć za brodę i za włosy lub kłaść mu palce w oczy. Patrick jest wszystkim zachwycony. Patrick Richardson jest niezwykłą zabawką dla małych dzieci.

Zegar wskazuje godzinę dwunastą. Słysząc przyspieszony tętent konia i niebawem ukazuje się młoda amazonka. Summy wstaje biegnąc na jej spotkanie i po chwili trzyma ją w swych objęciach jak ongiś w Northern Hotel. Jeszcze trochę, a Summy porwałby ją w szalonym tańcu, jak wtedy. Summy Skim jednak zaniechał tańca, odkąd, powiedzmy to po cichu, jego postać zaczęła nabierać okrągłej tuszy. Ale Jane Skim nie ustępuje wcale dawnej Jane Edgerton. Jest to zawsze ta sama drobna, delikatna, urocza kobieta.

— Do stołu! — woła Summy głosem radosnym.

Na to hasło dzieci zrywają się, wskazując na Patricka. Najstarsze wdrapuje się na jego ramię, młodsze siada na dłoni, najmłodsze wsuwa się do kieszeni.

— Czy dzieci były grzeczne, Patricku?

— Bardzo grzeczne, panie Janie — odpowiada Irlandczyk.

W chwili, gdy miano już wchodzić do domu, ukazała się na progu młoda złotowłosa kobieta. To Edith Raddle. Trzyma jeszcze w ręku pióro, którym tak zręcznie umie się posługiwać.

— Czy Ben już przyjechał? — spytała Jane.

— Nie — odrzekła Edith. — Przyjedzie dopiero koło trzeciej. Wchodzą. Siadają do stołu. Nic się nie zmieniło wewnątrz i na zewnątrz domu. Panuje w nim ta sama prostota. Pobudowano tylko nowe skrzydło, aby wszyscy mogli się pomieścić.

Szczęście czuwa nad tym spokojnym domem.

Lata całe upłynęły od czasu wyprawy na Golden Mount i powrotu do Montrealu, nie zmniejszywszy siły uczucia zrodzonego pod mroźnym niebem Klondike. Jane i Summy, Edith i Ben — każde z nich czuje w swej piersi odzew trzech innych serc.

Obawy, jakie wyrażał niegdyś Summy, nie sprawdziły się. Z pomocą Edith potrafił znaleźć ujście dla czynnego usposobienia swej żony. Obecnie pewny był trwałości tak drogiego mu związku, wzmocnionego zresztą przyjściem na świat dzieci.

Mając dość pieniędzy, powiększył obszar swych posiadłości. Summy jest właścicielem całej okolicy. Jane znalazła więc obszerne pole do swej działalności. Zapaliła się do uprawy gruntu na tej rozległej przestrzeni przy pomocy udoskonalonych maszyn rolniczych, które jej przedsiębiorczy umysł ulepsza ustawicznie.

Edith jest administratorką całej posiadłości, a równocześnie rachmistrzynią. Do niej należy ostatnie słowo, gdyż każdy ustępuje przed jej nieomylnym rozsądkiem. Gdy Jane zbyt folguje swej wyobraźni, Edith powstrzymuje ją, mówiąc „ostrożnie” i wszystko wraca do równowagi.

Tylko Summy ucieka nieraz spod jej władzy. Twierdząc, że jest zbyt bogaty, pozwala sobie po kryjomu zwracać czynsz, który mu wnoszą farmerzy. Edith gniewa się dla porządku; prawdą jest bowiem, że są zbyt bogaci.

Istotnie, Summy Skim nie jest w stanie wydać pieniędzy tak prędko, jak je zarabia Ben Raddle.

Zanim działki przy Forty Miles Creek zostały wyczerpane, przyniosły milionowe zyski, a z tego złota Ben Raddle nie zostawił ani cząstki w bankach. Rozrzucił je po całym świecie, skąd złoto to wraca wraz z dziesięciokrotnym zarobkiem, aby znów wyruszyć w świat.

Inżynier, rozporządzając olbrzymim kapitałem, mógł wreszcie urzeczywistnić swe śmiałe marzenia. Próbował wszystkiego, gdyż wszystko go zajmowało, poświęcając dobrowolnie całe swe życie nieustannej pracy. Niedaleki jest dzień, gdy powiększy liczbę miliardów, co da mu nowy bodziec do pracy. Szczęście go nie opuszcza. Próbował z równym powodzeniem handlu bawełną, wełną, cukrem i skórą, zarobione zaś pieniądze obracał na najróżnorodniejsze przedsięwzięcia. Obecnie posiada kopalnie węgla i miedzi, linie kolei żelaznej w Ameryce Południowej i na Bałkanach, szyby naftowe w Teksasie i Rumunii, elektrownie i wiele innych przedsiębiorstw. Wczoraj założył trust cynowy, jutro założy trust niklowy.

W tych licznych interesach Ben Raddle nie mógłby się połapać, gdyby nie administracyjny geniusz Edith. Nie potrzebował się troszczyć o nic. Dzień po dniu, godzina po godzinie Edith zdawała mu sprawę ze stanu interesów, pozostawiając mu tylko twórczą część pracy.

Ben Raddle to szczęśliwy człowiek!

Lecz tego szczęśliwego człowieka nie ma nigdy w domu, co jest jedyną troską jego kuzyna. Ben

zjawia się zawsze w domu jak błyskawica. W przelocie ściska serdecznie swą żonę, ona zaś wita go zawsze z miłym uśmiechem, nie czyniąc mu przy odjeździe żadnych wyrzutów. Edith, ze swym zwykłym spokojem oczekuje, aż nadejdzie godzina, którą wnioskuje z pewnych danych, uważa obecnie za bliską.

Summy Skim, nie mając jej cierpliwości, nie szczędzi Benowi wielu wymówek. Inżynier słucha z początku cierpliwie, w końcu zaczyna się gniewać, przerywając potok słów kuzyna.

Zresztą, gdy Ben Raddle jest już w drodze, Summy pierwszy go usprawiedliwia.

— Nie trzeba żywić urazy do mojego biednego Bena — mówi wtedy do Edith — iż gotów jest zawsze do wybuchu. Zresztą ten, w którego życiu wulkan odegrał tak ważną rolę, zachowuje na zawsze coś z wulkanicznego niepokoju.

* Dramat ten stanowi treść nieznaną w Polsce powieści J. Verne'a „Familie sans nom” („Rodzina bez nazwiska”).

* *Dominium* — nazwa niektórych byłych posiadłości brytyjskich, które uzyskawszy autonomię (własny parlament i rząd) wchodziły nadal w skład imperium brytyjskiego, po raz pierwszy użyta w 1867 roku w stosunku do Kanady.

* (łac) Bądź zadowolony ze swego losu

* (łac.) Podźwignięta z otchłani.